


Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI**

**BRÜHL**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## TOM PIERWSZY

*Wir sind alle Schauspieler,  
es kommt nur darauf an,  
gut seine Rolle zu spielen.*  
H. Graf v. Brühl<sup>1</sup>

### I

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki, zwołujące myśliwych, odzywały się w lesie, z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem, przerzynającym puszcę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnymi; środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonymi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołym usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionymi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazońek z różowymi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę<sup>2</sup>, bo łowy najmiłszą stanowiły zabawę panującego naówczas mniej więcej szczęśliwie Saksonii i Polsce Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król mimo wieku wyglądał jeszcze wspaniale i rześko, na koniu siedział rycersko, a syn, równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdązał na noc do niedalekiego Hubertsburg<sup>3</sup>, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córka, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona.

Dwór królewski był tak liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nie opodał namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieczerzy i w chwili gdy król wjeżdżał na zamek, rozpusz-

---

<sup>1</sup> *Wir sind alle Schauspieler, es kommt nur darauf an, gut seine Rolle spielen* (niem.) – jesteśmy wszyscy aktorami, chodzi tylko o to, aby rolę swoją dobrze odegrać.

<sup>2</sup> Gala – tu: biesiada, uczta.

<sup>3</sup> Hubertsburg – zamek myśliwski królów saskich w pobliżu Lipska.

czone myślistwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok padać zaczynał; pod namiotami gwarno już było i wesoło; odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodniej. Po znużeniu całodziennym chwytano za stojące flasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu. Namioty dla dworu, ocienione drzewami, oświecały się zapalonymi latarniami; tuż obok przy improwizowanych żłobach ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne kłatwy masztalerzy. Nie znane sobie rumaki poczynają znajomość od kąsania i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Dalej jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu też dozorczy mieli do czynienia, aby wrzawę uśmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, co by młodzieży śmiechy i śpiewy, i kłótnie śmiał powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejsze jego królewskiej mości słowo.

Królewicz tego dnia był bohaterem: położył ze sztuce, kulą w sam łeb trafiwszy, odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, ażeby rozjuszoną bestię dobić kordelasami, leżała już, brocząc krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwycięstwie tak zimnym i spokojnym, jak był przedtem. Jedyną dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potem fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większymi kłębami niż zwykle.

Wchodziła wówczas w używanie powszechne roślina zwana *tabacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętałe August Mocny, a namiętnie syn jego, Fryderyk. Szczególniej przy męskich ucztach i piwie nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla, czy kto chciał, czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owe *tobacco* przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknięcia do tego trunku, który z kartami i winem razem uchodził za niebezpiecznego uwodziciela.

Pod namiotami też fajek widać nie było. Znużeni jeźdźcy, posiadawszy z koni, gdzie który mógł, popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rżęsiście i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wcześniej rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodał od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia przywiązanego do osoby króla jegomości.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wyłamana, nieco niewieściego wdzięku postać musiała nań najobojętniejsze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich urodził, peruczka, jakby w niej przyszedł na świat, ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a spod niej wyglądała twarzyczka niby z mejszeńskiej<sup>4</sup> porcelany, biała, różowa, niemal dziecinnej i dziewiczej piękności, z uśmieszkiem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystrzymi, ale stojącymi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili pogasnąć i zamilknąć lub rozplomienić i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. Kochali go niemal wszyscy, nie wyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczym nigdy, nikogo nie chciał nigdy zaćmić, a mimo to,

---

<sup>4</sup> M e j s e Ń s k a - wyrabiana w Miśni (Meissen) w Saksonii nad łabą, gdzie była najstarsza w Europie fabryka porcelany, założona w r. 1710.

wezwany do jakiegokolwiek roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turynгииi rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Sommern<sup>5</sup>. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą; pozbywszy pono ojczystego odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiej trzymał klamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczęściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce; lubił je nade wszystko August Mocny i mówią, że na jednym z nich młody paź ze swoją miluchną, uśmiechniętą twarzą wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi jegomości ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak, co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu nigdy w życiu nie widział, a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, że starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał; bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzył, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina<sup>6</sup> padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejechał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętnym do usługi sercem. Nie obawiano się wcale, aby takie niebożątko pokorne mogło zająć wysoko. Ubogie też to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzą.

Ale do malowania był też ładny. Kobiety, starsze zwłaszcza, patrzyły nań wdzięczającymi się oczyma, on swoje naówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby, i dla kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy i że lokaje obalili cichutko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła matka – natura.

I w tej chwili, gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak zwykle nazywano) przechadzał się samotny po ścieżce do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś, że to czynił, ażeby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwnie służy. Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim, że siebie pewny, już niewiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, zręczny, z oczyma czarnymi, bystro patrzącymi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę, wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiej, galonowanej przepysznie. Peruka, jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy, porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcej był stworzony na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz i przyjaciel królewicza, najulubieńszy jego łowów wspólnik, małych tajemnic

---

<sup>5</sup> B r ü h l – zob. *Posłowie*.

<sup>6</sup> Aluzja do postaci z mitologii starożytnej, którą swą niezwykłą siłą fizyczną oraz zamiłowaniem do sztuk pięknych przypominał August II Mocny.

powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski<sup>7</sup> (syn niemającego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył, co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całe zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo choć August II wyglądał przy swym zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć jak najprostszy śmiertelnik. Z nowym słońcem wschodzącym i ta gwiazda na horyzont saski wnijść musiała i przyświecać jej swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego skromny paż królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał się taką okazywać radość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie z powagą, ale z łaskawością razem. Z dała ręką, wyjętą zza kamizeli, potrząsł i nieco głowę uchylił, zwolnił kroku, zbliżył się i odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

– Jak się masz, Henryku! Cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem, od czego począć, żeby o niczym nie zapomnieć.

– Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomóc?

– A! Nie, dziękuję ci; trzeba obowiązków swe spełnić! Dla takiego gościa jak nasz pan miłościwy wszelki trud miły. – Westchnął z lekka. – Cóż? Polowanie się udało; ja, jak wiesz, nie mogłem być na nim, łowczego wysłałem z ekwipażami, w zamku tyle było przygotowań...

– Tak! Polowanie się wybornie udało. Najjaśniejszy Pan był w humorze, w jakim go od dawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił:

– Któż tam teraz w alkowie panuje? he?

– Doprawdy, nie wiem. Mamy pono bezkrólewie.

– A! a! To nie może być! – zaśmiał się Sułkowski. – Dieskau? nie...

– A! Nie, to są dawno pogrzebione rzeczy... ja nie wiem.

– Jakżebyś ty, paż królewski, nie wiedział?

Brühl spojrzął nań z uśmiechem.

– Kiedy wszyscy wiedzą, pażowie wiedzieć nie powinni...

Myśmy jak tureccy *muets*<sup>8</sup> głusi i niemi.

– A! Rozumiem – odparł Sułkowski – ale między nami...

Brühl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche jak szelest listka spadającego z drzewa jesienią.

– *Intermezzo*<sup>9</sup> – rzekł Sułkowski. – Zdaje się, że teraz po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego pana kosztował boleści, pieniędzy i troski, już na intermezzach poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty, do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno ani na zamek z powrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamyślony, począł z nim przechadzkę.

<sup>7</sup> Aleksander Józef Sułkowski (1695-1762) –pochodził z wielkopolskiej rodziny szlacheckiej; uważany był jednak za syna naturalnego króla Augusta II. Był towarzyszem młodości i ulubieńcem królewicza, późniejszego króla Augusta III. Hojnie obdarowany przez monarchów, nabył w r. 1733 od króla Stanisława Leszczyńskiego dobra Leszno i Rydzynę i uzyskał od cesarza tytuł hrabiowski. Po wstąpieniu na tron Augusta III był jego pierwszym ministrem. Usunięty z dworu na skutek intryg Brühla, osiadł w Rydzynie, utrzymywał jednak stałe kontakty z dworem cesarskim w Wiedniu. W roku 1752 nabył księstwo bielskie na Śląsku Cieszyńskim i uzyskał od cesarza godność księcia Rzeszy Niemieckiej.

<sup>8</sup> *Muets* (fr.) – niemy; tu: niemowa.

<sup>9</sup> *Intermezzo* (wł.) – krótki utwór dramatyczny wystawiony pomiędzy aktami większych sztuk; tu przenośnie: krótkie urozmaicenie.

– Mam chwilę wytchnienia – odezwał się. – Miło mi jej użyć w waszym towarzystwie, chociaż my obaj jesteśmy pomęczeni, tak że i rozmowa być może trudem.

– O, ja nic a nic! – odparł Brühl. – A wierz mi, hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużony. Od pierwszej chwili, gdy miałem szczęście zbliżyć się do was, uczułem razem najwyższy szacunek i jeśli mi się godzi to powiedzieć, najżywszą, najgłębszą przyjaźń. Przyznać się mam? Ale prawdziwie, żem się po tej drożynie wybrał przechadzać z jakimś przecuciem, z nadzieją, że was choć z dala zobaczę i pozdrowię, a tu mnie spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrzał na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

– Wiercież mi – odezwał się – iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wzięwszy się za ręce we dwóch daleko zająć można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

– Wy jesteście przy królu i w łaskach.

– O, o! – odparł Brühl. – Nie pochlebiam sobie!

– Ja wam zaręczam! Słyszałem to z ust własnych Najjaśniejszego Pana, chwalił waszą usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył ręce.

– Nie pochlebiam sobie.

– Ja wam mówię – powtórzył Sułkowski – ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tym, że mnie przyjacielem nazywa. Sądzę, że nie obszedłby się beze mnie,

– Wy to co innego – przerwał Brühl żywo. – Mielicie to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któż by się nie przywiązał do was zbliżywszy! Co do mnie, obcy tu niemal jestem. Winienem łasce księżnej, że mnie przy boku Jego Królewskiej Mości umieściła; staram się wdzięczność moją okazać, ale na śliskiej posadzce dworu jakże to utrzymać się trudno! Im więcej gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tym na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański opłaca się wejrzeniem jadu pełnym. Gdy człowiek mógłby być najszczęśliwszym, musi drzeć.

Sułkowski słuchał roztargniony.

– Tak, to prawda – rzekł cicho – lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważałem na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze dosyć jest ustać w miejscu, to się posunie mimo woli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiej pada.

– A! Czerpię najdroższe rady z ust waszych! – wykrzyknął Brühl. – Co za szczęście mieć takiego przewodnika!

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyknik przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiało mu uznanie tego, o czym był w głębi duszy najmocniej przekonany.

– Nie lękaj się, Brühl – dodał. – Idź śmiało, a rachuj na mnie!

Wyrazy te zdały się w najżywsze zachwycenie wprawiać młodego Henryka; złożył ręce jak do modlitwy, twarz jego błysła radością, spojrzał na Sułkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić. Wspaniałomyślny hrabia z protekcyjną dobrocią ucisnął go.

W tej chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak zrozumiały widać dla młodego faworyta, który tylko ręką dawszy znak towarzyszowi, że pośpieszać musi, rzucił się krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę, co począć z sobą. Król go od służby wieczornej uwolnił i pozwolił mu spocząć tego wieczoru, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczerza dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innymi się zabawić, potem z dala popatrzywszy w bok się skierował i zadumany, ścieżyną w głąb lasu idącą, poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i



twarzyczka o głębokie rozmyślania posadzić go nie pozwalały. Prędzej by na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzewać się godziło. Ale na spokojnej wielce twarzy nie widać było troski sercowej, która się maluje na niej łatwymi do poznania symptomatami<sup>10</sup>. Brühl nie wzdychał, patrzył chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędzej rachował coś i kombinował, niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pominął namioty, konie, psiarnie, rozłożone ogniska ludzi spędzonych dla łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem z solą posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polewki. Około dwóchset do obławy spędzonych Wendów<sup>11</sup> gwarzyło cicho w języku niezrozumiałym, nie śmiejąc nawet głośniej się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośniej, tym oni starali się ciszej sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie chleb swój z domów przynieść musiała, bo o niej jednej na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko też skończyli wieczerzę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl ledwie na nich okiem rzuciwszy poszedł dalej.

Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnę by przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiędłej zieleni, wyziewy jedlin unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem, w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia, gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek, można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniej odetchnął; twarz, której układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczona, przybrała wyraz nowy; lekki, sardoniczny<sup>12</sup> uśmiech przebiegł po niej i dziecięcy ów, dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie i niemal przestach, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postacie jakieś, nieznane, dziwne, podejrzane. Mimo woli się cofnął krok i począł pilniej przypatrywać. W istocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu wyglądało dziwnie, podejrzanie nawet tych dwóch ludzi, siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podróżne i dwie torebki, z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozeznaczyć twarzy ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczej, niż zobaczył, skromnie, po podróżnemu przybranych dwóch młodych jak on sam ichmościów.

Wpatrzywszy się pilniej, dostrzegł twarzy nieco, które zdały mu się szlachetniejszych rysów niż wędrowniej, rzemieślniczej czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Po cichu toczyła się rozmowa, ale dosłyszeć jej nie mógł.

Lecz cóż tu, pod boki króla, ci podróżni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność nie pozwoliły mu odejść. Zamyślił się, czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcej potem instynktem niż rachubą wiedziony, przyspieszył kroku i stanął tak, że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał spiesźnie i przypatrując się przybyłemu chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chcieć może.

Brühl nie czekał tego pytania, podszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

– Co tu waszmość robicie?

– Odpoczywamy – odezwał się siedzący na ziemi. – Czy zakazany jest tu spoczynek podróżnym? – Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

– O kilkadziesiąt kroków dwór Najjaśniejszego Pana i sam król.

<sup>10</sup> S y m p t o m a t (z gr.) – objaw.

<sup>11</sup> W e n d o w i e - tu: łużyccy potomkowie dawnych Słowian połabskich, zamieszkali w okolicy Drezna, Budziszyna i Chociebuza.

<sup>12</sup> S a r d o n i c z n y (z łac.) – gorzki, szyderczy, drwiący.

– Czybyśmy mieli zawadzać? – dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.  
– Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie – odparł Brühl żywo. – Lada kto z łowczych może was tu odkryć i posądzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew ukazał się Brühlowi jako pięknej i szlachetnej postawy młodzian z długimi włosami, na ramiona spadającymi. Po jego stroju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka, jaką nosili *studiosi*<sup>13</sup>, dostatecznie go cechowała.

– Co waszmościowe tu robicie? – powtórzył Brühl.

– Wyszliśmy na wędrowkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukołysać duszę do modlitwy – począł powoli młodzieniec. – Noc zaskoczyła nas tutaj. O królu, o dworze nie wiedzielibyśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy, i sposób, w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

– Pozwolisz pan – dodał spokojnie student – iż jako zapewne władzę tu jakąś mającemu, zamelduję osobistość moją. Jestem Mikołaj Ludwik hrabia i pan na Zinzendorfie<sup>14</sup> i Pottendorfie, a w tej chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Skłonił się.

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważniej. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniły piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jak gdyby obaj nie wiedzieli, jakim do siebie mówić językiem.

– Ja jestem Henryk Brühl, paż do osoby Jego Królewskiej Mości przywiązany. Skłonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

– A! Bardzo mi was żal! – westchnął.

– Jak to żal? Dlaczego? – zapytał zdumiony paż.

– Dlatego, że dworactwo to niewola, że państwo to służba i chociaż szanuję pana naszego, milej mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichej modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdumiony, że krok odstąpił, jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

– Wiem – dodał Zinzendorf spokojnie – iż się to wydać wam musi, wam, co macie w uszach jeszcze szczebiotanie i śmiechy dworskie, dziwnym i nieprzyzwoitym może; ale ilekroć myślą pobożną uda się zakłótać do serca chrześcijanina uśpionego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

---

<sup>13</sup> *Studiosus* (łac.) – uczący się; student uniwersytetu.

<sup>14</sup> Mikołaj Ludwik Z i n z e n d o r f (1700-1760) – założyciel gminy religijnej braci morawskich, zwanych inaczej herrnhutami. Osiedlił on w swoich majątkach Herrnhut i Berthelsdorf w Łużycach Górnych ewangelików niemieckich z Moraw, którzy byli w styczności z braćmi czeskimi. Gmina ta była jedną z niemieckich sekt protestanckich. Szerzej mówi Kraszewski o niej w VII rozdziale I tomu *Brühla*, gdzie jezuita Guarini opowiada swemu zwierzchnikowi szczegółowo o zasadach i zwyczajach tego nowego wyznania i obmyśla z nim sposoby jego wystąpienia.

– To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór wieczorny: Chwała Panu na wysokościach! Strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w tej uroczystej chwili?

Oślupiały paż słuchał i nie zdawał się rozumieć.

– Widzisz pan przed sobą dziwaka – dodał Zinzendorf – lecz czyż światowych dziwaków mało spotykasz i przebaczasz im, a nie miałbyś pobrażyć z gorącego ducha płynącemu zachwyceniu?

– Prawdziwie – szepnął Brühl – ja sam jestem pobożny, lecz...

– Lecz zapewne chowacie pobożność waszą na dnie serca, lękając się, by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jej życiem i krwią moją. Bracie w Chrystusie – rzekł, jeszcze więcej zbliżając się do Brühla Zinzendorf – jeśli ci zaciężyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczej sobie nie tłumaczę wieczornej waszej przechadzki samotnej, siadź tu spocząć z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgowana bratersko, może dolecieć do tronu Tego, który dla nas, robaków, dał krew swoją. Bracie!

Brühl, jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

– Zwykłem się modlić sam – rzekł – a tam powołują mnie obowiązki, więc darujecie mi.

Wskazał ręką w stronę, od której gwar ich dochodził.

Zinzendorf stał.

– Żal mi was! – zawołał. – Gdybyśmy tu pod tym drzewem zanucili pieśń wieczorną: „Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...”<sup>15</sup>

– Naówczas – dorzucił paż – posłyszałby to w. łowczy lub który z podkomorzych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy<sup>16</sup>, bo tu jej nie ma, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na odwachu.

To mówiąc, ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

– Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować? – zapytał.

– Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Życzę się oddalić. Za Hubertsburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg niż pień bukowy.

– Którędyż iść mamy, aby nie wniść w drogę Najjaśniejszemu Panu? – zapytał Zinzendorf. Brühl wskazał drogę i już odchodził.

– Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio; lecz jeśli wam służyć mogę wyprowadzając pod moją opiekę na drogę: służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysz pobrali prędko węzełki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonąć z ekstazy, w jakiej go Brühl, niespodziewanie się zjawiając, zastał. Widać było w nim człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygłszy zupełnie, przeprosił nawet za to, że się tak dziwacznie odezwał.

– Nie dziwuj się pan – rzekł zimno. – Nazywamy się wszyscy chrześcijanami i synami Bożymi, a w istocie poganami jesteśmy mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce w słowach, gdy jej nie ma w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteśmy. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich nie ma, ale im składamy ofiary. Kilku księży sprzecza się i piwa na się o dogmata; a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionymi być nie chcą.

Westchnął. W tej chwili, gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufla, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrział.

<sup>15</sup> Jest to początek pieśni Lutra: *Ein' feste Burg ist unser Gott, Ein' gute Wehr und Waffe*.

<sup>16</sup> *Kordegarda* (z fr.) – izba żołnierska na odwachu.

– Nie sąż to bachanalia?<sup>17</sup> Tylko co nie słyszę *evoe*<sup>18</sup> – zawołał. – Idźmy prędzej, przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl, przodem idący, nie odpowiedział nic. Tak wyminęli obóz; idąc bokiem wskazał im bliski gościniec, a sam, jakby co prędzej się chciał uwolnić od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy Zinzendorfa, gdy widok osobliwy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radcę wojennego Pauli.

Radca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity obok niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, znać faworyt pański, siedząc nad nim lizał mu oblicze i skowyczał...

Stojący wkoło śmieli się do rozpuku.

Radca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korespondencji, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował, nie po raz pierwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym został od gąsiorka. Trafiło mu się często w miękkim łożu i pod ławą, i przy ścianie spoczywać po libacjach, ale tak skandalicznie jak dziś na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl, zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwiganiem go z ziemi. Drudzy opamiętawszy się dopomogli i z niemałym wysiłkiem udało się pana radcę usunąć sprzed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powłókł oczyma po bliższych twarzach i wybełkotał:

– Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości. Ty jesteś wcale dobry chłopiec: dziękuję ci, Brühl.

To mówiąc, powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

– Ot, to służba!! – i usnął.

## II

Na zamku królewskim paziowie przyboczni Augusta II mieli wyznaczone pokoje, w których oczekując rozkazów na służbie czuwali. Konie dla nich, na wypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały w pogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli najjaśniejszemu panu, a często gdy się inni, starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitymi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak że król, często go mając na oczach, przyzwyczajał się do twarzy i usługi.

– A ty tu znowu, Brühl? – zapytywał z uśmiechem.

– Na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

– Nie przykrzy ci się?

– Najszczęśliwszym jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a król jegomość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudnym ani niepodobnym nie było; w skok biegł i sprawiał, co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy<sup>19</sup> i odprawiać

<sup>17</sup> *B a c h a n a l i a* (łac.) – święto u starożytnych Greków i Rzymian na cześć bożka wina Bachusa – Dionizosa; tu w przenośni: pijatyka, rozpustna hulanka.

<sup>18</sup> *E v o e* (gr.) – radosny okrzyk podczas bachanalii.

miano odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się naówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł albo rzeka wylała, lub pocztylion zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego ściśle. Od rana radca wojenny Pauli, który królowi depesze redagował, czekał na kresy i rozkazy. Zrazu bardzo cierpliwie.

Radca, którego nieszczęśliwy wypadek w Huberstburgu widzieliśmy, przespał się potem, obmył i wstał nie czując nic więcej nad doskwierające pragnienie. Wiedział on, że matka natura podstępem go zażywała, aby do napicia się wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł był od dawna wstręt i pogardę i mawiać zwykł, że Pan Bóg stworzył ją dla gęsi, nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić pragnieniem i zalał robaka winem. Zaraz mu się lepiej i raźniej zrobiło, a wkrótce potem przeszła choroba owa i zostało po niej tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radca, że Brühl go ratował w owej dobie nieszczęśliwej i złożył na posłaniu, a zawiązała się od tego czasu przyjaźń czuła pomiędzy starym Pauli, a młodym paziem. Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się do radcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą ciężką około dzbana zmęczony, przy tym niepomrotnie otyły, co mu ruchy utrudniało; nogi nie bardzo już służyć chciały, a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc, drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca w fioletową, rysy rozlane, podbródek zawieszisty. Ręce, nogi i on wszystek wydawał się jak nabrzękły.

Wszakże gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprostował i przybrał urzędową postać, można go było wziąć za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł, a król do niego, że z jednego słowa, bo z wejrzenia Augusta, wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprostowywać jej nie potrzebował król jegomość. Dlatego Paulego lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką; dlatego radcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet zapił, zalał i w chwili ważnej nie mógł dźwignąć. Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radca nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „Zaraz! Natychmiast! Oto jestem! W ten moment!” Ale nie wstał, aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się zimną wodą, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla. Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu; upijał się przyjaciel królewski Flemming<sup>20</sup>, ba, i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą mieć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jakieśmy mówili, czekano, radca Pauli siedział w marszałkowskiej sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spiał, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy, i dumał. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć na czczo i nie przygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem<sup>21</sup> po krajach marzeń?

Obrazy pozawieszane w salce dawno mu były znane, nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało. Był to widok serca rozdierający. Radca taki poważny, zasłużony, zmuszony ziewać na czczo.

Zegar ukazywał zrazu dziesiątą, potem jedenastą, a radca siedział, poziewał i strząsał się, bo po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w tej chwili najnieszczęśliwszym z ludzi. W tej samej sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radcy.

O jedenastej wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był jak cherubin w swoim stroju paziowskim, z wielką elegancją włożonym. Twarz mu się jak zwykle śmiała dobroduszością i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nią miał

---

<sup>19</sup> K r e s y - tu: wiadomości otrzymywane pocztą wojskową.

<sup>20</sup> Jakub Henryk F l e m m i n g (1667-1728) – saski marszałek polny i minister.

<sup>21</sup> M o r f e u s z - grecki bóg snu, brat boga śmierci, Tanatosa.

kształtniejszej stopy, piękniejszej nogi, świeższych koronek przy mankietach, lepiej leżącego fraka i wytworniej ufryzowanej peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziej prawdziwy, ujmował uśmiechem, słowem i ruchem, całą postawą. Zoczywszy go, radca, nie wstając, wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

– Jakżem szczęśliwy! – zawołał.

I skłonił się z pokorą.

– Chyba ty mnie uratujesz, Brühl! Wystaw sobie, jestem na czczo! Kiedy przyjdą kresy?

Paź spojrział na zegar i ramionami ruszył.

– *Chi lo sa*<sup>22</sup> – odparł tym językiem, który obok francuskiego był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonia zwiększała w Dreźnie.

– Jedenasta! A ja na czczo! Natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać!

To mówiąc, radca ziewnął, wstrząsnął się cały: – Brr! – i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

Radco, *est modus in rebus*!<sup>23</sup> Dlaczego zasiedliście jakby na publicznej drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na korytarz wiodący do kuchen i kredensów<sup>24</sup>, tam by wysmienicie, nim co będzie, można coś kazać podać z kuchni i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały pocziwemu radcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękami musiał się zeprzeć na poręczach, łokcie podnieść do góry i stękając całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

– Zbawco mój! – zawołał. – Ratujże mnie nieszczęśliwego! Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jednym oknie. Tu – o чудо! – jakby się spodziewano Paulego, czarodziejska jakaś siła stół już wcześniej przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym jak śnieg obrusie zastawione porcelanowe, białe z sinym nakrycie, małeńka ważka, małeńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złoścącego się wina.

Radca, zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co rychlej zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do ważki i dopiero przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

– A wy?

Paź głową potrząsnął: – To dla was, kochany panie radco!

– Niech ci płacą bogowie! – zawołał w uniesieniu Pauli. – Niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewcząt drezdeńskich; niech ci Higieja<sup>25</sup> da żołądek trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspokajania go węgrzynem; niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pograżył się w nim cały. Brühl stał, jedną ręką o stolik oparty, w postawie wdzięcznej, przypatrując się radcy z uśmiechem. Pauli nalał sobie pierwszą wina szklankę. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgrzynka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłyśły, a wypiwszy i opadłszy na poręczę w błogim uspokojeniu poglądził się po piersiach tylko. Anielski uśmiech usta mu przeleciał.

– Boski napój! Cudotwórczo mój, skądżeś go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozja, nektar<sup>26</sup>!

– Niechże radca zaszczyci go swą łaską i gąsiorkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go, nie smakując, przez gardła przeleją.

<sup>22</sup> *Chi lo sa?* (wł.) – kto to wie?

<sup>23</sup> *Est modus in rebus* (łac.) – tu: na wszystko jest sposób (aforyzm Horacjusza).

<sup>24</sup> *Kredens* – tu: izba, gdzie jest szafa z przyborami stołowymi.

<sup>25</sup> *Higieja* – grecka bogini zdrowia, córka Eskulapa.

<sup>26</sup> *Ambrozja i nektar* – pokarm i napój bogów w mitologii greckiej; tu: wyborny, bardzo smaczny.

– A byłoby to istną profanacją! – zawołał radca nalewając drugi kielich, równający się dobrej szklanicy. – Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze! Brühl... będę ci wdzięczny do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupa by stąd wynieśli na Friedrichstadt<sup>27</sup>. Czułem, jak życie uchodziło ze mnie.

– Bardzo się cieszę – rzekł Brühl – że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę przysłużyć się panu radcy, ale proszę pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką począł w powietrzu jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

– O, co za wino, co za wino! To jest tego rodzaju napój, że każdy następny kieliszek coraz lepiej smakuje. Jest ono jak dobry przyjaciel, którego im bliżej poznajemy, im w ściślejszy z nim wchodzimy związek, tym się więcej przywiązujemy do niego. Ale Brühl, kochany Brühl. jeśli nadejdą depesze, jeśli Najjaśniejszy Pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncytować list do Berlina lub do Warszawy albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

– Panie radco, taki jeden gąsiorek dla pana? Cóż to jest? To tylko ekshilaracja<sup>28</sup> niewinna, to *stimulans*<sup>29</sup>, to... nic.

– Masz słuszość, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały – zaśmiał się radca. – Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć, w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, na przykład austriackie wino z francuskim: zaczynają iść na udry w żołądku i głowie, a człowiek pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, nie ma niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc radca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz tokajem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzył, a gdy kielich się wypróżniał, wziął na się podczaszostwo i dolewał pilno.

Na ostatek z talerzy było jak zmieciono, chleb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał, patrząc, i mruczał:

– A depesze?

– Lecz czyż pan się może lękać?

– Masz słuszość; gdybym się lękał, byłbym tchórzem, a nie ma nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj: za twoje zdrowie! Dojdiesz wysoko! W głowie mi się jaśniej robi! Zdaje się, że słońce wyszło zza chmur, bo teraz mi dopiero weselszym się wszystko wydaje. Czuję się w werwie do stylizowania i utnę coś porządnego. E, gdyby mi dziś co solonego król pisać dał!! E, e, to bym dopiero przyprawił!

Brühl ciągle nalewał. Radca patrzył na gąsiorek, który u dołu był szerszy i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

– Nie mam się czego lękać – przemówił Pauli jakby dla uspokojenia samego siebie. – Nie wiem, czy wy to pamiętacie: Raz, pomnę, dzień był upalny. Najjaśniejszy Pan posłał mnie do tej nieszczęśliwej bogini, która się zwała Cosel<sup>30</sup>; tam mnie utraktowano zdradzieckim sektem<sup>31</sup> szumiącym. Smaczny był, jak oto ten tokaj, ale pełen zdrady. Wyszedszy w ulicę, poczułem wirowanie dokoła. O, źle, a trzeba było iść pisać depesze! Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się, że lecę, że mam skrzydła; posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przede mną: król powiedział słów kilka i depesza

<sup>27</sup> Friedrichstadt - dzielnica Drezna.

<sup>28</sup> Ekshilaracja (z łac.) – rozweselenie.

<sup>29</sup> Stimulans (łac.) – podnieta.

<sup>30</sup> Anna Konstancja z domu Brockdorf (1680-1763), żona ministra saksońskiego Hoyma, została kochanką Augusta II, który nadał jej tytuł hrabiny Cosel. Po utracie łaski królewskiej została uwięziona w twierdzy Stolpen, skąd zwolnił ją August III po śmierci ojca. Kraszewski opisał zmienne losy jej życia w powieści pt.: *Hrabina Cosel*.

<sup>31</sup> Sekt (niem.) – wytrawne, musujące wino, rodzaj szampana niemieckiego.

urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem, com pisał. Dosyć, że było dobrze i król, śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu dał mi pierścień z szafirem.

Z gąsiorka lało się, a lało do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radca gładził się po piersiach i uśmiechał.

– Psia służba – odezwał się cicho – ale wino, jakiego by człowiek nie powąchał gdzie indziej.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

– Tyranie! – krzyknął radca. – Co czynisz! Natura wydzieliła te części nie dlatego, aby je wylano, lecz by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir<sup>32</sup>, sama treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brühl spod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

– Co to jest? – krzyknął. – Co ja widzę?

– Nic, nic – rzekł paż po cichu. – Jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzję<sup>33</sup> jego i kwintesencję<sup>34</sup>. Niestety – mówił paż wesoło – starając się o dzieło kompletne dla pana radcy, który lubisz literaturę...

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

– Któż by takiej literatury nie lubił! – westchnął.

– Starając się o dzieło kompletne – kończył chłopak – nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi – rzekł, podnosząc z wolna flaszkę omszoną – jest starszej, pierwotnej edycji: *editio princeps*<sup>35</sup>.

– Ach! – podsuwając kielich, zawołał Pauli. – Tego gotyku szacownego nalej mi jedną stronicę: nadużywać szanownej starożytności nie trzeba.

– Ale co po nim, gdy zwietrzeje i duch wieków z niego uleci!

– Prawda! Stokroć prawda! Ale depesze, depesze! – zawołał Pauli ruszając ramionami.

– Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

– A! Gdyby się tam mosty połamały! – westchnął Pauli. Nalano kieliszek, Pauli pił.

– To wino tylko sam król pije, gdy się czuje niezdrów – szepnął Brühl.

– *Panaceum universale*!<sup>36</sup> Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

– O, o! – przerwał młodzieniec.

– Dla waści – mówił radca – to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! Wino to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego. Gdyby nie te depesze!

– A cóż? Depesze! Czyż jeszcze...

– Prawda! Kat je bierz!

Radca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następujące libacje widocznie go rozmarzać poczyniły. Ocieżał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

– Teraz maleńka drzemka i...

– Ale butelkę dokończyć potrzeba! – nalegał paż.

– Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda? – rzekł radca. – Co rzeczą sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął zza okna fajkę i worek z tytoniem.

– Radco, a fajka?

<sup>32</sup> E l i k s i r (z arab.) – tu: płyn o cudownych własnościach.

<sup>33</sup> K o n k l u z j a (z łac.) – wniosek; tu: zakończenie opowiadania.

<sup>34</sup> K w i n t e s e n c j a (z łac.) – główna treść rzeczy.

<sup>35</sup> *E d i t i o p r i n c e p s* (łac.) – lekarstwo na wszelkie choroby.

<sup>36</sup> *P a n a c e u m u n i v e r s a l e* (łac.) – lekarstwo na wszelkie choroby.



– Aniele mój! – zawołał Pauli, otwierając oczy. – I o tym pamiętałeś! Ale nuż mnie to ziele upoi gorzej jeszcze? Co mówisz?

– Otrzeźwi! – przerwał paż, podając fajkę...

– Jak się tu oprzeć pokusie! Daj! Daj! Co się ma stać, niech się stanie. Może poczytliion kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichnął...

Poczęli się śmiać.

Radca chciwie dym ciągnął.

– Diable mocne *tabacco*.

– Królewskie – rzekł paż.

– Ale bo i król mocniejszy ode mnie, hę?

Widocznie tytoniem upojony, już mruczał tylko stary; pociągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na ziemię, głowę na piersi spuścił i począł, w lewo ją pochyliwszy, chrapać okrutnie. Przez półotwarte usta dobywał się dźwięk dziwny i niemły.

Brühl popatrzał, uśmiechnął się, cicho na palcach podszedł ku drzwiom i wysunął w korytarz; tu chwilę postawszy, pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskim także ubraniu, z pańską miną, zatrzymał go wchodzącego.

Był to Antoni hrabia Moszyński. Twarzyczka jego biała, włosy czarne, rysy nie piękne, ale wyraziste, oczy błyszczące ogniem wielkim, a nade wszystko postawa arystokratyczna i wymuszone nieco maniery odznaczały go między innymi paziami do osoby króla przywiązanymi. Razem z Sułkowskim był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augusta II, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i bystre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

– Brühl – zapytał – gdzieś ty był? Paż się nieco zawahał z odpowiedzią.

– W marszałkowskiej sali.

– Na ciebie służba przypada.

– Wiem, ale się nie opóźnił. Spojrzał na zegar stojący w kącie.

– Już myślałem – dodał, śmiejąc się i z nogi na nogę przechylając, Moszyński – że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natychmiast się wyjaśniła.

– Panie hrabio – rzekł łagodnie – wam, faworytom pana, wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie, wysługującemu się i biednemu, byłoby to niedarowanym.

Skłonił się bardzo nisko.

– Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

– Chcesz powiedzieć, że cię nikt zastąpić nie jest w stanie – podchwycił Moszyński.

– O, panie hrabio, godzisz się tak ze mnie biednego prostaczka żartować? Ja się tego uczę, w czym panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

Z wami – rzekł – wojować na słówka niebezpiecznie, wolałbym na szpady.

Brühl skromną przybrał postawę.

– W niczym sobie żadnej nie przyznaję wyższości – dodał cicho.

– No, szczęśliwej służby! – zawołał Moszyński. – Ot, wasza godzina: do widzenia.

To mówiąc, wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Z wolna skierował się ku oknu. Stanął w nim i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórca, wyłożone kamiennymi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie. Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynerowie i służba, niezliczona czeladź pańska zwijała się z pośpiechem; kilka lektyk stało u wschodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; dalej powozy galowe i konie wierzchowe,

niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w pasach, kozacy – wszystko to, cicho dosyć sprawując się, mieszało w jedną pstrą i malowniczą całość.

Szambelan wyszedł od króla.

– Nie ma kresów? – spytał Brühl.

– Dotąd nie przyszły.

– Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z nimi. Radca Pauli?

– Jest w sali marszałkowskiej.

– Dobrze, niech czeka.

Brühl się z lekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina, bliska obiadu, rozpędzała ludzi.

Brühl, wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w podwórcę na zziąjanym koniu pocztyliona z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W tejże chwili ruszył biegiem po schodach i nim służba zdążyła odebrać opieczętowane piki, już on je pochwycił. Srebrny blat<sup>37</sup> stał przygotowany w antykamerze<sup>38</sup>, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy paza, blat i papiery wyciągnął rękę, żywo rozerwał pieczęcie. On i Hoym zbliżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy. Brühl stał czekając.

– A! – zawołał August. – Żywo niech Pauli przychodzi! Brühl nie ruszał się.

– Idź po radcę Pauli! – powtórzył król niecierpliwie. Paź skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

– Pauli! – zawołał August, widząc go wchodzącego.

– Najjaśniejszy Panie! – wyjąknął Brühl. – Radca Pauli.... radca Pauli...

– Jest tu?

– Jest, Najjaśniejszy Panie.

– Czemuż nie przychodzi?

– Radca Pauli – spuszczać oczy, dodał paź – jest nieco niedysponowany.

– Gdyby był konającym, to mi go tu przyprowadź! – krzyknął król. – Niech obowiązek spełnia, potem skona, kiedy chce!

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

– Pauli! – zawołał król, tupiąc nogą.

– Radca Pauli jest w tym stanie...

– Pijany? – podchwycił August. – A, stary wieprz obrzydły! Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia! Zlećcie go wodą! Zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potem niech bydlę zdycha!

Mówiąc, król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Spróbował budzić radcę, ale ten stał się nieruchomą kłodą: żaden lekarz oprócz czasu nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał, myśląc, do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą, wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi, nie potrafił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papierami w ręku czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

---

<sup>37</sup> B l a t (z niem.) – taca.

<sup>38</sup> A n t y k a m e r a (z łac.) – przedpokój.

– Pauli?  
– Niepodobieństwo go ocucić.  
– Bodaj go paraliż naruszył! Depesze! Kto mi depesze... słyszysz!  
– Najjaśniejszy Panie – schylając się wpół z rękami złożonymi na piersiach, odezwał się Brühl. – Najjaśniejszy Panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaskawość królewska przebaczyć: wiem, że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla Waszej Królewskiej Mości... Jedno słowo, Najjaśniejszy Panie, wskazówka... ja spróbuję ułożyć depeszę.  
– Ty, młokosie?  
Brühl się zaczerwienił:  
– Najjaśniejszy Panie, ukarzesz mnie.  
August popatrzał nań długo.  
– Chodź – rzekł, idąc ku oknu – oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmowną; lecz niech za odmową czuć będzie, że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć, a nie odsłoń jej wyraźnie. Rozumiesz?  
Brühl skłonił się i chciał z listem wybiec.  
Srebrny stół stał przed kanapką.  
– Gdzie? dokąd?! – zawołał król. – Tu wskazał ręką – tu siadaj i pisz zaraz!  
Paź jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeжку jedwabną materią w kwiaty wybitej kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biec po nim z szybkością, która króla zastanowiła.  
August II jak na ciekawe widowisko spoglądał z uwagą na ładnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę, jakby bilet do kochanki.  
Myliłby się, kto by sądził, że spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paź zapomniiał o swej postawie. Siadł niby od niechcenia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabne nóżki, nadał rękom wdzięczne zgięcie, głowę pochylił umiejętnie. Zimna rozwaga towarzyszyła mu w tej sprawie, na pozór z gorączkowym dokonywanej pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo, pisał jakby pod dyktowaniem gotowej myśli, nie przekreślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się, gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegi ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.  
Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym, król się nieco przysunął.  
– Czytaj! – rzekł.  
Brühl odkaslnął, głos mu się trząsł nieco i był cichy. Któż odgadnie, czy ten dowód trwogi nie był także rachubą? Król, ośmielając go, dodał łagodnie:  
– Z wolna, wyraźnie, głośno.  
Począł więc czytać depeszę młody paź, a głos, zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem i jakby niedowierzanie.  
Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczu.  
– Jeszcze raz, od początku – odezwał się król.  
Tym razem Brühl głośniejsze jeszcze, śmieiej czytał i dobitniej.  
Królewska twarz rozjaśniła się: uderzył w dłonie.  
– Przewybornie! – zawołał. – Pauli by nie potrafił lepiej ani tak nawet. Pisz na czysto!  
Brühl z niskim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż od razu mógł być użytym. August go po ramieniu uderzył.  
– Jesteś od dziś dnia moim sekretarzem do depeszy. Pauli żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy! Niech go kaci porwą, niech się zapije i zdechnie!  
Zadzwonił król: wszedł służbowy szambelan.

– Hrabio – rzekł, zwracając się do niego – niech Paulego zawiozą do domu! Oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie pokazywać na oczy! Sekretarzem do depeszy od dziś dnia Brühl. Uwolnić go od służby paziowskiej, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan z dala uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

– Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu – mówił August. – Znam Paulego, będzie do jutra leżał jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

– Kopię spisać – dodał.

– Z pamięci ją do słowa napiszę – rzekł Brühl cicho.

– Otóż to mi sekretarz! – zawołał August. – Proszę mu trzysta talarów kazać wyliczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania król podał rękę do pocałowania. Był to znak łaski niemały.

W chwilę potem nagotowany już kurier, zabrawszy opieczętowany list, biegł, trąbiąc, przez most galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez szambelana Friesena rozpowiadana historia depeszy i niespodzianej łaski, jaka spotkała chłopaka, po którym nikt by się był nie spodziewał tak nadzwyczajnej zdolności, powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegły za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską najmniejszej dumy, okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydził, tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

– Co słyszysz?! – zawołał. – Brühl amanuensem<sup>39</sup> Najjaśniejszego Pana?! Kiedyż?! Co?! Jak?!

– A! Dajcie mi ochłonąć ze zdziwienia i przestachu – cicho odezwał się Brühl. – Jak się to stało, nie wiem. Opatrzność czuwała nade mną, *un pauvre cadet de famille*<sup>40</sup>. Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzył nań Moszyński.

– Jeśli tak pójdziesz dalej, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łasce się twej trzeba polecić.

– Hrabio, bądźże litościwym i nie szydź sobie z biedaka! To mówiąc, Brühl, jakby znużony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzywszy w dłoniach, na najbliższym krześle.

– Ktoś by rzekł, patrząc nań – odezwał się Moszyński – że go największe nieszczęście spotkało.

Brühl, zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań, i nowo wchodzącym opowiadali historię szczęśliwego młodzieńca. Wieczorem obiegła po mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie.

– Widzisz, Brühl – szepnął Sułkowski, Doglądając nań z góry – Ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana umiało cię wyróżnić.

Zaczął bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela, rzekł:

– Ja tobie biję brawo!

Z pokorą wielką paż się uklonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swoim. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego

<sup>39</sup> A m a n u e n s (z łac.) – pisarz podręczny, sekretarz.

<sup>40</sup> *Un pauvre cadet de famille* (franc.) – biedny młodszy syn w rodzinie.

szukali, i tam go nie znaleźli; pokój był zamknięty, służący zapewniał ich, że od dawna wyszedł na miasto.

W istocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niej na wiodącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka Cezarów Józefina.

Kto by go tu był spotkał popod murami przesuwającego się ostrożnie, posądziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś uróżowanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety, popsute przez Augusta II, tak były zalotne. Widocznym było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyśpieszał pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającej doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzód na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Po cichu wbiegł po znajomych znać wschodach i stanąwszy u drzwi zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszeć kroki powolne, drzwi uchylono i pokazała się w nich głowa starego człowieka z nisko postrzyżonym włosiem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświecony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary na zapytanie niezrozumiale coś szepnął, ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i na palcach idąc zbliżył się ku drzwiom, do których z lekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko: – *Favorisca!*<sup>41</sup>

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paż oświecony był dwoma pod umbrellką na stoliku palącymi się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

Szafka z książkami na pół otwarta, kilka stolików zarzuconych papierami; między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela; na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu, oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą, żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnymi. Poznać w nich było łatwo Włocha po typie i kroju rysów. W ustach wąskich, bladych kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz w ogóle żartobliwą raczej wyglądała niż zagadkową. Było w niej coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną jedwabną czapeczkę; na sobie suknię ciemną i długą, która duchownego zdawała się oznaczać, na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkimi klamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

– A! To ty, moje dziecko! Jakże się cieszę! Niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i schyliwszy się, w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a bliskie krzesło wskazał Brühlowi, który trzymając w ręku kapelusz raczej się przysiadł, niż usiadł.

– *Ecco, ecco!*<sup>42</sup> – szepnął siedzący na kanapie. – Myślisz, że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! Wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

– Jemu też ja składałam tylko dzięki! – odezwał się Brühl cicho.

– I pozostań wiernym wierze, ku której serce się twoje łaską oświecone skłoniło, a zobaczysz...

<sup>41</sup> *Favorisca!* (wł.) – proszę uprzejmie!

<sup>42</sup> *Ecco, ecco!* (wł.) – oto, oto!

Podniósł rękę w górę. – Pójdiesz wysoko, wysoko! Niewidzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię, ja. Jam ubożuchny i maleńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyrna błyszczącymi zmierzył siedzącego skromnie pazia i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązku, dodał wesoło:

– Byłeś na operze? Jak śpiewała *Celesta*?<sup>43</sup>. Patrzył na nią król? Był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

*Padre* Guarini – tak się zwał ten, którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowej, duchowny ojciec młodego dworu – zdawał się co najmniej tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapelę, o gości, a wreszcie, czy za kulisy paż nie chodził.

– Ja?! – z pewnym zdziwieniem zawołał Brühl.

– Nic złego! Nic złego nie myślę: dla muzyki, dla sztuki, dlatego żeby zobaczyć, jak te anioły wydają się, gdy prostymi ludźmi być muszą. *Celesta* śpiewa jak anioł, ale brzydka jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Nie ma obawy, aby się w niej król zakochał.

I śmiać się począł *padre* Guarini.

– A któż nad królem króluje? – zapytał. I nie czekając odpowiedzi, sam rzekł: – Pono, jak w Polsce, elekcja dopiero ma nastąpić.

Śmiał się znowu stary.

– Powiedźże mi choć co nowego oprócz tego, żeś sekretarzem został.

– Chyba, że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

– Tak, tak, to ci radzę: bądź dobrym, choć potajemnym, katolikiem. Po naszym teraźniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiej gorliwości. Dobrze, iż takim choć jest, jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa nie da mu zniżyć z drogi prawej. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począć powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci, gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano, va sano... chi va sano, va lontano!*<sup>44</sup>. Powtórzywszy kilka razy: *lontano! lontano!* westchnął.

– Na pamiątkę tego dnia – dodał – chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj!

*Padre* Guarini wysunął szufladę i rękę w nią zanurzywszy, dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżykiem.

– Ojciec święty sam własną ręką go pobłogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go co dzień odprawiać potrzeba.

Brühl, niewyraźnie coś powiedziawszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paż tylko, potwierdzająco schyliwszy głowę, kilka razy znowu rękę chudą ucałował i wysunął się po cichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunawszy talara, osłoniony znowu płaszczem, spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi, wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niej nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiero zatrzymał się, zdając namyślać. Podbiegł i stanął, i zawrócił się, i znowu szedł, i wrócił raz jeszcze, jakby nie wiedząc, co pocnie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki, schował spiesźnie do bocznej kieszeni, a sam podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła Św. Zofii.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy, do której dążył, stały otworem. Na poręczy wschodów maleńka lampka, przytwierdzona na słupku, zaledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszernej sieni o gotyckich łukach cicho było i pusto. Na niskie pierwsze piętro wszedłszy, Brühl zadzwonił.

<sup>43</sup> *Celesta* (wł.) – niebiańska. *Padre* (wł.) – ojciec.

<sup>44</sup> *Chi va piano, va sano... chi va sano, va lontano* (wł.) – kto idzie powoli, idzie zdrowo... kto idzie zdrowo, idzie daleko.

Służąca wyszła mu otworzyć.

– Jest ksiądz pastor w domu? – zapytał.

– Jest i ma gości, z którymi się rozmową zabawia.

– Goście? – wahając się, podchwycił Brühl, jakby go to od wnijscia zniechęciło. – Któż taki?

– Młodzież z Lipska, łakoma słowa bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi pobliskich.

– Nie chcę być natrętnym – rzekł paż kłaniając się.

– Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś – odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz. – Na to ja teraz narażony nie jestem, by mi się do drzwi ludzie cisnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego po kryjomu, jako pierwszy chrześcijanie do katakumb. Chwała tym, co mają odwagę próg nasz przestąpić.

To mówiąc, wprowadził Brühla do obszernej izby, skromnie przybranej, aie z kwiatami na oknach. Szpincik<sup>45</sup> otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł, gdzie i kiedy go widział. Pięknej postawy młodzian patrzył też z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

– Jeśli się nie mylę – rzekł – drugi to raz spotykamy się w życiu. Winienem panu, że na drogę wyprowadzony nie popadł w ręce królewskich pacholków jak włóczęga.

– Hrabia Zinzendorf...

– Brat w Chrystusie – odparł młodzieniec. – A chociażbyście byli katolikiem, arianinem<sup>46</sup>, wiklefi<sup>47</sup> czy kimkolwiek bądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

– Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna odlecieć powinny, choć na jednej wyrosły lodydze...

Brühl milczał.

– Cóż na dworze słyhać? – spytał gospodarz. – Myślę, że nic innego jak z rana litanią, a wieczorem operę; ale zmilczę. Siądźcie, mój gościu.

Posiadali wszyscy. Brühlowi widocznie przytomność obcych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnące, lecz te okna, którymi zajrzeć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla, zamykały się przed nim: zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenikliwości.

– Prawdaż to, że kościół katolicki budować myślą? – zapytał gospodarz.

– Nie słyszałem o tym, tylko jak o projekcie dalekim – odpowiedział Brühl – A wątpię bardzo, ażeby król, pan nasz, który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomyśleć.

– Zgroza by była! – wyjąkał pastor.

– Dlaczego, czcigodny panie? – przerwał mu Zinzendorf. – Zarzucamy im nietolerancję, a mielibyśmy się nią sami posługiwać? Niech się mnoży we wszelkich językach i na wszelki sposób chwała Zbawiciela, czy ją katolicy śpiewać będą, czy my.

Brühl żywo skłonił głowę potakując, ale w chwili gdy to czynił, spotkał surowe wejrzenie pastora i ruch ten, jakby nagle powściągniony, dwuznaczny, się zmienił uśmiechem: rumieniec wystąpił mu na twarz.

– Hrabio – odezwał się pastor, obracając się ku niemu – to są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale w życiu niemożliwe. Na dwu ramionach płaszcz nosić nie

<sup>45</sup> *Szpincik, szpinet* - dawny instrument klawiszowy, podobny do fortepianu.

<sup>46</sup> *Arianin* - członek sekty religijnej arian.

<sup>47</sup> *Wiklefi* - wyznawca zasad Jana Wiclifa, angielskiego reformatora religijnego.

można ani dwóm bogom służyć, ani dwu wiar kochać, boby się żadnej nie miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżej położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy, do kogo pił. Brühl udał, że nie słyszy, żałował nawet może, iż wszedł w towarzystwo tak drażliwymi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie, Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

– Czcigodny panie – zawołał – a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z innowiercami? Chrystus nie stronił od faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

– Młody jesteś i marzysz – westchnął pastor. – Hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezji twych przejść do czynu...

– A! Za tym gonię, tego pragnę – odezwał się młody entuzjasta, podnosząc ręce do góry. – Gdybym siebie tylko miłował, poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślaniu; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dlatego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie pożreć miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z innym usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany, choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwycił słowa.

– Myślę, że ta gorącość wasza, miły panie – odezwał się nieco żartobliwie pastor – ostygnie na dworze.

– Na dworze? – zapytał Brühl cicho. – Na dworze, hrabio, będziemy mieli szczęście posiadać go!

– A! Nie, nie, nigdy w świecie! – odstępując krok, zawołał Zinzendorf. – Ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam zapędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszą strupieszalą. Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takimi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych, w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozplomienić; na dworze byłbym wyśmianym; tam spełnię, do czego powołanym się czuję.

– Rodzina jednak wasza, panie hrabio – dodał pastor.

– Ojciec mój w niebiesiech – dokończył prędko Zinzendorf – temum winien posłuszeństwo.

Brühl po krótkiej chwili przekonał się, że tu nie miał co czynić dłużej. Zinzendorf ze swą mową dziwną napelniał go strachem; odwiódł na stronę pastora ku oknu i szybko rozmowę z nim cichą poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie, śpiesząc z powrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko z daleka z prawdziwie dworską grzecznością i zniknął. Czy u ojca jezuitę, czy u pastora był szerszym przyjacielem i gościem, o tym wyrokować nie umiemy i to pewna, że obu odwiedzał gorliwie i o łaskę ich się starał, nadskakując więcej Guariniemu niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec jezuita jego, ani on Włocha nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac królewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzystów straż trzymało. Po chwili młody paż wsunął się w podwórze i na prawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświecone okna pozwalały spróbować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka ochmistrzyni dworu królewiczowej, hrabina Kolowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowej Józefie, a łaskawym spoglądająca okiem na młodego paza, który jej wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Miał on tu dozwolone wniknięcie o wszelkiej dnia godzinie, a korzystał z niego rozumnie, tak aby ludzie ani go widzieli zbyt, ani nadto się mogli stosunków domyślać.

W przedpokoju w wielkiej liberii dworu stał w peruce kamerdyner wielkiej ochmistrzyni, który kłaniając się i nie mówiąc nic, drzwi mu otworzył. Brühl wszedł na palcach. Salon był



prawie ciemny, kilka świec woskowych z długimi knotami paliły się same sobie na stoliku i w mdłym świetle ich wiszące na ścianach poczerniałe obrazy dziwaczną mieszaniną światła i cieni jak widma jakie majaczały. Cicho było i w dalszych pokojach.

W prawo tylko przez półotwarte podwoje struga żywszego światła przelewała się do sali i stamtąd dał się słyszeć jakby szmer życia; gdy na posadzce skrzypienie trzewików Brühla słyszeć się dało, zza drzwi pokazała się nisko główka dziecięca.

Brühl zbliżał się ostrożnie.

– A! To wy, panie Henryku! – ozwał się głosik dziecięcy i świeży. – A! To wy! Czekaj pan!

Znikła główka, ale wkrótce potem podwoje otwarły się szeroko i weszła dziewczynka ośmioletnia. Możnaż ją było tak nazwać albo raczej ośmioletnią hrabiną czy lalką? W atłasowej sukience z koronkami, w jedwabnych *a jour*<sup>48</sup> pończoszkach, w trzewiczkach na korkach wysokich, z główką ufryzowaną i wypudrowaną wystąpiła zachwycająca panienka, już nie dziecko, niestety, już dama, i uśmieszkiem witając Brühla, dygnęła mu tak, jak na dworze było we zwyczaju i jak ją *maitre des ballets*<sup>49</sup>, sam p. Favier, wyuczył: tak jak dygała rozpoczynając menueta przed królem Augustem. A minkę miała tak śmiesznie poważną, tak niewysłowienie surową, jak owe figurynki porcelanowe aniołków we frakach, które w Meissen wyrabiano.

Dygnęła Brühlowi, Brühl oddał jej ukłon jakby staruszce. Wielkimi czarnymi oczyma spojrzała nań dziecina, jakby szukając należnej czci i hołdu za swój cudowny ukłonik; ale w tej chwili powaga jej nie wystarczyła i parsknęła śmiechem. Komedialność była skończona.

– A! To wy, panie Henryku?

– A jej ekscelencja?

– Mamina ekscelencja na pacierzach u królewiczowej. Padre Guarini czyta litanią i rozmyślanie... a ja, ja się nudzę! Tylko piesek Filidorek, pani Braun została i ja, sierotka. Słuchaj, Brühl, ty mógłbyś się pójść ze mną we dwór zabawić: ja będę grała królową, a ty wielkiego ochmistrza, a Filidorek kogo?

– Panno Franciszko, bawiłbym się z wami, w co byście kazali, ale ja do króla muszę, nie bawić się, ale służyć.

– Toś niegrzeczny dla dam – odpowiedziała hrabianka z miną starej jejmości, która ją niezrównanie uczyniła śmieszną. – Ja waćpana kochać nie będę i jeśli się kiedy we mnie zakochasz...

– A! Pewnie! I to bardzo prędko! – zawołał Brühl śmiejąc się.

Zobaczysz wówczas, jakie będę robiła miny i jaka będę okrutna – dodała Frania.

To mówiąc, zwróciła się do niego prawie plecami, chwyciła z krzesła leżący na nim wachlarzyk. Główkę pochyliła w tył, usta podniosła do góry i spojrzała na Brühla z niewysłowioną pogardą. W oczach ośmioletniej dziewczynki odbijał się już, niestety, cały dwór, cały świat, całe zepsucie i lekkomyślność wieku!

Brühl stał zachwycony, a scena ta byłaby może trwała długo, gdyby szelest atłasowej sukni nie dał się słyszeć i śmiech.

– Francesca! Brühl, córkę mi bałamucisz...

Osoba, która to wymówiła, była słusznego wzrostu, majestatycznej postawy, piękna jeszcze bardzo, a nade wszystko arystokratycznie i pańsko wyglądająca. Była to matka Frani, hrabina Kolowrath-Krakowska, wielka ochmistrzyni dworu królewiczowej. Zobaczywszy matkę, nie zmieszana Frania odnowiła ceremonialne dygnięcie według p. Favier i dopiero przybiegła do jej ręki. Brühl, na pół zgięty naprzód, odprostowawszy się, patrzył z zachwytem w czarne oczy hrabiny.

<sup>48</sup> *A jour* (fr.) – przezroczysty, (ażurowy).

<sup>49</sup> *Maitre des ballets* (fr.) – baletmistrz.

Pierwsza, może nawet druga jej młodość już była odbiegła, ale obie zostawiły po sobie rysy nietknięte, jakby wyrzeźbione z białego alabastru, które pożyczany, żywy krasał rumieniec. Białosc tę płu podnosił kruczy włos, tego dnia bez pudru, ale ze staraniem związany. Postać zdawała się, mimo pełnych form kształtu, zarazem i silną. Zmrużonymi nieco oczyma popatrzała na pazia.

– Franiu! – rzekła. – Idź do pani Braun, ja mam coś do mówienia z panem Henrykiem.

Figlarnie spojrzęło dziewczę na matkę, pokiwało główką i znikło. Wielka ochmistrzyni, poruszając żywo wachlarzem, zaczęła chodzić po sali i pochyliwszy się ku Brühlowi, rozmawiać z nim poufale.

Brühl, z rękami w tył założonymi, szedł za nią raczej niż obok niej, okazując wielkie uszanowanie, chociaż parę razy przybliżył się aż nadto może blisko. Tej rozmowy tajemnej nawet obrazy, wiszące na ścianach, słyszeć nie mogły. W pół godziny po niej paż siedział w przedpokoju króla na krześle i drzemać się zdawał.

### III

Dziesięć lat upłynęło od tego prologu życia Brühla, od tych scen pierwszych długiego dramatu. Brühl był zawsze jeszcze tym świetnym, miłym, grzecznym, czarującym młodzieńcem, którego urokowi nawet nieprzyjaciele jego oprzeć się nie mogli; ale Brühl już daleko zaszedł od pazia, sekretarza do depeszy jego królewskiej mości.

Na wspaniałym zawsze dworze tego Ludwika XIV Północy, którego pochlebcy często równali z królem Słońcem, tamtemu Apollina cześć, temu Herkulesowę oddając, zmieniali się postaci, ludzie, ulubieńcy, faworyty. W kilka lat po owym pogrzebaniu radcy Paulego, którego miejsce tak szczęśliwie zająć się udało Brühlowi, ulubieniec króla Augusta został jego kamerjunkerem<sup>50</sup>.

Po śmierci starego Flemminga<sup>51</sup> odziedziczył tajną kancelarię jego królewskiej mości. Pokorny i niezrównanie greczny a ustępujący wszystkim Brühl jakimś cudownym sposobem, szeptało sobie na dworze, potrafił obalić dwóch ministrów, nieprzyjaznych sobie: Fleury'ego i Manteuffla, ale gdy mu to przyznawano, rumienił się, zaklinał i wypierał.

Wkrótce potem dostało mu się szambelaństwo i klucz do fraka, bo klucz serca, pokojów i szkatułki jego królewskiej mości miał już dawniej; na ostatku rychło jakoś wielkie podkomorstwo go spotkało i stworzony dla niego urząd i dostojęństwo nowe, *Grand Maitre de la garderobe*<sup>52</sup>.

Do garderoby tej należały galerie, zbiory sztuki i różne wydziały domowego zarządu Augusta II, który bez tego niezrównanego Brühla obejść się nie mógł. Nie mogło się beżeń też obejść wiele innych osób... a on, jakby też wszystkich potrzebował, jakby się obawiał każdego, kłaniał się, uśmiechał, czcił i wielbił zawsze, nawet odźwiernych u bramy zamkowej.

Król August Mocny od owych czasów, gdy tak dzielnie dokazywał z kielichem, koniem i szablą, znacznie się postarzał. Herkulesowę, wspaniałą zawsze miał postać, lecz już nie jego siłę: nie bawił się łamaniem podków ani ścinaniem łbów koni. Strojny, uśmiechnięty, chodził o lasce, a gdy dworując przy damach dłużej nieco stać musiał, szukał oczyma taboretu i przypominało mu się w nodze to miejsce, od którego, ocalając życie Panu, Weiss, lejbchirurg króla, odciął palec Herkulesowi, stawiając w zakład głowę za palec. Głowa ocalała, palec nie było, a stać długo na tej nodze król nie mógł. Złotych to czasów było wspomnienie, owego

<sup>50</sup> K a m e r j u n k e r (z niem.) – młodszy szambelan królewski.

<sup>51</sup> Czyli w roku 1728.

<sup>52</sup> *Grand Maitre de la garderobe* (fr.) – przełożony garderoby królewskiej.

turnieju, gdy zdobył serce księżnej Lubomirskiej. Miłości królewskie wszystkie, jedna po drugiej, złotymi skrzydełkami rozleciały się po świecie. Nawet ostatnia... Orzelska, teraz księżna Holstein-Beck, była już poważną matką rodziny... i właśnie w tym roku (1732) w karnawale dała życie przyszłej głowie rodziny książęcej.

Król by się nudził śmiertelnie, gdyby z Włoch sprowadzona dla odśpiewania głównej roli w operze *Cleofida o Alessandro nelle Indie*<sup>53</sup>, przepiękna Faustyna Bordoni ze słowiczym głosem nie rozpraszała czarnych jego myśli. Wydano Włoszkę za słynnego mistrza Hasse, ale żeby się mógł w sztuce kształcić, a żonie dystrakcji<sup>54</sup> nie czynił, wyprawiono go do Włoch aż do... dalszych rozkazów. Hasse tworzył z tęsknoty arcydzieła.

W tym roku także karnawał obiecywał się być świetnym. Brakło cokolwiek pieniędzy, czego król Jegomość cierpieć nie mógł; ten Brühl, który wszystko tak dzielnie sprawić umiał, uznany został jako jedyny człowiek mogący najjaśniejszemu panu spokojność zapewnić. W karnawale więc, i to w tłusty poniedziałek, król zaszczyconemu już mnóstwem urzędów dworskich, skromnemu Brühlowi oddał uroczyste dyrektorstwo główne akcyzy<sup>55</sup> i podatków.

Na próżno skromny a obarczony ciężkimi nader obowiązkami młodzieniec wypraszał się od zaszczytu tego, uznawał go niegodnym; król August II nie znosił przeciwności, nie lubił wymówek i zmusił go do stania na straży u kasy. Brühl odtąd miał pilnować, aby Paktol<sup>56</sup> płynął złotem bez przerwy, choćby pot i łyż razem z nim sączyć się miały.

Nie był to już ów paż cichy, lecz mąż, z którym najsilniejsi rachować się musieli. Król nie dawał nań słowa powiedzieć, marszczył się groźnie. W nim jednym znajdował to, czego dawniej w dziesięciu szukać musiał. Brühl znał się na obrazach, lubił muzykę, rozumiał, jak się grosz wyciąga stamtąd, gdzie go nie ma, jak się może być głuchym, gdy trzeba, ślepym, gdy z tym lepiej, posłusznym zawsze.

Brühl miał już naówczas z łaski pańskiej kamieniczkę niedaleko od zamku i zrobił z niej pieścidelko.

Właśnie przed wieczorem ostatniego wtorku, który świetnie miał być obchodzony na zamku, nowy dyrektor akcyzy, bo wczoraj dopiero mianowany, we własnym domu (pałacu tego jeszcze nazwać nie było można) spoczywał w krześle zadumany i zdawał się na kogoś oczekiwać.

Pokój, w którym przysiadł na chwilę, mógł być gabinetem najwybredniejszej z kobiet popsutych zbytkiem dworu. W kwiecistych ramkach złożonych świeciły zwierciadła, ściany bladoliliowa okrywała materia jedwabna, na kominie, gerydonach<sup>57</sup>, stolikach porcelany było pełno i brązów, posadzkę okrywał miękki kobierzec. Brühl, z nogami wyciągniętymi, sparty wygodnie na miękkiej poręczy krzesła, z rękami złożonymi, które z bogatych mankietów pięknymi kształty się dobywały i świeciły kilkoma pierścieniami, zdawał się zatopiony w myślach i rachubach. Niekiedy tylko, gdy wewnątrz domu drzwi jakie skrzypnęły, podnosił się i nasłuchiwał, a gdy nikt się nie zbliżał, wracał do swych dumań i zamyślenia. Wzrok czasem padł na zegar stojący na kominie. bo tylu obarczony obowiązkami pan musiał obliczać się z czasem, tak jak się liczył z ludźmi i pieniędzmi.

Od paziowskich lat mimo pracy i wzruszeń twarz młoda nie straciła na świeżości ani oczy żywego połysku; czuć w nim było zachowanego dla przyszłości człowieka, który miał więcej nadziei niż wspomnień.

<sup>53</sup> *Cleofida o Alessandro nelle Indie* (wł.) – *Cleofida, czyli Aleksander w Indiach*, opera Jana Adolfa Hassego (1699-1783).

<sup>54</sup> *D y s t r a k c j a* (z łac.) – tu: przeszkoda.

<sup>55</sup> *A k c y z a* (z łac.) – podatek pośredni nakładany na towary produkcji krajowej.

<sup>56</sup> *P a k t o l* – rzeka w Lidii (w Azji Mniejszej); według mitologii greckiej złotem płynąca.

<sup>57</sup> *G e r y d o n* (z fr.) – stolicek okrągły o jednej nodze.

W głębi domu jedne po drugich po cichu zaczęły się drzwi odmykać. Brühl nastawił ucha, kroki się ku drzwiom zbliżały. Chód dawał poznać człowieka, był ostrożny, miękki, służbisty, kogoś takiego, co zwykł był przychodzić, ale do którego jeszcze nie przychodzili drudzy.

– To on – szepnął Brühl i podniósł się w krześle. – To on...

Puknięcie do drzwi było tak lekkie i poszanowania pełne, jakby bawelnianymi palcami dotknął ktoś tylko aksamitnej opony. Brühl cicho odezwał się: *Herein*<sup>58</sup> – i drzwi uniosły się na zawiasach, tak że skrzypnąć nie mogły, a zamknęły się nie wydając głosu. U drzwi stał człowiek z rodzaju tych, co się po dworach tylko znajdują, bo tylko do dworów się rodzą i choć kolebka ich stała w stajni, trumna pewnie w pałacu się znajdzie. Postać miał słuszną i zręczną a silną, giętką i wyrobioną do wszelkiego ruchu jak dziecię kuglarza; lecz niczym ona była przy twarzy. Na pierwszy rzut oka na tej masce, hieroglifami startymi zapisanej, nie widać było nic. Nieznaczące rysy, zimne oblicze, pospolita całość, coś ani pięknego, ani brzydkiego, a jednak niezwykłego. W zmarszczkach, które nikły, gdy milczał, chowały się wszystkie sprężyny, co twarzą władały. Spokojny, wypogodzony, z ustami tak ściętymi, że ich prawie widać nie było; pokorny, stał u drzwi przybyły i czekał, aby z niego słowo dobyto.

Strój nie zdradzał stanu. Nie był wytworny ani bijący w oczy: suknia ciemna, guziki stalowe, kamizela skromnie szyta, reszta ubioru czarna; u trzewików kłamry szmelcowane<sup>59</sup>, prawie niewidoczne, u boku szpadka z rękojeścią stalową, na głowie peruka, która starała się być więcej urzędową i poważną niż zalotną. Pod pachą czarny kapelusik bez galonów<sup>60</sup>, na jednej ręce rękawiczka ciemna, mankiety nawet karbowane z batystu zapomniał obszyć koronką.

Brühl, zobaczywszy wchodzącego, wstał tak żywo, jakby go sprężyna rzuciła, i przeszedł się po pokoju.

– Hans – odezwał się – mamy pół godziny czasu: wezwałem cię dla ważnej rozmowy. Otwórz, proszę, drzwi, czy w przedpokoju nie ma nikogo.

Posłuszny Hans, którego drugie imię było Chrystian a nazwisko Hennicke, drzwi cicho przymknął, rzucił okiem i dał znak ręką, że są sami.

– O tym wiesz – rzekł Brühl – że N. Pan wczoraj mnie mianować raczył dyrektorem akcyzy i wicedyrektorem podatków.

– Chciałem mu właśnie powinszować – rzekł Hennicke z ukłonem.

– Nie masz czego – odwracając się nagle z miną dobrze odegrywającą zafrasowanie, przerwał Brühl. – Jest to nowy, wielki ciężar na słabe moje ramiona.

– Które mu podolają – dodał z nowym ukłonem, stojący u drzwi.

– Hans! – zawołał Brühl. – W dwóch słowach: chcesz mi być pomocą, ręką prawą, chcesz poprzysiąc mi wierność i posłuszeństwo bez granic, niezłomne; chcesz na złamanie karku bodaj iść ze mną? Mów...

– Ale my we dwóch karku nie możemy skrócić – z cichym, zimnym uśmiechem szepnął Hennicke i potrząsł głową.

– Potężniejsi od nas je kręcili.

– Tak ale od nas dwu, Eksceleńco, zręczniejszych nie było. Siła i potęga to jeszcze nic, kto ich użyć nie umie. Ja wam ręczę, potrafimy.

– Ale ważysz się dzielić moje losy i iść ślepo, z zawiązanymi oczyma?

– Byłem rąk nie miał związanych – odparł Hennicke – zgoda.

– Pamiętaj tylko – chłodno rzekł Brühl – to nie płoche słowa, to uroczysta ma być przysięga.

Z jakimś szyderskim wyrazem Hennicke podniósł rękę z dwoma palcami do góry i rzekł:

– Przysięgam... ale na co, mistrzu i panie?

<sup>58</sup> *Herein* (niem.) – wejść.

<sup>59</sup> *Szmelcowany* (z niem.) – polerowany.

<sup>60</sup> *Galony* (fr.) – obszycie z taśmy złotej lub srebrnej.

– W obliczu Boga – odezwał się Brühl, schylając głowę pobożnie i składając ręce na piersiach. – Hennicke, ty wiesz, że jestem szczerze pobożny i żadnych żartów...

– Ekszelencjo, ja z nikogo i z niczego nie żartuję nigdy. Żarty to droga rzecz, niejednego życie przyplącił.

– Jeżeli pójdziesz ze mną – dodał Brühl – ja ze swej strony ci przyrzekam, że cię wyniosę i z bogactw, dam ci władzę, znaczenie, fortunę...

– Nade wszystko ostatnie – rzekł Hennicke – bo to w sobie zamyka resztę... fortuna...

– Zapomniałeś o losie tego, co z fortuną poszedł do Königsteinu.

– A wiecie dlaczego? – spytał stojący u drzwi.

– Niełaska pana, niełaska Boga.

– E, i lekceważenie pantofla – dodał Hennicke. – Rozumny człowiek na ołtarzu powinien postawić pantofel i do niego się modlić: kobiety wszystko robią.

– Przecież same padają! A Cosel? Cosel w Stolpen.

– A kto Cosel wyrócił? – spytał Hennicke. – Przypatrzcie się, jasny panie, przez szkiełko, a zobaczycie tam białe paluszki Denhoffowej<sup>61</sup> i małe pantofele, pod którym wielki król siedział.

Brühl zamilczał i westchnął.

– Wasza Ekszelencja od wczoraj rozpoczynacie nowe życie, winniście sobie zapisać dla nieustającej pamięci: kobieta...

– Pamiętam o tym – chmurno odparł Brühl – ale... nie czas o tym mówić, Hennicke. Jesteś więc ze mną?

– Na śmierć i życie – odparł Hans. – Jestem człowiek mały, ale mam dużo doświadczenia i uwierzcie mi, że moja mądrość, czerpana w przedpokojach, niegorszą jest od tej, którą się na srebrnych blatach w salach podaje. Przed wami się taić nie potrzebuję, a dla was to nie tajemnica; Hennicke, którego widzicie przed sobą, wyszedł z nędznej skorupki, która gdzieś rozłuczona w Zeitz leży. Długom drugim jako lokaj drzwi otwierał, nim się one przede mną rozwarły. Na akcyzie w Lützen pierwszą moją szermierkę odbyłem.

– Dlatego w sprawie tej akcyzy i podatków, Hennicke, tyś mi potrzebny, nieodzownie, koniecznie. Król potrzebuje pieniędzy, a kraj jest wyczerpany: stękają, jęczą, skarżą się.

– Kto by ich tam słuchał – odparł zimno Hennicke. – Oni nigdy nie będą kontenci, oni wiecznie piszczeć muszą; dusić ich trzeba jak cytrynę, żeby sok wydali.

– Ale czym i jak?

– E, e! Znajdziemy środki...

– Skarżyć się będą.

– Komu? – rozśmiał się Hennicke. – Alboż to my drog szablami nie możemy pozamykać, a tych, co za głośno się odezwą, nie mamy prawa dla spokoju pana wsadzić do Königsteinu, posłać na Sonnenstein i zamurować w Pleissenburgu?<sup>62</sup>

– Tak, to prawda – rzekł Brühl zamyślony. – Ale to nie da pieniędzy.

– Owszem, to nam je ściągnie: trzeba surowości. Powoli puszczono cugle wszystkiemu. Szlachta się zaczęła odzywać, mieszczanie skowyczeć, aż i chłopcy sobie w lamenty.

Brühl słuchał z wielką uwagą.

– Pieniądzy potrzebujemy ogromnie wiele, oto i terazniejszy karnawał, myślisz, że darmo przyjdzie?

– Tak jest, i wszystko, co dwór puści, spłynie na lud, w ziemię nie wsiąknie, mają więc czym płacić. Pieniądzy – dodał spoglądając na Brühla – potrzebujemy dla pana, a zdałyby się i nam. I Waszej Ekszelencji, i jego pokornemu słudze.

<sup>61</sup> Maria Denhoffowa - kochanka Augusta II, rozwiedziona z mężem, generałem Ernestem Denhoffem. Opis jej losów zawiera powieść J. I. Kraszewskiego pt.: *Za Sasów*.

<sup>62</sup> Königstein, Sonnenstein i Pleissenburg - znane w Saksonii więzienia dla przestępców politycznych za czasów Augusta II.

Uśmiechnął się zagadnięty.

– To się rozumie, za cóż byśmy pracowali w pocie czoła.

– I tyle przekleństw brali na dusze.

– No, gdzie idzie o posłuszeństwo, tam Bóg tych mizernych głosów nie słucha. Król musi mieć, co mu trzeba.

– A my, co nam należy – dorzucił Hennicke. – Co Bogu, to Bogu, co panu, to panu, a co poborcy, to poborcy.

Brühl stanął przed nim zamyślony i po krótkim milczeniu rzekł cicho:

– Więc oko miej otwarte, ucho pilne, donoś mi wszystko, pracuj za mnie i dla siebie razem, donoś mi, co trzeba; ja mam już tyle na głowie, że bez ciebie nie wydołam.

– Spuście się na mnie – odezwał się Hennicke. – Rozumiem to dobrze, że pracując dla was, dla siebie też pracuję. Nie przyrzekam wam miłości platonicznej<sup>63</sup>, bo to podobno tak nazywają, gdy kto rękawiczki całuje, ręki się wyrzekając: co interesem jest, to trzeba czysto i jasno postawić. Będę o sobie pamiętał, o was pamiętał i o królu nie zapominał.

Skłonił się. Brühl po ramieniu go poklepał.

– Hennicke... wyprowadzę cię wysoko.

– Byle niezbyt i nie na Nowym Rynku<sup>64</sup> – szepnął Hans.

– A, o to bądź spokojny! A teraz, tyś rozumny, jaką dajesz mi radę? Jak to się utrzymać na dworze? Wyjść na wschody to jeszcze nic, ale z nich na łeb nie zlecieć to sztuka.

– Ja mam tylko jedną radę, ekscelencjo – począł były lokaj. – Wszystko się robi przez kobiety, bez kobiet nic się nie dzieje.

– O, o! – odparł Brühl. – Są inne drogi.

– Ale ja wiem, że Wasza Ekscelencja macie za sobą padre Guariniego i ojca.

– Tst, Hennicke!

– Milczę, a jednak dodam: czas Waszej Ekscelencji o tym pomyśleć, co potęga kobieca znaczy. Mieć zapaśną strunę nie zawadzi.

Brühl westchnął.

– Skorzystam z rady, zostaw to mnie. Milczeli chwilę.

– Jakże Wasza Ekscelencja jest z hrabią Sułkowskim? – po cichu szepnął Hennicke. – Nie trzeba zapominać, że słońce zachodzi, że ludzie są śmiertelni i że synowie po ojcach następują, a Sułkowscy po Brühlach.

– O! – uśmiechnął się Brühl. – To mój przyjaciel.

– Wolałbym, żeby jego żona była waszą przyjaciółką – wtrącił Hans. – Na to bym więcej mógł rachować.

– Sułkowski ma serce szlachetne.

– Któż przeczy, ale najlepsze serce woli tę pierś, w której bije, od każdej innej. A hrabia Moszyński? – wtrącił Hennicke.

Brühl drgnął i zarumienił się, spojrzał na mówiącego bystro, jakby chciał dojść, czy to nazwisko wspomniał z myślą podstępną.

Hennicke miał twarz niewinną i spokojną.

– Hrabia Moszyński nic nie znaczy – syknął Brühl. – Nie znaczy nic i znaczyć nigdy nie będzie.

– Najjaśniejszy Pan oddał mu własną córkę – rzekł Hennicke powoli.

Brühl zamilkł.

– Ludzie mają złe języki – począł, odpocząwszy nieco, Hennicke. – Na pannę Cosel mówiono, że wolałaby była kogo innego nad hrabiego Moszyńskiego.

Spojrzał mu w oczy: Brühl stał dumnie milczący.

– Tak! – wykrzyknął z niecierpliwością. – Tak, wziął mi ją, Wyżebrał, wyintrygował!

<sup>63</sup> M i ł o ś ć p l a t o n i c z n a - miłość idealna, niemyślowa; tu: bezinteresowna.

<sup>64</sup> N o w y R y n e k - drezdeńskie miejsce wykonywania wyroków śmierci.

– I zrobił Waszej Ekscelencji największą łaskę w świecie – roześmiał się Hennicke. – Stara miłość nie rdzewieje, powiada nasze przysłowie. Zamiast jednej sprężyny dwie mieć możecie.

Spojrzeli sobie w oczy, ale znać było na twarzy Brühla chmurę, która po niej przeciągnęła.

– Dostyć o tym – dodał. – A więc, Hennicke, tyś mój, rachuj na mnie. Co dzień o szóstej, tylnymi drzwiami... mieć będziesz biuro tu u mnie: jutro dostaniesz pierwszą nominację.

Hennicke się skłonił:

– I pierwszą pensję do podniesionej pracy stosowną.

– Tak, jeśli pomyślisz o tym, aby ją było czym zapłacić.

– To moja rzecz.

– Godzina późna i bądź zdrow!

Hennicke pocałował go w ramię i położył rękę na sercu, a potem powoli, cicho i nieznacznie się wysunął.

Brühl targał dzwonek.

Wpadł kamerdyner przestraszony.

– Na zamku gospodarstwo (*Wirtschaft*<sup>65</sup>) za pół godziny się rozpoczyna: lektyka?!

– Stoi na dole.

– Domino? Maski?

– Wszystko gotowe. – To mówiąc, kamerdyner otworzył drzwi i przez obszerny przedpokój przeprowadził Brühla do garderoby.

Już naówczas pokój, który ją zawierał, mógł się liczyć do osobliwości stolicy. Dokoła otaczały go wielkie szafy rzeźbione, które w tej chwili wszystkie stały otworem. Pomiedzy dwoma oknami, na które spuszczone były zasłony, stał stół okryty, na nogach brązowych, na nim wielkie zwierciadło w porcelanowych ramach z kwiatów i aniołów. Dokoła tej szyby srebrzystej kwitły zimą i latem róże, zwieszały się powoje, chyliły konwalie omdlałe, a z zielonych gniazdek, wystrzyganych w tysiące form listków, wyglądały śmiejące się nieśmiertelnym weselem głowy tych istot stworzonych przez ludzką sztukę, które nie wiedzieć jak nazwać: aniołami czy amorkami, ptaszkami czy kwiatami? U góry w wiazańce siedziało ich dwoje, biednych, nagich jak ich Pan Bóg stworzył, i ściskali się serdecznie, aby o swej nędzy zapomnieć. Choć mieli skrzydełka na ramionach, ale się im już latać nie chciało. Na tym stole u zwierciadła stał cały przybór do stroju jakby dla kobiety. W szafach widać było w wielkim porządku każdy strój z całym garniturem, począwszy od trzewików i kapelusza, nawet zegarki i szpady. Moda i zwyczaj wymagały, aby się wszystko zmieniło i schodziło z sobą, jakby się urodziło z jednego tchnienia czarnoksiężnika.

Na dzisiejszy wieczór nie tyle strój, ile domino było potrzebnym. W osobnej szafie leżały maskaradowe przybory, wisiały płaszcze, kapelusze, kapiszony i okrycia. Brühl stanął i zamyślił się nad wyborem. Ważnym był krok ten stanowczy. Król lubił, aby się poznać nie dawano. Brühl może poznanym rychło być nie chciał.

Kamerdyner, chodzący za nim z dwoma świecami w rękach, czekał skinienia.

Odwrócił się szybko pan dyrektor.

– Gdzie jest ten strój weneckiego szlachcica, któregom nie miał czasu użyć w grudniu?

Służący rzucił się do szafy, stojącej w kącie, zasłoniętej skrzydłem otwartym drugiej, która przy niej stała. Brühla oko wnet padło na aksamity czarne.

Rozkaz był wydany, zaczęło się szybko ubieranie. Suknie leżały wybornie i nadawały postać szlachetną i zręczną pięknemu panu. Wszystko było czarne, aż do pióra przy kapeluszu i szpady szmelcowanej u boku. Na piersi tylko spadał ciężki, przepyszny łańcuch złoty, na którym Brühl zawiesił medal z wizerunkiem Augusta Mocnego. Tak przybrany przejrzał się w zwierciadło i nałożył pół maseczki. Dla niepoznaki zaś na brodzie ogolonej świeżo przylepił zręcznie plasterkiem bródkę hiszpańską, która zdawała się prawdziwą i mogła

---

<sup>65</sup> *Wirtschaft* (niem.) – gospodarstwo; tu: nazwa zabawy dworskiej z czasów saskich.

obałamucić znajomych. Zmienił na palcach pierścienie, okręcił się kilka razy i szybko schodzić zaczął.

*Porte-chaise*, jak naówczas zwano lektykę, stała w sieniach domu. Dwaj tragarze przebrani byli wprzód po wenecku z czerwonymi wełnianymi czapkami na głowach i płaszczykach aksamitnych, oliwkowych, na ramionach; oba też mieli maski na twarzach. Zaledwie z przodu zamknęła się lektyka, której zasłonki zielone pospuszczane były, tragarze unieśli ją w górę i pobiegli z nią ku zamkowi.

W głównych wrotach stały strojne strażę gwardyj, nie wpuszczano nikogo oprócz pańskich powozów i lektyki bogatych. Lud cisnął się ciekawy tłumnie, ale odźwiernistawiali zębate halabardy<sup>66</sup> i odpychali go od wnijscia. Jedne po drugich wjeżdżały z pochodniami powozy, lektyka po lektyce; w dziedzińcach służby już było pełno. Rzęsistym światłem gorzał zamek cały, bo dwa dwory i dwa gospodarstwa przyjmować miały gości dnia tego: sam król u jednego stołu, u innych królewicz z żoną.

Z sali królewskiej do królewiczowskiej wiodły oświetlone rzędy pokojów, w których już przez okna widać było kręcące się masek cienie. Lektyka Brühla zatrzymała się u ganku, otwarto wnijscie i wenecki szlachcic z powagą syna doży<sup>67</sup> wybiegł z tej kryjówki. W chwili gdy miał wstępować na wschody kamienne, dywanami okryte, nie wiedzieć skąd zjawiała się obok niego postać drugiego Włocha, ale wcale inna. Był to mężczyzna zamaskowany, o głowę od niego wyższy, barczysty, silny, po żołniersku wyprostowany, z piersią wydatną, ubrany jako zbir i niby zdjęty ze starego obrazu Salvatora Rosy<sup>68</sup>. W stroju tym ślicznie mu było; jakby się do niego rodził. Na głowie miał lekki szyszak żelazny bez przyłbicy, na piersi pół zbroiczki, po której biegały żyłki złote w misterne desenie, krótki płaszczyk na ramionach, szpadę u boku, puginał u pasa. W rękę trzymał rękawiczki wonne, a na białych palcach błyskało kilka pierścieni. Całą jego twarz okrywała maska dziwna, marsowa, skrzywiona, sroga i straszna, z długimi wąsami i kosmykiem na brodzie. Brwi jej w dwa esy pogięte zbiegały się w środku i dwiema prostymi marszczkami przedłużać się zdawały po czole. Brühl spojrział tylko na tę maskę niemiłą i szedł dalej ku górze, lecz zbir widocznie go chciał dognać i zaczepić.

– *Signore* – wołał syczącym głosem – *come sta?! Va bene?*<sup>69</sup> Brühl głową tylko mu odpowiedział. Ten mu się pod sam bok cisnął, nachylił do ucha i szepnął coś, aż Brühl widocznie gniewny odskoczył. Śmiech się dobył spod maski: zbir palcem wytknął go i stał.

– *A rivederci, carissimo... a rivederci!*<sup>70</sup>

I powoli za nim pociągnął. Słysząc już było muzykę z sali królewskiej. Zbirowi nie było widać pilno, szedł powoluteńku, ręka w bok, nogami długimi ledwie dźwigając leniwie.

Gdy ostatnie przestępował wschody, Brühl już mu z oczu w tłumie zginął. W salach i pokojach było pełno. Od blasku światła, od kraszy strojów bogatych, od lśniących diamentami kobiet oczy ślepy. Wszystko to zwijało się, kłębiło, mrucało, pissało, śmiało się, podskakiwało i uchodziło, zaledwie ukazawszy chwilę.

We wspaniałych polskich strojach, z szabłami sadzonymi w drogie kamienie, przechadzało się kilku łatwych do poznania senatorów, na których twarzach tylko dla zachowania rozkazu króla wąski pasek czarny niby maski przedstawiał. Mnóstwo Turków, Maurów, Hiszpanów, kilku mnichów zakapturzonych, kilka nietoperzy żeńskich, kilka bóstw mitologicznych niewieścich z odsłoniętymi wdziękami a zasłoniętymi twarzami, mnóstwo Wenecjan podobnych do Brühla, wyróżniało się w tym tłumie, w którym i na pulcinellu<sup>71</sup> i na arlekinie<sup>72</sup>

<sup>66</sup> H a l a b a r d a (z niem.) – dawna broń żelazna do klucia

<sup>67</sup> D o ż a – naczelnik Rzeczypospolitej Weneckiej i Genueskiej.

<sup>68</sup> S a l v a t o r e R o s a (1615-1673) – malarz i poeta włoski. Oprócz obrazów historycznych i religijnych malował postacie czarownic i bandytów na tle romantycznych krajobrazów.

<sup>69</sup> *Signore, come sta? Va bene?* (wł.) – panie, jak się pan miewa? Czy dobrze?

<sup>70</sup> *A rivederci, carissimo... a rivederci* (wł.) – do widzenia, najdroższy... do widzenia!

<sup>71</sup> *Pulcinella* (wł.) – poliszynel, charakterystyczna postać starowłoskiej komedii ludowej.



nie zbywało. Nawet wyrostki z kołczanami na plecach i skrzydłami przyprawnymi kręciły się, niby grożąc bezsilnymi strzałami, ale się ich jeszcze nikt nie obawiał.

Królowa Elżbieta, Maria Stuart, Henryk IV... kogóż tam nie było? Król o lasce ze złotą gałką powoli przechadzał się, zaczepiając kobiety i usiłując je poznawać. Nie było mu to trudnym, znał je wszystkie dobrze, te przynajmniej, które poznania godne były.

Na innych maskaradach byłby mógł się spotkać z nieznaną piękną miłośką, nie mającą przystępu do dworu; tego dnia na zamek nie wpuszczano tylko powozy pańskie, lektyki bogate i maski, których powierzchowność ręczyła, że do plebejuszów się nie liczyły.

W salach piękne panie były gospodyniami, przy stołach i bufetach urządzone były gospodarstwa: chińskie, japońskie, tureckie itp. Każda z pań na ten wieczór musiała być szynkarką i gosposią dla dostojnych gości.

Poza salami królewskimi także same stoły trzymały królewiczowa Józefa ze swym dworem. Świetniała przy jednym z nich hrabianka Franciszka Kolowrath, owa swawolna Frania, która ośmioletnia umiała już tak dobrze grać rolę dojrzałej panny dworu... Teraz była to świeża, zalotna, wesoła, dumnie z góry patrząca dziewczeczka, cała brylantami okryta, której pasterski strój nie przeszkadzał chwalić się z macierzystymi klejnoty.

Inne piękności dworu kryły się pod mniej więcej przezroczystymi maskami. Zdradzał je chód, rączka, plamka na białej szyi albo nawet zbyt kunsztowne przebranie. Królewiczowa Józefa mało w tej zabawie brała udziału, znajdowała się tu tylko dla przypodobania teściowi i mężowi. Dumna jej postawa, twarz surowa i niepiękna, obejście się zimne nie przyciągały ludzi. Wiedzieli wszyscy, że nie lubiła płochych zabaw, że wołała życie rodzinne, modlitwy i... plotki. Surowa dla siebie i dla innych, poglądała bacznie na tych, co się około niej obracali. W atmosferze, która ją otaczała, panował chłód i sztywność. Nie śmiał tu sobie nikt swobodnego pozwolić żarciku, bo go karmił wzrok pani. Nawet wśród maskarady ostatniego wtorku Józefa nie zapomniała, że była córką Cezara.

Uprzejmy, grzeczny, milczący stał też królewicz Fryderyk, dość piękny i postawy okazałej, ale posągowo chłodny i ceremonialny. Bawiło go to, że się zabawiali drudzy, sam on nie brał udziału w niczym. Zapraszał tylko po pańsku, a czasem do poufalego otoczenia krótkie słowo rzucił. Znać w nim było mimo młodości pewną ociężałość ciała i ducha, ostatniego więcej jeszcze niż pierwszego.

Strojny i pańsko wyglądający Sułkowski, pierwszy faworyt następcy, stał poza nim, gotowy ciągle na rozkazy. Królewicz odwracał się ku niemu często, porozumiewał z nim wzrokiem, pytał i otrzymawszy odpowiedź, z zadowoleniem głową potrząsał.

Widząc ich obu razem z sobą, dawał się odgadnąć stosunek, który ich łączył; pierwszy sługa więcej był panem niż sam pan, który tylko reprezentował swą godność, ale jej nie czuł. Sułkowski, przeciwnie, przybierał tony wielkie i z arystokratyczną pychą na wirujące dokoła figury poglądał. Wdziękiem też twarzy przewyższał króla, który mimo młodości, mimo zdrowia i czerstwości do pospolitego Niemca był podobny.

Przy stołach Augusta Mocnego, dokoła jego osoby gromadziło się najweselsze towarzystwo. Wygorsowane maseczki zaczepiały jego królewską mość, z góry poglądającą okiem rozczarowanym na wdzięki, które już dlań uroku żadnego nie miały.

Brühl wszedł, jak mu się zdawało, nie poznany, unikał odzywania się, szukał kogoś oczyma chciwymi, chciał odgadnąć pod przebraniem. Przesunął się nie postrzeżony po salach za stołami, aby się przekonać, czy ci, których szukał, nie znajdują się przy gospodarstwach. Nie uważał, że zbier się za nim z dala.

Piękna budowa tej herkulesowej postaci i swoboda, z jaką się posuwała, wcale tego, co spotkała, nie zdając się być ani ciekawą, ani tym onieśmieloną, ścigała oczy kobiet. Parę masieczek zabiegło drogę zbirowi, który, z góry na nie obojętnie popatrzawszy, szedł dalej.

---

<sup>72</sup> Arlekin (z wł.) – błazen, pajac- śmieszna postać z komedii ludowej w dawnych Włoszech.

Jedna czy dwie chciały go intrygować, szepnęły im śmiejąc się ich nazwiska na ucho... i pierzchnęły.

Król na przesuwanego się popatrzał i rzekł do Friesena:

– Gdyby tu był który z pruskich książąt, odkradliby mi go do grenadierów. Kto to taki?

Nikt jakoś na pewno odpowiedzieć nie umiał. Zbir znikł za kolumnami.

Tymczasem Brühlowi drogę zastąpiła Cyganka. Stara, słusznego wzrostu kobieta, o kiju, okryta szeroką, jedwabną zasłoną i cała obwieszona paciorkami, koralami, świecidłami. Pół maseczki przedstawiała żółty, okryty marszczkami profil czarownicy. Wyciągnęła rękę i piszcząc zażądała dłoni do wróżenia.

Brühl nie miał najmniejszej ochoty dowiadywania się przyszłości; chciał się cofnąć, ale Cyganka domagała się ręki koniecznie.

– *Non abbiate paura!*<sup>73</sup> – szepnęła. – Ja wam dobrą wywróżę...

Brühl z rękawiczką dłoni wyciągał.

– Ja nie wróżę ze skóry, tylko z ręki – śmiejąc się zawołała Cyganka. – Zdejm...

U kolumny, za którą stali, palił się w górze sześcioramienny świecznik, Cyganka podniosła białą dłoń obejrzawszy rękę i zaczęła głową potrząsać.

– Wielkie losy, świetne losy – rzekła. – Powodzenie cudowne, a szczęścia mało...

– To zagadka? – przerwał Brühl. – Jakże powodzenie mieć, a nie mieć szczęścia?...

– A! To tak łatwo, jak być szczęśliwym mimo niedoli i losu! – zawołała zmienionym głosem stara. – A wiesz, dlaczego szczęścia ci zabraknie? Bo serca nie masz...

Brühl szyderczo się uśmiechnął.

– Ty nie kochasz nikogo.

Zmilkła potrząsając głową.

– Cóż dalej, maseczko; co dalej?

– Jesteś niewdzięczny – szepnęła mu na ucho. – Jesteś ślepy, gonisz tylko za wielkością.

– Cieszy mnie to – piszczące rzekł Brühl – iż widocznie bierzecie mnie za kogo innego.

Maska na dłoni napisała mu: „Brühl”. Wyrwał rękę co prędzej i sam w bok się rzucił, Cyganka go zatrzymać chciała; zniknął. Być może, iż miło mu było odetchnąć swobodniej w tym tłumie, nie poznanym, nie zaczepianym. Błądził więc, aż póki nie ukazała się maska, która całą jego zwróciła uwagę.

Fantastyczny jej strój, niby wschodni, jakąś musiał oznaczać królowę... Semiramis<sup>74</sup> czy Kleopatrze<sup>75</sup>, tego nikt łatwo nie odkrył, bo fantazja naówczas w ubiorach większą grała rolę od prawdy historycznej. Szło o to, ażeby być pięknie i wspaniale ubraną, nie o to, aby umarłe wieki wskrzesić ze ścisłością archeologa. Królowa też Semiramis chciała tylko być majestatyczną władczynią, czego postawą i strojem dopiąć jej było łatwo. Ubrana w suknię z długim ogonem, z lamy złotej, na którą przejrzysta od korony na głowę spadała zasłona, z naszyjnikiem ogromnych ametystów na białej szyi, z berłem w ręku, z pasem sadzonym na przemiany ametystami i diamentami, królowa przy tym miała figurę, ruch i chód prawdziwej władczyni serc i ludów.

Na utoczonej szyi ciemne pukle włosów, lekko złotym pudrem posypanych, wiły się wdzięcznie, a niższa część twarzy, młoda, nieposzlakowanego owalu, miała coś w sobie rozkazującego i wspaniałej, dającej się domyślać fizjonomii. U małych, różowych uszu wisały dwie gruszki perłowe na brylantach, a największa z nich pod koroną błyszczała.

Przechodzącej z wolna ustępowali wszyscy, nikt nie śmiał słowem zagadnąć. Szła obojętnie spoglądając. Brühl stał pod kolumną, wahał się krótko i pozdrowił ją, rękę przykładając do kapelusza. Zatrzymała się nieco: Wenecjanin wyciągnął rękę, podała mu małą, piękną dłoń od niechcenia... szybko nakreślił na niej dwie litery.

<sup>73</sup> *Non abbiate paura!* (wł.) – nie miejcie obawy, nie bójcie się!

<sup>74</sup> *Semiramis* – mityczna królowa Asyrii i Babilonu.

<sup>75</sup> *Kleopatra* – królowa Egiptu (I w. p. n. e.).

Spojrzała nań z uwagą, ale jakby ją to nie obchodziło wcale, że ktoś mógł odgadnąć królowę. Postawiwszy chwilę, szła dalej. Brühl, jakby nie mogąc się oprzeć, pociągnął za nią powoli. Kilka razy zwróciła głowę ku niemu i widząc go uparcie idącego za sobą stanęła. Wśród zielonych krzewów tuż była nie zajęta ławka, salon ten udawał ogród i wiosnę; królowa usiadła. Wenecjanin stanął. Popatrzała nań długo i skinęła, aby podał jej dłoń. Posłuszny wyciągnął ją i poczuł, jak H. B. paluszkami na niej nakreśliła i roześmiała się.

Zatrzymał się więc przed nią i postąpił krok za pomarańczowe drzewo.

– Że ja was poznałem – szepnął – hrabino, to nic dziwnego, poznałbym was wszędzie i nie za królowę przebraną. W królewskim stroju tak wam naturalnie; lecz że wy mogliście mnie poznać...

– W stroju jednego z Rady Dziesięciu<sup>76</sup> – odezwał się głos spod maski – a komuż on stosowniejszy jak wam?

– Hrabina jest zachwycającą!

Kobieta przyjęła to obojętnie.

– Lecz piękna jak bóstwo starożytne z marmuru, jak marmur jesteś zimną... jak marmur bezduszną.

– Cóż dalej? – zapytała maseczka. – Mówcie co zabawniejszego: słyszałam to tyle razy.

– A coż ja wam, hrabino, innego powiedzieć mogę! – zawołał Brühl głosem drżącym. – Ile razy spojrzę na was, wre we mnie zemsta, kipi gniew, burzy się zazdrość, a na usta leci przekleństwo.

– Bardzo poetycznie! – szepnęła kobieta. – Cóż dalej?

– Gdybym śmiał, przeklinałbym was i dzień, i godzinę, w której widziałem was po raz pierwszy – mówił czule Brühl. – Ale spojrzę i jestem złamany. Macie nade mną władzę.

– Ale czy ja mam? – odwracając się i spoglądając ku niemu, chłodno odezwała się kobieta.

– Potrzebuję! przysięgać i na co się zdała moja przysięga wam, gdy innemu przysięgałaś przed ołtarzem.

– Ja nie potrzebuję przysięgi – odparła spokojnie kobieta. – Ja chcę przekonania, a tego często i przysięga nie daje. Patrzyła nań długo.

– Moja miłość...

Kobieta przerwała mu uśmiechem.

– Brühl – rzekła – wierzę, że kochałeś się we mnie. Cóż dziwnego, miałam młodość, imię i przyszłość dla tego, któremu dostać się miała ręka moja; ale to mogła być taka miłość, jakie widzimy co dnia, rozplomienione o świcie, a gasnące wieczorem. Ja takiej nie chcę.

– Moja dała wam dowody trwałości – mówił Brühl żywo. – Zaczęła się w dzieciństwie, a nie skończyła, gdy jej odebrałaś nadzieję; odpychana wracała, wzgardzona trwa.

– Miłość to czy ambicja? – spytała kobieta. – W tobie, Brühl, ambicja wszystkim włada.

Zamilkł nieco Brühl i potrząsnął głową.

– Nie przeczę, że nie mogąc być szczęśliwym, chcę teraz być choćby strasznym i silnym.

Maska nań popatrzała, sparła się na łokciu i powoli mówić zaczęła:

– Nie wiemy, co przyszłość chowa. Czekaj, bądź mi wiernym. Będę z tobą szczerą: miałam słabość do ciebie, z tobą bym była szczęśliwą; jedne mamy myśli i charakter, ale tak lepiej... mąż i żona to pojedynkujący się na śmierć wrogowie: my możemy być sobie przyjaciółmi wiernymi.

– Przyjaciółmi! – podchwycił Wenecjanin. – Jakże to straszny całun śmiertelny to nazwisko przyjaciela!

Maseczka podniosła głowę, aż w koronie jej zaigrały światłami brylanty, i pokiwała nią ironicznie.

Rączką uderzyła po ręce Brühla, spartej na poręczy.

---

<sup>76</sup> R a d a D z i e s i ę c i u - w dawnej Rzeczypospolitej Weneckiej trybunał wyjątkowy dla sądenia ciężkich przestępstw.

– Mąż będzie kochankiem, a ja przyjacielem i więc sługą wzgardzonym.  
 – Mąż kochankiem? – rozśmiała się maska. – Gdzieżeś to słyszał? Dwa te wyrazy kłócą się z sobą. Mój mąż! Mój mąż! Ale ja go nienawidzę, ja się nim brzydzę, ja go nie cierpię!  
 – A poszłaś za niego?  
 – Król-ojciec wydał mnie, ale się dobrze stało... wierz mi. Jestem swobodna z nim, jestem sobą i cała zachowam się dla przyszłości. Ja wierzę w przyszłość i gwiazdę moją.  
 – A spotkają się kiedy gwiazdy nasze?  
 – Jeśli są sobie przeznaczone, powinny.  
 – Mówisz to, hrabino, tak zimno, tak obojętnie.  
 – Bo ja zawsze jestem panią siebie, czy Kocham, czy nienawidzę. Uczucie, które się zdradza, idzie na łup ludzi.  
 – Lecz jakże w nie uwierzyć, nie widząc?  
 – A czymże wiara? – rozśmiała się piękna pani, jak gdyby chciała przypomnieć Brühlowi przysłowie łacińskie: „Kto kocha, ten czuć powinien i przeczuwać, a kto nie odgadnie serca kobiety, ten go nie wart”.

Kończąc te słowa, wstała nagle, szybko i nim Brühl się opamiętał, znikła mu z oczów. Jeszcze stał przybity i szczęśliwy razem, rozmyślając, gdy poliszynel do niego przyskoczył, osobiwszy zaprawdę, bo mimo stroju pulcinella guzy u sukni mający z rubinów perłami osadzanych. Zdawał się biec tu szukać kogoś, a zastawszy tylko Wenecjanina w kątku, zatrzymał się, badając go z wielką ciekawością. Pochylił się aż na ziemię prawie, chcąc mu zajrzeć pod maskę, ale Brühl ją przycisnął ręką. Zwijać się począł koło niego z udaną trzpiotowatością.

– *Cavaliere nero!*<sup>77</sup> Cóż ci powiedziała królowa? Znasz ją? He, słówko!  
 – *Sono un forestiero... Addio!*<sup>78</sup> – syknął mu Brühl nad uchem i uszedł, ale pulcinello, nie goniąc go, śledził. Zbir także nie spuszczał go z oka. Wkrótce obaj się zeszli pod kolumnami. Pulcinello spał się do ucha zbirowi.  
 – Kto to był?  
 – Brühl.  
 – A, a! – wyrwało się z piersi poliszynela. – Odgadłem go po nienawiści, jaką wzbudził we mnie... Jestżeś pewnym?  
 – Ja, co go więcej od was, panie hrabio, nie cierpię i brzydzę się nim? Ja bym go w piekle poznał.

Pulcinello wyrwał się nagle i pobiegł, zobaczywszy królową z daleka, którą zdawał się śledzić namiętnie. Zbir zadumany błdził bez celu. Towarzystwo ożywiało się coraz bardziej, a ci, co, jak poliszynel, szukali i gonili kogoś, już z trudnością przez tłum i zamęt przecisnąć się mogli. Piski i śmiechy głużyły muzykę. Brühl już był znikł, przesunawszy się do gospodarstwa królewiczowej. W przejściu spotkał go mnich zakapturzony.

Uczuł się pochwyconym za rękę.  
 – Jeżeli chciałeś być nie poznanym – odezwał się po włosku – toś się wcale nieosobliwie zamaskował. Któż by cię nie poznał, panie dyrektorze akcyzy?  
 I począł się śmiać.  
 – Po czym? – zapytał Brühl.  
 – Po chodzie, po nodze, po ruchu i po smaku. Brühl nie mógł poznać maski, rzucił się ku niej: znikła. Byłby przysiągł, że to padre Guarini, ale cóż by jezuita robił na maskaradzie?  
 Trochę zmieszany tym, że go poznano, znalazł się w pokoju słabo lampami w alabastrowych urnach oświeconym. Tu go kobieta słusznego wzrostu zatrzymała uderzeniem wachlarza. Nie wątpił, że i ona poznać go musiała, on odgadł ją na pierwszy rzut oka; lecz chciał być grzecznym i udał, że się nie domyśla.

<sup>77</sup> *Cavaliere nero!* (wł.) – czarny kawalerze!

<sup>78</sup> *Sono un forestiero... Addio!* (wł.) – jestem cudzoziemcem... Żegnaj!

– Należy się wam powinszowanie... Brühl.  
– O, nie ma mi czego winszować!  
– Wiem, sięgacie wyżej myślą i ambicją, ale po schodach iść trzeba, inaczej *non si va sano*<sup>79</sup>. Dosięgłeś już bardzo wysoko, a jeszcze się nie sparł na ramieniu kobiety, która czasem jak skrzydło podnosi.

Brühl westchnął.

– O, wiem, do kogo westchnienie i co się w sercu twym dzieje! Lecz niewdzięczną królowę trzeba zapomnieć i szukać innej – mówiła wyniosłego wzrostu pani.

– Szukać, aby znalazłszy być znowu odepchniętym i wzgardzonym?

– Wzgardziłaby chyba taka, co by się na tobie nie znała, a tej żałować nie powinienś.

Pochyliła się do jego ucha i szepnąwszy mu coś znikła w tłumie.

Szedł dalej. Naprzeciw niego był już stół Frani Kolowrath, otoczony młodzieżą. Dzieweczka zalotna, śmiejąc się, pustując, wyszczerzając ząbki, podawała wszystkim, co kto zażądał. Przypatrywał się jej z daleka. Była nęcącą i wdzięczną, w oczach jej błyskał dowcip, ale z tą żywością swą zimną, równą dla wszystkich, niewyczerpaną, wydała mu się może straszną. Długo w nią oczy trzymał wlepione, zadumał się i nie mieszając w tłum, co ją otaczał, uszedł na stronę.

Zaledwie rzucił się na krzesło nieco znużony, chcąc spocząć i skupić myśli, gdy zbir znalazł się tuż i przysiadł do niego. Popatrzał nań z góry.

– Nieprawda – spytał – smakowała ci przedtem królowa, teraz myślisz, czyby z szynkarką nie poszło lepiej? Przyznaj się! Brühl, nie chcąc wdawać się w rozmowę, potrząsnął głową.

– To posażna dziewczyna i w fartuszkowi komuś dużo brylantów przyniesie... Dla ciebie by się zdała... Wszak je lubisz?

Ani słowa nie odzywał się Brühl i niecierpliwie ręce skrzyżowawszy na piersiach, nie chciał zważać, co doń mówiono, bo głowę odwrócił w stronę przeciwną. Zbir wszakże wiedzieć musiał, że żadne jego słowo nie pójdzie marnie, i półgłosem mruczał ciągle:

– Patrz, co to za rączki białe, jakie ramionka utoczone, co za twarzyczka brzoskwini, której puszek nawet ptaszek nie tknął skrzydłem. Kąsek ministerialny, jeśli nie królewski; ale August II już stary, a królewic za pobożny... sięgnij ręką, a weźmiesz. Co potem nastąpi, nie wiem... Patrz, jak się do dwudziestu śmieje, a co oczy jej mówią, aż strach! Takiej żony trzeba takiemu jak ty człowiekowi. Hassego, wielkiego muzyka, ożenili z Faustyną; taki artysta jak ty musi się z taką aktorką poślubić. Dziś już doskonale śpiewa swą partią naiwną, cóż to będzie, gdy obejmie *les grandes coquettes*?<sup>80</sup>

Po ruchach tylko mimowolnych Brühla poznać było można, iż to śpilkowanie bezlitosne dotykało go; nie tracił jednak ani głowy, ani postawy zmienił, udał głuchego i nie patrząc na zbira, wstał i odszedł. Szukał go później niecierpliwie prześladowca, ale Wenecjanina nigdzie na salach nie było.

Muzyka brzmiała i maski skoki poczęły, które trwały do rana. Jeszcze na salach kręciły się ostatnie pary, gdy w kaplicy na Taschenbergu padre Guarini królewiczowej, następcy i katolickiemu dworowi ich głowy posypywał popiołem.

## IV

Pomimo karnawału, mimo olbrzymich budowli, którymi król bawić się próbował, mimo wspaniałości, jaka go otaczała, August II nudzić się zdawał. Chciano go dla roztargnienia ożenić: ziewnął i rozśmiał się; nie życzył sobie sprawiać wesela: czasy były ciężkie, a

<sup>79</sup> *Non si va sano* (wł.) – nie idzie się zdrowo.

<sup>80</sup> *Les grandes coquettes* (fr.) – wielkie zalotnice, kokietki; rodzaj ról teatralnych.

królewskie gody, takiego pana godne, musiały być kosztowne. Noga go trochę bolała; był smutny. Świat już mu nic nie miał do dania; złego i dobrego kosztował tyle, że na dnie czary życia zostały same męty. Najpiękniejsza dziewczyna była dlań powszednim obrazem: w pamięci jego przesuwali się cały szereg tych istot; promieniejących chwilę, a tak rychło uwiedłych. Lubomirska<sup>81</sup> była stara, Cosel zamknięta, inne się rozleciały po świecie. Nie mogąc być szczęśliwym, chciał być wielkim. Słał więc do Afryki uczonych i budował.

Wznosiły się koszary olbrzymie na Nowym Mieście<sup>82</sup>, przerobionym świeżo jego rozkazem ze starego, zakładano kościoły, budowano piramidy i pałace. Król jechał do Königsteinu nowe mury oglądać i ziewał, przejeżdżał do Hubertsburga i nudził się; kazał się wieźć do Moritzburga i znajdował, że mu spowszechniał, a Drezno nawet było nieznośne. Gdyby mu kto tę myśl poddał, może by był spalić kazał miasto w czasie koncertu, aby je na nowo olbrzymie z ciosu odbudować; ale pomyślał już zużyty.

W Polsce zdawało mu się, że Drezno kocha, w Dreźnie tęsknił za Warszawą: nigdzie nie było dobrze, Drugiego listopada przypadło święto patrona łowów, Huberta, którego obchodzono zawsze świetnie; cały dwór królewski i królewiczowski do Hubertsburga się udał; ciągnęły psiarnie i oba obozy myśliwskie, saski i polski. a nie było mało tej dworni, poczynając od paziów łowieckich aż do łowczego od truflí. Wielkim łowczym dworu był von Leibniz, wielkim sokolniczym Moszyński i były myśliwskie wojska jego królewskiej mości, które tylko przeciw niedźwiedzim i dzikom służyły.

Ale król znajdował św. Huberta zużyty i myślistwo zbyt jednostajnym. Niepokój jakiś go ogarniał. Na Nowy Rok zwałił go jarmark do Lipska, na który handlarze mieli cudne przyprowadzić konie, a znalazł, że to były szkapie szkaradne. Aktorki, z Belgii przywiezione, wszystkie miały zęby tak podrabiane, jak konie.

Na otwarcie karnawału wrócił August do Drezna dnia 6 stycznia i na pierwszym balu spostrzegł, iż wszystkie niewieście twarze były powiędłe, oczy pogasłe, usta pobladłe. Sądził, że się zrywaniem sejmu w Warszawie lepiej zabawi. Karnawał został na opiece królewicza i padre Guariniego, a królewskie powozy sposobiono do Polski.

Brühl nieodstępnie był przy nim. Inni padali, nikli, odchodzili, mieniali się; ten z pazia już był ministrem, a król się bez niego obejść nie mógł. Akcyza płynęła do skarbu i podatek zasyczał nigdy nie dające się napęlnić kasy.

Szlachta sykała; na to był jeden sposób i tego użyto. Dwór zaludnił się obcymi. Włosi, Francuzi, Holendrzy, Duńczycy, Prusacy, Bawarowie powyrastali na dworze, a szlachta saska poszła robić pieniądze dla króla na roli. Brühl znajdował, że Najjaśniejszy pan miał słuszność i że najlepszymi sługami byli ci, których los zawisł od króla.

Dnia 10 stycznia dziedzińce zamkowe pełne były koni, powozów i ludzi. Dwór saski i polski gromadził się do podróży. Sale pełne były tych, którzy królowi towarzyszyć mieli. August II żegnał się z synem i jego żoną. Na twarzy jego niecierpliwość i znużenie zastępowały dawną jasność majestatu. Z wielką czułością cisnął się królewicz do ojca; z powagą żegnała go królewiczowa Józefa. Fryderyk przybył po rozkazy, patrzył w oczy i uśmiechał się wdzięcząc. Wtem wszedł Brühl, były jeszcze papiery do podpisania i pieniądze do zabrania w drogę; czekano na sto tysięcy talarów, które nadpłynąć miały.

Na wchodzącego dyrektora akcyzy bystro spojrział król i postąpił ku niemu kroków parę.

– Brühl... pieniądze?

– Są, Najjaśniejszy Panie! – rzekł, kłaniając się, zagadnięty. – Rozkaz Waszej Królewskiej Mości spełniony.

Rozjaśniło się oblicze pańskie.

<sup>81</sup> U r s z u l a L u b o m i r s k a - jedna z kochanek Augusta II, od którego otrzymała tytuł księżny cieszyńskiej. Szerzej opisał jej postać Kraszewski w powieściach: *Hrabia Cosel* i *Za Sasów*.

<sup>82</sup> N o w e M i a s t o - (Neu-Stadt) – dzielnica w Dreźnie.

– Patrz – zawołał do syna – patrz, polecam ci go... to sługa, który mi odjął trosk wiele, a wiele spokoju przyczynił... pamiętaj! Jemum winien ład, karność i porządek w domu.

Fryderyk z posłuszeństwem syna wpatrzony w twarz ojca chwycił każde jego słowo i okazywał postawą całą, że mu ślubuje być posłusznym.

– Gdybym w Polsce miał takich kilku, jednego choćby, dawno by już w łeb wzięła ich bałamutna rzeczpospolita i zaprowadziłbym tam taki ład, jak w Saksonii – dodał król. – Ci wielcy moi przyjaciele i wierni słudzy: Lipski, Hozjusz, cała czereda ich, wszystko się to szlachty boi, a mnie zwodzi. Lecz cierpliwości, koniec temu położę... kilka, kilkadziesiąt głów padnie i będzie cicho. Nie zniosę tego gminu, co mi śmie mruczeć, gdy rozkazuję... Dość tego!

Syn okazywał ciągle najwyższe uwielbienie dla ojca. Pożegnanie rozpoczęte, przerwane, znowu się powtarzało: Fryderyk całował rękę ojcowską. Kamerdynerzy, paziowie, służba czekała już w przedpokoju. Stali urzędnicy, duchowieństwo i w kątku zaszyty ostrożnie, przygarbiony padre Guarini. Król wdzięcznie żegnał wszystkich. Łowczemu polecił jeszcze przywiezione z Białowieży dwanaście żubrów i żubrzyc, które się pasły w Krejern pod Moritzburgiem, i zszedł do gotowych powozów.

Pocztylionowie siedzieli na koniach, dwór śpieszył na wyznaczone miejsca, w dziedzińcu z odkrytymi głowami stali panowie, rada miasta i mieszczenie, na których król spojrzał tylko i kazał im powiedzieć, aby podatki płacili, a w chwilę pusto i cicho byli na zamku i w Dreźnie.

Wszyscy czas mieli spoczywać, dopóki by znów król nie wrócił i pańszczyzna bawienia nie rozbawionego niczym nie rozpoczęła się na nowo.

W chwili gdy cały orszak z towarzyszącym mu oddziałem gwardii z zamku na most wyciągał, powóz, który miał wieźć Brühla i jego fortunę, stał jeszcze sam jeden w dziedzińcu zamkowym. Ulubieniec pański, świeżo okryty pochwałą, zszedł na dwór zamyślony słodko, gdy ujrzał przed sobą z chmurną twarzą stojącego Sułkowskiego. Rozjaśniło mu się oblicze, chwycił szybko rękę przyjaciela i obadwaj weszli do dolnej sali. Twarz Brühla wyrażała już najgorętsze współczucie, najżarliwszą miłość, najserdeczniejsze przywiązanie; Sułkowski dosyć był zimny.

– Jakżem szczęśliwy, że was raz jeszcze pożegnać, jeszcze raz się pamięci i sercu waszemu polecić mogę – zawołał odjeżdżający z zapalem: słodycz głosu dorównywała wyrazom.

– Słuchaj, Brühl – przerwał Sułkowski. – Ja także przypominam ci nasze *pacta conyenta*!<sup>83</sup> W złej i dobrej doli jesteśmy i pozostaniemy przyjaciółmi.

– Czyż wy to mnie przypominać potrzebujecie?! – zawołał Brühl. – Mnie, który dla was mam miłość, przyjaźń, szacunek i wdzięczność?

– Dajże mi ich dowody!

– Pragnę tylko zręczności, nastrońcie mi ją, do nóg wam padnę! – przerwał Brühl. – Proszę, błagam; ale hrabio, kochany hrabio, jam wasz! Wy nie zapominajcie o mnie! Wiecie, co mam na sercu.

– Kolowrathównę! – rzekł, śmiejąc się, Sułkowski. – *Grand bien vous fasse*<sup>84</sup>, będziesz ją miał! Masz matkę za sobą.

– Ale ona?

– O, nie lękaj się, nikt ci jej tu nie zbałamuci! Trzeba tak wielkiego męstwa, jak twoje, aby się ważyć na takie szczęście.

<sup>83</sup> *Pacta conventa* (łac.) – umowa o charakterze publiczno-prawnym między szlachtą w dawnej Polsce a nowo obranym królem. Układano ją na sejmie elekcyjnym, uzależniając wybór kandydata na króla od jej przyjęcia. *Pacta conventa* zawierały indywidualne zobowiązania elekta dotyczące zatwierdzenia praw i przywilejów szlachty, polityki zagranicznej, spraw finansowych, spłaty długów itp. Od wyboru Henryka Walezego w 1573 r. stosowano je przy każdej elekcji wraz z artykułami henrykowskimi. Po śmierci Batoiego różnica między *p. conv.* A artykułami henrykowskimi zanikała i *pacta conv.* obejmowały całą umowę króla ze szlachtą.

<sup>84</sup> *Grand bien vous fasse* (fr.) – to samo, co polskie: „Szczęść Boże”!

– Jedno i większe od tego mnie minęło – westchnął Brühl. Sułkowski poklepał go, śmiejąc się, po ramieniu.

– Niegodziwce – parsknął – albo się co we dworze ukryje? Ty to nazywasz stratą, co jest czystym zyskiem. Moszyński cię nienawidzi nie bez przyczyny.

Brühl zaprotestował gorąco, ręce podjął.

– Ale, mój hrabio!

– O, nie mówże mi tego! – przerwał mu Sułkowski. – Znacie się z Moszyńską<sup>85</sup> i w lepszej jesteście zgodzie, niż gdybyście się byli pobrali.

Brühl, nic nie mówiąc, ramionami ruszał.

– Serce moje ma Frania Kolowrathówna<sup>86</sup>.

– A ręka na ciebie czeka i nic, nic, nic! Stara ci ją sama wciśnie. I czas też Frani pod czepek, bo jej się strasznie oczy świecą.

– Jak gwiazdy! – krzyknął Brühl.

– Cóż powie Moszyńska na to?

Wtem Brühl jakby się ocknął, pochwycił znowu Sułkowskiego rękę.

– Hrabio – rzekł – nie zapominajcie o mnie u królewicza. Lękam się, czym mu dosyć okazał moją cześć i przywiązanie do niego, moje uwielbienie dla naszej świętej i czystej królewiczowej. Powiedźcie mu...

– Wy o nas nie zapominajcie u króla – dodał Sułkowski. – Ja o was nie zapomnę u mojego pana. Zresztą, nie tak to ty jesteś tam bez opieki, jak mówisz. O. Guarini cię nawraca, Kolowrathowa cię na zięcia sposobi; nie zaręczam, żebyś tam jeszcze nie miał kogo.

– A wszystko to niczym, jeśli was mieć nie będę – dodał Brühl. – Oddam Guariniego i Kolowrathową, i jeszcze coś w dodatku za jedną łaskę waszą.

– Tylko nie Moszyńską! – zawołał Sułkowski i śmiać się począł. – A teraz jedź, szczęśliwce, i kłaniaj się w Polsce wszystkim moim kompatriotom<sup>87</sup> niedźwiedziom.

– A kompatriotom? – zapytał Brühl.

– Jeśliby tam która o Sułkowskiego spytała... ale wątpię... Niemki wolę.

– I ja – dodał Brühl.

Byli już u drawi. Sułkowski go przeprowadzał.

– *Eh bien, á la vie et á la mort!*<sup>88</sup>

Scisnęli się za ręce. Brühl już biegł do powozu. Z dala widać było stojącego na dziedzińcu padre Guariniego, po świecku ubranego, w szaraczkowym, długim surducie, który, zakrywwszy prawą rękę lewą, żegnał nią na drogę. I ruszył Brühl za panem swoim do Warszawy.

## V

Było to w pierwszych dniach lutego 1733 roku. Z rana powrócił Fryderyk z łowów w Hubertsburgu, a z nim nieodstępny Sułkowski. Na wieczór przypadało przedstawienie w operze i nieporównana Faustyna śpiewać miała. Królewicz, jak ojciec, był wielbicielem jej głosu i wdzięków. Czarodziejka trzęsła dworem, tyranizowała swe współzawodniczki, wypędzała tych, co się nie mieli szczęścia jej podobać, a gdy raczyła podnieść głos, w sali było ciszej niż w kościele i kto by kichnął, mógł być pewien, że w niej śmiertelnego mieć będzie nieprzyjaciela. Grać miano *Cleofidą*. Fryderyk królewicz cieszył się zawczasu.

<sup>85</sup> Fryderyka M o s z y ń s k a (1719-1787) – córka Augusta II i hrabiny Cosel, żona podskarbiego Fryderyka Krystiana.

<sup>86</sup> Maria Anna (nie Franciszka) K o l o w r a t h ó w n a (1717-1762) – wyszła w 1838 r. za Brühla.

<sup>87</sup> K o m p a t r i o t a (z fr.) – współziomek, rodak.

<sup>88</sup> *Eh bien, á la vie et á la mort!* – dobrze więc, na życie i na śmierć!



Godzina była poobiednia. Odziany jedwabnym przepysznym szlafrokiem, królewicz, w fotelu z fajką siedząc, trawił z uczuciem tym błogim, jakie daje posłuszny żołądek i wytworna kuchnia.

Naprzeciw niego stał Sułkowski. Kiedy niekiedy królewicz spojrzał na przyjaciela, uśmiechnął się mu i nie mówiąc słowa, znowu dym wonny ciągnął. Przyjaciół a sługa patrzył z pociechą na ubłogosławionego pana, w milczeniu dzieląc się szczęściem jego.

Twarz młodego królewicza była rozpromieniona, ale z obyczaju i usposobienia, gdy był najszcześniejszym, mówił jak najmniej: dumał. Nikt nigdy nie dowiedział się, o czym. Czasami spuszczone głowa podnosiła się. Spoglądał, w Sułkowskiego jak w tęczę wlepiając oczy; Sułkowski odpowiadał mu wzrokiem i odzywał się.

– Hm, Sułkowski?!

– Jestem.

Kiwnął głową i na tym się kończyło. Kwadrans upływał, królewicz odmienił pytanie i wołał go po imieniu, po włosku, pieszcząco. Hrabia odzywał się, świadcząc o sobie, i znowu następowało wymowne milczenie.

Mówił bardzo rzadko, i to, gdy był zmuszonym, nie lubił nic niespodzianego. Życie powinno dlań było płynąć cichym korytem, jednostajnie, nieprzerwanie równym.

Poobiednie godziny, gdy nikogo nie przyjmował lub tylko poufale i najulubieńsze osoby, najmilsze mu były. Z rana musiał przyjmować, słuchać, stać, kłaniać się, podpisywać, czasem się dziwić, a niekiedy trochę pogńiewać. Po tych wysileniach spoczynek popołudniowy rozkosznym był wytchnieniem. Jeśli nie było teatru, wieczorem szedł do Józefiny, słuchał muzyki, marząc błogo, i wieczorą dzień się kończył. Nigdy mniej trudnego do zabawienia pana nie mieli dworacy. Starczyło mu, byle dzień jeden do drugiego był jak dwie krople podobny.

Właśnie poobiednia rozpoczynała się sjesta i królewicz fajkę palił już drugą, gdy Sułkowski, przez okno coś spostrzegłszy, chwilę się zawahał i powoli się skierował ku drzwiom. Czy królewicza poszły za nim.

– Sułkowski – odezwał się cicho.

– Natychmiast wracam – odparł, biorąc za klamkę, hrabia i wysunął się. W przedpokoju dwaj paziowie i służba czekała.

– Nikogo nie wpuszczać beze mnie! – odezwał się Sułkowski. Wszystkie głowy się skłoniły. Sułkowski wyszedł, przebiegł prędko wschody i we drzwiach stanął zdziwiony.

– Brühl, ty tu?!

Okręcony futrem, w czapce na uszach, śniegiem obsypany, zziębnięty, zmęczony stanął przed nim w istocie ulubieniec Augusta II, blade nieco i pomieszany. W dziedzińcu widać było powóz, którego konie okrywała buchająca z nich para; pocztylioni zmęczeni pozsiadali z nich i stali jak rozbici, ledwie się trzymając na nogach.

Na zapytanie Brühl nie odpowiedział nic, oczyma wskazywał tylko, że co najrychlej chce wnieść i spocząć. Przybycie to tak coś tajemniczego. miało w sobie, tak dziwnego, iż Sułkowski, mocno poruszony, co prędzej ku sali dolnej pośpieszył. Służba dworska, zobaczywszy Brühla, cisnęła się do niego, odprawiał ją skinieniem ręki; on tylko sam i Sułkowski weszli do gabinetu. Brühl szybko począł z siebie zrzucać ubranie. Hrabia stał, czekając choć słowa.

– Brühl, na miłość boską... z czym przybyłeś?

Jakby nie słyszał pytania, wszedł roztargniony Brühl do gabinetu i na pierwsze krzesło się rzucił, rękę sparł na stole, twarz była ułożona, aby wyrazić smutek i przerażenie. Przed nim stał ulubieniec królewicza z widocznym niepokojem i trochę niecierpliwością.

Duma nie dozwalała mu nalegać... Czekał, podparłszy się, obok.

Brühl wstał i westchnął, obejrzał się wkoło jakby z rozpaczą, załamał ręce i zawołał:

– Król a pan mój najmiłosierniejszy nie żyje!

Po twarzy Sułkowskiego jak błyskawica przeleciało wrażenie do określenia trudne, trwoga i radość zarazem; ruszył się, jak gdyby chciał już biec, i wstrzymał.

– Nie przybył przede mną żaden kurier z Warszawy?

– Nikt.

– Nie wiecie więc nic? Królewicz?

– Nie domyśla się ani przeczuwa – rzekł Sułkowski i powtórnie ruszył się, jakby iść chciał, a po namyśle zawrócił.

– Należy natychmiast oznajmić o tym królewiczowi – odezwał się. – Lecz jakże się to stało? Król był zdrow...

Brühl wzdychał ciężko.

– Szesnastego przybyliśmy do Warszawy – rzekł cicho. – Drogę mieliśmy niegodziwą, miejscami śniegi, to znowu roztopy i błoto. Król był znużony, zniecierpliwiony, ale zobaczywszy Warszawę, wyjaśniła mu się twarz nieco. Przodem wysłaliśmy kurierów, przyjęcie było świetne mimo szkaradnej pory, działa grzmiały, regiment wielkich muszkietierów wystąpił. Wyglądał wspaniale. Karetą zatrzymała się przed gankiem pałacu Saskiego. W chwili gdy król wysiadał, uderzył się o stopień w toż samo miejsce, które go zawsze dolegało, gdzie Weiss odjął mu wielki palec. Ujrzelśmy go zbladłym i opierającym się na lasce, dwóch paziów poskoczyło podać mu ręce i tak przyprowadziliśmy go do pokojów, w których go oczekiwało duchowieństwo, senatorowie i panie.

Król musiał natychmiast usiąść i żądał od marszałka, aby skrócono przyjęcie, gdyż czuje się znużonym.

Zaledwieśmy z nim weszli do sypialni, kazał natychmiast przywołać Weissa i lekarza skarżąc się, że czuje jakby ogień i wilgoć w nodze. Rozcięto but: pełen już był krwi. Weiss pobladł, noga nabrzmiała była i sina. Pomimo to...

– Skręć! – zawołał Sułkowski. – Królewiczowi donieść kto może o twym przybyciu. Brühl zbliżył się do niego.

– Hrabio – rzekł – zdaje mi się, że nim cokolwiek przedsięwzięmiemy, rozmówić się powinniśmy. Królewicz czule był przywiązany do ojca... To wrażenie, jakiego dozna... Czyż nie należałoby go przygotować?

– Przygotować? Jak?

– Jestem tego zdania – wyszeptał Brühl cicho – iż bez porady o. Guariniego i królewiczowej nic przedsiębrać nie należy.

Sułkowski spojrzał nań ze złe ukrytym nieukontentowaniem.

– Ale zdaje mi się – odparł – że królewicz w tym nie potrzebuje ani pomocy najjaśniejszej królewiczowej, ani duchownej pociechy spowiednika.

– Ja bym sądził... – rzekł zmieszany Brühl i spojrzał na drzwi. Otwierały się one właśnie i o. Guarini wchodził. Skąd się dowiedział tak rychło o przybyciu Brühla, trudno się było domyślić. Szedł ku niemu milczący, z twarzą smutną mimo zwykłego jej wyrazu, który mu trudno było pokryć: otworzył ręce szeroko, jakby go chciał uścisnąć. Brühl byłby może jedną z tych rąk ucałował, gdyby nie świadek niepotrzebny. Postąpił krok tylko i skłaniając głowę, rzekł:

– Król nie żyje!

– *Evviva il re!*<sup>89</sup> – odpowiedział cicho Guarini, podnosząc oczy do góry. – Wyroki boskie są niezbadane. Wie już królewicz?

– Nie jeszcze – rzekł sucho Sułkowski, który na księdza rzucił wzrokiem niezbyt przyjaznym ani nawet tak pokornym, jak Brühl i drudzy. Guarini też jakby z umysłu nie zwracał się ku niemu.

– Życzeniem moim jest, oszczędzając o ile możności królewicza czułość – dodał Brühl – naradzić się z najjaśniejszą królewiczową.

---

<sup>89</sup> *Evviva il re!* (wł.) – niech żyje król!

Guarini skłonił głowę, a Sułkowski nieznacznie ramionami ruszył i na Brühla rzucił przelotne wejrzenie, wyrażające niezadowolenie.

– Idźmy więc wszyscy do pani – rzekł sucho – bo chwili nie ma do stracenia.

Brühl spojrzał na swój ubiór podróżny.

– Nie mogę się tak przedstawić – odparł. – Idźcie wy, panie hrabio, z ojcem Guarinim; ja suknie każę przynieść do zamku i przebrać się muszę.

Sułkowski w milczeniu przyjął ten wniosek; o. Guarini, potwierdzając go skinieniem, zwrócił się ku drzwiom. Brühl padł na krzesło, jakby się na nogach utrzymać nie mógł.

Dosyć niechętnie wysunął się za jezuitą Sułkowski, zostawiając za sobą Brühla, który się spał na rękę i zadumał.

Dumanie to i spoczynek wszakże nie trwały, tylko tyle czasu, ile potrzeba było, ażeby oba wysłańcy znikli w ciemnych przejściach pałacu; Brühl podniósł się żywo, prędko podbiegł ku drzwiom, otworzył je i okiem rzucił po sieni.

Kamerdynier stał, jakby na rozkazy czekając.

– Proszę wezwać pазia Berlepscha do mnie, a żywo...

Ruszył się posłuszny sługa, a w pięć minut z pośpiechem wielkim i zadyszany wbiegł chłopak w mundurze paziów królewicza.

Brühl, stojący u drzwi, położył mu rękę na ramieniu.

– Berlepsch, ufasz mi, spodziewam się; nie pytaj, jak i dlaczego, dostań się do pokoju królewicza i na własną odpowiedzialność, rozumiesz mnie: na własną odpowiedzialność, wypapłaj się, że Brühl przyjechał. Ale prędko! Jeśli co przeszkodzi ci, to się już na nic nie zdało.

Roztropny chłopiec spojrzał w oczy mówiącemu, klamki nie puszczając z dłoni, nie odpowiedział słowa i wyszedł. Brühl na wszelki wypadek znać siadł u stołu i w rękach głowę zanurzył.

Cicho było dokoła, lecz najmniejszy szelest wywoływał w nim drgnienie. Na górze poruszyło się żywiej, po wschodach słyсhać było żywe kroki: zbliżyły się one do drzwi i męczyzna młody jeszcze, pięknej twarzy, na której szyderstwo i ironia się wypiętnowały wyraźnie, ukazał się w progu. Zobaczył Brühla i, powitawszy go dziwnie jakoś satyryczną ekscelencją, odezwał się:

– Najjaśniejszy królewicz, przypadkiem uwiadomiony o przybyciu waszym, żąda, abyście natychmiast przynieśli mu depesze. Brühl udawał zmieszanego.

– Nie jestem ubrany.

– Jak stoicie.

– Czy takie są rozkazy?

– Co do słowa.

Spojrzawszy jeszcze na swój strój, Brühl ruszył się jakby zmuszony, nie mogąc utaić w twarzy się malującego pewnego zadowolenia. W milczeniu szli oba na górę.

Otworzono drzwi, Brühl wszedł powoli ze smutkiem tak wyraźnym na licu i postawie, że królewicz, który jeszcze fajkę palił w fotelu, upuścił ją z rąk i powstał. W tej chwili zamknęły się drzwi i Brühl padł na kolana.

– Przynoszę Waszej Królewskiej Mości najsmutniejszą nowinę i pierwszy składam hołd u stóp nowego monarchy. Król a pan nasz najmiłościwszy nie żyje...

Fryderyk stał przez chwilę jak ośłupiały. Zakrył sobie oczy. Chwila milczenia była z obu stron. Brühl klęczał, Fryderyk dał mu rękę do pocałowania i wskazał, aby się podniósł.

– Brühl, kiedy się to stało? Jak się to stało?

– Dnia 1 lutego skonał król August Wielki na rękach moich, mnie powierzył ostatnią swą wolę, mnie oddał klejnoty koronne i papiery sekretne. Korony i precjoza<sup>90</sup>, i droższe nad nie akta przywożę sam i składam u nóg Waszej Królewskiej Mości.

---

<sup>90</sup> P r e c j o z a (z łac.) - kosztowności.

Fryderyk podał mu rękę do pocałowania, Brühl schylił się, o mało nie pokłękł znowu i udał, że płacze: chustką okrywając oczy, zanosił się. Królewicz sięgnął także po chustkę i naprawdę po ojcu, którego kochał i czcił, rzewne łzy zaczął.

– Mów mi, Brühl, jak się to nieszczęście stało! – zawołał cicho.

Cichym głosem, przemagając wzruszenie, zaczął opowiadać przybyły: przyczynę choroby, przebieg jej cały, przytomność króla, stoicyzm i spokój, z jakim umierał. Na ostatek dobył z wielką pieczęcią list ostatni i złożył go na kolanach królewicza, który skwapliwie rozerwał kopertę. Był on pisany obcą ręką, podpis nawet widocznie cierpienie zmieniło, ale królewicz do ust go przyłożył. Pismo zawierało pożegnanie, błogosławieństwo i polecenie synowi najwierniejszego, najlepszego ze sług, oddawcę ostatniej woli. Królewicz spojrzał na Brühla i westchnął.

– Stanie się zadosyć żądaniu i radzie niezapomnianego rodzica!

I rękę podniósł do góry.

List jeszcze na kolanach leżał roztwarty, Brühl stał w progu jeszcze, gdy wewnętrzne drzwi, do komnat królewiczowej prowadzące, otworzyły się i czarno ubrana Józefa, Sułkowski, ojciec Guarini procesjonalnie weszli. Jakież było zdziwienie ich, widząc królewicza we łzach, u drzwi Brühla w ubraniu podróżnym, a na kolanach ów list ostatni rozpieczętowany.

Fryderyk, łkając jeszcze, rzucił się w objęcia żony, która płakała, ale wedle prawideł hiszpańsko-austriackiej etykiety, która i formę żalu, i wyraz boleści przepisywała panującym i ich otoczeniu.

Sułkowski rzutem głowy dał poznać Brühlowi swe nieukontentowanie, zbliżył się doń i szepnął:

– Mielicie czekać na nas.

– Królowi ktoś zdradził tajemnicę mojego przybycia; zawołano mnie: musiałem być posłusznym.

– Kto?

– Watzdorf.

Sułkowski zdawał się sobie notować to imię w pamięci.

Ciekawy obraz stanowiły zgromadzone tu osoby, wśród których prawdziwy żal tylko rysy królewicza wyrażały. Nawykły czcić ojca, przywiązany do niego, przejęty jeszcze i stratą, i jakąś obawą ciężaru, jaki nań spadał, Fryderyk miał twarz zmienioną. Zwykle wypogodzona i spokojna, wykrzywiona była płaczem i bólem, który tać się nie myślał. Żal królewiczowej Józefiny był przybrany więcej niż rzeczywisty, a wiele uczuć i myśli z nim się mieszało. Na chwilę nie opuściła ją pamięć na swą godność i etykietę; Sułkowski był zadumany ponuro jak ten, który przychodzi do władzy i rachuje, jak z nią ma poczynać. Wielka pewność siebie nie opuściła go nawet wobec pani, której winien był poszanowanie. O. Guarini załamane trzymał pobożnie ręce pod brodą, głowę spuszczoną, oczy przymknięte, twarz skrzywioną wyrazem, który nadto dobrze odpowiadał chwili, aby nie był nieco wystudiowany. Brühl, nie zapominając o tym, iż powinien być pogrążony w boleści, nie mógł się wstrzymać od biegania ukradkiem oczyma po twarzach, a najczęściej spoglądał na Sułkowskiego. Zdawał się mierzyć oczyma współzawodnika.

Gdy królewiczowa kilku słowami pociechę starała się wlać w męża, pogrążonego jeszcze w żalu, Sułkowski, nie wyczekując dłużej, ośmielił się, zbliżywszy, podać radę, aby zwołać najwyższych dostojników i dać znać uderzeniem we dzwony miastu i krajowi, że straciły Wielkiego Augusta.

Józefa spojrzała na natrętnego doradcę z pewnym wstrętem, szepnęła mężowi coś, podała rękę i z całym majestatem swym skierowała się ku drzwiom z o. Guarinim, idącym za nią w tej samej postawie, w jakiej go przed chwilą widzieliśmy.

Miedzy pozostałymi panowało milczenie. Brühl na rozkazy czekał. Królewicz dawać ich nie śmiał; Sułkowski, najśmielszy, poruszał się z pewną niecierpliwością. Fryderyk miał

jeszcze twarz zakrytą chustką. Korzystając z tej bezwładności jego, Sułkowski wskazał Brühlowi, by wyszedł. Oczy jego padły już były na list Augusta i odgadły go więcej, niż przeczytały.

Zawahał się zrazu przybyły, lecz wprędce chwycił za klamkę. Wyjścia jego nie posłyszał Fryderyk. Zostali sam na sam z Sułkowskim. Jakby przeczuwszy to, odjął chustkę od oczu królewicz i obejrzał się po pokoju.

– Gdzie Brühl?

– Wyszedł.

– Niech nie odchodzi. Każ mu być tu, proszę!

Sułkowski chciał się sprzeciwić, ale nie śmiał; wychylił się za drzwi, szepnął coś i powrócił.

– Trzeba po królewsku i po męsku znieść, co Bóg zesłał – odezwał się w tonie poufałym. – Królowie nie mają czasu oddawać się smutkom.

Fryderyk ręką rzucił tylko.

– Tajna rada zbierze się natychmiast...

– Więc idź i przewodnicz jej, ja nie mogę – rzekł królewicz. – I niech tu przyjdzie Brühl.

– Ale do czegoż tu Brühl potrzebny? – szepnął z wymówką Sułkowski.

– On? Na jego rękach skonał król mój i ojciec, ostatnie tchnienie jego on przyjął. Ojciec mi go polecił, ja chcę go mieć: niech przyjdzie.

– Posłano już po niego – poruszając ramionami odezwał się Sułkowski, nie tając niecierpliwości.

– Ale nie gniewajże się, Józku – płaczliwie dodał Fryderyk. W chwili gdy to mówił, dzwony kościołów stolicy saskiej ozwały się wszystkie jękiem żałobnym. Królewicz padł na kolana i modlić się zaczął, Sułkowski poszedł za jego przykładem. Jedne po drugich odzywały się dzwony i zlewały w ponury chór, któremu szmer i wrzawa miasta rozbudzonego żałobną nowiną towarzyszyła.

## VI

Właśnie gdy się to działo w pałacu królewicza, za kulisami opery przygotowywano przeznaczoną na ten dzień i niecierpliwie oczekiwaną, choć tylekroć powtarzaną, *Cleofidę*. Przepych, z jakim odegrywano te świetne sztuki, w których nieraz występowało po sto koni, wielbłądy i niezliczone tłumy komparsów<sup>91</sup> w świetnych strojach Wschodu, czarowna maszyneria teatru zwabiały doń przynajmniej tylu widzów, co zachwycający głos *signory* Faustyny Bordoni.

Faustyna, pierwsza śpiewaczka swego czasu, słynna zwycięstwem nad równie znakomitą Cuzzoni, była tu primadonną w całym znaczeniu tego wyrazu: na scenie, za kulisami i daleko dalej, niżeli one sięgały. Signora Bordoni, choć nosiła imię wielkie pierwszego kompozytora owej epoki, Jana A. Hasse, mogła być o nim zapomnieć. Małżeństwo to nazajutrz po ślubie rozerwał rozkaz króla, który muzyka wyprawił na studia w klasycznej Włoch ziemi.

Gdy powóz, wiozący Brühla i smutną wieść o zgonie Augusta Mocnego, zbliżał się do zamku, Faustyna siedziała w swym saloniku, urządzonego dla niej przy scenie, i zrzucawszy z siebie kosztowne futro, ziewając zabierała się wydawać rozkazy.

Primadonna nie była pierwszej młodości, ale mimo swej włoskiej krwi, która tak prędko wykwita i przekwita, umiała zachować całą siłę głosu, cały wdzięk postaci i piękność rysów twarzy Junony<sup>92</sup>, jaką ją obdarzyła natura. Nie było to wdzięczne a delikatne stworzenie ani

<sup>91</sup> K o m p a r s (z fr.) – aktor grający niemą rolę, statysta. *S i g n o r a* (wł.) – pani.

<sup>92</sup> J u n o n a – żona króla bogów rzymskich, Jowisza.

eteryczne zjawisko, co zdaje się jak mara powietrzna roztopiać w mgłach i blaskach, ale silna, wspaniała, majestatyczna postać o posagowych kształtach, jakby energicznym dłutem Michała Anioła<sup>93</sup> wykutych z jednej bryły.

Nieposzlakowana piękność równała głosu potędzie. Wszystko w niej było z jej charakterem zgodne i harmonijnie równe: głowa bogini, co skinieniem brwi Olimpem<sup>94</sup> wstrząsa, popiersie nimfy, ręka bachantki, postawa amazonki, nóżka i rączka księżniczki, włos czarny, bujny jak grzywa arabskiego konia... W twarzy mimo klasycznej piękności rysów więcej było grozy i siły niż słodyczy. Czarne brwi, nieco za wyraziście zarysowane, marszczyły się często, nosek rozdymał gniewem i usta różowe błyskały zębami jak groźbą. W całej niej znać było nawykłą do panowania, do hołdów, do rozkazywania istotę, która się nie lękała oczów królewskich i pioruny ciskała nawet na koronowane głowy.

Salonik był strojny wykwiłtnie, cały biały ze złotem, sprzęty niebieskim pokryte atłasem, a koronkową zasłoną obwieszona toaleta świeciła porcelaną i srebrem. Szafy do strojów okryte były brązami, od sufitu porcelanowy pajak wisiał jak kosz kwiatów.

Dwie sługi stały u drzwi gotowe na rozkazy. Po rysach ich poznać było łatwo Włoszki, które nawet malowniczego swego opięcia włosów nie porzuciły, srebrnymi iglicami ujętych. Faustyna spojrzała na zegar, stojący w kącie... rzuciła się na sofę, na pół leżąc, pół siedząc i bawiąc się jedwabnymi sznurami domowej swej sukni, szerokiej, w kwiaty, w której przenieść się kazała do teatru.

Sługi stały milczące. Zapukano do drzwi. Faustyna nie poruszyła się, spojrzała tylko i półśmiechem powitała ukazującą się w nich twarz pięknego młodego mężczyzny.

Był to sopran Angelo Monticelli, który przybywał pokłon i cześć oddać królowej. W nim także typ włoski łatwym był do poznania na pierwszy rzut oka; lecz o ile Faustyna energię włoską i żywość wcieliła w siebie, o tyle on przedstawiał wdzięk prawie niewieści. Młody, dziwnie piękny, z włosami czarnymi, długimi, spadającymi na ramiona, przeznaczonym się zdawał na rolę *innamorati*<sup>95</sup>, na bogów i kochanków. Żaden starożytny Apollo, w zachwycie grający na lirze, nie mógł być nad niego piękniejszym. Tylko dumy i śmiałości bożka mu brakło: pokornym był i uniżonym do zbytku.

Złamał się wpół, oddając pokłon obojętnej Faustynie, która nie przestawała bawić się sznurami swej sukni i ledwie mu główką skinęła. Nogi jego, wyłamane jak do tańca, nawet za kulisami nie zapomniały o swych obowiązkach.

– Angelo! – zawołała Faustyna. – Biegasz za tymi obrzydliwymi Niemkami... wiem, wiem. Stracisz głos i młodość. Pfe, jak można w Niemce widzieć kobietę! Spójrzże na ich ręce i nogi.

– *Signora!* – rękę kładąc na piersi, odparł prostujący się Angelo, rzucając wzrok w zwierciadło, bo trochę kochał się w sobie. – *Signora, non é vero!*<sup>96</sup>

– Tak, powiesz mi dla wymówki – śmiejąc się przerwała Faustyna – że one biegają za tobą.

– I to nie: ja tęsknię za włoskim niebem, włoskimi twarzami i sercem Włoszki... ja tu usycham.

Faustyna spojrzała nań, a ręką dała znać dziewczętom służebnym, ażeby odeszły.

– *Ingrato*<sup>97</sup> – szepnęła cicho. – Pieścimy cię wszyscy i jeszcze ci źle.

Potem oczy zwróciła na sufit, ziewnęła i zdawała się nie chcieć widzieć pożerającego ją wzrokiem Monticellego.

– Jest już Albuzzi? – spytała.

<sup>93</sup> Michał Anioł Buonarroti (1475-1564) – sławny włoski malarz, rzeźbiarz architekt i poeta.

<sup>94</sup> Olimp – najwyższa góra w Grecji, mityczna siedziba bogów greckich.

<sup>95</sup> *Innamorati* – zakochani.

<sup>96</sup> *Signora, non é vero* (wł.) – pani, to nieprawda!

<sup>97</sup> *Ingrato* (wł.) – niewdzięczny.

– Nie wiem.  
– Żebyś ty o Albuzzi nie wiedział, cha, cha!  
– Wcale mnie ona nie obchodzi.  
– Gdy mówisz ze mną! Ale ja o nią nie jestem wcale zazdrosna ani o twoją Apollinową piękność; tylko, tylko jej nie cierpię i ciebie, Angelo, nienawidzę...

– Za co?  
– Za to, że jesteś nienawiści godny, żeś lalka, żeś bałamut. Spójrz na zegar i idź się ubierać.

We drzwiach ukazała się nowa twarz. Był to otyły, silnie zbudowany, wesołego oblicza, ruchów żywych Puttini.

– Moje najgłębsze uszanowanie ekscelencji! – zawołał. – Ale . przepraszam, może przerywam duet...

Spojrzał na Angela.

Faustyna się rozśmiała ruszając ramionami.

– My tylko na scenie śpiewamy duety – dodała – ale wy wszyscy dziś myślicie się spóźniać! Do ubierania!

I ruszyła się z sofy. Angelo także posunął się ku drzwiom, Puttini stał i śmiał się.

– Ja się nie opóźnię: trykoty moje leżą gotowe, a reszta stroju nie zabawi.

Drzwi się rozpadły z łoskotem i mężczyzna w czarnej sukni, w trzewikach i w pończochach, w peruce gładkiej, twarzy pucołowatej, małego nosa, czoła niskiego, wbiegł jakby przestraszony.

Sama postać jego już zwiastowała coś niezwykłego; Faustyna, która się ognia lękała zawsze, krzyknęła przeraźliwie:

– Matko Najświętsza, ratuj! Gore! Gore!

– Gdzie? Gdzie?

Tymczasem ów poseł stał niemy i jakby osłupiały. Był to Klein, jeden z muzyków orkiestry, wielki Faustyny głosu wielbiciel, przyjaciel Włochów i zapalony meloman<sup>98</sup>.

Imię mu było Jan jak większej części Niemców. Faustyna go na Giovanniego przerobiła i dała mu przydomek Piccolo<sup>99</sup>.

– Piccolo? Czyś oszalał! Co tobie? – zawołała.

– Król umarł! Król August Wielki umarł w Warszawie!!

Na te słowa Faustyna krzyknęła przeraźliwie, zasłaniając oczy, a wszyscy stanęli niemi. Drzwi za wchodzącym Kleinem zostały otwarte i tuż wtaczać się zaczęło, co żyło w teatrze. Większa część artystów, mających grać w *Cleofidzie*, już na pół była ubrana. Albuzzi wbiegła, nie mając czasu zasłonić odkrytego popiersia ani narzucić nic na najpierwsze ubranie. Piękność jej uderzała nawet przy Faustynie, lecz wszystko w niej było zdrobniałe, a żywość tylko tym większa.

Za nią z jasnym włosom Catharina Piluja i cała czereda Włochów i Francuzów, w sukniach ponarzucanych ledwie, z twarzami przestraszonymi, których połowę róż, a pół jeszcze błądź okrywała. Wszyscy się cisnęli do Faustyny, zbijali w kupę i powtarzali na wszelkie możliwe głosy: – *Il re e morto!*<sup>100</sup>

Nie można było się zrozumieć ni usłyszeć w tym gwarze słów i wykrzyków. Na twarzach widać było przerażenie więcej niż boleść. Mówili razem wszyscy, tylko Faustyna milczała, wcale się nie zdając tak bardzo rażoną tą wiadomością.

Ku niej jako ku wyroczni zwracały się oczy i uszy, czekano, co powie; lecz Bordoni snadź w tym tłumie nie chciała się wydać z tym, co myślała.

Dzwony odzywały się w całym mieście.

<sup>98</sup> M e l o m a n (z gr.) – miłośnik muzyki.

<sup>99</sup> P i c c o l o (wł.) – mały.

<sup>100</sup> I l r e e m o r t o (wł.) – król umarł!

– Teatru nie będzie, wszyscy do domów! – zawołała rozkazująco.  
Ale jej nie posłuchano, stali jak wkuci przybyli, smutni i przerażeni.  
– Wszyscy do domów! – powtórzyła Faustyna. – Nie mamy tu co robić, a pewno nierychło grać będziemy.

Sama też zbliżyła się do sofy i zdawała chcieć ubierać do wyjścia. Jeszcze raz zwróciła się z twarzą rozkazującą i ręką ukazała drzwi. Smutny tłum poczynął się rozplýwać i wychodzić szmerząc. Albużi zamyślona stała przed zwierciadłem chwilę, spojrzęła przez ramię na Faustynę i z wolna wyszła z innymi.

Jak tylko drzwi się zamknęły za ostatnim z tych nieproszonych gości, Bordoni rzuciła się na sofę. Zdawała się nie widzieć podżyłego mężczyzny, który stał na uboczu i poglądał przez okna na ciemność.

Kaszlnięcie dało jej znać o nim.

– A! To wy?

Był to Hasse, z imienia mąż Faustyny.

– Tak – rzekł obojętnie Niemiec czystą i piękną włoszczyzną.

– O czym myślicie? Czy już żałobne *Requiem*<sup>101</sup> piszecie dla nieboszczyka?

– Prawieście odgadli – rzekł, poprawiając peruki, kompozytor. – Myślałem, czy msza, którą ułożyłem dawno, *Sulla morte d'UN eroe*<sup>102</sup>, przypadnie dla naszego pana. Muzyk jestem i wszystko u mnie, nawet żal, w muzykę się obraca.

– A w co my się teraz obrócimy? – westchnęła Faustyna.

– *Chi lo sa?*<sup>103</sup>.

Milozeli. Hasse chodźł, ręce włożywszy w kieszenie, z głową spuszczoną. Stanął potem przed żoną.

– Nie mamy się czego lękać – rzekł spokojnie. – Hassego niełatwo kto zastąpi, choćby i Porpora<sup>104</sup>. Faustyny – nikt.

– Pochlebco – rzekła Włoszka. – Hasse stary będzie śpiewać lepiej jak za młodu, a Faustyny głos jak wypalona świeca, co wielkim płomieniem gorzała... jednego ranka zagaśnie.

– Nie tak prędko – odpowiedział zamyślony Niemiec. – Wy to lepiej wiecie ode mnie.

– Ale nowy pan, ten cłchy, spokojny, pobożny, skromny, zawojowany przez cesarzównę pan nasz, czy zechce...

Hasse się rozśmiał.

– *E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina*<sup>105</sup>.

– *Chi lo sa?* – szepnęła zadumana. – Gdyby nim nie był, trzeba go uczynić takim.

Promień myśli jasnej przebiegł po jej czole.

– Biedny stary August nie żyje – rzekła zniżając głos. – Rada bym mu piękna powiedzieć mowę pogrzebową, a nie potrafię.

Hasse ramionami ruszył.

– Mów pogrzebowych mu nie zbraknie – rzekł głosem prawie niedosłyszonym – ale przyszłość inny o nim wyrok wyda. Wspaniałym był tyranem i żył dla samego siebie. Saksonia odetchnie może.

– Jesteście niesprawiedliwym! – zawołała Faustyna. – Mogłaż być kiedyś szczęśliwszą, świetniejszą, słynniejszą?... Blask od tego bohatera padał na nią.

Hasse boleśnie się uśmiechał.

<sup>101</sup> *Requiem* (łac.) – tu: śpiew i muzyka do mszy żałobnej.

<sup>102</sup> *Sulla morte d'un eroe* (wł.) – na śmierć bohatera.

<sup>103</sup> Zob. przypis 22.

<sup>104</sup> Mikołaj Antoni Porpora (1686-1766) – kompozytor włoski.

<sup>105</sup> *E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina* (wł.) – jest fanatykiem muzyki, jest fanatykiem Faustyny.



– W loży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał, cały brylantami okryty; ale kraj łzami te diamenty opłacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreźnie, a jęki po Saksonii i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Faustyna się porwała oburzona.

– Tace, milcz! – zawołała. – Nie dam ci nic mówić na niego. Brzydka zazdrość odzywa się z ciebie.

– Nie – rzekł Hasse spokojnie, patrząc na nią. – Całą moją miłość pochłonęła muzyka, a piękną Faustynę ukochałem w jej głosie i starczyło mi, gdym go słyszał lub nawet marzył o nim. Faustyna nie mogła widzieć króla inaczej, i ja milczę.

Hasse począł się przechadzać zamyślony, gdy drzwi uchyliły się i wnet zamknęły. Wchodzący za ledwie się w nich ukazał i cofnął natychmiast, ale Faustyna miała go czas zobaczyć, poznać i zawołała, aby wszedł.

Z pewnym wahaniem usłuchał rozkazu. Był to ten sam Watzdorf, który Brühlowi przyniósł rozkaz królewicza... dziwna twarz dworaka, przenikająca oczyma, śmiejąca się ironią, nielitościwa szyderskim wyrazem; ruchami i postawą przyponinał zbira na maskaradzie.

– Myślałem – odezwał się, wchodząc i uśmiechając do Faustyny – że jeszcze nie wiecie nic?

– Dzwony przecież obwieściły to miastu i światu – mówiła Włoszka, zbliżając się do niego z ciekawością.

– Tak, ale dzwony zupełnie jednakowo jęczą i radują się na pogrzeb i wesele; mogliście więc sądzić, że która z księżniczek urodziła się i że się nam radować każą.

Ruszył ramionami.

– Biedny król! – westchnęła Faustyna.

– A! – pochwycił złośliwie Watzdorf. – Żył dużo, miał trzysta co najmniej kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naścinał głów dosyć... czyż nie czas było odpocząć?

Nikt nie śmiał mu przerwać, Hasse tylko nań spojrział ukradkiem.

– Cóż teraz będzie? – spytała Włoszka.

– Mieliliśmy operę *Il Re Augusto*, wystąpi może inna z nowym tytułem i nie lepsza. Pierwsze w niej role grać będą: córka Cezarów, parde Guarini, padre Salerno, padre Vogler i padre Kopper, a w dodatku jaki *frate*...<sup>106</sup> nazwiska nie zgadnę. Faustyna śpiewać im będzie, jak śpiewała; Hasse pisać, jak pisał opery. Gorzej z nami, komparsami dworu, gdy pierwsze role obejmą pазie z całego świata i lokaje ze wszystkich dworów.

Hasse, który słuchał, skłonił się i cicho szepnął:

– Dosyć! Dosyć! A nuż kto pode drzwiami! Nam tego nawet słuchać niebezpieczno.

Watzdorf ruszył ramionami.

– Gdzież pan był w marcu przeszłego roku? – zapytała niby roztargniona Faustyna.

– Ja? w marcu? czekajcie... No, nie wiem.

– Znać chyba, żeście nie byli w Nowym Rynku, gdy na nim prezentowano smutny dramat majora d'Argelles.

Watzdorf milczał nie przerywając.

– Wiecie, ten d'Argelles, co to tak ostrą mówił prawdę czy potwarz, nie oszczędzając nikogo, co je pisał i rozsiewał. Ja miałam okno naówczas i patrzyłam. Żał mi było biedaka: wydali go Francuzi, bo niegdyś służył on u nas. Postawili go pod pręgierzem wysoko wśród tłumów ludu. Kat nad głową złamał mu szpadę i rzucił pod nogi, dał mu dwa policzki, aż krew się ustami rzuciła i garść paszkwilów<sup>107</sup> wetknął mu w gębę. Płakałam, patrząc na biednego człowieka. Siedzi w Kaspelhauzie w Gdańsku z ogoloną głową, aż się śmierć nad nim zlituje.

<sup>106</sup> *F r a t e* (wł.) – braciszek zakonny.

<sup>107</sup> *P a s z k w i l* (z wł.) – zjadliwe pismo oszczerce, przeważnie bezimienne.

– W istocie to ciekawa historia, *signora* Faustina – odezwał się szydersko Watzdorf.—Ale wiecie, kogo ja więcej żałuję niż majora d'Argelles? Tego, który się tak okrutnie i niehumanie mścił na nim.

To mówiąc, Watzdorf spojrział na Włoszkę nieulekły wcale.

– *Signora* Faustina – rzekł – teraz następuje żałoba, będziecie mieli czas odetchnąć i głos nastroić tak, aby nowego pana oczarować, a królować mu, jakeście nad nieboszczykiem królowali. A wiecie, co ja wam powiem?... To będzie daleko łatwiejsze. August Wielki był największym z bałamutów; ten lubi spokój i pali zawsze z jednej fajki. Gdy mu podają nową, głową wstrząsa i gdyby mógł, a chciał, toby się gotów rozgniewać.

Rozśmiał się Watzdorf.

– Więc – dodał – jam tu niepotrzebny, wy już o wszystkim wiecie, a mnie czas myśleć na jutro o żałobie. Jeśli nie może w niej chodzić serce, niech się ubierze ciało: nikt głęboko nie zajrzy.

– Zapomniałem – rzekł nagle, zwracając się od drzwi do Faustyny – jakże jesteście z Sułkowskim? Jutro on na tron wstępuje i jutro Brühl albo pojedzie do Turynii<sup>108</sup>, albo przystanie do niego za lokaja, ażeby mu dobrowszy godziny, nogę podstawić... Brühl z ojcem Guarinim są w najczulszych stosunkach.

Hasse syknął. Watzdorf nagle dłonią zakrył usta.

– Czy nie wolno? Milczę. Faustyna była zmieszana.

– *Signora* – rzekła, zbliżając się do niego – jesteście niepoprawni. Tu, z nami, nic wam nie grozi.

Palec położyła na ustach.

– Ja się nie lękam gróźb żadnych – westchnął Watzdorf. – Ambicji innej nie mam, oprócz bym został zawsze uczciwym człowiekiem, a jeśli mnie wsadzą do Königsteinu, nie będę narażony na pokuszenie. A i to coś znaczy.

– O, bogdajbyś nie był prorokiem! – rzekł Hasse składając ręce. – Myślcie, co chcecie, lecz mówić...

– Cóż bym miał za zasługę z myśli, gdybym jej między ludzi nie rzucał... – odpowiedział już we drzwiach Watzdorf. – A zatem dobrej i najlepszej nocy państwu!

I zniknął.

– Nie ma wątpliwości – odezwał się Hasse – że skończy tam, gdzie powiedział; może tylko, jeśli celi nie ma wolnej w Königsteinie, dostanie się do Sonnensteinu lub Pleissenburga.

I westchnął, a Faustyna mu odpowiedziała westchnieniem.

## VII

Nazajutrz, kto by się był wpatrzył w fizjognomię miasta, na które od dnia wczorajszego spadła żałoba, zaledwie by w niej dostrzegł oznaki żalu, ale niepokój był wielki i ciekawość silnie rozbudzona.

Około zamku i pałacu na Taschenbergu krążyły ostrożnie kupki ludzi, usiłując odgadnąć, co się wewnątrz działo. Widać było ruch niezwykle, ale porządek w zaciąganiu wart, gwardii i szwajcarów pozostał niezmieniony. Karety z zapuszczonymi oknami i zakryte lektyki przebiegały miasto w różnych kierunkach. Ruch ten był cichy jakiś i jakby stłumiony. Uroczyste i urzędowe oznaki żałoby jeszcze się były nie rozpoczęły, a serdecznego smutku na twarzach znać nie było. Na każdego wyjeżdżającego kuriera spoglądał tłum z ciekawością i

---

<sup>108</sup> T u r y n g i a - obecnie pd.-zach. część Niemieckiej Republiki Demokratycznej

domysłami, gonił go oczyma i szeptało sobie, dokąd i po co mógł być posłanym. Nie śmiano jednak mówić głośno... Königstein był blisko i u steru, jak się zdawało, pozostać mieli ciż sami ludzie, myśl ta sama, bo królewicz, a dzisiejszy kurfirst, nadto czczył ojca, ażeby chciał co odmieniać; nadto mu był posłuszny nawet po zgonie, aby się ważył coś począć z siebie, i nadto był przyjacielem spokoju, żeby zmianami chciał sobie ściągać kłopoty. Domyślano się tylko, że Brühl padnie, a Sułkowski się podniesie nad wszystkich, a jakie będą rządy nowe – tego nikt odgadnąć nie umiał.

Brühl już naówczas zamieszkiwał kamienicę w Nowym Rynku. Koło niej było cicho. Wiedzano tylko, że on wczoraj odwiózł klejnoty, korony, precjoza i całą tajną królewską kancelarię. Co się działo na zamku i w pałacu na Taschenbergu, o tym z ulicy tylko po przebiegających i przejeżdżających sądzić było można. Powozy zajeżdżały i odchodziły, lektyki się mijały, posłańcy krzyżowali.

Cały dzień spłynął tak w zagadkowej ciszy i pozornym spokoju. Pomniejsi urzędnicy wypatrywali znaków na ziemi i niebie, komu się kłaniać, a na kogo pluć mieli.

Hennicke, powiernik Brühla, były ów lokaj, którego i teraz, gdy się już radcą zwał, po cichu jeszcze tym imieniem mianowano, siedział z rana w swoim domu, przytykającym do Brühlowskiego na nowym Rynku.

Za owych czasów, gdy jeszcze ani marzył, do jak wysokich dojdzie zaszczytów, Hennicke ożenił się był z prostą dziewczyną służebną, która naówczas nie miała za sobą nic oprócz trochę młodości i wdzięku. Dziś, gdy oboje znikło, pani radozynie Hennicke, dobra zresztą kobieta, była utrapieniem dla męża, bo się z nią pokazać nie mógł, tak jawne nosiła w ruchach i obejściu się całym ślady pierwotnego pochodzenia. Mimo przywiązania swego do męża i pana męczyła go gadatliwością i drobnostkami. Właśnie się jej pozbywszy, ziewał podparty na łokciu, gdy do jego mieszkania wszedł, nie oznajmiając się wcale, szybko i niespodzianie mężczyzna dosyć przystojny, śmiały, znać było dworak, ubrany wykwintnie, choć już cały w czerni, średniego wieku i żywych i roztropnych oczów.

Z twarzy nic wnioskować nie było można, oprócz że mu na bystrości nie zbywało i na przebiegłości, jakiej wymaga życie wśród wiecznie krzyżujących się intryg, które jak koła mijających się wozów pochwycić i zgnieść mogą człowieka. Wchodzący rzucił kapelusz na krzesło, dobył tabakierczkę z kieszeni i zażył z niej szczyptę, podając ją na przywitanie Hennickemu, który nań ciekawie spojrzał.

– No, jakże myślisz: co będzie? – zapytał przybyły, zamykając tabakierczkę i wsuwając ją do kamizeli.

– Nic nie myślę, czekam i patrzę – odparł Hennicke zupełnie spokojnie.

– Brühl jak ci się zdaje? Spojrzeli sobie w oczy.

– Co mówią? – spytał Hennicke.

– Każdy mówi to, czego by sobie życzył: jedni, że Brühla wypędzą, a bodaj do kalkulacji<sup>109</sup> pociągną i wsadzą; drudzy, że Brühl innych wygoni, pozasadza i zdusi. A wam jak się zdaje?

– Ja wam mówiłem, że mnie się nic a nic nie zdaje – odparł Hennicke. – Jeśli Brühla wsadza, ja pomogę popychać, jeśli Brühl ich zdusi, pomogę dusić. Dzięki Bogu, nie stoję jeszcze tak wysoko, abym padając, kark skręcił.

Przybyły rozśmiał się.

– To rzeczywiście jedyna rozumna polityka: wyczekiwanie, a jak najmniej się mieszać do rzeczy i stać sobie na boku.

– Tak, tak, panie radco Globig – z półśmiechem dodał Hennicke, wstając z krzesła. – Naprzód się wyrwać niedobrze, w tyle zostawać niebezpiecznie, środka się trzymać i na wszystkie strony patrzeć: to rozum. Ale – rzekł ciszej – między nami powiedziawszy, idę z waćpanem o zakład... o co się podoba... stawić nawet jestem gotów moją żonę przeciw

<sup>109</sup> K a l k u l a c j a (z łac.) – tu: wyliczenie się.

młodszej innej, bo mnie dziś okrutnie zmęczyła gadanina, że... (zbliżył się do ucha) że Brühl się utrzyma, a gdy się utrzyma, stawię znowu, co chcecie, że z nim nie wytrzyma nikt i że oto dzisiejszego dnia inaugurujemy panowanie jego królewskiej mości Brühla I, które, aby jak najdłużej trwało, Boga błagamy. Obu nam, panie radco, będzie z tym bardzo dobrze... Ale wy pewnie z zamku? Na Boga, co w zamku? Co słyszać?

– Nic, cicho jak w grobie; sposobi się żałoba. Ojciec Guarini przemyka się od kurfirsta do kurfirstowej, Sułkowski na straży stoi od rana, a Brühl... nie wiem nawet, co się z nim dzieje...

– Znajdzie się! – szepnął Hennicke.

– Królewiczowa, zszedłszy na kurfirsta żonę i pozbawiona królewskiej korony, podobno temu nie rada.

– To ją Brühl zrobi królową... – rozśmiał się Hennicke.

W tej chwili coś zatętniało pod oknem, obaj rzucili się patrzeć; oddział gwardii, już z krepami na rękawach i pookrywanymi krepą zbrojami, pędził ku zamkowi. Kamerdyner dworski w liberii wielkiej wchodził do kamienicy. Hennicke rzucił się ku drzwiom. Globig wziął za kapelusz. Puknięto, wszedł ogromny mężczyzna z małym biletem w rękę. Hennicke rzucił nań okiem, a Globig zza niego utopił także wzrok ciekawy w karteczce; nie mógł jej jednak przeczytać, bo ją gospodarz zaraz wetknął do kieszeni; zbliżył się do kamerdynera i odprawił go kilką cichymi słowami. Zostali znowu sami.

– Nie ma w tym tajemnicy – odezwał się Hennicke z uśmiechem. – Potrzeba wiele pieniędzy, musimy powymieniać zasięki. Nie ma ich, ale muszą być.

Globig i on wzięli za kapelusze obaj.

– Hennicke... spodziewam się, że my z sobą zawsze.

– Nawet gdyby padać przyszło? – rzekł u drzwi stojący gospodarz, krzywiąc twarz ironicznie.

– A po cóż? – odparł szybko Globig. – Owszem, gdy jeden pada, drugi powinien zostać i twardo stać, aby go podnieść. Gdy się przyjdzie do góry pięć, to razem.

– A gdy padać, to kułakiem w kark? – spytał Hennicke.

– Nie, tego nie wymagamy od siebie, cha! cha!

Podali sobie ręce.

Hennicke już wychodził, gdy w przedpokoju ukazał się nowy przybylec: postać wysoka, długa, chuda, ręce cienkie, nogi jak laski, twarz przeciągła, niepiękna, ale pełna życia i pojętności.

– Patrzcie! I ten tu! – rozśmiał się Hennicke.

Globig uderzył ręką po boku.

Długi mężczyzna wszedł kłaniając się.

– No, panowie! Cóż się dzieje? Co? Padamy czy idziemy w górę?

– A! Niecierpliwi! – krzyknął gospodarz. – Czekajcie!

– Gdy idzie o skórę – odparł przybyły.

– Panie radco Loss, nasze skóry, wszystkie trzy razem zszyte, jeszcze wygodnego siedzenia by nie pokryły. Na szerszych plecach się tam wszystko rozstrzyga. Słyszeliście co?

– Co? To, co wszyscy przewidywali: Sułkowski pierwszym ministrem.

– Ciekawa rzecz! – syknął Hennicke szydersko. – Sułkowski katolik w protestanckiej Saksonii nie może być prezydentem rady, chyba by się nawrócił na lutra, a gdyby to uczynił, król by mu w oczy napluł i dał kolanem... nie mówiąc już o królowej.

– A wiesz, że masz słuszność – przerwał Globig. – Mnie to na myśl nie przyszło.

– Zapomnieliście o tym – zawołał Loss, pokazując długie zęby w uśmiechu – że Najjaśniejszy Pan może zmienić prawo.

– Bez zwołania sejmu? – spytał Hennicke.

– Chociażby... jest tu panem – mówił Loss. – To przecież nie Rzeczpospolita Polska, gdzie szlachta robi, co chce, a król się kłaniać jej musi.

Hennicke chrząknął, bo chód szybki dał się słyszeć u drzwi i w tejże chwili wchodził już szeroko je otwierając słuszny, barczysty, otyły mężczyzna, który zrazu stanąwszy, kapelusza nawet nie zrzucając i nie witając nikogo, przypatrywał się zgromadzeniu.

Był to trzeci radca, Stammer.

– Cóż to, sejm? – zapytał, z wolna obnażając głowę.

– Niespodziany – przerwał trochę markotno Hennicke. – Doprawdy, gotowi pomyśleć, że my tu konspirujemy.

– Kto dziś na co patrzy i o czym myśli? To się dopiero zacznie jutro – rzekł Stammer. – Dziś każdy o sobie duma i rozlicza się z sumieniem, czy przeciwko wschodzącemu słońcu nie zgrzeszył, kłaniając się zachodzącemu; bo to wiadoma rzecz, że stanąwszy twarzą do zachodu, czymś innym musi się człek obrócić na wschód.

Rozśmieli się pp. radcy.

– Stammer, ty, co wiesz wszystko – zawołał Globig – co słyszeć?!

– Dzwony, dzwony, dzwony! – rzekł Stammer. – Gdybym co innego i posłyszał nawet, bądźcie pewni, że strzegłbym się cokolwiek mówić: kto dziś z nas wie, co wróg, a co przyjaciel? Milczeć należy, jednym okiem płakać, a drugim się śmiać cicho, cicho, cicho! Hennicke z kapeluszem... – rzekł po małym przestanku – wychodzisz?

– Muszę... – przepraszając oczyma przytomnych, odezwał się gospodarz. – Służba.

– Tak, tak, najważniejsza – dodał Stammer. – Każdy służy dziś sobie... nie ma więcej wymagającego pana.

– W istocie, nie wiecie nowego nic? – z cicha rzekł Globig, zbliżając się do Stammera.

– Owszem, wiem mnóstwo rzeczy, ale ich nie powiem, z wyjątkiem jednej wiadomości. Wszyscy się zbliżyli.

– My Sasi dołem, Polacy górą! Nasze kurfirstostwo już w kieszeni, więc o nas się nikt nie zatroszczy; ale korony polskiej nam trzeba, więc Sapiehowie, Lipscy, Czartoryscy, Lubomirski, Moszyński, Sułkowski na przodzie.

– Sułkowskiego położyliście na ostatku? – spytał szydersko Loss. – Ho! ho!

– Dlatego, że on powinien być na początku – rzekł Stammer. – A teraz, ponieważ czas gorący, choć na dworze zimno, żegnaj panów.

Włożył kapelusz na głowę i wysunął się pierwszy. Za nim powoli wyszli drudzy. Na ostatku został gospodarz, który snadź osobno iść chciał, bo się przypóźnił, wydając jakieś rozkazy.

Z bramy domu każdy z nich, obojętnie się ostrożnie, pociągnął w inną stronę.

W rynku tylko kupki ludu i żołnierzy przemaszerowujących widac było. Z równą ciekawością rozpytywano, badano, dowiadywano się po innych domach saskiej stolicy, ale do wieczora nikt nic pewnego powiedzieć nie umiał.

Już zmierzchało, gdy lektyka zatrzymała się przed domem, w którym mieszkał o. Guarini. Pokój ten, gdzieśmy go widzieli z Brühlem, był jego gabinetem. Tu tylko przyjmował poufale gości spowiednik królewicza i królewiczowej, najmniej widoczna, a największa owa potęga na dworze. Skromnych bardzo obyczajów i wymagań staruszek nie potrzebował dla siebie rozległego pomieszczenia, ale go przyjęcie licznych, dostojnych nieraz gości wymagało. Całe też piętro zajmował Padre, a wedle tego, kogo miał u siebie, obchodziło się pokojem, w którym na kanapie leżała gitara, lub salonem w surowym stylu umeblowanym, albo pokojami, w których mieściła się jego biblioteczka, obrazy i inne zbiory.

Z lektyki wysiadł słusznego wzrostu mężczyzna w ciemnym stroju świeckiego człowieka, ze szpadą u boku. Twarz to była cudzoziemskiego typu, wielce arystokratycznego pokroju, rysów delikatnych i pięknych, ale blada i zwiędła. Uśmiech nadzwyczajnej łagodności ją okraszał. Wysokie czoło białe, oczy ciemne, wypukłe, nos rzymski, wąskie usta,

twarz ogolona starannie nadawały mu cechę kawalera większego świata. Na ramionach miał płaszcz czarny, a u sukni koronki tylko białe i żadnych świecidełek.

Śmiałym krokiem przebiegłszy wschody, nieznajomy zadzwonił do drzwi, a gdy mu stary sługa Guariniego otworzył, nie pytając i nie oznajmiając się wcale, wszedł w głąb sieni. Co widząc, sługa podążył co prędzej otworzyć mu drzwi, nie już gabinetu, ale salki gościnnej o. jezuitę.

Była ona ciemną, przybraną skromnie i pełną pobożnych godeł i obrazów. Trochę pyłu na sprzętach dawało się domyślać, że tu mało kto gościł zwyczajnie.

W pokoju tym i teraz nie było nikogo, ale o. Guarini w tejże chwili wyszedł z gabinetu, usłyszawszy bieganie i zobaczywszy przybyłego, nieco zdumiony, z największą pokorą zniżył przed nim głowę, założywszy ręce na piersiach.

Przybyły zbliżył się doń i obaj pocałowali się w ramiona, ale Guarini zniżył się prawie do ręki.

– Nie spodziewaliście się mnie – rzekł prędko stłumionym głosem gość. – Ja sam nie wiedziałem, że tu dziś będę. Domyślicie się, co mnie tu sprowadza... chwila obecna jest najwyższej wagi.

– Wysłałem już wczoraj po instrukcje – odparł cicho gospodarz.

– Ja wam je przywożę. Każcie zamknąć drzwi wasze. Musimy być sam na sam.

– Na to nie potrzeba rozkazu – odezwał się Guarini. – Jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

– Nie traćmi więc czasu! Jak rzeczy stoją? Co się święci? Obawiacie się czego? Potrzeba wam pomocy? Mówcie, a radźmy zawczasu,

Guarini się zamyślił ważąc, co powie.

Chociaż przybyły ubrany był po świecku, jak mówiliśmy, odezwał się doń potem cicho:

– Najprzewielebniejszy ojczy! Stan dworu jest wam tak dobrze jak mnie wiadomy. Królewicz gorliwym jest katolikiem, królewiczowa, jeśli być może, żarliwszą jeszcze. Ulubieniec pierwszy, Sułkowski, katolik także. Wszystko niemal, co ich otacza, wyznaje świętą wiarę naszą.

– Ale Sułkowski! Słyszę, że na nim ma spocząć cała waga przyszłości. Królewicz dobry, słaby, leniwy, powodujący się i pracy nie lubi; za niego więc ktoś rządzić musi. Jeśli Sułkowski, możemyż mu zaufać?

Guarini zamyślił się, spojrzął w oczy przybyłemu, rękę jedną do ust przyłożył i głową potrząsnął.

– Katolik jest – rzekł po chwili – lecz chłodny, ambicja u niego wyżej wiary; wpływ jego dłuższy byłby nam, katolicyzmowi, sprawie nawrócenia zgubnym. Nie ma wątpliwości...

– A jednak ominąć go, obalić go, o ile wiem, niepodobieństwem – zawołał gość. – Królewiczowa ma-li dosyć siły?

– Z jej twarzą i z jej charakterem? – szepnął Padre. – Myślicież, że w tej spokojnej, dobrej, zacnej naturze królewicza nie odezwie się krew Augusta Mocnego i namiętności jego? Czyż to możliwe? Cóż będzie znaczyć królowa? Sułkowski podda mu inne, aby przez nie rządził.

Przybyły zmarszczył brwi i rękę załamał.

Kreślicie mi obraz nadto smutny! – zawołał. – Na to bądź co bądź należy szukać rady.

– Wcześniej o tym myślałem – począł Guarini, sadzając gościa na kanapie, a sam zajmując miejsce obok niego. – Nam przy królewiczu potrzeba człowieka, który by całkiem był naszym, nam służył, od nas zawisł. Fryderyk jest gnuśny, jemu usłać miękkie łóżko, urządzić mu jego uciechy ulubione, dać mu operę, polowanie i obrazy. Któż wie – westchnął – może coś więcej jeszcze...

Przybyły brew namarszczył.

– Smutna to rzecz – przerwał – gdy w wielkiej sprawie do małych i wstrętnych środków się uciekać należy; smutna...

– *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita*<sup>110</sup> – z cicha zacytował padre Guarini. – Środków nie można ograniczać: każdy wypadek innych wymaga.

– Rozumiem – rzekł gość – sprawa jest zbyt wielkiej wagi, abyśmy nie mieli dla niej narazić się choćby na potwarze. Idzie o odzyskanie dusz, o utrzymanie się na stanowisku w tym dawnym ognisku ohydnej herezji Lutra. Mamy narzędzia, puścić je z rąk dla skrupułów byłoby grzechem; raczej jedną zgubić duszę, niż poświęcić ich tysiące...

Guarini słuchał z pokorą.

– Mój ojcie – rzekł z cicha. – To wszystko stokroć powiedziałem sobie, dlatego ja w sukni tej oplwanej i bez sukni służę, jako umiem, nie zawsze jako przewodnik sumienia, często jako *pulcinello* u królewicza, jako *impresario*<sup>111</sup> za kulisami, jako doradca o mroku tam, gdzie rada potrzebna. Gdy idzie o wzięcie twierdzy, a nie można jej zdobyć siłą, opanowywa się ją podstępem: *Media sunt licita*.

– My tego, mój ojcie, mówić sobie nie potrzebujemy – odezwał się gość. – Odkryjcie mi plany swoje.

– Postępować musimy ostrożnie – począł Guarini. – Nie gorszcie się nami; nieraz wam to przyjdzie westchnąć nad przewrotnością naszą, ale ze słabymi ludźmi jakże iść, nie wiedząc ich na pasku ich własnych namietności... Królewiczowej jesteśmy pewni, ją osłonić i jej wpływ umocnić, gdyby było podobna, to pierwsze zadanie. Ale najświętobliwsza ta pani jest – przebaczenie mi, ojcie – najnieznośniejsza w pożyciu, a król potrzebuje rozrywki i bez niej nie wyżyje. Jeśli my mu jej nie damy, chwyci najzakazańszą, gotów...

Nie dokończył o. Guarini, a po chwili mówił dalej:

– Sułkowski nikogo słuchać nie będzie, poświęci wszystko sobie, aby króla utrzymać pod panowaniem swym: da mu, co zechce. My nigdy pewni jego być nie możemy: musimy go obalić.

– Jakim sposobem?

– Przyjdziemy do tego: narzędzie wybome dała nam Opatrzność. – Mamy człowieka. Tym jest Brühl.

– Protestant? – podchwycił gość.

– W Saksonii i jawnie będzie nim, w Polsce i w domu jest katolikiem. Musimy na to dozwolić, wiecie, co powiada Maldonatus nasz<sup>112</sup>: *Quando vobis dissimulantibus religio vera aliquod detrimentum acceptura esset, aut aliqua religio falsa confirmaretur. Alias illam dissimulare licet, aliqua causa legitima interveniente*\* Brühl będzie, a raczej jest katolikiem. Damy mu żonę katoliczkę, którą mieć będzie z ręki krókwiczowej i naszej; pomożemy mu do obalenia Sułkowskiego: z nim jesteśmy tu panami. Nikt nas nie posądzi o udział w tej sprawie, bo jawnie za protestantem nie moglibyśmy obstawać przeciwko katolikowi.

– Lecz jesteścież go pewni? O. Guarini słę uśmiechnął.

– Będzie w mocy naszej, zależnym od nas; gdyby pomyślał o zdradzie, padnie jutro: na to aż nadto mamy środków.

– Plan jest wyborny, nie przeczę – po chwili namysłu przemówił nieznajomy – ale wykonanie jego zdaje mi się wątpliwym.

– Z dziś na jutro niemożliwym by było – rzekł o. Guarini – rok, może dwa, może więcej pracować będziemy musieli, poruszyć wszystkie sprężyny; ale zwycięstwo tak pewne, przy łasce bożej, jak tylko w ludzkich sprawach rachuba pewną być może.

– Opieracie wszystko na charakterze kurfirsta?

<sup>110</sup> *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita*. (łac.) – gdy cel jest godziwy, także środki stają się godziwe.

<sup>111</sup> *Impresario* (wł.) – przedsiębiorca przedstawień teatralnych, cyrkowych, koncertów itp.

<sup>112</sup> Jan Maldonatus (1534-1583) – jezuita, głośny komentator Pisma .w. Przytoczony wyjątek znaczy: „...kiedy skutek zatajania przez was prawdziwa religia miałaby doznać jakiej szkody lub jakaś błędna religia miałaby być utwierdzona. W innym wypadku wolno ją zataić, o ile zachodzi jakaś uzasadniona przyczyna.”

\* Joannes Maldonatus: *Summula*, Coloniae 1605. P. 3. (Przyp. autora).

– Tak jest – odpowiedział Guarini. – Ale ja z nim, przy nim, mogę rzec: w nim, jako spowiednik jestem od lat wielu; znam go jak dziecię, które bym wykołysał na rękach.

– Królewiczowa? – spytał gość.

– Święta i zacna niewiasta, lecz Bóg nie dał jej nic niewieściego i uroku żadnego, władzy żadnej. Dla takiego pana ona nie starczy.

– Na Boga! Przecież nie dopuścicie, aby po ojcowsku szalał i siał zgorszenie, i puścił się na rozkiełznaną rozpustę.

– My nie potrzebujemy go wstrzymywać nawet – rzekł Guarini. – Jego natura powściągnie go od jawnego zgorszenia, ale nie od okiełznania namiętności. Będą one skryte, nałogowe, niewidoczne a uparte. Musimy wiele znieść i na wiele zamknąć oczy, aby go przy wierze utrzymać.

Przybyły ręce złożył i głową poruszał smutnie.

– O, biadaż tym, co dla świętej sprawy w kale pracować muszą! I jak się tu nie zwałać? I jak czystym pozostać?

– Kogoś potrzeba przecież, co by był kozłem ofiarnym jak ja nieszczęśliwy – westchnął, żartobliwą minę przybierając, Guarini. – Zazdroszczą mi ludzie...

– Nie ja – odparł, kłaniając się, gość. – A! Nie ja...

– Plany więc nasze? – spytał ojciec.

– Pójdą pod rozpatrzenie rady – odparł przybyły. – Nie przestawajcie działać, nie wstrzymujcie wykonania. Damy znać coś najbliższego!

– Brühl utrzyma się. Królewicz, płacząc, to przysiągł żonie, to była wola ojca jego. Sułkowski będzie pozornym władcą, ów istotnym, a potem...

– Sądziecie, że go obalić potraficie? – spytał gość.

– Jesteśmy tego pewni, działamy wszyscy przeciwko człowiekowi, który nie ma nawet przecucia, nawet idei niebezpieczeństwa, a ambicja Brühla jest dla nas najskuteczniejszym narzędziem.

– A ten człowiek? – spytał nieznajomy.

– Jest to szatan w ludzkim ciele, ale szatan, który krzyżem leżąc, się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie jak muchę i nie będzie miał zgryzoty najmniejszej. Przy tym słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Zamilkli. Przybyły gość zasunął się w głąb kanapy i zadumał.

– Mogę wam czym służyć? – zapytał o. Guarini.

Pytanie to przeszło niedosłyszane, tak ten, do którego się zwracał, zatopionym był w myślach – Jakże idzie z nawracaniem? – zapytał po milczeniu, które o. Guarini uszanował.

– Z nawracaniem? Tu? W samym gnieździe herezji – rzekł ojciec – tu, gdzie katolicka kaplica dzwonami odezwać się nie może, gdzie protestantyzm panuje, wre i pożera jak rdza? Postępy są małe, a dusze, które nasze sieci rybaczce wyciągają na brzeg, niewiele przez się warte. Potomstwo ich opłaci chyba trud apostołski. Do innych herezji nowa nam jeszcze przybywa, z którą walka będzie trudniejszą niż ze wszystkimi innymi.

– Cóż to jest znowu?

– Jak wszystkie herezje, nie nowa, ale ten, oo apostołuje, człek dobrej wiary, natchniony, wyegzaltowany, ofiarny. Nie z dogmatem walczyć mamy, bo u niego dogmat podrzędną sprawą, ale z nową społecznością, jaką chce zbudować. Fałsz przybiera tu blask i jasność prawdy. W lasach, w dali od miasta, na wykarczowanych nowinach<sup>113</sup>, gmina Braci Morawskich, coś na kształt zakonu ścisłą regułą objętego, już się stworzyła i żyje.

– Cóż to jest? Mówcie – z zajęciem podchwycił gość. – Nie słyszałem nic.

– Dziwny zagorzalec, reformator nie wiary, ale społeczeństwa i życia, w imię Zbawiciela i miłości Jego tworzy świat nowy. Królem tej Rzeczypospolitej Chrystus. Osobno rozdzielone,

---

<sup>113</sup> N o w i n a - tu w znaczeniu stp.: grunt po lesie wykarczowanym, ziemia po raz pierwszy wzięta pod uprawę lub miejsce zarosłe trawą na nie zoranym jeszcze polu.



ale w jednym miejscu żyją chóry niewiast, chóry dziewic, chóry mężczyzn, chóry dzieci. Łączy ich tylko nabożeństwo wspólne i agapy<sup>114</sup> skromne, wieczerze ubłogosławione modlitwą. Można pan hrabia Zinzendorf nadał grunty i sam jest jej kapłanem i kaznodzieją. Praca i modlitwa, ścisła karność i miłość braterska są prawidłami życia nowej Braci Morawskiej, a raczej Herrnhutów.

Gość słuchał z natężoną uwagą.

– I dopuściliście, aby się to gniazdo herezji niebezpiecznej rozsiało tu, gdzie już ona panuje?

– Staralem się przeszkodzić, dotąd na próżno – rzekł Guarini. – Zjeżdżały komisje, były badania: Zinzendorf będzie wygnanym...

– Ale tam działać się muszą szkarady? – odparł gość.

– Najściślejsze badanie nic nie wykryło zdołnego. Ludzie różnych nawet wyznań, związani w jedną tę dziwną społeczność, która ma majętność wspólną, w której nie ma ubogich, w której sierot nie ma, gdzie jest jedna rodzina pod jednym ojcem Chrystusem...

Wykrzyk podziwu i oburzenia wyrwał się z piersi słuchającego

– *Horrendum!*<sup>115</sup> – zawołał. – A małżeństwa...

– Jak najostrożniej zachowywane, lecz przy ich wierze w bezpośredni rząd Zbawiciela i natchnienie Jego wiecie, jak się one zawiązują? Młodzieńcy ciągną losem małżonki, a stąd są przykładne.

– Cóż to za dziwne prawicie mi rzeczy; lecz to są z dala pochwycone wieści, to niemożliwe...

– Sam tam byłem – odparł Guarini – sam patrzyłem na idące modlić się chóry, na dziewice z pąsowymi wstążkami, na zamężne w niebieskich, na wdowy w białych.

Gość westchnął.

– Spodziewam się, że nie ścierpicie, aby się to pod boki waszym rozrastało.

– Musimy im odciąć głowę – szepnął Guarini. – Zinzendorf zostanie wygnanym, gmina się rozpięchnie.

– Najlepiej byście uczynili, nasadzając przeciwko nim duchowieństwo lutere.

– Ono w tym nic zdołnego widzieć nie chce.

– A Zinzendorf, zetknęliście się z nim?

– Tak jest, i nieraz, bo nie unika ani katolików, ani duchownych; owszem, rad dysputować, tylko nie o teologii, ale o pierwszych chrześcijanach, ich żywocie i miłości Zbawiciela, jako osi, na której świat chrześcijański obracać się powinien.

Mówili jeszcze, gdy staruszek przez półotwarte drzwi począł ręką domagać się, aby o. Guarini wyszedł. Ten pośpieszył do sieni, poprosiwszy wejrzeniem gościa o pozwolenie.

W sieniach stał kamerdyner królewski. Królewicz wzywał do siebie spowiednika swojego.

Trzeba więc było pożegnać gościa, któremu podano światło, papier i co było potrzeba do pisania, i rozgospodarował się tu jak we własnym domu. Tymczasem padre Guarini wkładał suknię swą czarną i pożegnawszy nieznajomego szybko już, poprzedzany przez kamerdynera, śpieszył do królewicza.

W tej samej salce, w której go wiadomość o śmierci ojca zastała, siedział Fryderyk w krześle, z nieodstępną fajką, z głową spuszczoną i tak milczący, jak zwykle. Pomarszczone czoło tylko świadczyło, że umysł pracować musiał.

Gdy o. Guarini wszedł, królewicz podniósł się szybko: ale jezuita go uprzedził i z lekka na krześle przytrzymał, całując jego rękę. W pewnym oddaleniu stał Sułkowski, który na chwilę nie odstępował pana swojego. Twarz jego promieniała tryumfem i niecierpliwością drgała, ale się nastrojał do obowiązkowej żałoby.

<sup>114</sup> A g a p y (z gr.) – wspólne uczty pierwszych chrześcijan.

<sup>115</sup> *Horrendum* (łac.) – okropność, straszna rzecz.

Guariniemu daleko więcej było wolno pomimo urzędowego smutku, wiedział, iż trocha roztargnienia będzie pożądaną; przybrał więc minę niemal wesołą i przysiadł na niskim tabureciku przy królewiczu; patrząc mu w oczy, mówił po włosku i z żywością Włocha:

– Pomodlić się trzeba za naszego wielkiego zmarłego, ale zagryzać się tym, co jest losem nieuchronnym wszystkich śmiertelnych, co naturalne i konieczne, nie godzi się. Zbyt natężony smutek zdrowiu szkodzi, a Wasza Królewska Mość i czasu nie masz. Trzeba panować, rządzić, a dla nas się zdrowo i czerstwo, i wesoło chować.

Królewicz się na pół uśmiechnął i głową pokiwał.

– Widziałem w przedpokoju Froscha (był to nadworny błazen królewicza), ten teraz jakby go kto w occie namoczył, skulony płacze, że się śmiać nie może i że ze Storchem (drugi trefniś) figlów mu płać nie wolno. Jeden w jednym, drugi w przeciwnym kącie patrzą na siebie i języki sobie tylko pokazują.

– A to musi być pocieszne! – szepnął królewicz. – Ale mnie tego widzieć nie wypada; nawet jutro przy obiedzie; nie, nie wypada: żałoba!

Guarini zmilczał.

– Frosch jest bardzo pocieszny, ja go lubię – odezwał się królewicz i spojrzał na Sułkowskiego, który się przechadzał po cichu. Padre usiłował coś z twarzy odgadnąć, ale oprócz dumy i zadowolenia w Sułkowskim nic nie dostrzegł. Królewicz wskazał na niego palcem Guariniemu i krótko szepnął:

– Dobry przyjaciel... w nim nadzieja... gdyby nie on, nie byłoby spokoju.

Ksiądz głową tylko skłonił potakując.

Wtem Sułkowski, który wiedział, jak królewiczowi długa rozmowa była uciążliwą, przystąpił do Guariniego:

– Pana naszego niczym rozerwać – rzekł – a tu trosk tyle...

– Ja sądzę – ozwał się jezuita – że przy waszej chętniej pomocy wszystko się ułatwi.

– Tu, w Saksonii, zapewne – odparł Sułkowski, na którego królewicz patrzył i dawał znaki zgody – tu, w Saksonii, ale w Polsce...

– Świętej pamięci król zostawił tam przyjaciół i sługi wierne. Ksiądz biskup Lipski. Cóż mówi Brühl? – zapytał Guarini.

Królewicz spojrzał na Sułkowskiego, jakby mu wzrokiem dawał pełnomocnictwo do opowiadania. Sułkowski na wspomnienie Brühla chwilę się krótką zawahał, lecz natychmiast dodał:

– I Brühl, i listy z Polski świadczą, że nasi adherenci<sup>116</sup> wiernie i gorliwie około elekcji pracować będą. Ale któż wie, czy nam w drogę nie wejdzie Leszczyński, pomoc Francji, intrygi? Na to potrzeba pieniędzy.

Królewicz uderzył z lekka po rękę Sułkowskiego.

– To Brühl musi dostarczyć: on do tego jedyny.

Sułkowski zamilkł.

– Będziemy się o nie wszyscy starali, a królewską koronę włożyć musimy na skronie pana naszego...

– I Józefiny – dodał Fryderyk prędko. – Józefinie się to należy. Ona nie może kurfirstową pozostać.

Obaj przytomni milcząco skłonili głowy, królewicz zadumany fajkę palił. Zdawało się, że dalej mówić będzie w tym przedmiocie, gdy pochyliwszy się do ucha o. Guariniego, szepnął:

– Frosch w kątku na pokucie musi być paradny? Mówicie, że oni sobie języki pokazywali?

– Albo sobie, albo mnie, ale to pewna, że dwa czerwone jęzory ich widziałem.

Zapomniawszy się, królewicz głośno się rozśmiał, rękę do ust przyłożył i, zawstydzony, zamilkł nagle. Sułkowski stał zamyślony i nieco zgorszony spojrzał na księdza.

Upłynął moment jakiś, gdy Fryderyk pochylił się znowu do ucha ojca, zasłaniając ręką.

---

<sup>116</sup> *A d h e r e n t* (z łac.) – stronnik.

– Widzieliście Faustynę? – zapytał.

– Nie – rzekł Guarini.

– A? nie? dlaczego? Powiedzcie jej, zapewnijcie ją, niech tylko głos szanuje. Ja ją szacuję wysoko, wysoko. *E una diva!*<sup>117</sup> Głos anielski, żadna jej nie zrówna. Jak mi będzie tęskno za jej głosem! Ale musi teraz śpiewać w kościele: niech ją choć tam usłyszę.

Sułkowskiemu ten szept był jakoś niemiły; odszedł kroków kilka na bok, lecz się wprędce wrócił, stając znowu przed królewiczem. Fryderyk wskazał na niego księdzu.

– On będzie pierwszym moim ministrem... prawa ręka moja. Guarini cicho uderzył w dłonie.

– Z rozkoszą tę wiadomość szczęśliwą przyjmuję! – zawołał. – Bogdaj doczekała tego Saksonia, aby w niej tacy ludzie jak hrabia i tacy katolicy wszyscy stali na czele rządu..

Królewicz obejrzał się.

– Jeśli mu nie dadzą moje Sasy jako katolikowi ministrować, znajdę na to sposób: pocciwy Brühl robi, co mu każe...

– Nie ujmuję bynajmniej Brühlowi – odpowiedział Guarini – ale to zapamiętały heretyk. Na to królewicz jednym tylko, „ee” odpowiedział i ręką w powietrzu zamachnął. – Ee!

Sułkowski niedowierzająco spojrział na Guariniego, który postawę ułożył skromną i spokojną.

Wśród tej rozmowy oznajmiono Moszyńskiego, którego król wpuścić kazał. Wszedł pan podskarbi i zbliżył się do ręki królewskiej. Cały był ubrany żałobno, smutek też miał na twarzy.

– Chciałem pożegnać Waszą Królewiczowską Mość – odezwał się, – Jadę natychmiast do Warszawy: sprawy elekcji przyszłej zasypiać nie można.

– A jedź, jedź, owszem – rzekł, wzdychając, królewicz – chociaż Brühl mi ręczy...

– Brühl ani Polski, ani Polaków nie zna – żywo odezwał się podskarbi. – To nasza sprawa i nasza rzecz.

Nagle, jakby sobie przypomniał, Fryderyk wstał bardzo ożywiony.

– A! Dobrze, jedzcie do Warszawy: zmiłuj się, te gończe psy, które w Wilanowie zostały... Ja je chcę mieć! Każcie mi je przywieźć pocztą. Nie znam psów lepszych nad te. Wiecie...

– Wiem, czarne – rzekł Moszyński.

– Jupiter, Diana, Merkury, Pijawka – począł liczyć królewicz. – Co się stanie z myślistwem! Dojrzyjcie, proszę, żeby to całe wróciło.

– Ja sądzę, że trzeba by to tam zostawić – odezwał się podskarbi – gdy królewicz jako król tam powróci...

– Mój drogi, i z pałacu saskiego w bawelnę mi ją obwiń, Magdalene, a przywieź. Nuż jej się tam to stanie. To dzieło nieoszacowane.

Moszyński się kłaniał.

– Może jeszcze są jakie rozkazy? – zapytał.

– Kłaniaj się muszkietierom: ojciec mój tak ich lubił.

Westchnął.

Pamięć ojca chmurą osłoniła znowu czoło. Królewicz usiadł. Sułkowski, pilny o to, aby mu nie zbywało na tym, co lubił, poszedł skinąć na Czybukczego, kamerdynera, który fajkę nową podał i fidybus<sup>118</sup> zapalony. Królewicz pochwycił chciwie w usta tę pocieszycielkę i żwawo pykając, dym puszczać począł.

Milczenie panowało w salce.

<sup>117</sup> *E u n a d i v a!* (wł.) – to bogini!

<sup>118</sup> *F i d y b u s*, *fidibus* (z niem.) – zwitek papieru do zapalania fajki, papierosa i cygara.

O. Guarini przypatrywał się bacznie Fryderykowi. Moszyński zdawał się czekać, ale na próżno: fajka i zaduma tak zajęły dostojnego pana, że o nim i o wszystkich zapomniał. Niekiedy tylko dym puszczał silniej i wzdychał.

Na ostatek podskarbi zbliżył się ku ręce pańskiej i pożegnał. Fryderyk z powagą i przyjacielskim wyrazem z nim się rozstał, ale więcej wzrokiem niż mową go żegnał.

Sułkowski przeprowadzał go do przedpokoju, zostali więc sami z ojcem Guarinim. Zaledwie drzwi się zamknęły, gdy królewicz zwrócił się do siedzącego ojca.

– To jeszcze nic – szepnął – jak oni sobie pokazują języki; ale gdy się zaczną bić, gdy Frosch pocznie łąać Storcha, a ten go kopać, a wpadną pod stół i zwiną się w kłębek, a to ci powiadam, umierać trzeba ze śmiechu.

Guarini zdawał się zupełnie podzielać przekonanie królewicza o niezmiernej komiczności opisaney sceny i sam zrobił minę tak pocieszną, tak wesołą, iż biedny, osierocony syn znowu zapomniał trochę o swej żalobie.

– Nie, jutro do stołu puszczać ich nie można, ale później...– rzekł cicho – później, byle tylko tych doskonałych figlów nie pozapominali.

Guarini wstał: pilno mu snadź było do pozostawionego w domu gościa. Widząc ten ruch, królewicz zmienił ton, nachylił mu się do ucha i rzekł:

– Nie gniewajcie się, że ja tego Brühla, choć lutra, zrobię ministrem. On się po cichu nawróci! To człowiek rozumny i ja mu każę: zobaczycie.

Guarini nie odpowiedział nic, pokłonił się tylko i wyszedł po cichu.

## VIII

Nie zbywało Dreznu za czasów Augusta Mocnego na pięknych paniach. Mimo smutnych doświadczeń niestałości królewskiej każda z nich pochlebiała sobie, że choć na chwilę zwróci na siebie oko, choć wszystkie wiedziały, iż się ono na żadnej długo nie zatrzyma. Z dorastających panien nie było wszakże piękniejszej, zalotniejszej, żywszej i więcej umiejacej się podobać nad pannę hrabiankę Franciszkę Kolowrath, tę małą Franię, która przyjmowała Brühla niegdyś w pałacu na Taschenbergu, którą widzieliśmy już gospodarzącą w czasie karnawału przy jednym z królewskich stołów. Wysokie stanowisko matki, która będąc wielką ochmistrzą dworu królewiczowej nie ustępowała przed nikim kroku, tylko przed książętami krwi; łaski królowej, nadzieje świetnej przyszłości, imię, które nosiła, czyniły dziewczę dumnym i samowolnym. Im bardziej dorastała, tym matce trudniej ją było prowadzić. Jedynaczka i ulubienica mimo surowego wejrzenia królewiczowej umiała się wyswobadzać z więzów etykiety i wśród dworu zawiązywać liczne stosunki i zabawne miłosne intryzki. Przyszłość nie zdawała się jej tak dalece obchodzić ani przestraszać. Małżeństwo uważała za oswobodzenie od jarzma, które jej wielce ciążyło.

W kilka dni po przyjsciu wiadomości o śmierci króla, gdy dwór ciężką jeszcze okryty był żałobą i wszelkie zabawy wstrzymane być musiały, panna Franciszka nudziła się więcej niż zwykle. Czarne suknie, które włożyć musiała jako frejlina<sup>119</sup> królewiczowej, były jej wielce do twarzy, lecz nie do smaku. Właśnie pod wieczór w pokoiku swoim stała w nich przed zwierciadłem i rozpatrywała się w swej pięknej figurze i twarzy.

Przez okna wpadał mrok szary i zamgloną tylko postać swą widziała odbitą. Zadzwoiła o światło, lecz wchodzący kamerdyner, który się domyślił żądania, niósł już w obu rękach srebrne, ciężkie lichtarze, które na stole postawił. Frania była sama, hrabina matka pełniła swą służbę przy królewiczowej, ona zaś była wolną aż do wieczery i niedobrze wiedziała, co

---

<sup>119</sup> F r e j l i n a (z niem.) – dama dworu.

zrobi z czasem tak długim. Zakręciła się po pokoju, oko jej padło na szkatuleczkę brązami okutą; wzięła ją z małego stoliczka i, przeniósłszy na stojący przed kanapą, otworzyła kluczykiem, który znalazła przy sobie.

Wewnątrz pełno było drobnych klejnotów i pomiętych papierków. Hrabianka drobnymi paluszkami poczęła je przebierać od niechcenia. Z powierzchowności odgadnąć było łatwo, iż liściki te nic bardzo pobożnego nie zawierały, były to modlitwy do tego bóstwa, co je teraz z dziwnym uczuciem dumy i pogardy rozpatrywało.

Niektóre z nich odrzucała iz uśmiechem, nie czytając, inne, rzuciwszy na nie okiem, szczęśliwsze, odczytywała oczyma błyszczącymi i zamyślała się nieco. Tak przetrząsała szkatulkę do dna, ręką niecierpliwą wcisnęła papierki wszystkie nazad do niej i zamknęła ją nagle, a sama rzuciła się na kanapę zamyślona. Na paluszkach jej błyskał tylko wyjęty mały pierścionek, na który patrzata okiem smętnym. Była to obrączka, czarno szmelcowana, stara, nieładna, ale złotymi głoskami stało na niej niezgrabnie po hiszpańsku. *A hora y siempre*<sup>120</sup>.

W pokoiku panny Franciszki oprócz drzwi głównych, wiodących do mieszkania z matką wspólnego, były maleńkie, ukryte i nieznaczące w ścianie, które wychodziły do małej sionki i na boczne jakieś schodki. W chwili gdy się nad tym pierścieniem zadumała, cicho się otworzyły: ostrożnie ktoś wejrzał nimi... Nie słysząc go odgadła hrabianka, zwróciła głowę, postrzegła... i ze stłumionym okrzykiem wstała z kanapki. Drzwi uchyliły się z wolna i piękny, młody Watzdorf stał przed nią. Widzieliśmy go u Faustyny, pozwalającego sobie zbyt śmiałych sądów i sarkazmów. Dzisiaj ta twarz, zwykle szyderska, miała wyraz inny, była prawie smutną i zadumaną; lekki odcień ironii, którą przesiąkła, zaledwie na niej pozostał.

Piękna Frania, jakby przestraszona przyjściem jego, stała milcząca, nie poruszając się z miejsca.

Watzdorf oczyma ją błagał o przebaczenie.

– A! Czy się to godzi, Krystianie?! – zawołała wreszcie głosem rzeczywiście lub sztucznie poruszonym. – Jak można się ważyć, ludzi pełno! Ktoś może zobaczyć, donieść. Królewiczowa tak jest surową; moja matka...

– Nikt mnie widzieć nie mógł – odparł, zbliżając się, Watzdorf. – Franiu, bóstwo moje! Siedziałem wypatrując godziny, skurczony pod wschodami, nie wiem już, jak długo, ażeby choć chwileczkę widzieć ciebie, pomówić z tobą. Wielka ochmistrzyni czyta lub modli się z naszą panią: nie ma nikogo.

– A! Te wiecznie kradzione chwile! – zawołała Frania. – Ja takiego złodziejskiego szczęścia nie lubię.

– Cierpliwości, nim inne przyjdzie, cierpliwości – rzekł Watzdorf, zbliżając się i biorąc ją za rękę. – Mam nadzieję...

– A ja żadnej – przerwała hrabianka. – Mną rozporządzają, czy zechcę, czy nie, jak bezwładnym sprzętem. Królewiczowa, królewicz, matka, padre Guarini; któż wie... jam niewolnica!

– Więc uciekajmy stąd!

– Tak? dokąd? – śmiejąc się zawołała Frania. – Do Austrii, gdzie nas złapią cesarscy, do Prus, gdzie pochwycają Brandeburczycy. Uciekajmy? to dobrze! z czym? jak? Ty, Krystianie, nie masz nic oprócz swojego miejsca na dworze, a ja nic oprócz łaski cesarza i królewiczowej.

Watzdorf zamyślił się.

– Ależ serce twej matki...

– Tak, ale to serce szukać będzie dla mnie szczęścia z brylantami, a innego nie zrozumie.

– Franiu, bóstwo moje! Co mówisz? Jaką dziś dla mnie jesteś?

Po toż przyszedłem, abyś mi odbierała nadzieję?

– Mogę ci ją dać, gdy sama jej nie mam? – odezwała się hrabianka jakoś smutnie i zimno.

<sup>120</sup> *A hora y siempre* (hiszp.) – teraz i zawsze.

– Bo nie kochasz mnie?  
 Piękna Frania z wymówką spojrzała na niego.

– Nikogo nie kochałam nigdy prócz ciebie! – rzekła. – Nikogo kochać nie potrafię i dlatego, że ku tobie mam miłość, chcę z toba mówić otwarcie.

Watzdorf wsparł się jedną ręką na kanapie i oczy w ziemię spuścił.

– Rozumiem – mruknął – zechcesz mi dowieść, iż dlatego, żeś mnie kochała, nie możesz być moją, a ja się ciebie wyrzec powinienem. Taką bywa logika miłości na królewskich dworach. Dlatego, że ja cię kocham, że ty mnie kochasz, musisz pójść za innego...

– Tak jest, muszę za pierwszego lepszego, którego mi dadzą; ale ten serca mojego mieć nie będzie, tylko zimną rękę...

– To ohydne – przerwał Watzdorf – to obrzydliwe: nie masz nic dla mnie poświęcić.

– Bobym cię zgubiła! – zawołała Frania, – Jutro w ucieczce pochwyceno by nas i ty byś poszedł na Königstein, a mnie dano by temu, komu ich fantazja przeznaczy.

– Ja, zdaje mi się, bądź co bądź na Königstein się dostanę! – zawołał Watzdorf. – Nie mogę wstrzymać ust, patrząc na to potworne życie, na ten despotyzm lokajów. Mówię, co myślę, a to jest, jak wiecie, doskonały środek dostania się tam, gdzie się już nie mówi, chyba do czterech zimnych ścian więzienia.

– Słuchaj, Krystianie, zamiast mówić, milczeć powinniśmy – odezwała się Franciszka – zamiast chcieć ich poprawiać, gardzić nimi i panować im.

– Poddając się ich fantazjom i kłamiąc całe życie, oszukując ich, a brucząc siebie – rzekł Watzdorf. – To śliczne życie!

– Więc lepiej wyrzec się wszystkiego? – rozśmiała się Frania. – Ja, kobieta, nie jestem tak tragiczną, biorę życie, jak ono jest.

– Ja nim gardzę – mruknął Watzdorf. Hrabianka podała mu rękę.

– Biedny ty zapaleńcze! – westchnęła. – A! Jak mi żal ciebie i siebie: żadnej przyszłości, żadnej nadziei... a jeśli nam błysnie chwila szczęścia, to wśród fałszu i oszukaństwa.

Powoli zbliżyła się ku niemu, położyła rękę na jego ramieniu, a drugą objęła go za szyję.

– O, to życie – szepnęła. – To życie, aby je znieść, pijanym być trzeba...

– I oszustem! – dodał Watzdorf, który rękę jej pochwycił i namiętnie ją do ust przyciskał. – Franiu! Nie, ty mnie nie ko-chasz, ty kochasz więcej życie nade mnie: świat i złote pęta twoje. Hrabianka milczała smutnie.

– Któż to wie – poczęła cicho. – Ja sama nie znam siebie, mnie wychowano, kołysząc fałszem i ucząc kłamstwa, a budząc pragnienie wrażeń, roztargnień, rozkoszy, zabawy. Ja mojego serca nawet nie jestem pewną, byłam zepsutą, nim żyć zaczęłam.

– Miłość nas oboje powinna była poprawić – patrząc w jej oczy, począł Watzdorf namiętnie. – I jam był dworakiem, póki nie kochałem ciebie... przez tę miłość stałem się człowiekiem, w jej ogniu oczyściłem się.

Cichym szeptem odpowiedziała mu hrabianka, sparła się na jego ramieniu, głowę pochyliła ku niemu; Watzdorf zdawał się zapominać o całym świecie, ona także. Oczy ich rozmawiały z sobą więcej niż usta i ręce, które się spotkały i splotły.

Zapomnieli się tak oboje, że ich nawet ostrożnie otwierające się drzwi, którymi Watzdorf wszedł, nie rozbudziły, gdy w nich groźna, ponura, blada i gniewna pokazała się twarz matki. Weszła ona i stanęła jak osłupiała, widząc córkę z mężczyzną, którego poznać nie mogła... Gniew słowa jej wyrzec nie dawał, z osłupienia wychodząc, posunęła się krok i nim ją postrzeżono szarpnęła za rękę Watzdorfa. Wrok jej straszny był, usta drżały; Frania, podnosząc oczy, zobaczyła to piorunujące oblicze matki przed sobą. Nie przerażona nim jednak, z wolna cofnęła się krok tylko, gdy Watzdorf machinalnie ręką szukał szpady, jeszcze nie widząc, kto ich naszedł.

Dopiero zwróciwszy się, gdy ujrzał hrabinę, stanął blady i milczący jak winowajca na uczynku pochwycony.

Wielka ochmistrzyni w gniewie odezwać się nie mogła, chwyciła powietrze, cisnęła pierś ręką, a drugą wskazywała nakazująco drzwi.

Watzdorf wprzód jednak, nim spełnił ten rozkaz, schylił się do ręki Frani, która się wyciągnęła ku niemu, i przyłożył ją do ust w chwili, gdy matka mu ją wydarła, stanęła zasłaniając córkę i cała trzęsąc się, wciąż drzwi pokazywała. Krystian spojrzał na bladą hrabiankę i wyszedł powoli. Ochmistrzyni padła na kanapę... Frania pozostała jak posąg zimna i obojętna, twarzyczka jej tylko bladością się okryła. Hrabinej z gniewu łzy spłynęły po twarzy.

– Bezwstydna! – zawołała. – Do tegoż więc doszło, że w swoim mieszkaniu pozwalasz sobie dawać schadзки mężczyznom! W obliczu całego dworu!

– Bo go kocham! – odpowiedziała chłodno córka. – Tak kocham go!

– I śmiesz mi to mówić, wyrodna?!

– Dlaczegożbym nie miała mówić, co czuję?

Hrabina łkała milcząc.

– I myślisz, że ja na to dozwolę? Że dla tej głupiej miłości, dla takiego chłystka, który jest ledwie cierpiany na dworze, twoją przyszłość poświęcę? Nigdy w świecie!

– Jam się wcale tego nie spodziewała, ażebym być mogła szczęśliwą i uczciwą – odpowiedziała zimno hrabianka. – Los mój mogłam przewidzieć z góry.

– Tyś oszalała! – zawrzała matka.

Frانيا usiadła w krześle naprzeciw niej, ze stojącego na stole bukietu kwiatów wzięła machinalnie jeden i do ust go podniosła.

Zimna, szyderska rezygnacja biła z jej twarzy, spojrzenie matki spodziewało się innego wrażenia i cofnęło przełękłe.

– Szczęściem, mógł wyjść nie widziany – poczęła jakby sama do siebie. – Jutro te drzwi zabić każe, a ciebie zamknę jak niewolnicę... Mogłam się spodziewać dożyć tego?...

Frانيا, wciąż kwiatek gryząc, zdawała się gotową na wysłuchanie wszelkich wyrzutów, jakie się matce czynić jej podobało.

To milczenie prawie pogardliwe dziecka gniew jeszcze większy wzniecało w hrabinej. Zerwała się z siedzenia i wielkimi krokami chodzić zaczęła po pokoju.

– Jeśli Watzdorf waży się jeszcze raz zbliżyć, przemówić, spojrzeć na ciebie, biada mu! Padnę do nóg pani, powiem Sułkowskiemu, zamkną go na wieki!

– Nie spodziewam się, ażeby się na to naraził – odezwała się hrabianka. – Właściem mu dziś wszelką odjęła nadzieję; powiedziałam mu, że sobą nie władnę, że mną jak niewolnicą rozporządzą, że pójdę, za kogo mi każą, ale jego kochać będę...

– Mnie to śmiesz mówić?...

– Jeszcze raz mamie powtórzę, jestem otwartą, mówię, co myślę. Ten, co się ze mną ożeni, będzie wiedział, czego się ma po mnie spodziewać.

Hrabina matka rzucała na córkę dziwne wejrzenie, groźby pełne, ale zamilczała.

Nagle z załamanymi rękoma stanęła przed Franią.

– Niewdzięczna! Niewdzięczna! – poczęła głosem czulszym. – Właśnie w chwili, gdy ja ci z panią naszą najświetniejszy los starałam się przygotować... ty...

– Ofiary w złotogłów ubranej – śmiejąc się gorzko, odpowiedziała Frania. – Tego losu jam dawno miała przeczucie. Los ten mnie minąć nie mógł.

– I nie minie cię, bo wiesz, że woli pani twej opierać się nie możesz ani woli matki, ani woli pana.

– Który żadnej woli nie ma – szepnęła hrabianka szydersko.

– Milcz! – przerwała groźnie hrabina. – Szłam ci o szczęściu oznajmić, a znalazłam wstyd i hańbę!

– Mnie nawet oznajmywać nie potrzeba o tym, o czym wiem dobrze. Sułkowski żonaty, więc zapewne przeznaczoną jestem za żonę drugiemu ministrowi króla, Brühlowi. Tegom się od dawna spodziewała. Rzeczywiście szczęście to wielkie!

– Większe, niżeliś zasłużyła – odpowiedziała matka. – Cóż możesz mieć przeciw temu najmiłszemu, najrozumniejszemu z ludzi?

– Nic a nic, jest mi tak obojętnym jak najgłupszy i najobrzydliwszy. On, inny, wszystko mi jedno, jak tylko nie ten, którego kocham.

– Nie mów mi nawet, nie waż mi się wspominać jego imienia: ja go nienawidzę. Jeśli się ośmieli krok uczynić, zginie!

– Przestrzegę go – zimno odparła Frania. – Nie chcę, by ginął; chcę, by się za mnie pomścił.

– Nie waż się zbliżyć ani mówić do niego: zakazuję...

Frانيا zamilkła.

Rozmowa przerywana w tym tonie trwała jeszcze z pół godziny. Wielka ochmistrzyni, nawykła do porządku dworu, postrzegła z przerażeniem, iż pięć minut upłynęło, jak powinna była być u królewiczowej, i rzuciła się do zwierciadła.

– Idziesz ze mną – odezwała się rozkazująco do córki. – Królewiczowa kazała ci przyjść. Wiesz, jak powinnaś się znaleźć.

Była to godzina wieczery. Wkrótce potem, obejrzawszy córki ubranie, ochmistrzyni wprowadziła ją z sobą.

Ścisła i nienaruszalna etykieta dworu, której królewiczowa Józefa strzegła pilnie i którą zaprowadziła na wzór dworu austriackiego, nie dopuszczała nikomu zasiadać do stołu pańskiego oprócz pierwszych ministrów. I tych nawet Józefina widziała okiem dosyć niechętnym. Ochmistrzyni, marszałkowie, wyżsi dostojnicy, którzy się znajdowali w chwili wieczery, odchodzili do osobnego stołu marszałkowskiego w drugiej sali. Tego dnia królewicz sam jadł z królową. Ojciec Guarini, który wieczery nie jadał, opodał siedział na taburecie dla czynienia towarzystwa. W zwykłych dniach, mniej żałobnych, zabawiał on Fryderyka wesołymi żarcikami, równie jak dwaj jego trefnisie, Frosch i Storch. Najczęściej bili się oni i wygadywali błażeństwa, a królewicz śmiał się, podjudzał ich i był naówczas w najlepszym humorze.

Żałoba świeża nie dopuszczała teraz, aby trefnisie wrócili już do swych obowiązków, ze względu jednak na potrzebę rozerwania Fryderyka i rozchmurzenia posępnego czoła Guarini dozwolił, aby Frosch i Storch znajdowali się w kącie, nie dopuszczając się zwykłych figlów. Postawiono ich tak, aby królewicz zaraz mógł zobaczyć. Stół zastawiony był paradnie, oświecony rzeźsicie. Fryderyk wszedł, podając rękę żonie, której twarz dziwnie pospolita i niepiękna odbijała przy wypogodzonej i wspanialej, rysów regularnych, ale jakby zastygłej twarzy męża. Typ habsburski w Józefinie wyraził się jak mógł najniekorzystniej. Młoda jeszcze, nie miała wdzięku młodości: obwisła wargą, chmurne oblicze, coś surowego a gminnego odstręczało od niej.

W czasie gdy o. Guarini odmawiał *Benedicite*<sup>121</sup>, oboje królewiczostwo ze złożonymi stali pobożnie rękami, służba czekała. Fryderyk usiadł roztargniony, ale w tym samym momencie wzrok jego błądząc po sali padł na stojących w kącie Froscha i Storcha, którzy obaj zrobili miny tak poważne, tak nadęte, że się przez to śmieszniejszymi stali niż kiedykolwiek.

Frosch był prawie karłowaty, Storch niepomiernie wysoki a chudy, z długim nosem, oba jednakowo ubrani; choć cały dwór przywdział żałobę, mieli na sobie fraki pasowe i pluszowe spodeńki niebieskie. Na głowie Froscha siedziała peruczka w drobne loczki fryzowana pocieszenie jak skórka barania, u Storcha była ona złożona z płasko spadających włosów, z tyłu ujętych w *Haarbeutel*<sup>122</sup>. Frosch stał jak kolos rodyjski<sup>123</sup>, rozkraczony, z rekami na

<sup>121</sup> *Benedicite* (łac.) – dosł. „Błogosławcie”, modlitwa odmawiana przed jedzeniem.

<sup>122</sup> *Haarbeutel* (niem.) – woreczek, siatka na włosy, używana w wieku XVII i XVIII przez mężczyzn.



plecach założonymi. a oczy wypukłe i twarz mopsowata istotnie coś mu zabiego nadawały. Storch, wyprostowany jak świeca, nogi obie ściśnięte jak u grenadiera na straży, ręce wzdłuż boków obwisłe, głowa do góry zadarta, usta podniesione, bardzo też był zabawny.

Królewicz, zobaczywszy ich, uśmiechnął się, ale im. pogroził z dala, aby się zachowali spokojnie. Storch, nie poruszając się, odpowiedział, oczy tylko znacząco zwracając na Froscha, a Frosch tak samo na Storcha.

Z wielkim apetytem pijąc i jedząc zapamiętałe i chciwie, królewicz ciągle spoglądał na swych dwóch faworytów; bolało go to, że im cugli nie mógł popuścić, ale wrzawa by się stała nieprzyzwoita, bo Frosch i Storch czasu obiadu dopuszczali się takich swawoli, iż nieraz w kłębek się zwinawszy, toczyli aż pod stół pański.

Sam ich widok już wprowadził królewicza w humor nieco weselszy. Oprócz tego cieszyło go, iż Brühl i Sułkowski tak się z sobą doskonale godzili, Brühl bowiem dobrowolnie, heroicznie bardzo złożył wysoki urząd wielkiego ochmistrza dworu, aby król mógł nim przyoblec Sułkowskiego, a sam ograniczył się prezydencją rady ministrów, akcyzą, cłami, podatkami i czuwaniem nad skarbem państwa. Miało to być tylko formalnym. Sułkowski się spodziewał, iż wszystko trzymać będzie we wszechwładnej dłoni.

Lecz przyszłość była zakryta.

Brühl oświadczał się z jak najczulszą przyjaźnią dla towarzysza swych trudów, a hrabia, też będąc serca pana swojego pewnym, wcale się rywala nie spodziewał.

Zdawszy wszelkie troski na tych dwóch ludzi, królewicz jakby zrzucił brzemię z ramion, czuł się spokojnym, mógł powrócić do ulubionego, jednostajnego życia. Brak mu tylko było jeszcze opery i ulubionej, równie jak ojcu, Faustyny, brak było łowów i ciężła żaloba. Ale to wszystko przyjść miało wkrótce do porządku. W Polsce Moszyński, biskup Lipski i mnodzy inni zwolennicy mieli sami postarać się o elekcję, a Brühl też za nią zaręczał.

Zaraz w kilka dni po odebraniu wiadomości o śmierci ojca oświadczył Fryderyk, iż wszystko, co ubóstwiony przez niego August Wielki uczynił, rozpoczął, postanowił, pozostanie w swej sile i w niczym się zmieniać nie będzie. Kraj, który się spodziewał odetchnąć, wkrótce też nabral smutnego przekonania, iż dlań nic się nie zmieni. Podatki tylko żywo bardzo ściągać zaczęto. Tego wieczora królewicz zaraz po kolacji odszedł z Sułkowskim do swoich pokojów, Brühl za nimi pociągnął.

W drugiej sali zebrane było szczupłe gronko osób dworu Józefiny, a między nimi, żartobliwie rzucając słówkami, przechadzał się o. Guarini. Przemówiwszy zaledwie słów kilka do przytomnych, królewiczowa dała znak ochmistrzyni i weszła do swojego gabinetu. Za nią w ślad hrabina Kolowrath udała się, rozkazując córce, aby jej towarzyszyła.

Józefina stała, jakby przygotowana do czegoś, w środku salki. Frania weszła za matką, nie okazując ani trwogi, ani niepokoju. Królewiczowa dała jej znak, ażeby się zbliżyła.

– Moje dziecko – rzekła głosem suchym i niemiłym – czas pomyśleć o twym losie... ja się chcę nim zająć.

Lękając się odpowiedzi niewłaściwej, matka podchwyciła:

– Wieczną wdzięczność winniśmy majestatowi.

– Wiem, że jesteś gorliwą katoliczką – dodała królewiczowa – i dlatego cię naprzód zapewnić muszę, że przyszedł twój, chociaż mu się los nieszczęśliwy nie dał urodzić w świętej wierze katolickiej, przyjmie ją. Będiesz więc miała tę pociechę, że jedną duszę zyszczesz Bogu.

Frانيا słuchała obojętnie. Zdało się, że pociecha ta małe na niej czyniła wrażenie.

Królowiczowa spojrzała i nie mogła wyczytać nic z młodej tej twarzy zastygłej.

---

<sup>123</sup> *K o l o s r o d y j s k i* - olbrzymi spiżowy posąg Apollina, ustawiony u wejścia do portu na wyspie Rodos, spełniał rolę latarni morskiej. W r. 224 p.n.e. runął w czasie trzęsienia ziemi. Jeden z siedmiu cudów świata starożytnego.

– Mogę ci powinszować wyboru – dodała – wyboru, który matka i ja uczyniłyśmy; człowiek przeznaczony dla ciebie jest znakomity pobożnością, charakterem i rozumem: jest to minister Brühl.

Znowu spojrzała Józefina, Frania stała niema.

– Trzeba, abyś mu się dozwoliła zbliżyć do siebie, abyście się wzajem poznali lepiej i ocenili, a mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą.

Matka popchnęła córkę do ucałowania ręki Józefiny. Frania dała się posunąć, pochyliła głowę i odeszła nie rzekłszy słowa. Nie mogło to być za złe wziętym młodemu dziewczęciu.

Na tym skończył się ten dzień pamiętny w życiu kobiety, która z obojętnością na przyszłość patrzała.

Nazajutrz, zapewne z natchnienia matki i za jej wiedzą, Brühl rano, gdy hrabianka była samą, kazał się jej zameldować. Po namyśle odpowiedziała, że go przyjmuje. Przyjęła go nawet w tym samym pokoju swoim, w którym wczoraj, wsparta na ramieniu Watzdorfa, żegnała się ze szczęścia nadzieją.

W żałobnym stroju było jej do twarzy, piękność jej świetniejszą jeszcze wychodziła na tle tych czarnych sukni i zasłony. Oprócz bladoci nie miała na sobie żadnej oznaki cierpienia; chłodna, zuchwała rezygnacja nadawała rysom coś rozkazującego i przejmującego.

Brühl, który był jednym z najwybredniejszych elegantów swojego czasu i przywiązywał wielkie znaczenie do stroju, tego dnia, choć w grubej żałobie, ubrany był z troskliwością szczególną. Wdzieczna jego twarz i postać aż do zbytku niewieście i wypieszczono się wydawały. Uśmiech, który z ust jego nie schodził, towarzyszył mu od progu. O ile Frania była poważną i zamyśloną, o tyle on chciał być wesołym i szczęśliwym.

Pośpiesznym krokiem zbliżył się do stołu, za którym siedząc, hrabianka z lekka głową go przywitała i wskazała mu oddalone nieco krzesło.

– Widzę, że pani dla harmonii do żałoby, jaką nosimy – rzekł Brühl – i twarz dziś przybrałaś smutniejszą niż kiedy, a ja... ja...

– Pan jesteś dziś weselszy niż kiedy – przerwała Frania. – Cóż to go czyni tak szczęśliwym?

– Spodziewam się, że pani już jesteś o tym uwiadomiona – podchwycił Brühl, podnosząc rękę ku piersi.

– Nie grajmy komedii! – zawołała Frania. – Ani pan mnie, ani ja bym go nie oszukała. Kazań mi iść za pana, gdy ja kocham innego; kazań się panu żenić ze mną, choć kochasz inną. Nie są to rzeczy wesołe.

– Ja kocham inną?! – niby zdziwiony odparł, cofając się, Brühl.

– Pan kochasz od dawna i zapamiętała Moszyńską: o tym wie, zdaje mi się, ona, mąż i cały świat, a chcesz pan, żebym ja żyjąc na dworze, nie wiedziała o tym?

– Jeśli hrabianka chcesz, abym wyznał, że ją kochałem... – odezwał się Brühl.

– O, stara miłość nie rdzewieje! – dodała Frania.

– Fani się przyznałaś także.

– Tak, ja się nie taję, że kocham innego.

– Kogo?

– Nie potrzebuję zdradzać jego i mojej tajemnicy... Dosyć, żem szczerza i oznajmuję mu o tym.

– To dla mnie smutne bardzo! – zawołał Brühl.

– Ale nieskończenie smutniejsze dla mnie – dodała hrabianka. – Nie mógłbyś pan znaleźć sobie innej, którą byś uszczęśliwił? Spojrzała nań, Brühl się zmieszał.

– To woła królewicza, królewiczowej.

– Ojca Guariniego i tym podobnie – podchwyciła hrabianka. – Rozumiem, więc to nieodwołalne?

– Pani – rzekł, przysuwając się z krzesłem, Brühl. – Ja mam nadzieję, że zasłużę na jej względy... ja...

– Ja nie mam najmniejszej nadziei – poczęła Frania. – Lecz gdy małżeństwo jest tak w górze postanowione i ma być nieuchronnym... dobrze, byśmy się z góry przygotowali do tego, co nas czeka.

– Będę się starał o jej szczęście.

– Dziękuję panu, ja się będę musiała sama starać o nie. Co się tyczy waszego, myślcie o nim. Ja panu nie bronie kochać Moszyńskiej, bo gdybym nawet chciała mu tego zakazać, wiem, że to się na nic nie przyda. Córka Cosel odziedziczyła po niej wdzięk jej i potęgę, ja ich nie mam... niestety!

– Pani jesteś okrutną.

– Jestem szczerą.

Brühl mimo nadzwyczajnej łatwości rozmowy i przytomności poczuł, że mu się wyczerpuje wątek. Położenie jego stawało się przykrym, spojrzał na Franię: bawiła się chusteczką, nie okazując najmniejszego pomieszenia.

– Bądź co bądź ja nie odejdę zrozpaczony – dorzucił po krótkim milczeniu. – Znam panią od dzieciństwa, jestem jej wielbicielem od dawna; to, co mi pani przypisujesz dla hr. Moszyńskiej, było chwilową fantazją, która przeszła i minęła. Moje serce wolne, a pani, spodziewam się, potrafi się pozbyć dla mnie wstrętu i uprzedzenia.

– Wstrętu nie mam do pana, boś mi najzupełniej obojętny – przerwała hrabianka.

– I to już coś znaczy – rzekł Brühl.

– W istocie to znaczy, że pan się wstrętu możesz dorobić, chcąc na miłość zasłużyć... To być bardzo może.

Brühl wstał, twarz mu pałała.

– Nigdy może pretendent<sup>124</sup> do ręki gorszego nie doznał przyjęcia – odezwał się z westchnieniem. – Potrafię jednak stłumić w sobie wrazenie.

– Nie skarż się pan przed królewiczową! – zawołała Frania. – Nasza pani za złe mi mieć nie będzie tego, co za skromność weźmie dziewczycą. Oszczędź mi przykrości z matką i z drugimi. Jeśli nie zmieni się nic, jeśli się pan uprzesz, jeśli pani nasza rozkaże, jeśli ja mam zostać ofiarą, pójdę do ołtarza, bo muszę; ale pan wiesz, kogo bierzesz i co cię czeka.

To mówiac, wstała; Brühl, słodką nad wszelki wyraz przybrawszy fizjognomię, zbliżył się, chcąc sięgnąć po jej rękę, ale mu ją cofnęła i rzekła:

– Żegnam pana!

Nie przedłużając rozmowy, minister wysunął się z pokoju. Twarz jego, na chwilę zachmurzona w progu, odzyskała pogodę, wesołość i uprzejmość zwyczajną. Nikt by był po nim nie poznał, iż zjadł świeżo tak gorzko przyprawne oświadczenie. Zdawało mu się to obojętnym, lubo panował tak nad sobą, iż nie okazał wcale, że to go obchodziło.

Krokiem lekkim przebiegł puste pokoje i wychodził już, gdy u progu ostatniego spotkał matkę.

Hrabina Kolowrath, nim przemówiła, badała go pilnie oczyma... nie odkryła nic. Pomyślała nawet, że córka umiała ukryć swe uczucia, co jej było bardzo przyjemnym.

– Widziałeś się z Franią?

– Wracam od niej.

– Jakże cię przyjęła?

Brühl trochę się opóźnił z odpowiedzią.

– Tak, jak się przyjmuje kogoś narzuconego, komu się chce dać uczuć, że powinien to wynagrodzić.

– A! Macie czas... Ze wszystkich względów nie chciałabym przyspieszać wesela.

---

<sup>124</sup> P r e t e n d e n t (z łac.) – starający się o coś.

– Ja przeciwnie, dlatego że najlepiej starać się o serce, gdy się jest pewnym ręki – rzekł Brühl. – Małżeństwo zbliża, daje poznać, a mam nadzieję, że hrabianka, poznawszy mnie lepiej i moje przywiązanie...

Lekki uśmieszek przesunął się po ustach hrabiny.

– Dziś dość – rzekła – *cela viendra!*<sup>125</sup> Frania jest tak piękna, że jej nie można nie ubóstwiać, ale ma dumę i energię bogini, do której jest podobną. Gdyby stary król nasz żył, obawiałabym się go była także, na nim nawet czyniła wrażenie.

Brühl, przemówiwszy jeszcze słów kilka, odszedł z grzecznym pożegnaniem. Gdy siadł do swojej *portehaise*, która nań czekała u ganku, i znalazł się na chwilę sam, twarz mu się zmieniła i sposepniała.

„Rad bym wiedzieć jednak, kogo kocha! – rzekł do siebie w duchu. – Miała zawsze tylu adoratorów, a wszystkich tak hojnie obdzielała wejrzeniami i słówkami, iż istotnie trudno odgadnąć, któremu się udało serce jej pochwycić. A! Do serca nie mogę mieć pretensji... piękność Frani jest mi potrzebną. Któż wie, królewicz nie wytrwa wiernym swej pani... a w takim razie...” Brühl nie dokończył, tylko uśmiechem.

„Może mnie nie kochać, ale wspólne interesa uczynią nas dobrymi przyjaciółmi. O Moszyńskiej więc wiedzą wszyscy; miłość i kaszel nie dają się utaić, a to miłość dawna i niegdyś nie była zmuszoną się ukrywać.”

Pogrążony w dumaniach Brühl nie spostrzegł się, jak lektyka jego stanęła w sieniach domu.

Liczna służba czekała tu na niego: kamerdynerowie, lokaje, sekretarze, klienci. W chwili gdy odsłonięto wyjście, Brühl już miał swą piękną twarz ułożoną wybornie do ludzi, rozlał po niej uśmiechy i wdzięk, co serca zyskiwał.

Witał uprzejmie i biegł na wschody... Na górze czekał nań już Hennieke.

Wierny sługa ten od kilku dni też wyglądał zdrowszy i weselszy. W fałdach jego twarzy śmiało się szyderstwo zimne. Globig, Stammer i Loss stali w kancelarii, do której Brühl wszedł, jakby go siła jaka obca rzuciła. Wszyscy powstali na powitanie jego ekscelencji, za którą powoli i niedbale ciągnął Hennieke.

Już miał minister zasiąść do pobieżnego przejrzenia papierów, gdy zausznik wierny mu szepnął:

– Czekają na was.

I pokazał drzwi salonu.

Po nim przechadzał się w szaraczkowym surducie z czarnymi guziczkami do niepoznania przebrany padre Guarini.

## IX

Królewicz mógł bezpiecznie odpoczywać: czuwali zań w Polsce liczni zwolennicy, a w Dreźnie pracowali Sułkowski i Brühl.

Równie ambitny jak jego współzawodnik, Sułkowski pewniejszym był swojego sthnowiska. Miał serce królewicza, a co stokroć więcej ważyło – jego nałóg. Fryderyk od najmłodszych lat miał go przy sobie. Z nim razem przeżyli najdziwniejsze zmiany, przeżyli pierwsze wrażenia, urosli na ludzi. Sułkowski znał pana swego, bo patrzył, jak on się wyrabiał na to, czym został w końcu; Brühl więcej się go domyślał i odgadrywał.

Po nawróceniu na katolicyzm Augusta II dla tronu polskiego, nawróceniu, które było zupełnie dla króla obojętnym, gdyż najmniejszej nie miał wiary, papież Klemens XI począł

---

<sup>125</sup> *Cela viendra!* (fr.) – to przyjdzie!

starać się pilnie, ażeby syn nie poszedł za matką, żarliwą protestantką, ale wstąpił w ślady ojca. Dla Augusta Mocnego było to zadanie nadzwyczaj drażliwe.

Elekcyjny tron polski nie był pewnym; w Saksonii protestanckiej wiara była przeszkodą i niebezpieczeństwem. Zresztą matka, królowa Eberhardyna (z domu Beireuth), i babka, Anna Zofia (księżniczka duńska), czuwały nad tym, ażeby syn i wnuk nie poszedł za ojcem. Obie te panie były nie tylko żarliwe, ale nieubłanie przywiązane do swojego wyznania. August II, co nie jest rzeczą wątpliwą, starał się z Polski uczynić monarchię dziedziczną, choćby część jej miał poświęcić; w nadziei tej mógł syna wychować na katolika... inaczej było mu to obojętnym. Na nagłące brewe<sup>126</sup> papieskie August Mocny odpowiedział 4 września 1701 roku, zaprzysięgając papieżowi, iż syn będzie katolikiem, a 8 lutego 1702 zapewnił Stany Saskie, że syn będzie lutrem. W istocie nie wiedział jeszcze, co lepiej, co dogodniej i co polityka doradzi.

Młodziuchnemu Fryderykowi dano zrazu do dozoru wychowania jego z ręki babki pana Aleksandra von Miltitz, człowieka wcale niezdolnego do zajęcia się tak ważną sprawą. Babka zaś, jak świadczą współcześni, sama przez się niewiele miała sądu; rządziły nią protestanckie tartufty<sup>127</sup>, a po obiedzie zwykle mniej jeszcze wiedziała, co robiła, niż z rana. Małego Fryderyka odebrano królowej Eberhardynie, babka miała go przy sobie. Miltitz, pedant, skąpiec, nudziarz i leniwiec, niewiele mógł dobrego zrobić swym wychowaniem. W rzeczach wiary obojętny, nie przywiązywał do nich zbytnej wagi, za to protestanci duchowni dworu królowej-matki aż do zbytku młodego księcia obsiadali. Katolika nie przypuszczono ani jednego do małego wychowanka. Doniesiono o tym do Rzymu (Fürstemberg<sup>128</sup>), a z Rzymu przyszło napomnienie nowe.

Dwunastoletniego Fryderyka odebrano nareszcie z rąk kobiet i wysłano z nauczycielem w pierwszą podróż, ale z tej powrócił wkrótce. Obie królowe, niespokojne, aby go nie uczyniono katolikiem, w czternastym roku publicznie kazały mu złożyć wyznanie wiary luterskiej i razem według obrzędów protestanckich poleciły go bierzmować (*confirmatio*). Król, który podówczas był w Gdańsku, doniósł o tym sam papieżowi, pisząc, że gdyby nie pewne okoliczności, okropnie by ukarał tych śmiazków, co się wazyli na krok tak zuchwały bez jego wiedzy.

Składały się okoliczności tak, że Rzym Augustowi był potrzebny, musiano się mu zasługuwać, postanowiono więc dotrzymać słowa i nawrócić Fryderyka. Sprowadzono z Polski wojewodę inflanckiego Kosa i uczyniono go przy księciu ochmistrem. Sułkowski już naówczas przy nim się znajdował.

W 1711 r. zabrał z sobą syna August do Polski, skąd zawiózł do Pragi i tu nastąpiły narady z nuncjuszem Albani. Postanowiono zmienić cały dwór i otoczenie królewicza, dając mu samych katolików. Nie wiedział o tym wcale Fryderyk i za powrotem do Drezna w niedzielę najpierwszą poszedł do luterskiego kościoła, na znak wytrwania przybierając sobie imię *Constans*<sup>129</sup>. Wkrótce potem we Frankfurcie przy wyborze cesarza był także jeszcze na nabożeństwie protestanckim.

Zaraz potem wojewoda Kos wystąpił z rozkazem króla, pożegnał i odprawił dotychczasowego ochmistra, barona Miltitz; cały protestancki dwór królewicza z nim razem, wyjąwszy lekarza, kucharza i kasjera, i miejsca ich obsadził katolikami. Dalszym kierunkiem miał się zająć o Salerno. August II wyprawiał zarazem w podróż syna i rozkazał mu najprzód jechać na karnawał do Wenecji. Było to pierwsze w świat wystąpienie. Sławne jeszcze

<sup>126</sup> B r e w e (z łac.) – list, pismo, dekret papieski.

<sup>127</sup> T a r t u f y – obłudnicy, świętoszki, pobożnisie. Nazwa ta pochodzi od Tartuffe’a, tytułowego bohatera jednej z komedii Moliera.

<sup>128</sup> Antoni Egon F ü r s t e m b e r g (1656-1716) – ulubieniec elektora Augusta Mocnego, po obiorze elektora królem polskim ł był jego namiestnikiem w Saksonii. Występuje też w powieściach Kraszewskiego: *Hrabina Cosel* i *Za Sasów*.

<sup>129</sup> C o n s t a n s (łac.) – stały, wierny.

podówczas bywały karnawały na placu Ś-go Marka. W styczniu 1712 r. wyruszono wprost z Frankfurtu w tę podróż, która dla oddalenia królewicza od wpływów protestanckich trwała lat siedem.

Listy wszystkie, które pisywał do rodziny, musiały przechodzić przez ręce Kosa i generała saskiego Lützelburga, człowieka bystrego umysłu, ale obyczajów niezbyt chwalebnych.

Królewicz, zrazu zaniepokojony w sumieniu, znalazł środki udania się o ratunek do Anny, królowej angielskiej, i Fryderyka IV, króla duńskiego. Pierwsza zapraszała go do Anglii, drugi oświadczył, że jeśli zostanie katolikiem, utraci prawa do spadku duńskiego.

Brewe papieskie tegoż roku zapewniło Augusta, iż w razie napaści książąt protestanckich Ojciec święty gotów mu pomagać, choćby miał na to sprzedać ostatnią koronę swoją. Królewicz tymczasem w towarzystwie Sułkowskiego, który wkrótce stał się jego powiernikiem, będąc do niego wiekiem zbliżony, podróżował po Włoszech *incognito*<sup>130</sup> pod imieniem hrabiego Miśni lub hrabiego Luzacji<sup>131</sup>. Dwór jego składali oprócz Sułkowskiego wojewoda Kos, generał Lützelburg i o. Salerno, ale ubrany po świecku jako dworak, a oprócz tego Sas, jezuita o. Vogler. Sekretarzem był także jezuita Kopper pod nazwiskiem pana Weddernoy i w ubraniu świeckim. Wpływ więc na księcia był codzienny i nieustanny, któremu w ciągu lat tylu oprzeć się było niepodobieństwem. Z Wenecji udali się do innych miast włoskich, do Bolonii, gdzie władze papieskie uroczyście przyjmowały księcia. Tu o. Salerno nareszcie nawrócenia dokonał. Wyznanie wiary złożył w największej tajemnicy królewicz w ręce legata papieskiego, kardynała Cassoni. Później i Albani, i Salerno w nagrodę otrzymali kapelusze kardynalskie.

Nawrócenie długi czas pozostało tajemnicą, a że Stany Saskie domagały się powrotu i August nie chciał ich drażnić, wstrzymano zamierzoną już podróż księcia do Rzymu. W 1713 r. wracał do kraju wraz z o. Salerno, który z Werony pożegnawszy się, pojechał do Rzymu, ale pozostał w ciągłej korespondencji ze swym wychowawcą.

Wprost jednak nie kazano jechać księciu do Drezna, ale najprzód do Düsseldorfu<sup>132</sup> gdzie jakiśczas mieszkał u kurfirsta Pfalzu<sup>133</sup>, gorliwego katolika; później udał się na dwór Ludwika XIV, który przez papieża był o nawróceniu uwiadomiony. W tej podróży było jakieś posądzenie o spisek na porwanie księcia przez jego krewnych protestanckich, ale cała ta sprawa nie jest wyjaśniona. Obawiano się ciągle, ażeby książę nie wyrzekł się przyjętej wiary. W Paryżu przyjęto gościa bardzo uprzejmie, jak widać z listów starej księżnej orleańskiej, znajdowano go nawet miłym, chociaż bardzo małomównym (i takim na całe życie pozostał).

Wojewoda Kos był najdoskonalszym z dworaków, podobał się też wielce. O zmianie religijnej mało kto wiedział jeszcze, a sam królewicz własnej matce się do tego nie przyznawał. Z Francji zamiast do Anglii, jak zrazu mówiono, powieziono księcia na Lyon i Marsylię do Włoch i do Wenecji znowu, gdzie Signoria<sup>134</sup> i szlachta wysadzała się na zabawienie go i przyjęcia. Maskarady, regaty<sup>135</sup>, komedie, bale następowały jedno po drugim.

Z porady Klemensa papieża na koniec postanowiono dla zapewnienia się o księcia ożenić go z gorliwą katoliczką. Rozpoczęto o to starania w Wiedniu przez o. Salerno; minister Starhemberg i książę Eugeniusz<sup>136</sup> dopomogli do tego tak skutecznie, iż arcyksiężniczka

<sup>130</sup> *I n c o g n i t o* (wł.) – pod innym nazwiskiem, prywatnie.

<sup>131</sup> *L u z a c j a* - Łużyce.

<sup>132</sup> *D ü s s e l d o r f* - miasto w Nadrenii.

<sup>133</sup> *P f a l z* (niem.) – Palatynat, w wiekach średnich nazwa prowincji Rzeszy Niemieckiej; od r. 1620 Palatynat podzielono na Dolny, czyli Reński (Rheinpfalz) i Górny, czyli Bawarski (Oberpfalz). Tu chodzi o Palatynat Góry.

<sup>134</sup> *S i g n o r a* (wł.) – najwyższa rada państwowa w Rzeczypospolitej Weneckiej.

<sup>135</sup> *R e g a t y* (z wł.) – wyścigi na łodziach.

<sup>136</sup> *K s i ą ż ę* Franciszek Eugeniusz *S a b a u d z k i* (1663-1736) – sławny wódz w czasie wojen Austrii z Francją i Turcją.

przyrzeczoną została. Zawieziono królewicza do Wiednia, gdyż najmniejszego kroku bez rozkazu ojca uczynić nie mógł i nie chciał.

Nawrócenie zawsze jeszcze było tajemnicą, chociaż względy na królową matkę ustały, bo ta właśnie życie była skończyła. W październiku 1717 roku jednego poranku hrabia Lützelburg nakazał całemu dworowi księcia stawić się o godzinie dziesiątej rano w jego przedpokoju. Około jedenastej zaszła przed pałac karetą nuncjusza monsignora<sup>137</sup> Spinoli, naprzeciw któremu wybiegła część dworu dla wprowadzenia go na pokoje. Wkrótce potem wszedł małeńki człowiek ze skrzyneczką zakrytą, a pan Lützelburg wysunął się z pokoju księcia i odezwał do dworaków, że w apartamencie królewicza coś się odbywać ma (*etwas passieren*), czemu panowie protestanci mogą, jak chcą, być lub nie być przytomni. Otworzyły się drzwi na roścież. Nuncjusz przy stoliku czytał mszę, której książe, będąc chory, słuchał w łóżku, ale z pobożnością wielką.

Po mszy oddalił się nuncjusz, a książe odezwał się do dworaków swych, protestantów:

– Teraz panowie już wiecie, czym ja jestem, a zatem wkrótce proszę za mną.

Na co generał Kospoth odparł:

– Jeszcze się o tym nie myślało, trudno się tak nagle decydować...

A książe dodał:

– Masz waszmość słuszość, trzeba wprzód zostać dobrym chrześcijaninem nim katolikiem...

Tajemnica została odkrytą, w niedzielę następną królewicz poszedł na mszę do jezuitów i komunikał. Radość stąd wielka była w Rzymie.

Saksonii dano zapewnienie nowe, iż wiara protestancka poszanowaną zostanie, ale starania o nawracanie były rzeczą nieuchronną i przewidywaną. Królewicza nie puszczano z Wiednia przez siedemnaście miesięcy. August dostarczał obficie pieniędzy na świetny dwór i dawane bale. Tu też odbyły się zaślubiny z Marią Józefiną w roku 1719.

Sułkowski cały ten czas najbliższym był osoby królewicza i nieodstępnym. Z nim razem tegoż roku przy dworze młodej pary powrócił do Drezna, które z największym przepychem przyjmowało córkę Cezarów. Sułkowski z nałogu i z potrzeby podzielał wszystkie ulubione zabawy i zajęcia królewicza, jego myślistwa, konne łowy, zamięlowanie w teatrze i w sztuce. W podróżach po Niemczech, Włoszech, Francji w towarzystwie pana widział wiele i wykształcił się znakomicie; nauczył się znać świat, a co najwięcej, poznał dobrze słabości Fryderyka, umiał z nich korzystać, dogadzać im, rządzić nimi i czuł się tak potrzebnym, że mniemał się niezwalczonym. Sam na sam królewicz był z nim w największej poufałości, a lata ten stosunek wzmacniały. Stosunki, związane na dworach austriackim, francuskim, papieskim, ubezpieczały także Sułkowskiego, który wszędzie mnogich liczył przyjaciół.

Nie obawiał się więc ani współzawodnictwa Brühla, ani żadnego podstępu. Przez żonę, niegdyś frejlinę królewiczowej, pannę Stein-Jettingen<sup>138</sup>, miał też ucho i poparcie u Józefiny, którego zdawał się pewnym.

Dworak daleko wytrawniejszy od Brühla, ale daleko od niego mniej pokorny i śmielszy, „kawaler”, jak naówczas mówiono, najlepszego tonu, pięknej postawy, układny, Sułkowski nie miał zdolności pierwszego ministra, ale dumę i ambicję wielką. Mniej oswojony ze sprawami bieżącymi kraju niż Brühl, który od dawna przy Augustcie w kancelarii jego pracował, rozumiał to dobrze, ale miał pod ręką człowieka, którym spodziewał się wyręczyć. Sięgał więc po władzę w przekonaniu, że ją utrzyma i że jej podoła. Życie jego było skromniejszym od Brühla, który pod rozmaitymi pozorami lubił coraz świetniej występować i kochał się w zbytku. Sułkowskiego dwór nader był szczupły, służba niewytworna, ekipaże niewykwintne.

<sup>137</sup> M – r, *monsignor* - Jego Wysokość; tytuł dostojników świeckich i duchownych.

<sup>138</sup> Maria Anna S t e i n - córka barona Steina, urodzona w r. 1712, wydana za mąż za Aleksandra Sułkowskiego w r. 1728.

Objęcie ministerium i zarządu państwa właśnie oddanym mu być miało, gdy jednego poranku, nim się udał do królewicza, Sułkowski posłał po swojego powiernika. Siedział z książką francuska w ręku w gabinecie, czekając nań, gdy powołany radca Ludovici<sup>139</sup> nadbiegł zdyszany.

Przy osobie ministra pełnił on te same obowiązki, co Hennieke przy Brühlu; był to jego *factotum*<sup>140</sup>, zastępca, naczelnik kancelarii, wyręczyciel i poradnik. Sułkowski, sam mało wprawny w interesach, posługiwał się nim we wszystkim.

Jedno spojrzenie na tę figurę dostatecznie ją poznać dawało. Charakterystyczniejszej twarzy trudno było spotkać ani łatwiej umiającej się zmieniać i przybierać wszelki wyraz, jakiego położenie wymagało. Lat przeszło trzydzieści Ludovici starszym się wydawał, niż był. Twarz cała w fałdach, bystre oczy czarne, usta ruchome, o których trudno było powiedzieć nawet, jak rzeczywiście natura je stworzyła, bo i wąskimi, i szerokimi być umiały; cała postać wyłamana i kuglarsko się wyginająca, nieustannie w ruchu, czyniły radcę Ludovici zjawiskiem nieprzyjemnym i niespokojnym. Trzeba się doń było przyzwyczaić, aby go móc znieść. Nieustannie patrzył w oczy, badał, wyrывał z ust niedokończone wyrazy. Sułkowski szczęściem był doń nawykły i powagą swą niecierpliwość jego trzymał na wodzy. Ludovici pełne miał wszystkie kieszenie papierów, wszedłszy, skłonił się i sparsłszy na poręcz najbliższego krzesła, czekał, co mu pan minister powiedzieć raczy.

– Dokumenty mam z sobą – rzekł na koniec uderzając się po boku, z którego kieszeni papiery wyglądały – jeżeli Wasza Ekscelencja pozwoli.

– Nie o tym się z w. panem radzić chciałem dzisiaj – odezwał się Sułkowski. – Mamy o czym innym do mówienia.

Ludovici pochylił się z niecierpliwą ciekawością, oczy mu się iskrzyły.

– O czymże, o czym? Wasza Ekscelencja raczy...

Sułkowski zdawał się namyślać jeszcze, czy ma się zwierzyć zupełnie; ta chwila wyczekiwania i niepewności podniosła jeszcze żywą już ciekawość pana radcy. Ściągał go oczyma, nachylał się jakby wylatujące z ust słowa chciał co najprędzej pochwycić.

Sułkowski zapatrzył się w okno. Wstał, potem powoli w bok się biorąc.

– Jest to dosyć nieprzyjemna rzecz – rzekł – że żyjąc na dworze, nawet tak nieograniczonym będąc zaszczyconym zaufaniem kurfirsta jak ja... mimo to pewne środki ostrożności przeciw zachciankom władzy zachować należy.

Ludovici uśmiechnął się, oczy roztworzył i ręką dziwnie w powietrzu poruszać zaczął, ale przerywać nie śmiał.

– Mogę śmiało powiedzieć – kończył Sułkowski – że się tu nie obawiam nikogo, ale też nikomu wierzyć nie mogę.

– Słusznie, pięknie, sprawiedliwie – dorzucił Ludovici. – Wierzyć nigdy nikomu nie trzeba. Mówił mi to jeden bardzo rozumny człowiek, że z przyjaciółmi zawsze obchodzić się należy tak, jakby jutro naszymi wrogami być mieli.

– Nie o to idzie, mój Ludovici, mogą się stać wrogami, a nic mi nie robią; ale o ich ruchach, zamiarach i myślach chcę być uwiadomionym.

– Słusznie, pięknie, sprawiedliwie – wtórował Ludovici.

– Dotąd nie miałem potrzeby, dziś mi się zdaje to koniecznym.

– Słusznym, pięknym i sprawiedliwym – powtórzył radca. – Tak, tak! Musimy mieć ludzi, którzy by oko mieli na wszystkich...

– Tak jest, nawet na osoby wysoko położone – z przyciskiem dorzucił Sułkowski.

Ludovici spojrzał i, nie będąc pewnym znaczenia tych wyrazów, wyczekującą przybrał postawę. Nie wiedział, jak wysoko ma prawo sięgnąć myślą i domysłem.

Sułkowski nie bardzo się chciał jasno tłumaczyć.

<sup>139</sup> L u d o v i c i - radca na dworze Augusta III, zaufany Sułkowskiego.

<sup>140</sup> F a c t o t u m (łac.) – wyręczyciel, pomocnik, totumfacki.



– Ja – dodał z pewnym zakłopotaniem – we wszystkie urzędowe czynności moich współkolegów wglądać nie mogę...

– Urzędowe czynności... – rozśmiał się Ludovici. – Ale to nic nie jest. Ekszelencji prywatne ich czynności częstokroć nierównie więcej znaczą...

– Rad bym mieć o tym...

– Słusznie, pięknie, sprawiedliwie, raporcik – wtrącił Ludovici – każdego dnia, regularnie. Tak, pisany, ustny? Zawahali się obaj.

– Ustny mi starczy – rzekł minister. – Waćpan mi go sam przynosić możesz, zebrawszy materiały właściwe.

– Ale słusznie, tak! ja... i zapewniam Waszą Ekszelencję, że wierniejszego sługi mieć nie może.

Tu skłonił się i w tejże chwili głowa, która była opadła aż na poręcz krzesła, podleciała znowu szparko do góry.

– Pozwolę sobie tu uczynić kilka uwag – szepnął Ludovici ciszej. – Posłowie obcy, rezydujący przy dworze, powinni ściślemu podlegać nadzorowi, cóż to są bowiem, jeśli nie urzędowe państw swych szpiegi, hm? Nie wyjmuję nawet, z przeproszeniem, hrabiego Wallensteina, choć jest zarazem wielkim ochmistrem dworu... A cóż dopiero mówić o Waldburgu pruskim? o margrabim de Monti, o rezydencie Woodward, o hrabi Weissbach... i o baronie Zülich.

– A! Mój Ludovici, obce państwa nie tyle częstokroć grożą, co wewnętrzne intrygi.

– Słusznie, pięknie – podchwycił Ludovici. – Tak! tak! tak! Nikt nade mnie wyżej nie szacuje i nie ceni ministra Brühla...

W tej chwili Sułkowski bystro spojrział na radcę, radca na niego i rozśmiał się szeroko, rękę do góry podniósł, głowę pochylił: zamilkł. Znaczyło to: zrozumieliśmy się, trafiłem we świeczek.

– Jest to mój dawny przyjaciel – począł Sułkowski. – Człowiek, którego niepospolite talenta szacuję.

– Talenta... wielkie, niepospolite, ogromne, straszne! – z gestykulacją żywą potakiwał Ludovici. – A tak.

– Radca masz wiedzieć, że zmarły król silnie go polecił najjaśniejszemu królewiczowi, że ma się żenić z hrabianką Kolowrath, że królewiczowa pani bardzo mu sprzyja. Pomimo to wszystko źle byś sobie tłumaczył to, co mówię, gdybyś sądził, iż mu nie ufam, że się go lękać mogę...

– Tak, ale ostrożność jest nakazana, a nadzór konieczny... Tamtędy płynie strumień złota i rzeka srebra... Sułkowski nakazał milczenie.

– Skarżą mi się niektórzy na język ostry Watzdorfa.

– Młodszego – przerwał Ludovici. – Tak, tak, niepowściągliwy, ale to młyn, który miele własne kamienie: nikomu to nie szkodzi oprócz jemu, a jak nie ma być zły, kiedy...

Nie dokończył, gdy wielki hałas dał się słyszeć w bliskiej sieni domu, z której drzwi wiodły do pokojów gościnnych, piskliwy głos, szamotanie się ludzi, chodzenie. Sułkowski nadstawił ucha. Ludovici zamilkł i cała twarz i postawa jego przyoblekła się inaczej: zmieniony do niepoznania, stał się poważnym urzędnikiem z dworaka. Ściągnięte usta wyrażały zadumanie głębokie. Pisk, przerywany śmiechem kobiecym, rozlegał się ciągle w sieni. Ktoś widocznie domagał się wnijscia i chciał je zdobyć przebojem.

Sułkowski dał znak radcy, że na ten raz konferencja była skończona, i postąpił ku drzwiom. Zaledwie się one otwały, gdy ten śmiech suchy i dziwno brzmiący wleciał z przedpokoju, a nim gospodarz mógł wynieść na spotkanie, dama, najpocieszniej przybrana w żałobę, wpadła do gabinetu.

Podobne jej figurki chyba na parawanach i z porcelany lepienie się trafiają. Niezmiernie strojna i nadzwyczaj brzydka, chuda, żółta, woniejąca węgierską wodą (*La Reine d'Hongrie*,

larendogą, zastępującą wówczas kolońską), w wysokiej fryzurze, na korkach wysokich. małeńka kobiecina wpadła szastając suknią i mizdrząc się do Sułkowskiego oczkami zmrużonymi, buzią wysznurowaną, w której już połowy niegdyś perłowych ząbków nie było.

W chwili gdy ten niespodziewany gość brał szturmem gabinet, Ludovici na wpół zgięty wysuwał się z niego, a przybyła, pomimo iż była bardzo zajęta, oczyma za nim powiodła.

– *Le cher comte!*<sup>141</sup> – zawołała. – Widzisz, widzisz, niewdzięczny hrabio! Nim mogłeś się dowiedzieć, że ja tu jestem, ledwie ucałowawszy kolana mojej najjaśniejszej wychowanicy przybiegłam do ciebie. *N'est-ce pas joli de ma part?*<sup>142</sup>

Sułkowski się skłonił i chciał jej rękę ucałować, ale go klapnęła po ramieniu czarnym wachlarzem.

– Daj pokój... stara jestem, to ci smakować nie będzie; ale daj mi gdzie sięść.

Obejrzała się i na pierwszym krześle upadła.

– Muszę odetchnąć: chciałam z wami pomówić na cztery oczy. Sułkowski stanął przed nią w gotowości do rozmowy. Podniosła ku niemu głowę.

– No, cóż? Straciliśmy tego wielkiego, wspaniałego, nieodżałowanego Augusta naszego!

Westchnęła, Sułkowski wtórował.

– Szkoda go, ale między nami powiedziawszy, żył dosyć i użył wiele i nadużył... Ja o tym mówić nie mogę: *des horreurs*<sup>143</sup> Cóż teraz będzie z wami, sierotami biednymi? Królewicz? prawda? nieutulony w żalu? tak? Ja od mojego dworu przybyłam z kondolencją do niego i mojej drogiej najjaśniejszej wychowanki.

Pochyliła się nieco i sparła niby wdzięcznie na poręczy krzesła, do ust przykładając wachlarz.

– Cóż słyhać, mój hrabio, drogi hrabio? Co słyhać? Już wiem, że wy należne wam otrzymaliście stanowisko. Cieszym się z tego wszyscy, bo wiemy, że dwór nasz na was rachować może we wszelkim wypadku...

Sułkowski się skłonił.

Z tych wyrazów łatwo odgadnąć, iż przybyła była posłanniczką dworu austriackiego. Była to sławna niegdyś nauczycielka królewiczowej Józefiny, później frejlina, panna Kling, którą posyłano tam, gdzie męskie poselstwo byłoby zbyt nieczyście oczy zwracało. Panna Kling była jednym z najrzeczniejszych ówczesnych dyplomatów na posługach cesarza.

– Pani już o wszystkim od najjaśniejszej królewiczowej wiedzieć musi.

– Ale o niczym w świecie nie wiem, drogi hrabio; wiem tylko – prędko mówiła panna Kling – że wam należy pierwsze dostojęństwo, że macie kurfirsta serce, że Brühl ma wam dopomagać. Ale mówże mi, hrabio, co to jest ten Brühl?

Sułkowski się zamyślił.

– Jest to mój przyjaciel – rzekł w końcu.

– A! Teraz... to rozumiem. Wiecie, że królewiczowa mu przyrzekła Kolowrathównę i że ona podobno nie bardzo sobie życzy. Wszak Brühl szalał za Moszyńską?

Wszystko to tak prędko biegło z ust panny Kling, że Sułkowski na odpowiedź namyśleć się nie miał czasu,

– Tak – rzekł krótko. – Brühl podobno się żeni...

– Ale luter jest?

– Ma przyjąć wiarę katolicką.

– Byle nie tak jak, z przeproszeniem nieboszczyka, ten wspaniały, wielki August II, który swoim ulubionym wyżłom kładł różańce na szyję.

Sułkowski zmilczał.

<sup>141</sup> *Le cher comte* (fr.) – ten drogi hrabia.

<sup>142</sup> *N'est-ce pas joli de ma part* (fr.) – czy to nie ładnie z mej strony?

<sup>143</sup> *Des horreurs* (fr.) – okropności.

– Cóż więcej? Królewicza nie widziałam jeszcze... Zmienił się? Posmutniał? Żal mi go! Żałoba... opery tak długo nie posłyszysz. A Faustyna cóż? Czy ją kto zastąpi?

– Najjaśniejszy królewicz pragnie wszystko utrzymać w takim stanie, jak było za rodzica jego, śp. Augusta... Faustyny nikt by zastąpić nie potrafił.

– Ale to stara kobieta i głos ma tylko piękny.

– To też ten w niej tylko zachwyca – odezwał się Sułkowski. Panna Kling zakryła się wachlarzem i pokiwała głową.

– Prawdziwie – rzekła cicho – dla mnie kobiety nader drażliwe pytanie; ale jestem ciekawą i muszę wiedzieć. Mój Sułkowski, czy on dotąd jest wierny żonie? Ja ją tak kocham, moją najjasniejszą wychowanicę.

Hrabia aż się cofnął.

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości! – zawołał żywo. – Najjaśniejsza królewiczowa nie opuszcza go ani na chwilę: jeździ z nim na łowy do Hubertsburga i Dianenburga nawet.

– Ażeby ją sobie zbrzydził i aby mu się prędzej naprzykrzyła – szepnęła Kling – to niedobra rachuba. Ja się zawsze lękam tego bałamuctwa, które jest we krwi...

Spojrzała na hrabiego, który głową potrzasał.

– Królewicz jest tak pobożny...

Kling pokryła uśmiech wachlarzem, Okna pokoju, w którym się toczyła ta rozmowa, zwrócone były ku rynkowi. Pomimo że mówiono dosyć głośno, wrzawa, śmiechy i hałas jakiś uliczny pod samymi oknami stał się tak silny, że Sułkowski, namarszczywszy brwi, nie mógł się powstrzymać, aby się nieco ku oknu nie zbliżyć i nie wyjrzeć, jaka tego była przyczyna.

W owych czasach uliczny hałas i rozpasanie pospólstwa były bardzo rzadkie. Jeśli się co podobnego trafiało, musiało być spowodowane wypadkiem ważniejszym i niejako urzędowym: wyrokiem jakimś sądowym, wykonaniem jego lub tym podobnie. W istocie przez okno widać było nagromadzone tłumy, w sąsiednich kamienicach pełno było głów we drzwiach i szybach. W pośrodku cizby, która się cisnęła i falowała, jakiś pochód niezrozumiały się odbywał...

Panna Kling, niezmiernie ciekawa, porwała się z siedzenia, podbiegła do okna i rozsunąwszy firanki, starała się widowisku, które jej badanie przerwało, przypatrzeć. Sułkowski spoglądał także.

Tłum właśnie pod samymi przeciągał oknami, a ogromna kupa dzieci i starszych obdartusów goniła za dziwną figurą w ciemnej sukni, siedzącą na osiołku twarzą do ogona. Osła prowadził pacholek czerwono ubrany. Smutno było spojrzeć na tego nieszczęśliwego winowajcę, człowieka niemłodego, ze spuszczoną głową, przygarbionego, przybitego wstydem i męczarnią na lata jego ciężką. Chwilami oczy sobie zakrywał... to znowu chwycił się osła, aby nie spaść, to opierał na szyi, to na grzbiecie.

Z okna można było rozpoznać dobrze zbladłą, zboląłą, żółtą twarz ukaranego przestępcy, który wnosząc z sukni, do lepszego stanu należał. Z kieszeni jego wystawały papiery. Z nów zwieszonych pospadały trzewiki, suknie miał poszarpane i rozpięte. Jakiś rodzaj osłupienia nastąpił widać po doznanym upokorzeniu; machinalnie tylko bronił się od upadku, nie patrząc na to, co się koło niego działo. Pomimo że dokoła osła szli z hałabardami pachółkowie miejscy, tłum, nielitościwy zawsze i okrutny, wypatrzywszy chwilę, ciskał błotem i kamykami na starca. Cała jego suknia okryta już była plamami, a z twarzy ściekało także błoto. Pachółkowie się śmieli, dzieci biegły, schylały się, goniły i zażarcie dopełniały bezmyślnego okrucieństwa.

– Ale cóż to jest?! – zawołała panna Kling. – Co się tu u was dzieje?! Nie rozumiem!

– A! Nic, nic! – obojętnie zawołał Sułkowski. – Bardzo prosta rzecz. Nie można bezkarnie dozwolić, aby ta hałastra, gryzipiórki jakieś, co papier zasmarowują, śmieli się porywać na sądenie ludzi klas wyższych i mówienie o nich bez należnego uszanowania.

– Ale naturalnie – odparła panna Kling. – A cóż by to było, gdyby im pozwolono tykać najświętszych rzeczy...

– Wiem, co to za jegomość: to wydawca jakiegoś pisemka, które gazetami albo nowinami nazywamy, niejaki Erell. Dawnośmy uważali, że sobie za wiele pozwala. Na ostatek przeskrobał coś w swoich *Dresdner Merkwürdigkeiten*<sup>144</sup> i kazano go przeprowadzić po mieście na takim osle, jakim on sam jest.

– *Et c'est justice!*<sup>145</sup> – zawołała panna Kling. – To bardzo dobrze: z tymi ludźmi dosyć surowymi być nie można. Wyborny przykład, rada bym, aby go w Wiedniu naśladowano i żeby się nam dostali w ręce ci, co w Hamburgu i Hadze pozwalają sobie odkrywać najskrytsze dworów tajniki!

Patrzali oknem jeszcze, tłum się wrzeszcząc tłoczył. Stary ów Erell, znać wycieńczony, chylił się na prawo i lewo, jakby co chwila z osła się miał zsunąć. Ale pacholkiwie uważni chwyтали go pod pachy i umocowywali znowu, a że ich to niecierpliwiło, nie obeszło się bez poprawiania pięścią niezdarne go pismaka, który pozwalał sobie, popełniwszy taką zbrodnię, udawać jeszcze delikacika.

Na zawrocie ulicy widowisko to wreszcie wraz z tłumem, który wiodło za sobą, zniknęło za murem, a panna Kling powróciła do swojego fotelu.

Któż by się był naówczas domyślił, że ten, którego na pośmiewisko wystawiano tak nielitościwie, przedstawiał sobą jedną z tych potęg nieznanych, do jakiej miało dorosnąć dziennikarstwo!

Nie popsulo to widowisko humoru ani szczebiotliwej pannie Kling, ani Sułkowskiemu. Znikło z pamięci, znikłszy z oczów; poczęły się szept i dopytywania. Gospodarz jednak dosyć zimno i ostrożnie odpowiadał na rzucane mu do rozwiązania zagadki.

– Mój drogi hrabio – dodała w końcu posłanka – powinienes rozumieć to dobrze, iż dworowi mojemu idzie o to, aby zdrowy wpływ tylko miał przystęp do umysłu kurfirsta, a nawet mojej najjaśniejszej wychowanki. Wprawdzie aktem urzędowym zrzekliście się wszelkich roszczeń i przyjęli sankcją pragmatyczną<sup>146</sup>, lecz... łącznie by ktoś mógł was wprowadzić na pokuszenie. Dwór mój ufa ci, kochany hrabio – dodała cicho – i możesz nań rachować, bo wdzięcznym być umie.

– Liczę się do najwierniejszych sług Jego Cesarskiej Mości – rzekł Sułkowski.

Panna Kling wstała i otrząsała suknią na rogówce, gdyż pomimo twarzy i wieku dbała wielce o swój strój. Przejrzała się w wiszącym zwiercisdle, uśmiechnęła, dygnęła; Sułkowski podał jej rękę i wychodzącą przeprowadził do oczekującej na nią dworskiej *porte-chaise*. do której zaprzążeni dwaj hajducy w kanarkowej liberii unieśli zaraz kłaniającą się długo i wdzięcznie baronównę.

## X

Wkrótce po opisanych tu scenach, w godzinie obiadowej, która naówczas była tak wczesną, że na zamku o drugiej zwykle od stołu wstawano, Brühl niezmiernie zmęczony wpadł do swojego domu.

Na twarzy jego, zwykle tak rozpromienionej, znać było rozdrażnienie wielkie. Spojrzał na zegar i, nie dając sobie tak potrzebnego wypoczynku, pobiegł do znanej nam garderoby.

<sup>144</sup> *Dresdner Merkwürdigkeiten* (niem.) – „Drezdeńskie Osobliwości”, pismo wychodzące wówczas w Dreźnie.

<sup>145</sup> *Et c'est justice* (fr.) – i to jest sprawiedliwie!

<sup>146</sup> Sankcja pragmatyczna – akt prawny wydany przez cesarza Karola VI, w r. 1713, zapewniający niepodzielność monarchii Habsburgów.

Czterech lokajów czekało tu na jego ekscelencję, piątym był Hennicke z nadzwyczaj kwaśną twarzą, stojący w progu i zdający się domagać posłuchania,

Zobaczywszy go w zwierciadle, Brühl odwrócił się niecierpliwie.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Rzecz niezmiernie pilna! – ponurym głosem zawołał Hennicke.

– Ale i mnie też niezmiernie jest pilno... – rzekł niecierpliwie Brühl.

– A mnie pilniej jeszcze niż Waszej Ekscelencji – mruknął zausznik.

Widząc, że się go nie pozbędzie, minister pobiegł do progu. Czekał na to, co mu miał powiedzieć Hennicke. Lecz radca potrząsł głową i wskazał wyraźnie, że tu przy świadkach rozpocząć nie może. Minister szybkim krokiem na powrót przebiegł do gabinetu. Zamknęto drzwi.

– Mów prędko!

Hennicke zapuścił ręce z palcami długimi i kościstymi w głąb kieszeni swej kamizelki, dobył z niej powoli coś błyszczącego i milcząc podał Brühlowi.

Była to moneta czy medal wielkości talara. Brühl poszedł z nią do okna, bo dzień był pochmurny. Oczy jego pilnie zatrzymały się na medalu, którego jedna strona wyobrażała tron z siedzącą na nim figurą z fajką, w szlafroku, a poznać w niej było łatwo lub domyślić się raczej kurfirsta młodego; trzy figury podpierały tron jego, dwie w paziowskich strojach, a jedna w lokajskiej liberii. Odwróciwszy medal mógł przeczytać na nim dystych<sup>147</sup> szyderski, stosujący się do Sułkowskiego, do niego i do Hennickego:

Jest nas tu trzech razem:

Dwóch paziów i lokaj.

*(Wir sind unserer drei:*

*Zwei Pagen und ein Lakai).*

Popatrzywszy chwilę, Brühl cisnął medalem o ziemię, ten się potoczył, a Hennicke schylił po niego troskliwie, goniąc toczący się aż pod kanapkę. Podniósł się wreszcie, Brühl stał zamyślony i gniewny.

– Cóż Wasza Ekscelencja na to?

– Co? Dajcie mi tego, co to zrobił... zobaczycie! – zawołał Brühl.

– Go to zrobił? – podchwycił gniewnie Hennicke. – To odbito w Holandii, tam gdzie nasze ręce nie sięgają, ale podyktowane z Saksonii. Któż tam się o to troszczy, czy ja byłem lokajem, a Wasze obiedwie Ekscelencje paziami. Holendrom, to zupełnie wszystko jedno. To wyszło stąd, z Saksonii.

– A zatem trzeba dojść sprawcy! – zawołał Brühl. – Bądź co bądź nie potrzeba żałować na to wydatku... nasłać ludzi!

Hennicke ruszył ramionami.

– Piękną byśmy mieli policję i dobrych szpiegów, gdybyśmy tego dojść nie mogli! Ten medal daj mnie – dodał Brühl – ja go potrzebuję mieć. Skąd go masz?

– Mnie go niewidzialna podrzuciła ręka. Znalazłem go w domu na stoliku. Znajdziecie może i wy u siebie.

– Potrzeba surowości do ostatecznych posuniętej granic, do Königsteinu na całe...! – krzyknął minister. – Niedawno Erella trzeba było przewietrzyć oprowadzając po ulicach; ale tego jegomościa bezpiecznie zamknąć, aby się nauczył szanować ludzi.

– Najprzód go trzeba znaleźć – mruknął Hennicke. – Postaramy się o to... Mnie w tak dobrym towarzystwie – rzekł z tajonym gniewem – wcale nie wstyd. Ekscelencjom może być przykro stać obok eks-lokaja.

Spojrzał bystro na Brühla.

---

<sup>147</sup> D y s t y c h (z gr.) – dwuwiersz.

– Ha, ale ten lokaj potrzebny... bez niego obejść by się było trudno... dużo rzeczy widział, wiele słyszał, niemało ich przez ręce przepuścił; gdyby się go pozbywać chciało...

– Cicho, milcz. Hennicke – przerwał minister. – Niepotrzebne czynisz przypuszczenia. Medal wykupimy i zniszczymy, a sprawcę ty znajdziesz. Za kilka tysięcy talarów wiele zrobić można. Wyprawić człowieka rozumnego do Holandii na miejsce.

– Ja sam pojedę... – rzekł Hennicke. – Nie dziś, to jutro namacam tego jegomościa. Nie byłby człowiekiem, żeby coś tak dowcipnego wymyśliwszy, nie pochwalił się z tym przed kimkolwiek. Trochę cierpliwości... będziemy go mieli.

Brühlowi było pilno, skinął na konfidenta i wyszedł. Hennicke znikł. Chmurniejszy nieco, pobiegł się przestroić, oblać wonną wodą, dobrać sobie do stroju tabakierkę, szpadę, perukę i kapelusz. Spojrzał na zegarek i kazał zajeżdżać karecie. Konie stały w gotowości. Zaledwie siadł, uniosły go ku przedmiesciu Wildsrufskiemu. Dzień był piękny, wiosenny, ciepły, słoneczny. U bramy minister stanąć kazał, lekki płaszczyk narzucił na ramiona, wysiadł z powozu i odprowadził go do domu, stał, póki mu z oczu nie zniknął. Obejrzał się potem bacznie, a że wśród przechodzących nikogo oprócz ludzi z gminu nie było, posunął się żywo za bramę, gdzie się poczynały ogrody. Ścieżką, sobie znajomą dostał się do furtki, od której miał klucz w kieszeni, i jeszcze raz obejrzawszy się na wszystkie strony, wybiegł do ogródka, którego rozkwitłe jabłonie okryły go strzęsionymi z gałęzi różowych kwiatów listkami.

W głębi widać było skromny bardzo domek wiejski, cały w białych krzakach utulony. Ptaszki świergotały na gałęziach, cicho było i pusto; Brühl szedł ulicą, wysadzaną drzewy, powoli, zamyślony, z głową spuszczoną. Trzask otwierającego się okna zbudził go. W oknie stała wspaniałej postaci kobieta, zdająca się oczekiwać na niego. Spostrzegł ją i lice mu się rozjaśniło. Zdjął kapelusz i pozdrowił ją, rękę przykładając do serca.

Ci, co niegdyś znali w całym blasku jej niezrównanej piękności, dziś zamkniętą w pustym zamku i zestarzałą w tęsknocie i bólu Cosel, byliby w rysach młodej pani, stojącej w oknie, znaleźli do niej choć dalekie podobieństwo. Nie miała ona blasku matki ani tych rysów rzeźbionych, które do późnej starości zachowały się niestarte nawet łzami, ale miała majestat i powagę, i potęgę jej wejrzenia.

Stojąca w oknie była to hrabina Moszyńska, której mąż w Warszawie przygotowywał elekcję królewicza. Ona wolała pozostać w Dreźnie. Kilku krokami śpiesznymi Brühl znalazł się w progu domku. Ona wyszła naprzeciw niego. Wnętrze chatki daleko ozdobniejsze, niżby się po jej skromnej powierzchowności spodziewać było można, strojne było w zwierciadła, w wytworne sprzęty i wonne od wiosennych kwiatów. W pierwszym, dosyć dużym pokoju stał nakryty do obiadu stół na dwie osoby, świecący od sreber, kryształów i porcelany. Nie było nikogo oprócz hrabiny i ptaszków, które w brązowych klatkach świergotały, idąc w zapasy ze swymi braćmi na swobodzie.

– Tak późno! – szepnęła Moszyńska, którą Brühl w rękę całował.

– Prawda, późno – odparł minister, dobywając brylantami kameryzowany<sup>148</sup> zegarek – ale mnie wstrzymano interesem niemiłym a ważnym.

– Niemiłym? Cóż takiego?

– Dziś nie mówmy o tym, rad bym zapomnieć...

– A ja chciałabym wiedzieć...

– Dowiedzie się, kochana hrabino, zawsze za wcześnie o rzeczy nieprzyjemnej – rzekł Brühl, siadając naprzeciw niej i głowę opierając na dłoni. – Cóż zresztą dziwnego, że człowiek, co jak ja po stopniach iść musiał i doszedł trochę wyżej, ma nieprzyjaciół w tych, co za nim pozostali i którzy się mszczą bezsilnymi szyderstwami.

Hrabina, która słuchała z uwagą nateżoną, poruszyła się żywo i z uśmiechem lekceważenia piękną rączką uderzyła po stole.

<sup>148</sup> K a m e r y z o w a n y (z niem.) – wysadzony drogimi kamieniami.

– Szyderstwy! Potwarzami! Słowy! – zawołała. – I wy jesteście tak słabi, że na to zważacie? że was to obchodzi? że boli? Musiałabym zwątpić o was, kochany Henryku, gdybyście być mieli tak słabi. Kto chce wielką w świecie odegrać rolę, ten na sykanie widzów wcale zważać nie powinien ani się powodować oklaskami. Jedno i drugie niewiele warto. Jeżeli cię boli posłyszane słówko, żal mi cię: nigdy nie dojdiesz do niczego. Nad to trzeba umieć być wyższym...

– Nikczemne urąganie – wrzucił Brühl.

– Cóż cię to tak może obchodzić, że pies zza płotu szczeka? – spytała piękna hrabina.

– Drażni mnie.

– Nie spodziewałam się tego. Wstydź się!

– Nie wiecie, o co idzie.

To mówiąc, Brühl dobył z kamizelki medal, który wziął z sobą, i posunął ku hrabinie. Ta obojętnie nań rzuciła zrazu okiem, przypatrzyła się rysunkowi jednej strony, powoli odwróciła go na drugą; przeczytała napis, uśmiechnęła się, ruszyła ramionami i chciała wyrzucić przez okno, gdy Brühl rękę jej wstrzymał.

– Potrzebny mi – rzekł.

– Na co?

– Nie puszczę tego płazem – odparł minister. – Koncept wyszedł z Saksonii. Jeśli dozwolimy nicować nasze czynności i nie ukarzymy zuchwalca...

– Znajdźcie go najprzód – szepnęła hrabina – a potem dobrze się zastanówcie, czy mszcząc się, nie podniesiecie dzieciństwa do ważności, której ono nie ma.

– Zanadto sobie pozwalają! – zawołał Brühl. – Niedawno Erella trzeba było na ośle wodzić po ulicach, a autora medalu wypadnie zaprosić do Königsteinu.

Moszyńska ruszyła ramionami pogardliwie.

– Zemstę, wierz mi, zostaw Sułkowskiemu – rzekła. – A w ogóle, dopóki musicie panowanie dzielić z nim, starajcie się, aby na jego ramiona spadało wszystko, co drugich boli, na siebie bierzcie, co miłe. Spodziewam się wszakże, iż długo tej spółki z nim nie będzie – dodała ciszej.

– Jak długo ona potrwa, nie wiem – odezwał się Brühl. – Moim zdaniem należy mu dać czas, aby on sam zbytkiem ufności w sobie i jaką omyłką się zgubił.

– Masz słuszość i to nieochybnie nastąpi. Sułkowski ma dumę i zarozumiałość ogromną, jest pewnym, że zrobi z królem, co chce. Należy mu dać plac i pole, na którym by koziołka przewrócił. Tymczasem *il tirera les marrons du feu*<sup>149</sup> – rozśmiała się hrabina, ale Brühla rozweselić nie mogła: siedział chmurny i zamyślony.

Wdzięcznie ubrana i figlarnie wyglądająca służąca, w trzewiczkach na korkach, w czepeczku białym na kształt owej sławnej czekoladniczki wiedeńskiej Liotarda<sup>150</sup>, z podpiętym fartuszkim, z rączkami do łokcia obnażonymi i dowodzącymi, że się nie zapracowywała, bo były białe i delikatne, wniosła w tej chwili wazkę srebrną. Uśmiechkiem i wejrzeniem powitała nieznacznie Brühla, a wazkę postawiwszy na stole, wybiegła prędko z pokoju.

Obiad we dwoje począł się przy rozmowie ożywionej. Moszyńska dopytywała o wszystko: o parmę Kling, o jej poselstwo, nawet o projektowane małżeństwo Brühla, o którym mówiąc, westchnęła i namarszczyła brwi.

– Nie spodziewam się, żeby mi ono odebrało serce wasze, Henryku – odezwała się cicho. – Panna cię nie kocha, ona ci jest obojętną... żenisz się pono więcej dla królewiczowej, dla starej Kolowrathowej i dla stosunków niż dla siebie; ja to wiem i dlatego jestem spokojną.

<sup>149</sup> *Il tirera les marrons du feu* (fr.) – będzie wyciągał kasztany z ognia.

<sup>150</sup> Jan Stefan Liotard (1702-1789) – francuski malarz pastelowy, twórca znanego obrazu: *Dziewczynka z czekoladą*.

– Możecie nią być – rzekł minister. – Serca drugiego nie mam, a to, którym miał, oddałem dawno. Żenię się tak samo, jak dzielę władzę z Sułkowskim, bo to jest koniecznością położenia.

– Królowi, królowi nadskakuj: stań mu się potrzebnym: baw go, siedź, nie odchodź, poluj, choć cię polowanie nudzi. Sułkowski, jeśli się nie mylę, zechce odpoczywać, zapragnie grać rolę wielkiego pana, ty się stań nieodzownym. Król – nazywam go już tak, bom elekcji pewna i korony – potrzebuje kogoś i zawsze przy sobie dlatego, aby mu się choć uśmiechać, jest słaby, łatwo nabiera nałogu twarzy i ludzi. O tym wszystkim trzeba pamiętać.

– A! Droga hrabino! – chwytając ją za rękę, zawołał Brühl. – Bądźcie moją opiekunką, moją egerią<sup>151</sup>, moją opatrnością, a o przyszłość mogę być spokojny...

Rozmawiali tak, gdy głosy dały się słyszeć u furtki i wnijścia. Służąca wbiegła przestraszona. Hrabina porwała się od stołu z brwią namarszczoną, gniewna.

– Co to jest? – zawołała.

– Jakiś... ja nie wiem, ktoś ze dworu. Z listem czy zaproszeniem, domaga się gwałtem, by był wpuszczony.

– Tu? tu? Ale któż mu mógł powiedzieć, że ja tu jestem? Mnie tu dla nikogo nie ma.

Domawiała tych wyrazów, gdy pomiędzy drzwiami w ogródku pokazał się mundur szambelański. Ogrodnik zapierał mu drogę, szambelan nie zważając nań, szedł powoli. Brühl schylił się, spojrział przez okno, poznał Watzdorfa i na znak hrabiny cofnął się do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą. Pozostał stół nakryty na dwie osoby. Hrabina rozkazała sprzątnąć drugi talerz, a zręczna subretka uniosła nakrycie, zapomniawszy tylko o szklance i kieliszku, Nikt na to nie uważał. Hrabina po chwilce siadła do stolika, chociaż bardzo niespokojnym okiem spoglądała ku ogródkowi; brew jej marszczyła się i ręka drżała z gniewu.

Watzdorf tymczasem przebojem szedł aż do domku, zbliżył się do otwartych drzwi od ogródka i stanąwszy w nich naprzeciw hrabiny, zwrócił się do goniącego ogrodnika:

– A widzisz... jej ekscelencja jest, wiedziałem o tym dobrze. To mówiąc, z szyderskim skłonił się wyrazem, ciekawie i nieprzyzwoicie rozglądając dokoła, jakby jeszcze kogoś szukał oczyma.

Gdy stanął naprzeciw niej, Moszyńska przybrała bardzo surową fizjognomię.

– Co pan tu robisz?! – zawołała groźnie.

– Po stokroć panią hrabinę przepraszam, jestem najniešťczęśliwszym z szambelanów i najniezręczniejszym z ludzi. Królewicz dał mi bilet, pojechałem do jej pałacu, odprawiono mię z niczym. Bilet królewicza a pana to zawsze rzecz pilna. Puściłem się w pogoń za Waszą Ekscelencją, szedłem tropem i doszedłem aż tu.

– Że waćpan chcesz naśladować wyży i gończe, to mnie nie dziwi, panie szambelanie – syknęła, wstając, hrabina. – Ale ja zwierzyną być nie lubię. Nigdzie więc ukryć się i odetchnąć spokojnie od szambelanów nie można...

Watzdorf zdawał się nasycać tym gniewem. Spoglądał na stół: stało przy nim jeszcze krzesło Brühla z zawieszoną na poręczy serwetą. Hrabina widziała, jak się uśmiechał, przypatrując się tym sprzętom zdradzieckim. Nie zmieszała się wcale, ale gniew jej tylko wzrósł do najwyższego stopnia.

– Gdzież ten bilet? – zawołała.

– Ja poczekam. Kiedym już raz miał szczęście znaleźć Waszą Ekscelencję, będę cierpliwym.

– Ale mnie waćpan do niecierpliwości przyprowadzisz, bo ja patrząc nań, nic do ust wziąć nie będę mogła – odezwała się Moszyńska.

– Pani mi przebaczy, ale ta cudna woń wiosny... rad bym nią tu odetchnąć.

---

<sup>151</sup> E g e r i a - tu: doradczyni (od imienia doradczyni mitycznego króla rzymskiego, Numy Pompiliusza).



– Wiosna w polu jest jeszcze daleko wonniejszą i piękniejszą; oddaj mi pan bilet i zostaw mnie w mojej samotności.

Watzdorf uśmiechnął się szydersko i powoli po wszystkich kieszeniach szukał biletu.

– W istocie samotność w tym kątku we dwoje... a, jakby była rozkoszną – mruczał impertynencko.

– Ja i moja *suivante*<sup>152</sup> tak jesteśmy we dwie, a ogrodnik, który tak nieroztropnie waćpana wpuścił, za co dostanie odprawę, trzeci... Gdzież ten bilet królewicza?

Watzdorf szukał go powoli i dobywał różnych rzeczy z kieszeni, między innymi jakby przypadkiem natrafił na medal i odezwał się:

– Proszę hrabiny, co to za zuchwali i nikczemni są paszkwilanci! Kto by się to czego podobnego spodziewał?

Położył medal na stole, a sam dalej kieszenie przebierał. Hrabina spojrzała, poznała medal, udała, że go wcale nie zna, zaczęła rozpatrywać i z najzimniejszą krwią odrzuciwszy go, rzekła:

– Wcale lichy koncept! Ale cóż on komu szkodzi?

Szambelan popatrzył na nią.

– Może królewiczowi poddać myśli niepotrzebne.

– Jakie? – spytała hrabina.

– Dobrania sobie innych podpór do tronu – rzekł Watzdorf.

– Kogoż? Waćpana, panie szambelanie, Froscha i Storcha?

Watzdorf zakąsił wargi.

– Pani hrabina jesteś złośliwą...

– Pan mnie nie tylko do niecierpliwości, ale do złości istotnie doprowadzić możesz. Gdzież ten bilet?

Właśnie jestem w rozpacz... Zdaje mi się, że go zgubiłem.

– Biegnać za mną, aby mi przykrość wyrządzić – mruknęła hrabina – aby mnie tu ścigać, gdy pragnę być samą.

– Samą! – powtórzył Watzdorf z szyderskim śmieszkiem i popatrzał na zdradzieckie krzesło.

– Rozumiem – wybuchnęła Moszyńska. – Wejrzenie waćpana zwraca się ku temu krzesłu, więc jeszcze posądzasz mnie? Czy hrabia Moszyński polecił mu straż nade mną?

Mówiła wciąż z gniewem największym i lice jej zapalało się, co ją piękniejszą jeszcze czyniło, gdy zaszeleściła suknią kobieca i osoba, która już przez kilka chwil wpródy, wszedłszy po cichu, stała ukryta za chińskim parawanem z laki, który w niej niejedno osłaniał, wyszła powolnym krokiem, poważnie na środek pokoju.

Watzdorf osłupiał.

Było coś tak dziwnego w tym zjawisku, że nawet hrabina zadrżała, ujrzawszy je.

Wchodząca powoli kobieta, słusznego dosyć wzrostu, niemłoda, z dziwnie przejmującym wejrzeniem i królewską postawą, z twarzą, na której wiek nie śmiał zniszczyć nadzwyczajnej piękności śladów, była ubrana tak dziwacznie, iż ją prędzej za obłąkaną niż za zdrową na umyśle wziąć było można. Miała na sobie rodzaj szerokiej togi czarnej, obszywanej galonami, ze szkaplerzem dziwacznie w litery jakieś szytym na piersiach. Pas, którym druga suknia spodnia była przepasana, miał na sobie czarno na złocie inalowane znaki kabalistyczne i zodiakalne. Na głowie, na czarnych, bujnych włosach, rodzaj zawoju, przepleciony pergaminowym szlakiem w hebrajskie zgłoski, z dwoma długimi końcami spadającymi na ramiona, mało co białe i piękne okrywał czoło. Piękne swe, wyraziste oczy zwróciła na natrętą, brwi ściągnęła, wzgardliwie popatrzała nań i odezwała się głosem surowym:

– Czego tu waćpan chcesz? Po coś tu przyszedł? Abyś córkę i mnie szpiegował, a potem zabawiał królewicza opowiadaniem, jak wygląda stara Cosel? Nieodrodny synu „chłopa z

---

<sup>152</sup> *S u i v a n t e* fr.) – towarzyska.

Mansfeldu”<sup>153</sup> i bufona<sup>154</sup>, czy i ty mnie prześladować będziesz?... Idź precz! Idź mi zaraz precz... precz stąd! Ani mi się waź! Daj mi być z córką samą...

Ręką wyprężoną wskazała drzwi. Watzdorf, pomieszany, cofnął się. Błysnęły mu oczy, nie rzekł słowa... wyszedł.

Cosel przeprowadziła go oczyma aż na ścieżkę i zwróciła się do córki.

Nie były to pierwsze jej odwiedziny ze Stolpen w Dreźnie, ale tym razem Moszyńska się jej nie spodziewała nawet: Weszła, aby ją uratować od posądzenia. Hrabina wstała na matki przyjęcie. Przyszło jej na myśl, że Brühl, który się cofnął do gabmetu, zobaczywszy odchodzącego Watzdorfa, wniść może i niepotrzebnie ją zdradzić przed matką.

Zmieszła się. Tymczasem Cosel zasiadła spokojnie miejsce Brühla.

Wypędziwszy natręta, zamyślona, zdawała się już, prawie nieprzytomną. Ręką wychudłą, ale białą i piękną jeszcze, uderzała po stole machinalnie, oczy jej biegały po pokoju.

– Weszłam tu niespodzianie – szepnęła wkrótce, nie patrząc na córkę. – Ale pozwoliłaś mi w tym domku przyjmować tych, z którymi ja się widzieć potrzebuję: dałam znak pastrowi, aby tu przyszedł.

Moszyńska okazała zdziwienie.

– Nie lękaj się, on nadejdzie dopiero wieczorem – dodała Cosel. – Ale któż to był z tobą? Dlaczego się skrył?

Moszyńska milczała chwilę, namyślała się. Matka patrzyła na nią jak w tęczę, z pewnym politowaniem.

– Rozumiem – rzekła z pogardliwym śmiechem – dworskie intrygi. Nowy pan, nowi ludzie, musicie się na tym śliskim lodzie trzymać jak można, by nie upaść.

To, czego się obawiała Moszyńska, stało się w tej chwili. Brühl zjawił się w otwartych drzwiach drugiego pokoju i ujrawszy tę postać, której nigdy jeszcze nie widział, ale się jej z.naczenia domyślał łatwo, osłupiał nie wiedząc, co począć ze sobą.

Moszyńska, zwrócona plecami, nie widziała go, ale po oczach matki domyśliła się: rumieniec okrył jej twarz na krótko, zbladła i ośmieliła się wprędce.

Cosel oczy miała wlepione w pięknego mężczyznę i z chłodną krwią tak mu się przyglądała, jakby ciekawemu jakiemuś stwo-rzeniu, którego charakter odgadnąć pragnęła.

– A więc to on jest? – rzekła uśmiechając się.

Moszyńska zwróciła się nagle.

Brühl stał w progu.

– Kto on? – zapytała Cosel.

– Minister Brühl – cicho odpowiedziała Moszyńska.

– Wszystko nowe u was oprócz potomstwa chłopca... Brühl! O nikim podobnym nie przypominam sobie. Postąp waćpan – rzekła po królewsku, dając mu znak ręką – nie lękaj się. Widzisz przed sobą kapłana wiary nowej... arcykapłana... arcykapłankę... Słyszałeś o mnie? Jestem wdową po królu Auguście Mocnym... byłam jego żoną... hrabinę Cosel widzisz przed sobą, słynną na cały świat ze szczęścia i nieszczęść swoich. U moich nóg leżeli mocarze świata, rozkazywałam milionom. August mnie kochał jedną...

Mówiła powoli. Na twarzy córki znać było przykre wrażenie, jakie na niej ta mowa czyniła, ale jej przerwać nie mogła. Brühl stał zdziwiony i niemy, lecz przybrał tę swą słodką i ujmującą, grzeczną i uprzedzającą postać, z którą się zawsze obcym przedstawiał. Pochylony nieco, zdawał się słuchać z nadzwyczajnym zajęciem.

– Masz waćpan szczęście widzieć królowę przybyłą z tamtego świata... umarłą, pogrzebioną, a żyjącą, tylko, aby niewiernych nawracać na wiarę prawdziwą w jedynego Boga, który się Mojżeszowi objawił w krzaku ognistym.

<sup>153</sup> „C h ł o p z M a n s f e l d u” - przezwisko ojca młodego szambelana, Krystiana Watzdorfa, nadane mu za niezgrabność i grubiaństwo przez Augusta II, którego był on dworzaninem

<sup>154</sup> *B u f o n* (fr.) – błazen, pyszałek.

Moszyńska, oczy spuściwszy, poruszona, to drżała, to ukradkowym wejrzeniem matkę błagać się zdawała, aby zamilkła.

Czy Cosel to zrozumiała, czy milczenie Brühla, widocznie zmieszanego, zamknęło jej usta, dość że wstała z krzesła.

– Pójdę spocząć – rzekła. – Nie będę przerywała wam konferencji. Córka Coseli powinna Saksonią rządzić. Rozumiem...

To mówiąc, tym samym krokiem majestatycznym, patrząc w górę, powoli przeszła poza stołem i doszedłszy do drzwi, którymi Brühl przed chwilą wszedł do pokoju, znikła im z oczów.

W progu drugich już po kilkakroć na próżno ukazywało się dziewczę z półmiskiem srebrnym w ręku.

– Ja idę – szepnęła cicho Brühl, porywając za kapelusz. – Nie chcę wam być zawadą. Dzień to nieszczęśliwy, lecz niepocziwy Watzdorf, który chciał mnie tu niewątpliwie pochwycić, odszedł z niczym. To mnie cieszy.

– Watzdorf miał medal – szepnęła Moszyńska. – Cieszył się nim; widzę w nim zajadłego nieprzyjaciela. Coś mu przewinił?

– Ja? Nic! Chyba żem nadto był dla niego grzeczny.

– To zjadliwa żmija, ja go znam – szepnęła Moszyńska.

– To bufon tylko, jak ojciec – rzekł pogardliwie Brühl ruszając ramionami. – Ale jeśli mi wejdzie w drogę...

– Ten wiersz na medalu nie jestże podobnym do jego niesmacznych ucinków?

Brühl tylko spojrzał na hrabinę, myśl ta zdawała się go uderzać.

– Każę go szpiegować – rzekł krótko. – W takim razie niedługo swobodnie chodzić będzie po świecie.

To mówiąc, przycisnął rękę hrabiny do ust, chwycił swój płaszczyk, rzucony u drzwi, który w cieniu leżąc mógł ujść oczu Watziorfa, i wybiegł do ogrodu.

Tąż samą ścieżką, którą szedł w nadziei długiej, swobodnej rozmowy, wracał nazad, myśląc już tylko, jak się stąd dostanie do domu, nie będąc postrzeżonym.

Furtka, od której miał klucz, zatrzaśniwała się wewnątrz; nie potrzebował jej otwierać, wyszedł zaniebawszy wyjrzeć wprzód, i całej swej przytomności umysłu potrzebował, ażeby nie dać poznać po sobie, jak go obeszło, gdy stojący na straży Watzdorf przywitał go nadzwyczaj grzecznym, szyderskim pokłonem.

Brühl oddał mu go z taką uprzejmością i wesołością swobodną, jak gdyby nie został pochwycony na uczynku.

– A! To wy, panie szambelanie! – zawołał. – Jakżem szczęśliwy! .

– Ja to się nazwać mogę tym szczęśliwym – począł Watzdorf – bo nigdy się nie spodziewałem, przyszedłszy tu napawać się wonią rozkwitających jabłoni, iż mi los pomyślny zdarzy spotkać pod jabłoniemi Waszą Ekscelencję. Jeśli się nie mylę – dodał – to owoc jabłoni zwie się podobno zakazanym owocem?

– Tak jest! – zawołał Brühl śmiejąc się. – Cha! cha! Ale ja tu nie po owoc, a tym mniej po zakazany, przyszedłem. Hrabina Cosel miała prośbę do królewicza pana naszego i kazała mi się stawić.

W nadanym zwrocie rozmowy tyle było prawdopodobieństwa, iż Watzdorf trochę się zmieszał.

– A pan, panie szambelanie, co tu robisz w tym sielskim zaciszu? – zapytał minister.

– Szukam szczęścia, którego nigdzie znaleźć nie mogę – mruknął szambelan.

– Pod jabłoniemi?

– Trafia się ono i tam – mówił Watzdorf – i chyba prędzej niż na dworze...

– Widzę, że panu nie smakuje to życie?

– Nie mam talentu do niego – odparł Watzdorf, idąc powoli z Brühlem.

- Ale masz pan dowcip, ostre narzędzie, w które zbrojny niczego się możesz nie lękać...
- Tak, doskonałe narzędzie do robienia sobie nieprzyjaciół – dodał Watzdorf.

Chwilę szli milczący, szambelan zdawał się namyślać.

- Nie miałem jeszcze sposobności powinszować Waszej Ekscelencji – odezwał się nagle.
- Czego? – odparł Brühl.

– Powszechnie mówią, że najgenialniejszemu z ministrów przeznaczono najpiękniejszą pannę z naszego dworu?

Głos, którym to mówił, zdradzał takie uczucie, że Brühl spojrzał na mówiącego, nagle wpadając na myśl, że Watzdorf mógłby być tym, któremu piękna Frania serce oddała. Był to domysł, a raczej przecucie. Drgnął.

„Jeśli tak – rzekł w duchu – twórca medalu i kochanek przyszłej mojej żony powinien dostać się w miejsce bezpieczne”.

Lecz ani medal, ani pochwycone serce dowiedzionymi jeszcze nie były. Patrzeli na siebie uśmiechając się, ale z nienawiścią w oczach. Brühl, im więcej wstępu miał do kogo, tym dłań czuł się w obowiązku być grzeczniejszym: nie darmo był ze szkoły Augusta Mocnego.

– Wasza Ekscelencja zbyt królewicza samym zostawiasz – odezwał się Watzdorf. – Hrabia Sulkowski ma wiele zajęcia, a Frosch, Storch i o. Guarini nie starczą...

Brühl znowu przybrał jak najwdzięczniejszy uśmiech.

– Pan szambelan masz może słuszość, człowiek by chciał dla zasłużenia się tak dobremu panu iść na wyprzodki<sup>155</sup> choćby z Froschem i Storchem, ale trzeba też starać się i o pozyskanie serca swej narzeczonej, o której pan wspominałeś.

– Zdaje mi się, że to zbyt duża troska – rzekł Watzdorf. – Po co temu serce, kto będzie miał rękę i resztę... to jest całą panią. Serce może zostawić komu innemu. Masz Wasza Ekscelencja doskonały przykład na hrabi Moszyńskim, który się o serce hrabiny nie troszczy wcale.

Brühlowi rumieniec wytrysnął na twarz, stanął, uśmiechał się jeszcze, ale cierpliwości mu brakło z tą szczypawką, która go kąsała.

– Panie szambelanie – odezwał się. – Mówmy serio: czy zgrzeszyłem czym przeciw wam, że mnie pragniecie żarcikami swymi dojmować; czy to tylko przywyknienie do kłusania, którego nie chcesz się pozbyć?

– I jedno, i drugie może – odparł Watzdorf. – Ale nie spodziewałem się, ażeby takiemu olbrzymowi, jak Wasza Ekscelencja, ukąszenie takiej pchły, jak ja, ból sprawić mogło.

– Nie boli mnie -też to – przerwał Brühl. – Ale nieprzyjemnie swędzi. Czy nie bezpieczniej by mieć we mnie przyjaciela? Watzdorf wybuchnął śmiechem.

– Ministrowie nie mają przyjaciół! – zawołał. – To stoi przecie w elementarnym katechizmie polityków.

– Za to na nieprzyjaciółach nigdy im nie zbywa.

Watzdorf uklonił się, jakby do niego pito, zdjął kapelusz i poszedł, nie oglądając się, w boczną ulicę.

Było to jakby wypowiedzeniem wojny. Brühl osłupiał prawie.

– On? mnie Wojnę i przyjaźń wypowiadać? Cóż? Oszalał chyba? Co to jest? Zawsze mi był nieznośnym, skąd nagle taka złość do mnie? To potrzebuje rozjagnienia.

Szybszym krokiem, zasłoniwszy się płaszczkiem, poszedł wprost ku domowi. Po drodze miał właśnie dom, w którym pracował Hennicke, i wsunął się doń. Przy kancelarii osobny pokój przeznaczony dla ministra, stykający się z tym, w którym radca zasiadał, był pod kluczem jego. Wszedł więc nie postrzeżony i zastukał do kancelarii, w której żywe głosy słyhać było. Stuknięcie to uciszyło je natychmiast. Hennicke wszedł z piórem za uchem, zdziwiony nieco. Brühl siedział w krześle.

---

<sup>155</sup> W y p r z ó d k i - wyścigi.

– Każ mi pilnować szambelana Watzdorfa – rzekł. – Daj mu anioła stróża, niech krok w krok chodzi za nim. Lecz że Watzdorf ma przebiegłości wiele, musisz dobrać człowieka, który by potrafił uczynić się niewidzialnym, a umiał wcisnąć się wszędzie. Trzeba przekupić sługę i przetrząsnąć jego papiery.

– Watzdorfa? – powtórzył zausznik w zadumaniu. – Watzdorfa? Czy jest nań jakie podejrzenie?

– Wszystkie, jakie tylko najgorsze być mogą.

– Czy musi paść? – spytał Hennicke.

Brühl zamyślony, nie odpowiedział zrazu.

– Zobaczymy – rzekł. – Nie chcę sobie robić nieprzyjaciół, rosną oni sami; lecz jeśli rzecz się okaże potrzebną...

– Czy zawadza? – pytał znowu pomocnik.

– Nie lubię go.

– Wina, gdy będzie potrzebna, znajdzie się zawsze.

– Miejcie ją w zapasie – mruknął pośepnie Brühl. – Staralem się i staram być miłym dla wszystkich, dobrym, uprzejmym; potrzeba się pokazać, że strasznym być mogę.

I wstał z krzesła.

Sługa wiódł za nim wzrokiem z wyrazem ironicznym. Brühl, nie oglądając się nań, wyszedł z pokoju.

Watzdorf, który na zakręcie ulicy rozstał się z Brühlem, śpiesznie z początku uszedłszy kilkanaście kroków, zwolnił chodu i włókł się jakby bez myśli i celu. Twarz jego okryła się chmurą: czuł pono wewnątrz, iż dogadzając rozdrażnieniu jakiemuś, popełnił kilka niedorzeczności, które mógł opłacić drogo. Gniew przeciw Brühlowi zbyt go palił, aby się mógł powstrzymać. Watzdorf, wychowany przy dworze, nawykły od dzieciństwa do tego wszystkiego, co się na nim widzi i spotyka, syn tego, którego przezwano „trefnisiem”, wyrósł wśród tych wpływów, co go popsuć mogły jak innych, na człowieka rażącego swą nieubłaganą prawdomównością i szyderstwem. Wszystko, co go otaczało, działało nań, jak często na pewne wybrane organizacje działa zło, odrażając od siebie. Atmosfera, wśród której żył, napędliała go oburzeniem i wstrętem.

Miłość dla Frani Kolowrathówny, której piękność zawróciła mu głowę, przyczyniała się także do obudzenia w nim ohydy dla świata, co ten śliczny kwiat wychował na tak zepsutą wcześniej istotę. Widział on w niej wszystkie jej wady: zalotność, płochotę, dumę i egoizm, chłód serca; a pomimo to od szalu dla niej powstrzymać się nie mógł i płakał nad nią i nad sobą. Nie przypisywał jej przywar naturze, ale wychowaniu, dworowi, jego obyczajom, powietrzu, którym oddychała.

Rodzaj rozpaczki go ogarniał... Uważali wszyscy w ostatnich czasach to usposobienie Watzdorfa do najwyższego stopnia wzmożone i spotęgowane. Czuć w nim było tę złość, jaka w nim wrzała. Gdyby był mógł, pomściłby się był na kimkolwiek bądź; a że Brühl był narzeczonym Frani, na niego zlewał całą żołąć, jaką serce miał przejęte.

Dworacy i dawni przyjaciele stronili teraz od Watzdorfa, niektórzy z nich mówili otwarcie, że czuć go było trupem.

Nie mając co zrobić z sobą, prawie machinalnie nieszczęśliwy szambelan posunął się do przyjacielskiego dotąd domu Faustyny. Pierwsza część żałoby już była upłynęła, mówiono o rozpoczęciu opery. Sułkowski zarówno i Brühl skłonni byli namówić króla do tego, wiedząc, jak namiętnie lubił muzykę i Faustynę.

Chociaż Hasse liczył się jako mąż diwy, nie mieszkali jednak razem: *il divino Sassone*<sup>156</sup>, jak go przezwali Włosi, zapamiętały muzyk, zajmował osobną kamieniczkę, w której była na dole sala do prób dla muzyki. Faustyna po pańsku miała urządzone apartamenty. Od niej płynęły rozkazy, do niej teatralni szli z prośbami klienci.

<sup>156</sup> *Il divino Sassone* (wł.) – boski Saksończyk.

Watzdorf w przedpokoju spytał lokaja o panią i otrzymał odpowiedź, że jest w domu. Mógł się tego domyślić po głośnej rozmowie, na sposób włoski i w języku włoskim prowadzonej, która aż do przedpokoju dochodziła. Gdy oznajmiony wszedł, zastał piękną Włoszkę w ubiorze dosyć zaniedbanym, z twarzą gniewną i zaperzoną, co jej nie dodawało wdzięku, stojącą naprzeciw o. Guariniego, który spokojniuteńko wśród salki, po cywilnemu ubrany, się przechadzał.

Twarz jego śmiała się z politowaniem. Faustyna ścigała go z pięściami zaciśnionymi.

Guarini, zobaczywszy szambelana, Wskazał mu Włoszkę obu rękami.

– Patrz, patrz! Co ta kobieta ze mną wyrabia! – śmiał się. – Z najspokojniejszym człowiekiem w świecie, który w imię spokoju i zgody do niej przychodzi. *Furioso! diavolo! furioso!*<sup>157</sup> Żebyś zamiast krzyczeć, śpiewała...

Faustyna odwróciła się do Watzdorfa:

– Biorę was za sędziego! – zakrzyczała. – Chce mnie uczynić malowaną lalką, chce, abym się kłaniała wszystkim, abym nie miała woli. Jutro mi jego protegowani teatr do góry nogami obrócą. Nie! Musi iść precz, pójdzie precz!

– Za co? za co? – cicho i wysuwając z kołnierza głowę jak żółw ze skorupy, szepnął Guarini. – Dlatego że piękny młodzian nie pali ofiar przed tobą? że mu niebieskie oczy Francuzki wdzięczniej świecą niż twoje?

Faustyna plasnęła w dłonie.

– Słyszysz go, tego *prete*<sup>158</sup> obrzydłego! – krzyknęła, rękami poczynając mu wywijać przed samą twarzą. – Alboż to ja potrzebuję hołdów? Albo mi ich mało? Albo mi nie miały czasu obrzydnąć?

– O, kobiecie kadzidło! – zaśmiał się Guarini.

– Ale o kogoż idzie? – spytał Watzdorf.

– *Un poverino*<sup>159</sup> – odezwał się jezuita – którego ta nieliosciwie chce wypędzić z teatru.

– *Un assassino! un traditore! Una spia*<sup>160</sup> – wołała Faustyna.

Watzdorf, jakkolwiek zmartwiony tą pocieszną kłótnią, codziennie się odnawiającą pomiędzy aktorką a księdzem, pobudzony był do śmiechu.

– Ja państwa pogodzę! – zawołał. – Czekajcie!

Zwrócono nań oczy, gdyż zgoda była bardzo pożądaną.

– Niech winowajca idzie precz! – rzekł Watzdorf. – A na jego miejsce, skoro aktora dobrego potrzeba, weźcie jednego z ministrów. Nie ma lepszych nad nich! A że Faustyna z ministrem nie zechce się kłócić, będzie zgoda.

Guarini pokiwał głową. Faustyna umilkła jakby zrozpaczona i poszła się rzucić na sofę. Jezuita wziął pod rękę szambelana i odprowadził go do okna.

– Carissimo – rzekł łagodnie – jeszcze do kanikuły daleko, a wy coś zdajecie się jakby rażeni od upału.

– Nie, jeszcze się nie wściekł – rzekł Watzdorf. – Nie zaręczam jednak, czy do tego nie przyjdzie.

– E, cóż ci jest? Spowiadaj się!

– Chyba kolana Faustyny za konfesjonał będą służyły...

– Poganin jakiś! – zaśmiał się jezuita. – Co ci jest? pytam.

– Ale nic mi, mój ojcie, świat mi się wydaje głupim, i po wszystkim.

– *Carissimo, perdona*<sup>161</sup> – rzekł jezuita. – Głupim to ty mi się wydajesz, plotąc rzeczy niezdrowe. Wiesz, ja ci dam jedną radę. Gdy cię taki humor napadnie, idź w pole, gdzie

<sup>157</sup> *Furioso! Diavolo* (wł.) – szalony, diabeł.

<sup>158</sup> *Prete* (wł.) – klecha.

<sup>159</sup> *Un poverino* (wł.) – biedaczek.

<sup>160</sup> *Un assassino! un traditore! Una spia* (wł.) – zabójca, zdrajca! szpieg!

<sup>161</sup> *Carissimo, perdona* (wł.) – najdroższy, wybacz!

nikogo nie ma, w las, gdzie tylko sarny możesz popłoszyć; wyklnij się, wylaj, wykrzycz i powracaj do miasta uspokojony. Wiesz, że tego środka już w starożytności używali ci, co języka wstrzymać nie umieli.

Słuchał Watzdorf obojętnie.

– Żał mi waćpana – dodał o. Guarini.

– Żebyś, ojczy, wiedział, jak mnie żał was wszystkich – westchnął Watzdorf. – Ale któż tu nas rozsądzi, przy kim prawda i czyj żał lepszy?

– Dajmyż sobie pokój – odezwał się jezuita i pochwycił za kapelusz.

Faustyna jeszcze swą włoską furię wydychiwała na sofie. Guarini podszedł do niej i skłonił się pokornie:

– Raz jeszcze ośmielam się prosić Waszej Ekscelencji za tym poverinem: uczynicie to dla mnie.

– Wy uczynicie beze mnie, co się wam podoba – odparła Faüstyna. – Ale jeśli mnie zmusicie do znajdowania się z nim na scenie, daję słowo, że mu publicznie dam policzek.

Guarini na obie strony pokiwał głową, ukłonił się i poszedł z raportem do królewicza.

Była to ta godzina miłego spoczynku, którego Fryderyk używał z rozkoszą po całodziennym próżnowaniu: godzina jego fajki, szlafroka, Froscha i Storcha, Sułkowskiego, Brühla i o. Guariniego, gdyż oprócz nich nikt do niego wówczas przystępu nie miał.

Guarini wchodził, gdy mu się podobało. Nie było też mniej zawadnego a milszego towarzysza. Król lubił się śmiać – śmieszył go; chciał milczeć – pomagał do zachowania milczenia; zapytywany, odpowiadał wesoło, a nigdy w niczym się nie sprzeciwiał.

W pokoju kurfirsta nie było nikogo oprócz Brühla.

Stał naprzeciw krzesła pańskiego w postawie przymilenia pełnej i coś szeptał. Królewicz słuchał i głową znacząco potrząsał.

– Słyszycie, mój ojczy, co mówi? – rzekł do wchodzącego jezuitę.

Ten zbliżył się.

– Mów dalej – odezwał się Fryderyk. Brühl posłuszny począł, mierząc znaczącym wzrokiem o. Guariniego:

– Umysł niespokojny, szyderski i od niejakiego czasu z niewiadomych powodów stał się tak ostrym i nieznośnym...

– O, o! – szepnął królewicz – to źle...

– O kim mowa? – cicho spytał jezuita.

– Ośmieliłem się zwrócić uwagę najjaśniejszego pana na szambelana Watzdorfa.

Guariniemu na myśl przyszło spotkanie z nim przed chwilą.

– W istocie – rzekł – i ja go znajduję w usposobieniu szczególnym.

– Tym gorszym – dodał Brühl – że to jest na dworze choroba zaraźliwa i czepiająca się drugih...

Królewicz westchnął. Widocznie już go to nudziło. Nie odpowiedział nic.

– Gdzie ten błazen Frosch?! – zawołał nagle. – Pewnie już śpi gdzie w kącie.

Jezuita pośpieszył do drzwi i skinął. Frosch i Storch poczęli, wyprzedzając się, biec do królewskiego pokoju i wpadli tak, że Storch się wywrócił, Frosch siadł mu zaraz na grzbiecie. Królewicz począł się śmiać serdecznie, biorąc za boki. Rozstąpili się widzowie.

Storch, upokorzony, natychmiast szukał pomsty nad nieprzyjacielem, podniósł się sądząc, że nagłym poruszeniem wywróci go, ale ostrożny malec zsunął się po nim i drapnął do kąta, chowając za krzesła.

Trzeba było widzieć, z jaką pociechą oczy Fryderyka poszły za zapaśnikami, ciekawe końca tej walki. Za krzesłami obaj trefnisie, kwicząc i piszcząc, poczęli zwykłą, rozweselającą królewicza w najsmutniejszych życia godzinach bitwę na słowa i pięście. Oboje sypało się gradem... Fryderyk śmiał się, zapomniawszy już o wszystkim, co dnia tego słyszał. Nie wiem, jakby to długo było trwało, gdyby o. Guarini nie szepnął na ucho

najjaśniejszemu panu, że godzina wieczornego nabożeństwa w kaplicy nadeszła, i wprost od pajaców swych nagle spoważniały wielce królewicz udał się wraz z jezuitą do zamkowej kaplicy, gdzie nań już żona czekała.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



## TOM DRUGI

### I

W mieszkaniu Sułkowskiego pod wieczór wiosennego dnia siedzieli naprzeciw siebie dwaj wszechwładni ministrowie w długim milczeniu. Jak gdyby obadwa zbadać się pragnęli, a nie mogli. Od kwadransa już prawie Sułkowski ze swą pańską dumą przechadzał się po salonie, stając niekiedy w oknach i patrząc w ogród. Przez otwarte jedno z nich słychać było śpiew wesoły kosów i szczygłów. Z daleka dolatywał odgłos wozów i karet, toczących się po bruku.

Twarze dwóch współzawodników, na pozór niewiele różniące się charakterem, przedstawiały nadzwyczaj wybitną sprzeczność dla baczного spostrzegacza. Kto by był się przypatrzył Brühlowi, gdy ten sądził, iż go nikt nie widzi, dostrzegłby pod jego uśmiechem, prawie dobrodusznym i pełnym uprzejmości, chłodną przewrotność, której głębinę przerazić mogły. W oczach jego błyszczała żywa pojętność, spryt ten światowego człowieka, który nie potrzebuje nic się uczyć, a zgaduje wszystko i rozumie, który jasnowidzeniem sprężyny ruchów społecznych przenika i nie zawaha się nigdy żadnej z nich pochwycić, gdy bezpiecznie może, a dla własnej tego potrzebuje korzyści.

Sułkowski był w dumę wbitym podpankiem, który urósłszy na pana, sądził się tak bezpiecznym na wysokim swym stanowisku, iż mniemał, jakoby mu wszystko już było wolno. Z pewnym lekceważeniem za rodzaj *malum necessarium*<sup>162</sup> uważał Brühla i z góry nań spoglądał, z tą wyższością pewną siebie, która najbliższego nawet nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nie zbywało mu na myślach, lecz leniwo one krążyły w głowie, która bardzo się silić nie widziała potrzeby.

Patrząc na nich, można było odgadnąć walkę nierówną i lękać się o jej wypadek łatwo przewidziany. Nigdy piękniejsza i miłsza twarz więcej chytrości i fałszu nie kryła pod swą maską. Brühl wszakże, gdy wiedział, że nań patrzano, przybierał tak niemal łatwowierną, naiwną, dziecinną fizjognomię, że się zdawał zupełnie niewinnym stworzeniem.

Dwaj tacy ludzie, postawieni przy sobie i zmuszeni do współzawodnictwa, nie mogli długo wytrwać bez walki. Tu jej wcale jeszcze nie było, owszem, najczulsza zawsze panowała przyjaźń. Instynkt czasem jakiś sprawiał, że Sułkowski czuł, domyślał się w Brühlu antagonisty, ale sam się śmiał z tego. Brühl doskonale wiedział, że do panowania absolutnego nad królem nie dojdzie, nie obaliwszy Sułkowskiego. Sam on poniekąd dawał oręż przeciwko sobie. Jakkolwiek umiemy dysymulować<sup>163</sup> i czekać, Sułkowski się czasem z tym wydawał, że mu panowanie duchownych i jezuitów na dworze ciążyło, że przewaga królowej mu zawadzała.

Nie zwierzał się z tego Brühlowi, ale nie ukrywał przed nim tak dalece, aby się nie dał odgadnąć. Gdy Brühl z o. Guarinim był w najściślejszych stosunkach, Sułkowski nigdy go z sobą do poufności nie dopuścił. Dla królowej był z najgłębszym szacunkiem, nie uchybił jej

<sup>162</sup> *Malum necessarium* (łac.) – zło konieczne.

<sup>163</sup> *Dysymulować* (z łac.) – udawać.

pewnie, ale ani się bardzo nabijał do łask, ani nadszakał jej otoczeniu, ani dosyć służył. Czasami wyrywało mu się jakie słówko o tym, że za Augusta II dogodniej było z faworytami niż teraz z jedną, i to tak surową, królewiczową.

O. Guarini, wiedząc, jak był w łaskach u króla, kłaniał mu się, lecz z daleka.

Sam na sam z Brühlem tak swobodnie jak dziś spotykali się rzadko; jeden z nich prawie zawsze przy panu byc musiał na służbie, aby mu nie dać nudzić samemu.

Snadź wszystko, o czym mówić mieli, wyczerpali, gdyż Sułkowski milczał, a Brühl mu nie przerywał, nie odchodził jednak, jakby coś jeszcze na koniec zostawił.

Po długiej dosyć przechadzce hrabia zwrócił się do siedzącego i rzekł cicho:

– Wszystko to niech pozostanie między nami. Dom habsburski się kończy, saskiego wielkość rozpocząć powinna. Wiem to doskonale, żeśmy rzekli się wszelkich praw do spadku, że sankcją pragmatyczną przyjmujemy, ale ze śmiercią cesarza rzeczy dla nas obrót nowy przybrać muszą. Co najmniej powinniśmy wziąć Czechy, a nawet Śląsk, gdzie indziej wynagradzając Prusy. Mówiłem wam, że skreśliłem w cichości plan cały. Kazałem go napisać Ludoviciemu<sup>164</sup>.

– Rad bym mieć go i rozważyć – odezwał się Brühl. – Plan jest genialny i godny was, a dla przyszłości Saksonii na jwyższej wagi. Nie potrzebuję mówić nawet, że do spełnienia jego, najszcześliwszy będę, jeśli się zdołam przyczynić. Masz hrabia we mnie gorącego współzawodnika i sługę. Ale każcie też Ludoviciemu ten plan przepisać dla mnie.

– Plan ten podziału Austrii – odparł Sułkowski, któremu pochlebiało uznanie – nie chcę, aby dwa razy przesunął się przed oczyma Ludovicio, ale ja go dla was w wolnej chwili sam własną ręką przepiszę.

Brühl z najmielszym uśmiechem podziękował.

– Uczynisz mi, hrabio, największą łaskę – rzekł. – Tak olbrzymi pomysł zawczasu już powinien być opracowany i środki wykonania przedsięwzięte. Można by z daleka i ostrożnie wymacać w Berlinie...

– A! – zawołał Sułkowski z uśmiechem. – Tam, nie ma najmniejszej wątpliwości, z otwartymi przyjmą go rękami: o to ja jestem spokojny, znajdziemy łatwego i chętnego sprzymierzeńca.

– I ja się tego spodziewam – dodał minister. – Idzie tylko o to, aby sobie zbyt drogo płacić nie kazał.

– Ale też nie czas jeszcze przystąpić do układów.

– Ale pora się przygotować do nich i strategią całą rozważyć, jakiej nam użyć wypadnie.

To mówiąc, Brühl powstał i, wyciągając się, od niechcenia odezwał:

– Mam prawie pewność, że te-n niepoczciwy medal, to jest pomysł doń, wyszedł z Dreżna, a nawet silne nader podejrzenie mam o twórcy.

Szybko odwrócił się ku niemu Sułkowski.

– Któż by był tym śmiałkiem?

– Któż, jeśli nie dworak, ufający w swe położenie – mówił Brühl. – Małeńki człowieczek na tak niebezpieczną rzecz nie ważyłby się: pachnęłaby dlań katem i pręgierzem.

– Tak, a dla dostojniejszego pana może czymś gorszym grozić, bo bezkarnie tego puścić niepodobna.

– A! Spodziewam się! – rzekł Brühl. – Po głowach by nam jeździli. Zuchwalstwo już i tak dochodzi do najwyższego stopnia, a dobroć pana i wspaniałomyślność wasza ośmiela do wybryków najswawolniejszych. Czy też hrabia uważałeś, ile sobie Watzdorf młodszy pozwala?

Sułkowski, który był ku oknu zwrócony, posłyszawszy te wyrazy, popatrzał na Brühla jak gdyby z pewnym politowaniem.

---

<sup>164</sup> L u d o v i c i - zob. przypis 139 t. I.

– Wy bo nie lubicie Watzdorfa – rzekł. – Jak ojciec, tak i on bufonuje, ale to nie jest niebezpieczne.

– Przepraszam – podchwycił Brühl żywo – bardzo przepraszam. Kto sobie zwykł ze wszystkiego żartować, nie poszanuje nic. Dostanie się mnie, wam, panie hrabio, a w końcu i panu naszemu.

– Na to się nie odważy.

Zaczawszy mówić, hrabia przerwał, zwrócił się do Brühla i biorąc go za guzik od fraka, rzekł poufale:

– Wy bo do niego coś macie. Przyznajcie się: zawadza wam?

– Nudzi mnie! – zawołał Brühl. – Przyznaję, czepia się mnie, żarcikami swoimi dojada...

– Wy sobie pono wyobrażacie, jeśli się nie mylę – po cichutku odezwał się, śmiejąc, Sułkowski – że on się kochał w Frani Kolowrathównie.

– To by był tylko dowód dobrego gustu i tego bym za złe mieć nie mógł – rzekł Brühl, pokrywając rozdrażnienie pozorem obojętności – ale dokucza hrabinie Moszyńskiej, dla której mam najwyższy szacunek.

– A, a! – rozśmiał się hrabia.

– Hrabina by się obroniła sama, szepnąwszy słowo królewiczowi – mówił dalej Brühl. – Ja jej nie potrzebuję w pomoc przychodzić; daleko gorzej jest, że drwi z nas wszystkich, nie wyjmując nikogo.

– Jak to? I ze mnie? – spytał Sułkowski.

– Zdaje mi się, że i to bym mu dowiódł.

– O, to by było nadto śmiało! – rzekł Sułkowski sucho.

– Wierzcie lub nie, powiem otwarcie: ja go mam za twórcę medalu!... – zawołał Brühl i rękę położył na piersiach.

Rzuciwszy to słowo, parę razy przeszedł się po salonie.

– To prosty domysł, mój Brühl, to prosty domysł.

– A może i coś więcej niż domysł – począł minister. – Wiem już na pewno, że trzy czy cztery medale rozdał.

– Komu?

– Dworskim osobom. Skądże ich ma tyle i co za osobliwsza ochota do rozpowszechniania rzeczy, którą ja wykupuję i niszczyć?

– Lecz czyż pewno?

– Henniecke da wam spis osób.

– To już wcale co innego – przerwał Sułkowski. – To fakt i chociaż ja go sobie tłumaczę więcej jego niechęcią dla was niż dla mnie, zawsze i mnie to dotyka.

– Tak jest – potwierdził Brühl. – Powiem wam szczerze, kazałem w jego mieszkaniu potajemną zrobić rewizję. Jeśli się tam znajdzie zapas medalów, mam go za ich autora i proszę was, aby mu to bezkarnie nie uszło. Wam – dodał, rozgorączkowując się niby, Brühl – obojętną to być może rzeczą, ale dla maleńkiego jak ja człowieka...

Sułkowski się zmarszczył.

– Watzdorfa nigdy bym nie sądził zdolnym do takiej nikczemności.

– Przekonacie się – kończył minister. – Jeśli dowody będę miał w ręku, w takim razie nie chcę nic u królewicza wyjednywać bez was, nic sam przez się czynić, o nic bez waszej wiedzy prosić; ale z góry was błagam: tego płazem nie puścimy. Na Königstein...

Zamyślił się Sułkowski.

– Szkoda by mi go było – rzekł – lecz jeśli się okaże jawnie winnym...

– Ja królewicza o to prosić i mówić mu o tym nie będę – powtarzam. Was proszę, wy czyńcie: jam wasz sługa i pomocnik, ja sam przez się niczym nie jestem i być nie chcę, tylko pomocą Sułkowskiego, jego podręcznym...

Skłonił się, Sułkowski wziął go za rękę i rzekł z dumą sobie właściwą:

– Przyjaciela chcę mieć w was, tylko przyjaciela, mój Brühl, a z mej strony służyć wam będę po przyjacielsku. Wy mi jesteście potrzebni, ja wam też się przydam.

Ścisnęli się serdecznie; aż z podziwu udanego.

– Ale mój hrabio! – krzyknął, uderzając się w piersi. – Ja nie jestem nic a nic, a nic zazdrosny, alem o honor pana, o wasz i o mój troskliwy... Dziś – dodał – zaczepiają nas i otarli się o tron, jutro ośmieleni na sam tron się rzucą i na najdroższego nam pana. Trzeba swawoli zapobiec, bo nic świętego nie będzie.

– Masz słuszość – zimno odparł Sułkowski – ale winy trzeba dowieść.

– Oczywiście – dorzucił Brühl, chwytając za kapelusz, i począł się żegnać.

– Ale spotkamy się przecie...

– Tak, na strzelaniu – rzekł Brühl. – Królewicz potrzebuje rozrywki. Bądź co bądź należy mu ich dostarczyć... namiętnie strzelać lubi. Przecież to tak niewinna zabawa...

Brühl pośpiesznie zabierał się do wyjścia. Jakoż nadchodziła godzina, w której dwór miał się udać do bażantarni, gdzie tarcze przygotowano. Nie chciano urządzać tego rodzaju zabawy w zamku, aby zachować jeszcze resztkę pozorów żałoby.

W bażantarni, lasku pobliskim Drezna, w którym już stało kilka domków i pałacyk za Augusta II zbudowany, dwór się bardzo często zabawiał. Przepyszne aleje z lip, ogromne buki i dęby, całe posągów szeregi, stawek wykopany świeżo czyniły to miejsce jednym z najwdzięczniejszych w okolicach Drezna. Niespełna pół godziny drogi dzieliło je od stolicy. Ogród dziki w pośrodku, w którym i amfiteatr<sup>165</sup> był urządzony, opasywał zewsząd gęsty las odwieczny. Wśród niego gdzieniegdzie stojące posągi i ogromne wazy marmurowe, wytwornie rzeźbione, cudnie wyglądały na ciemnej drzew zieleni. Woń świeżo rozkwitłych drzew, cisza dokoła, klomby kwiatów, łąki szmaragdowe ubierały to zacisze.

W amfiteatrze urządzono do strzelania tarcze. O. Guarini, nie kontentując się tym, co tam przygotowują łowczy i myśliwski dwór króla, znając charakter Fryderyka, chciał mu tu uczynić niespodziankę i od rana się nad nią krzątał. Trzymano ją w jak najgłębszej tajemnicy. Nie opodal od amfiteatru z tarcie wystawiono szafas, przy którym stała straż, nie dopuszczająca doń nikogo; zawierał w sobie tę tajemnicę ojca Guariniego. Trzy razy tego dnia z rozmaitymi pudłami przyjeżdżał jezuita i za każdym razem on i kilku pomocników siedzieli tam dosyć długo. Twarz ojca nabrała po południu, gdy raz ostatni tu przybył, wyrazu zadowolenia i źle tłumionej uciechy. Próżno okrywał się powagą swojego stanu, oczy mu się śmiały mimo woli. Snadź już wszystko gotowym być musiało, bo Pater założywszy ręce w tył, przechadzał się spokojnie po wiodącej do amfiteatru uliczce, gdy na placu około pałacu turkot się dał słyszeć. Ekwipaże dworskie jeden za drugim, poprzedzone laufram<sup>166</sup>, z hajdukami<sup>167</sup> i lokajami na stopniach z boku i z tyłu, konni kawalerowie, kobiety strojne, wszystko to jedno za drugim przybywać zaczęło. Królewicz wiódł pod rękę żonę, która go, zwłaszcza przy zabawach i gdziekolwiek kobiety znajdować się miały, nigdy nie odstępowała. Kolowrathowa z córką, frejliny, szambelanowie, pазie, dwór cisnął się za królewiczem na wyznaczone sobie miejsca. Sułkowski i Brühl w wykwinnych myśliwskich strojach szli tuż przy Fryderyku.

Zawczasu przygotowano sztuce, paziowie, myśliwcy do nabijania i podawania ich stali w amfiteatrze. Właśnie gdy Fryderyk zajmował z widoczną niecierpliwością miejsce swe i strzelanie już się miało rozpocząć, na zielonych wschodkach, wiodących z bocznej uliczki amfiteatru, ukazał się o. Guarini po cywilnemu (bo często bardzo chodził w tym stroju), z laską w ręku.

Udawał niezmiernie zdziwienie na widok dworu i zbliżył się pokornie do królewicza, choć wesoły żarcik zdawał się ulatywać na jego ustach.

<sup>165</sup> A m f i t e a t r (z grec.) – budynek półokrągły z coraz wyższymi siedzeniami dla widzów.

<sup>166</sup> L a u f e r (z niem.) – tu: służa biegnący obok karety lub przed nią.

<sup>167</sup> H a j d u k (z węg.) – tu: służący ubrany po węgiersku.

– A! Najjaśniejszy Panie! – zawołał. – Co ja widzę: strzelanie do tarczy! Co za wyśmienita zabawa!

– Hm? prawda? – śmiejąc się rzekł Fryderyk. – Ale wy strzelacie do dusz tylko...

– Zawsze jednak do celu, i to dosyć nieszczęśliwie... rzadko trafiam – westchnął jezuita. – Postarzałem. Tu zaś świetne pewnie będą wyścigi... ale gdzież nagrody?

– Jakie nagrody? – spytał zdziwiony nieco królewicz.

– Niech mi Najjaśniejszy Pan daruje – odpari Guarini. – Po ludzku rzeczy biorąc, tym, co najtrafniej strzelać będą, należy się coś w nagrodę i na pamiątkę.

– O tym nie pomyślałem! – zawołał królewicz obracając się w koło i szukając kogoś oczyma.

– Jeżeli mi wolno będzie – przerwał, kłaniając się, Guarini – to ja zaofiaruję nagród pięć. Wiele nie mogę, ubogi jestem, ale na uciechę mojego najdroższego pana składam mój maluczki dar u stóp jego.

Królewiczowi oczy się rozśmiały.

– No co? co? – zapytał.

– A! To moja tajemnica! – zawołał Padre. – Tego wydać nie mogę przed czasem.

Wskazał ręką na budkę.

– Nagrody moje tam się mieszczą. Pięć najlepszych strzałów je otrzyma.

Zakrawało to na jakąś farsę zabawną, bo o. Guarini liczył się do najgorliwszych króla zabawiaczy; silił się często na koncepty niekoniecznie świeże i wymuskane, byle dobroduszny uśmiech wyprowadzić na twarz spokojną milczącego pana.

– Tom ciekawy – rzekł Fryderyk.

– Wymawiam sobie tylko – dorzucił o. Guarini – abyś, Najjaśniejszy Panie, nie należał do współbiegających się o te nagrody. Nie ma wątpliwości, że tu nikt lepiej nie strzela, ale ja dla mojego pana nagrody godnej jego rąk nie mam. Więc...

Mrugnięcie jego oczu dopowiedziało resztę.

Niecierpliwie sam Fryderyk wziął się do strzelania pierwszy. W istocie, od dzieciństwa wprawiając się w użycie broni, strzelał tak, iż mało mu kto mógł zrównać, a gdy w rękę wziął sztuciec, tak już był zajęty i zapalony, że nic w świecie nie widział, nie słyszał, o niczym nie pamiętał oprócz o strzelbie i kuli. Tarcza była tak urządzona, iż kula, trafiająca w sam cel jej, podnosiła do góry chorągiewkę zielono-białą, z barwami saskimi. Kule, uderzające w tarczę poza kołem pierwszym, oznaczała chorągiew żółto-czarna, barwy miasta; na ostatek najdalej padające czarną się oznajmywały.

Gdy Fryderyk zaczął strzelać i raz po raz sadził kule do celu, oklaski i okrzyki mu towarzyszyły. Strzelił tak razy kilkadziesiąt, nim drudzy z kolei poczęli: Sułkowski, Brühl, posłowie obcych dworów, stary generał Baudissin, hrabia Wackerbarth-Salmour, hrabia Loss, baron Schönberg, hrabiowie Gersdorf i inni. Liczono strzały chybione i celne każdego ze współbiegających się. Królewicz zdawał się z niecierpliwością wielką wyglądać rozdania nagród o. Guariniego, który stał na boku skromnie, z rękami w tył założonymi.

Trafiło się przy obliczaniu strzałów, iż stary Baudissin, ociężała, dobra figura, posłuszna i skromna, wygrał los pierwszy. Królewicz aż wstał z krzesła, szukając oczyma o. Guariniego, który z powagą wielką zawołał, dając znak do budki, po włosku, aby. wyniesiono pierwszą nagrodę.

Ciekawość obudzona była do najwyższego stopnia. Drzwi się otworzyły, dwóch w liberii pańskiej pacholków w kanarkowych frakach z granatowymi wyłogami wyniosło wielki kosz, okryty oponą białą, w którym się co trzepotało.

– Panie generale – odezwał się Guarini z powagą – nie moja wina, że wy na wasz wiek niestosowną otrzymujecie nagrodę; los tak zrządził; nikt się swojemu przeznaczeniu obronić nie może.

Na dany znak otworzono kosz, podniesiono oponę i na trawniku ukazała się... ogromna gęś, ale nie w tym stroju naturalnym, w jakim przyszła na świat. W rękach znakomitego artysty stała się ona najpociesniejszym w świecie stworzeniem. Na skrzydłach miała rozpiętą z wytwornej materii suknię, jaką naówczas modne damy nosiły, na nogach trzewiczki, na głowie fryzurę i pióra.

Przestraszone stworzenie, którego ukazanie się ogromny śmiech powitał, poczęło kręcić się, chcąc uciec; ale skrzydła pętała suknia, nogi – trzewiki, do których gęsi nie nawykły; otwarła więc dziób, jakby wołając o ratunek, i potoczyła się między widzów.

Królewicz, wzięwszy się za boki, śmiał się do łez, śmieli się więc wszyscy, nawet surowa królewiczowa.

– Drugi, drugi numer! – wołał Fryderyk.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł o. Guarini – ta pierwsza nagroda zowie się *Angela o l'amorosa*<sup>168</sup>.

– Któż bierze drugą nagrodę?

Druga należała Sułkowskiemu, który jakoś kwaśno ten żarcik Guariniego przyjmował.

Wyniesiono kosz drugi i w stroju arlekina włoskiego teatru wyskoczyła z niego małpa, nie mniej od gęsi przestraszona; ale ta mimo stroju, jak tylko się uczuła wolną, poczęła zmykać i dopadłszy najbliższego drzewa, dosyć zręcznie wdrapała się na nie.

Królewicz, nie namyślając się, pochwylił co prędzej sztuciec i strzelił: małpa, krzycząc, po gałęziach się czepiając, krwawiąc, upadła na ziemię.

Nagrodą trzecią dla Brühla, który jej wcale nie pożaądał, był przyniesiony w koszyku ogromny zajęć, przebrany także za Crispino<sup>169</sup> Królewicz i tę nagrodę ubił kulą. Niezmiernie zdawał się ożywiony i szczęśliwy, ręce mu drgały, oczy połyskiwały, śmiał się i zaledwie przysiadłszy, zrywał się, gdy przyniesiono nagrodę.

Czwartą był szary królik, ustrojony za Scaramuccia, który też chciał zmykać przerażony i padł ofiarą myśliwskiej gorączki Fryderyka.

Ostatnia była jedną z najpociesniejszych i ta, również jak gęś, ocalała: z kosza wydobył się ogromny indyk, ubrany za Dottore, we fraku, peruce, kamizelce i wszystkim, co do jego urzędowego stroju należało. Tego komiczna powaga ocaliła.

Śmieli się wszyscy.

Królewicz podziękował Guariniemu i zdobył się na przydłużony frazes, w którym go zapewnił, że nie tylko póki życia tej doskonałej farsy nie zapomni, ale ją każe naśladować.

Strzelano potem jeszcze dla zabawy, dopóki mrok dozwolił; wieczór był spokojny, piękny i miły, powietrze wonne, widok czarowny. Nikomu się nie chciało wracać z bażantarni. Dwór rozpadł się nieco dokoła.

Los chciał, by w tłumie szambelan Watzdorf stał przy pięknej Frani Kolowrath. Wcześniej to zobaczyła matka, a że za wachlarzem łatwo było rozmowę prowadzić nie postrzeżonym, usiłowała córkę postawić gdzie indziej, nie mogąc odsunąć Watzdorfa. I to się jej nie udało. Nie chcąc więcej się dać domyślać patrzącym, niż wypadało, musiała ich zostawić z sobą.

Watzdorf nie omieszkiał z tego korzystać. Tego wieczora, zwykle szyderski, był jakoś smutnym i przygnębionym. Nikogo blisko bardzo nie było, mógł więc półgłosem odezwać się do panny Franciszki:

– Prawdziwie jestem wdzięczny losowi za dzień dzisiejszy, a rzadko mi się zdarza być mu wdzięcznym. Winienem mu, że panią moją po raz ostatni pożegnać mogę.

– Jak to po raz ostatni? – podchwyciła Kolowrathówna, nie patrząc na niego.

– Niestety, tak jest. Watzdorfa cień tylko tu stoi; czuję, że nade mną wisi nieubłagana zemsta tego ministra-pazia. Jestem szpiegowany na każdym kroku, być może, iż i usługi moje

<sup>168</sup> *Angela o l'amorosa* (wł.) – Angela, czyli zakochana.

<sup>169</sup> *Crispino* jak i wzmiankowany poniżej *Scaramuccio* i *Dottore* – postacie ze starowłoskiej komedii ludowej.

kupiono. Nie znalazłem wielu papierów, a inne w nieporządku. Domyślam się rewizji tajemnej. Jeśli jej dopełniono, jestem zgubiony.

– Uciekaj! – zawołała hrabianka gwałtownie. – Zaklinam cię na wszystko, na miłość moją, na twoją... uchodź! Tu na ciebie nikt nie patrzy, pierwszy lepszy koń i jesteś w Czechach.

– Tak, i Austriacy mnie jutro tu przywiozą.

– Do Prus, do Holandii, do Francji! – mówiła żywo Frania.

– Nie mam ani o czym, ani jak – odparł Watzdorf z zupełną obojętnością. – A co gorzej, straciłem ochotę do życia, do wszystkiego. Cóż mi tam? Dla mnie nie ma szczęścia... Franiu – dodał cicho – nie wiem, co się stanie ze mną; ty jedna może nie zapomnisz o mnie i ty się pomścisz za Watzdorfa. Będiesz żoną tego człowieka: bądź jego katem...

Musieli zamilknąć dla wrzawy, Watzdorf spojrzał w jej oczy, które strzeliły ku niemu ogniem.

– Jeżeli jutro nie pokażę się na dworze, zemsta mnie dosięgła – rzekł. – Mam przeczucia, których się pozbyć nie umiem.

– Ale skądże podejrzenia? Skąd domysły?

– Przed godziną wróciwszy do domu, znalazłem wszystko przewrócone; sługa znikł, a z nim to, co mnie mogło najciężej obwinić. Bądź zdrowa! – dodał głosem wzruszonym. – Ty będziesz żyć, ja zagasnę gdzieś między czterema murami, wśród głuchego milczenia. Franiu, zaklinam cię, upuść chustkę, zgub rękawiczkę; położę ją na sercu: ukoj mój ból twoim wspomnieniem.

Wzruszona Kolowrathówna zręcznie upuściła z rąk chustkę, Watzdorf się schylił i niepostrzeżenie wcisnął ją za suknię, na piersi.

– Dziękuję ci – odezwał się. – Jeszcze chwila, zgasną dla mnie oczy twoje i innym będą świeciły. Franiu, bądź zdrowa! *Addio* na wieki!...

Tymi wyrazami dokończył, widząc zbliżającą się matkę, która prawie gwałtem już, korzystając z zamętu i gwaru, odciągnęła córkę. Watzdorf ustąpił nieco w tył. O kilkanaście kroków tylko od niego, gdy królewicza zabawiał o. Guarini i żona, spotkali się na stronie Brühl z Sułkowskim.

– Słowo – rzekł pierwszy poruszonym głosem. – Nie omyliły mnie moje domysły.

– Jakże? co? – spytał hrabia dosyć obojętnie.

– Zrobiono rewizję u Watzdorfa, przetrzesiono papiery; pełno paszkwilów – mniejsza o to: pięćdziesiąt sztuk medalów i list fabrykanta, który mu się tłumaczy, iż rysunek przysłany jak mógł najlepiej wykonał.

Dowód tak zabijający, iż więcej na zgubienie człowieka nie potrzeba...

Słyszac to, Sułkowski pobladł.

Brühl wsunął mu w rękę papier.

– Weźcie to, proszę; ja sam przez się nic czynić nie chcę – uczynicie, co się wam podoba; lecz jeśli Watzdorfa nie wsadzicie do Königsteinu... Któż wie, czy tam jeden z nas później nie zajmie miejsca dlań przeznaczonego! Zuchwalstwo i bezwstyd wiele mogą... Czyń, hrabio, co chcesz, ja ręce umyвам, osobistej krzywdy bym nie poszukiwał... Królewicz jest dotknięty... To zbrodnia obrażonego majestatu, a za tę karzą śmiercią...

To mówiąc, Brühl szybko się usunął; twarz jego przybrała zwykły uśmiech. O kilka kroków zobaczył hrabinę Moszyńską i z wolna zwrócił się do niej, witając ją z poszanowaniem i ceremonialną uniżonością, na co piękna Fryderyka dumnym i zimnym skinieniem głowy odpowiedziała.

Frania Kolowrathówna szła jakby ciągniona przez matkę, półmartwa, dumna, milcząca, ale bez łzy w oku. Kilka razy obejrzała się, gdzie stał Watzdorf, który się zdawał też ani słyszeć, co się dokoła niego działo.

Wśród tego zamyślenia gorzkiego zjawiał się przed oczyma Kolowrathówny hrabia Brühl z niskim ukłonem i wdzięcznym uśmiechem. Dumnemu dziewczęciu oczy zajaśniały, wyprostowała się i z góry, z pewnym rodzajem wzgardy zmierzyła wzrokiem ministra.

– Nieprawdaż – odezwał się słodko – że zabawa była nadzwyczaj dowcipna i piękna?

– A panowie strzelaliście do podziwienia trafnie – odparła Frania – i nie wątpię, że równie byście i do ludzi potrafili...

Brühl spojrzał bystro.

– Niewiele w tym mam wprawy – rzekł zimno – ale gdyby w obronie Najjaśniejszego Pana przyszło wziąć jakąkolwiek broń w ręce, nie wątpię, że celnie bym strzelał i śmiało. Pani się także bawiłaś, jak uważałem, doskonale rozmową z szambelanem Watzdorfem – dodał, spoglądając na nią.

– W istocie – odezwała się Kolowrathówna. – Watzdorf jest niezmiernie dowcipny: strzelał słowami jak panowie kulami.

– Niebezpieczna to broń, kto się z nią dobrze obchodzić nie umie – rzekł Brühl. – Można nieostrożnie zabić się samemu...

Stara ochmistrzyni przerwała tę niemiłą rozmowę, wejrzenie Frani ją zamknęło. Chciała zrazu przemówić do Brühla, duma jej nie dozwoliła; nie była też pewną, czy Watzdorf nie przesadził niebezpieczeństwa i nie tłumaczył fałszywie kradzieży popełnionej w domu.

Królewiczowa nieco wcześniej wyjechała z damami, Fryderyk w poufałym gronku pozostał. Od dawna już Sułkowski usiłował zbliżyć się do niego. Część drogi chciał królewicz przebyć pieszo. Skorzystał z tego ulubieniec i zajął miejsce przy nim.

Inni szli opodał nieco.

Brühl uparcie towarzyszył ochmistrzyni.

Gdy pozostali sam na sam z królewiczem, który był w bardzo wesołym usposobieniu, Sułkowski nie chciał czekać dłużej ze sprawą Watzdorfa. Ciężyla mu ona, rad się był jej pozbyć co rychlej, a być może, iż lękał się ucieczki szambelana, gdyby postrzegł się zdradzonym.

– Po tak miłej zabawie – odezwał się Sułkowski – co to za niemiły obowiązek być zmuszonym zasmucić Waszą Królewiczowską Mość.

Posłyszawszy to, Fryderyk posępną zrobił minę i spojrzał z ukosa na ministra, jak gdyby mu się chciał wypraszać, ale ten po małym przestanku mówił dalej:

– Rzecz jest nie cierpiąca zwłoki: wystawieni jesteśmy, ja i Brühl, a nawet pan nasz najmiłościwszy, na pośmiewisko Europy; nie mówiłem o tym wprzód chcąc oszczędzić przykrego wrażenia, jakie niewdzięczność obudza... W Holandii wybito medal szyderski... ohydny.

Fryderyk, przestraszony, zżymnął się, stanął; twarz mu zbladła jak ojcu, gdy w gniew ów straszny wpadał i od pamięci odchodził.

– Nie chciałem wspominać o tym, dopóki nie odkryliśmy sprawcy – kończył Sułkowski. – Ja i Brühl przebaczylibyśmy obrazę naszą, ale obrazy majestatu, jako ministrowie, nie możemy puścić bezkarnie.

– Ale któż? kto? – zapytał Fryderyk.

– Człowiek okryty łaskami waszymi, którego cała rodzina winna wszystko Najjaśniejszego Pana ojcu i jemu. Niewdzięczność i zuchwalstwo bezprzykładne...

– Kto? kto? – nalegał królewicz.

– Szambelan Watzdorf...

Królewicz powiódł oczyma osłupiałymi dokoła.

– Macie dowód?

– Przy sobie: w rękę trzymam list znaleziony u niego i medale...

– Widzieć nie chcę, nie chcę – odparł królewicz, ręką się zasłaniając – ani ich, ani jego: precz... precz!



– Puścić go bezkarnie? – zapytał Sułkowski. – Nie może być. Poniesie za granicę potwarze i szerzyć je będzie, kto wie jakie? Może na śp. ojca Waszej Królewskiej Mości...

– Szambelan Watzdorf? Watzdori młodszy? – powtarzał Fryderyk. – Lecz cóż? lecz jakże...

To mówiąc, otarł pot z czoła.

– Königstein – rzekł krótko Sułkowski.

Nastąpiło milczenie... Ze spuszczoną głową szedł z wolna królewicz: była to pierwsza za jego panowania wina i kara tak surowa.

– Gdzie Brühl? – spytał.

– Brühl zostawił to mnie i porucił – odpowiedział hrabia.

– Watzdorf! Königstein! – powtarzał, wzdychając, Fryderyk; potem stanął, wlepił oczy w Sułkowskiego i rzekł: – Nie chcę o tym słyszeć więcej; dość – nie chcę. Róbcie, co chcecie...

Sułkowski odwrócił się ku idącemu za nimi o. Guarimemu, który królewicza najlepiej umiał rozśmieszać, i skinął nań. Padre przybiegł co prędzej, nie domyślając się więcej nic, oprócz tego, że był tu na coś potrzebny.

– Jestem w rozpacz! – zawołał. – Gęś moja, *Angela o l'amorosa*, zginęła... uleciała, widząc się pogardzoną przez Baudissina; musiała się puścić w lasy, szukając śmierci. Biegałem za nią i miałem to nieszczęście, że trzy panie nasze brał z kolei za gęsi: nigdy mi tego nie darują...

Smutna twarz królewicza w miarę, jak słuchał, rozjaśniać się zaczęła. Jak z posępnego nieba chmury, schodziły z pięknego jej czoła zmarszczki; usta ściśnięte rozchodziły się, na policzkach pierwszeństwa uśmiechu zarysował dwie ledwie znaczne fałdy; białe zęby pokazały się spod warg powoli. Patrzył na jezuicie, jakby w jego pogodnej, naiwnie uśmiechniętej twarzy, trochę przypominającej włoskiego pulcinella, chciał zaczerpnąć potrzebnego mu wesela...

Guarini, przeczuwszy, że coś dlań niezrozumiałego musiało dobrego pana zasmucić, wysilił się z całym swoim dowcipem, aby co rychlej zetrzeć ślady nie milego wrażenia.

Jakoż w miarę jak się sypały włoskie żarty i przycinki, królewicz zdawał się zapominać o doznanej przykrości i dobroduszenie znowu mu się uśmiechał. Lecz trzeba było wysiłków kilku wesołego ojca, aby całkowicie znieść powracającą chmurę tę, i nie dał spoczynku królewiczowi, aż póki nie posłyszał tego znanego sobie, głośniego, szczerzego śmiechu, który zwiastował, że najjaśniejszy pan o troskach tego świata zapomniawszy całkowicie.

Nazajutrz znikł radca i szambelan królewski Watzdorf. Nikt się nie śmiał dopytywać zrazu, co się z nim stało: była to pierwsza tego panowania ofiara. W kilka dni po cichu zaczęto szeptać sobie, iż go zawieziono do Königsteinu. Królewicz nigdy więcej imienia jego nie wspomniał; Sułkowski i Brühl zdawali się nie chcieć wiedzieć o tym.

Trwoga padła na dwór i nieprzyjaciół skrytych obu ministrów. Brühl przy zdarzonej okoliczności, o ile mógł głośno, umył ręce od tej sprawy, zarzekając się, iż wcale o niej nie wie i do niczego się nie mieszał.

W „Merkurjuszu Historycznym”<sup>170</sup>, rodzaju gazety francuskiej, wychodzącej naówczas, stały wkrótce potem następujące słowa: „Ci, którzy znali z bliska swawolny i satyryczny sposób myślenia tego młodego pana, który w sprawach bezpośrednio po śmierci Augusta Mocnego zaszytych niejedną miał zręczność z kaustycznym<sup>171</sup> swym się popisać dowcipem, nie będą zdziwieni katastrofą, jaką mu od dawna wprzód przepowiadano”.

Watzdorf już się nigdy więcej nie pokazał światu. Po czternastoletnim więzieniu na Königsteinie zmarł dobitny tęsknotą i niewolą.

<sup>170</sup> Tytuł pisma brzmiał: *Mercure historique*.

<sup>171</sup> K a u s t y c z n y (grec.) – palący, żrący, zgryźliwy, zjadliwy.

## II

W rok po tych wypadkach pałac, w którym Brühl mieszkał, jaśniał rześzystymi światłami. Nigdzie wspanialej jak w Dreźnie nie umiano występować przy uroczystościach, nigdzie się nie bawiono z większym przepychem, którego tradycje po sobie August Mocny zostawił. Od dworu zbytek ten przechodził do otaczających pana, potem do zetkniętych z nimi: do mających stosunki z wyższym towarzystwem, w części nawet do zamożnego mieszczaństwa. Bankierowie ówcześni dawali bale dla dworu, mile był widziany każdy, kto się do zabawy przyczyniał, a umiał się czymś niespodziewanym przysłużyć.

Ognie sztuczne, iluminacje, wieńce, kwiaty, muzyki, obrazy występowały, ilekroć najmniejsza nastęczała się sposobność.

Brühl był jednym z najrozzutniejszych dorobkiewiczów swojego czasu, dziwił on tych nawet, którzy się czemukolwiek dziwować przestali. Oświecenie jego pałacyku wytwornością swą przechodziło od dawna widywane w stolicy. Ogromny tłum ludu w pewnym przyzwyczajonym oddaleniu przypatrywał się z poszanowaniem należnym kamienicy tak możnego pana, błyszczącej różnokolorowymi lampami, jakby wieńcami drogich kamieni i kwiatów. Na samym szczycie nad bramą, w owalnej tarczy, ponad którą spadały dwie girlandy różowe z zielenią, białymi gwiazdy wysadzone, świeciły dwie czule z sobą złączone głoski: F. i H. Trochę niżej dwie w transparentach tarcze herbowe, pochylone ku sobie i sparte, mieściły dwa pola luezrozumiałymi dla gminu hieroglifami heraldycznymi zapisane. Dworacy tłumaczyli ciekawym, że to były nowożeńców rodowe znamiona.

Ciżba stała już dość długo przed pałacykiem, gdy od strony zamku z pochodniami, z laufrem, z pocztylionami przodem nadejechała karetą. Wiozła ona matkę i państwa młodych, którzy po przyjęciu i balu na zamku do własnego powracali domu. Piękna pani pierwszy raz miała jego próg przestąpić.

Chociaż nad nią nie spodziewano się innych gości, od sieni aż na pierwsze piętro wiodące wschody zajęte były po obu stronach całym szeregiem w pyszną liberię postrojonych lokajów; na górze stali kamerdynerowie, marszałek dworu i pазie ministra.

Królewsko już urządzony był dom jego na przybycie żony: wyświeżony, odnowiony i powiększony. Świecił cały od porcelany, sreber, brązów, kobierców i tysiąca fraszek a cacek, którymi wiek ów otaczać się lubił. Brühl tłumaczył się z tej okazji tym, że panu swojemu honor nią czynił; zaręczał, że ostatni grosz oddawał na nią, aby przepychem swoim saskiemu domowi przyczynić blasku. Gdy powóz zatrzymał się przede drzwiami pałacu i wielka ochmistrzyni wysiadła z niego z pomocą zięcia, dano jej pierwszy krok i sama powoli weszła na górę. Brühl chciał podać rękę żonie, która udała, że tego ruchu nie widzi, i poszła obok niego sama. Piękna twarz panny Franciszki na ten dzień miała wyraz powagi, dumy i smutku, obudzający w świadkach podziwienie. Śladu weselnego szczęścia na tym obliczu pęchmurnym nie było. Wszystkie cuda i świecące przystrojenia kosztowne domu obojętnym mierzyła okiem, jakby ich widzieć nie chciała; szła jak ofiara zrezygnowana, która wie, że się losowi nie oprze, ale się szczęścia nie spodziewa. Snadź miała czas ostygnąć, rozmyślić się, oswoić z położeniem swoim, bo i strasznego bólu nie niosła na twarzy, ale chłód tylko przerażający.

Ból, jeśli był, stał się chorobą trawiącą, powolną, która się z życiem splotła.

W salce na górze, której ściany rześzystymi wiązkami jarzącego światła były okryte i błyszczały całe lustrami, kryształowymi łyżami i iskrzącymi ramami obrazów, zatrzymała się hrabina Kolowrath, obejrała się szukając córki, idącej za nią. Frania szła i stanęła przy niej milcząca. Z drugiej strony Brühl, w fioletowym ze złotem fraku aksamitnym ślubnym, w białej ze złotem kamizelce i koronkach, z uśmiechem na ustach, z bukietem u guzika, stał z pokorą i słodyczą, uśmiechając się do matki.

Milcząco przysunęła się ona do córki, pochyliła głowę, przyłożyła usta do jej czoła i długim pocałunkiem zegnała odchodzące dziecko, które nie wzruszyło się tym czułości dowodem. Matce, choć dwór i życie ostudziły ją dawno, łzy się zakreśliły w oczach.

– Bądźcież szczęśliwi – szepnęła. – Błogosławię was! Bądźcie szczęśliwi – i rękę przyłożyła do oczów wzruszona. Brühl pochwycił drugą, okrywając ją pocałunkami.

– Potrzebujecie być sami – dodała głosem złamanym. – Moim obowiązkiem było odwiedzić tu was i pobłogosławić; nie chcę was męczyć: ja sama muszę spocząć po tych wrażeniach...

Odwróciła się do Brühla.

– Polecam ci żonę – rzekła – bądź dla niej dobrym, bądź przywiązany mężem. Frania przywiąże się też do ciebie. Bądźcie szczęśliwi! Szczęście na ziemi płóche i niestałe... słodzić sobie należy dnie życia, a nie zatruwać. Franiu, ufam, że będziesz i ty dobrą dla niego...

Zakryła oczy, jakby jakaś myśl dopowiedzieć jej przeszkadzała, co miała w duszy, jakby coś wstrzymywało jej wyrazy na ustach, jakoby się byli powinni dorozumieć wiele, czego dotknąć nie mogła.

Jeszcze raz pochyliła się do czoła córki, która stała jak posąg marmurowy. Brühl pocałował ją w rękę, ruszyła się do powrotu. Zięć podał jej rękę z wdziękiem i nadskakującą grzecznością i prowadził znowu na dół do oczekującego dworskiego powozu, do którego wsiadła, słowa nie mówiąc, w. ochmistrzyni i rzuciła się w głąb jego, ukrywając od oczu ciekawej gawiedzi.

Na górze pozostała sama jedna na chwilę pani młoda. Jeszcze się nie poruszyła z miejsca zadumana, a gdy Brühl powrócił i rękę jej chciał ująć, spojrzała nań niemal zdziwionymi oczyma, jakby zapomniała i gdzie była, i że się stała żoną jego.

– Na miłość bożą! – szepnął minister. – Tysiące oczu i z ulicy, i w domu patrzy na nas: bądźmy choć dla nich szczęśliwi. Na scenie życia wszyscyśmy aktorami (był to ulubiony i często powtarzany aksjomat<sup>172</sup> jego), odegrajmyż dobrze naszą rolę.

To mówiąc, podał jej rękę i obojętną poprowadził przez cały szereg oświeconych pokoiów ku jej apartamentom. Wszystko, co roztargnione oczy jej spotykały, było tak wspaniałe, bogate i piękne, że w każdym prócz niej wywołałoby okrzyk zachwycenia. Ona szła nie patrząc i nie widząc. Znaleźli się wreszcie w gabinecie toaletowym pani, poprzedzającym wyświeżoną sypialnię, w której dwie alabastrowe na kolumnach lampy blade, tajemnicze światło roztaczały.

Młoda pani, zobaczywszy przed sobą drzwi otwarte, stanęła, oczyma poszukała krzesła i padła na stojące przed gotownią. Wsparła rękę na stole okrytym koronkową oponą i zadumała się milcząca.

Tu byli sami, szmer tylko ciżby z ulicy, podziwiającej iluminację, dochodził.

– Pani – rzekł Brühl głosem słodkim i miękkim – jesteś w swym domu, a pierwszy twój sługa stoi przed tobą.

Chciał przykleknąć przed nią; Frania powstała nagle, westchnęła, jakby z piersi zrzuciła ciężar, i zawołała głosem, w którym smutku nie było:

– Komedii dosyć mamy dzień cały, z sobą jej grać nie potrzebujemy: uwolnij mnie pan od niej i siebie. Musimy być szczerzy i otwarcie bądźmy nimi od pierwszego dnia. Zawarliśmy nie małżeństwo, nie związek serca, ale kontrakt: starajmy się go korzystnym dla obu stron uczynić.

Zaczęła przed gotownią, nie patrząc na stojącego za nią Brühla, zdejmować wieniec z głowy i długą zasłonę. W głosie wzruszenia czuć nie było.

– Jeśli pan nie życzy sobie – dodała – aby naszą rozmowę podsłuchiowano, racz się upewnić, żeśmy sami.

– Tego pewien jestem, bo wydałem rozkazy – zawołał Brühl zimno – a moje rozkazy zwykle są szanowane!

---

<sup>172</sup> A k s j o m a t (z grec.) – pewnik; tu: zasada.

Frania nie mówiła nic: z flaszki, stojącej na gotowalni, wzięła dla orzeźwienia się larendogry i odwilżyła nią skronie.

– Szczęśliwą, jak bywają inne kobiety – mówiła głosem jasnym, stojąc ciągle u gotowalni i rozpinając drobne stroju swego dodatki, Franla – szczęśliwą być nie mogę... Ten, którego kochałam, nie kryję się z tym, leży w więzieniu na słomie wilgotnej i nie ma promyka słońca ani niebios widoku... Waćpan kochasz inną, jesteśmy sobie obojętni; chociaż nikt mi nie mówił, na jaką jestem przeznaczona ofiarę, rozumiem to dobrze. Ale chcę życia użyć i użyję go... swobodnie, wszystkich jego przyjemności i rozkoszy. Trucizna musi być osłodzoną; to mi się należy... Lubię przepych i mieć go będę około siebie, potrzebuję roztargnienia, aby nie płakać; wrzawy, aby głosu serca nie słyszeć: wszystko to być musi... Pan mi jesteś obcym, ja panu... możemy być dobrymi przyjaciółmi, jeśli zasłużysz na to... Któż wie, mogę mieć fantazję jaką i przez parę dni stać się miłą dla niego, ale niewolnicą niczyją nie będę... nawet...

Odwróciła się ku Brühlowi, który stał niemy i zakłopotany.

– Rozumiesz mnie pan?

Minister milczał.

– Nikt mi o niczym w świecie nie mówił – ciągnęła dalej – kobiecym instynktem odgadłam wszystko; przeznaczenie moje znam i wiem...

– Pani – przerwał Brühl – są rzeczy, które przez usta przechodzić nie powinny, które zdradzić, jest to skazać się...

– Nie potrzebujesz mi mówić tego, ja wiem wszystko; powtarzam panu nawet to, co się panu zdaje tajemnicą. August II potrzebował sławy i rozgłosu ze swych miłostek, pobożny syn jego nie dopuścił nawet podejrzenia na siebie. Dlatego wszystko się musi ułożyć tak, aby ludzkie oko nie widziało, ludzkie nie słyszało ucho.

I sucho śmiać się zaczęła.

– Spodziewam się, że dając panu władzę, potęgę, łaskę, sama też korzystać z nich muszę, i żądam, aby moje fantazje były poszanowane; a że mieć będę fantazje, to niezawodna. Ciekawą jestem życia, łaknę go, potrzebuję się upić, aby o bólu zapomnieć. Myślisz – poczęła żywiej – że mi w którejkolwiek życia godzinie zniknie z oczu obraz tego nieszczęśliwego? Widzę mury, którymiście go otoczyli, izdebkę ciemną, tapczan twardy, twarz stróża i oblicze jego zwiędłe, w długich jak wieki dniach wpatrzone w małe ckiemko. Ale w tym człowieku mieszka wielki duch, co go trzyma, co go może będzie trzymać tak długo, aż się kiedy drzwi więzienia otworzą. Prawda to, że druga wasza ofiara, biedny Hoym<sup>173</sup>, już się obwiesił w więzieniu?

Brühl patrzył w podłogę.

– Tak – rzekł sucho – i szkoda nie wielka: ja po nim płakać nie będę.

– Ja także nie – odparła Frania – ale tamtego nie zapomnę. Rozumiesz pan, że ręka, co go tam strąciła, choć ją z moją u ołtarza związano... ścisnąć mej dłoni nie może... Jesteśmy i będziemy sobie obcy.

Uśmiechnęła się szydersko.

– Przyjąłeś pan katolicką wiarę dla mnie – rzekła – chociaż i to być ma tajemnicą. To także zaleca mi was niepospolicie! Co za takt i polityka! Król polski potrzebuje ministra katolika w Polsce: Brühl jest tam katolikiem; kurfirst saski musi mieć protestanta w Saksomii: Brühl tu będzie gorliwym luteraninem. Gdyby Zinzendorf został królem u Morawskich Braci, pan byś pewnie należał do herrnhuckiej gminy... *C'est parfait, c'est délicieux!*<sup>174</sup>

– Pani! – zawołał głosem wzruszonym Brühl. – Nie wiedząc, dotknęłaś mnie najboleśniej. Ja jestem chrześcijaninem i pobożnym; wyznanie dla mnie rzeczą podrzędną, ale ewangelia i jej przepisy, miłość Zbawiciela...

<sup>173</sup> Adolf H o y m - mąż hrabiny Cosel. Występuje jako jedna z głównych osób w powieści: *Hrabina Cosel*.

<sup>174</sup> *C'est parfait, c'est délicieux* (fr.) – to doskonałe, to rozkoszne!

Wzniósł oczy w niebo.

– To należy do pańskiej roli, rozumiem – odezwała się Frania – a więc usuńmy to. Ja bym spocząć pragnęła i być samą. Spojrzała mu w oczy.

– Lecz cóż powie służba? Co pomyślą ludzie, jeśli pani mnie stąd wypędzisz? To nie może być!

– Ale inaczej być nie może! – zawołała Frania. – Pan możesz tu w gabinecie na sofce, na fotelu, gdzie chcesz, przepędzić noc, ja pójdę do sypialni i zamknę się.

Brühl spojrzał na nią niespokojny.

– Pozwolisz więc pani, abym poszedł się przebrać i powrócił tu. Nikt w świecie stosunku naszego znać ani się go domyślać nie powinien. To pani wiadomo.

– Rozumiem! Rozumiem! Musi to być wszystko tajemnicą, a my najczulszymi małżonkami. Wyznaj pan, że po białym dniu to platoniczne małżeństwo nasze będzie nadzwyczaj zabawne. Ludzie będą panu zazdrościć, kobiety mnie; bo pan dla innych jesteś niebrzydkim mężczyzną, ale król daleko od was piękniejszy i – król w dodatku! Wolę być tajemną króla kochanką niż prawdziwą ministra żoną.

Z szyderstwem śmiać się zaczęła.

– Wystawiam sobie, jak Najjaśniejszy Pan na mnie przy żonie obawiać się będzie rzucić okiem, jaki będzie musiał być chłodny...

– Pani – łamiąc ręce, przerwał Brühl – ściany mają uszy. Frania ruszyła ramionami.

– Pani wiesz – szepnął – że gdyby się to nie tylko wydać miało, ale gdyby najłżejsze posądzenie, cień tylko prawdy wyszedł na świat, dla mnie i dla was wszystko zgubione.

– Szczególniej dla mnie – odparła kobieta – bobym została z panem *en tête-a-tête*<sup>175</sup>, bez żadnego widoku pociechy, a to by mi życie struło... Więc – cicho!

Brühl, nic nie mówiąc, wysunął się z pokoju. Salony, które przechodził, jeszcze stały oświetlone; przesunął się przez nie wolnym krokiem i na drugim ich końcu wszedł do swego gabinetu. Kamerdyner i lokaj czekali tu na niego wiedząc, że przyjdzie się przebierać.

Na stoliczku leżał strój ranny: paradny szlafrok z lionńskiego atlasu niebieskiego w żywo barwione kwiaty i świeża, biała jak śnieg bielizna, i lekkie buciki jedwabne. Wszystko to było niepokalanej świeżości.

Ponieważ przejście przez salony miało być znakiem pogaszenia światła, kamerdyner wziął dwa srebrne lichtarze w ręce i poszedł przodem, świecąc mu do sypialni. U drzwi jej Brühl go skinieniem odprawił i wszedł.

W gabinecie nie było nikogo oprócz zrzuconej zasłony i wianka pani młodej, jej rękawiczek i chustki. Drzwi dalsze od sypialni były zamknięte.

Nocna lampka paliła się w kątku... w pokoju mrok panował i cisza. Zegar w mieście bił późną godzinę. Brühl spojrzał najprzód przez okno: w ulicy już było pusto, iluminacja gasła. Ponad czarnymi kamienicami, stojącymi w mrokach, księżyc się wzbił wysoko i pływał w bawelnianych chmurach białych.

Noc była ciepła, letnia, milcząca... otworzył z daleka okno, bo go powietrze dusiło.

W sypialni najmniejszego nie słysząc było szelestu.

Mąż pięknej Frani, przeszedłszy kilka razy po pokoju, obejrzał się, szukając miejsca dla spoczynku. Maleńka sofka i przystawione do niej krzesło musiały mu zastąpić posłanie. Sparł się na rękę i dumął... uśmiech ironiczny przebiegał mu usta, kilka razy spojrzał na drzwi sypialni i wkrótce, wszedłszy w innego rodzaju rozmyślenia o przyszłości, znużony drzemać zaczął.

W snach przed oczyma śniło mu się złoto, świeciły brylanty, przewijały koronki, sunął cały przepych królewski, niemy, bez twarzy ludzkiej, bez serca; potem obłoki białe, na nich cyfra z hrabiowską koroną i mroki.

<sup>175</sup> *En tête-a-tête* (fr.) – sam na sam.

Gdy oczy znużone otworzył, dzień już był biały, który go nieco przestraszył. Ruszył się co prędzej z improwizowanego a niewygodnego łóżka swego, krzesło postawił w miejscu, obwinął szlafrokiem i na palcach wyszedł do swoich pokojów.

Oczy jego szukały najprzód zegara... z przerażeniem ujrzał na jednym z nich godzinę szóstą ranną, o której zwykł był dzień już rozpoczynać. Wchodząc do gabinetu swego, spostrzegł też stojącego już w pośrodku o. Guariniego w swym rannym surducie szarym z czarnymi guziczkami, uśmiechającego się do niego.

Jezuita pozdrowił go milczący uściskiem ręki, którą Brühl ucałował, zarumieniony nieco i zmieszany. Nim przemówił, oczy ich, nawzajem się badając, po kilkakroć spojrzały na siebie wzajemnie.

Guarini zbliżył się doń z tajemniczą twarzą.

– Ministrowie jak wy nawet nazajutrz po ślubie nie mają prawa wysypiać się długo, szczególnie tacy jak wy, co macie nieprzyjaciół groźnych.

Rękę podniósł do góry,

– Z wami, ojcze, i przy pomocy królowej obawiać się ich nie mam potrzeby – odezwał się Brühl.

– Obawiać się i być ostrożnym potrzeba zawsze... – szepnął o. Guarini. – Zawsze, choćbyście mieli za sobą królową nawet, bo królowe nie zawsze panują mój drogi.

– Ale wy, ojcze – jeszcze ciszej dodał minister – panujecie i panować, spodziewam się, będziecie sumieniu króla a pana naszego zawsze.

– Moje dziecko, ja też nie jestem nieśmiertelny, jestem stary i czuję, że grządam, który wkrótce pójdzie na śmietnisko.

Chwilę pomilczeli. Guarini się przeszedł po pokoju z rękami w tył założonymi.

– Księcia Li.chtensteina trochę przysposobiłem i ja, i królowa – rzekł – ale powoli idzie, ogłędnie i w ogóle z tą całą kampanią naszą śpieszyć nie można. Dajmy czas królowi, mnie, okolicznościom, aby naszego pana przysposobiły. Dotąd Sułkowski u niego pierwszym. Sułkowski wszystkim... Wy pamięć ojca macie za sobą; starajcie się mieć coś więcej... Zamilkł o. Guarini.

– *Piano, piano, pianissimo!*<sup>176</sup> – szeptał. – Do naszego pana trzeba umieć mówić, umieć trafić. *Al canto si conosce l'uccello, ed a parlar il cervello* (Ze śpiewu poznać ptaka, a z mowy mózgownicę).

I uśmiechał się pocziwy Padre, a że lubił włoskie ludowe pogadanki, dodał:

– *Duro con duro non fan mai muro* (Twardy z twardym muru nie zlepi). Sułkowski bywa *duro*, waćpan powinien być mięciuchny i giętki, *Ma piano, piano!*

Tu zbliżywszy się, do ucha począł coś szeptać żywo i ruchami rąk sobie dopomagając, potem na zegar spojrzawszy, chwycił za kapelusz i wyniósł się pośpiesznie.

Z drugiej strony już pukano.

Żółta, pokrzywiona twarz Hennieke pokazała się ostrożnie we drzwiach na pół odemkniętych i cały radca wszedł za nią. Pod pachą dźwigał masę papierów; najprzód zmierzył okiem Brühla, jakby z twarzy się dobadywał termometru humoru.

– Ekscelecjo – rzekł – najprzód powinszowania moje.

– Najprzód interesa – przerwał minister. – Pieniądzy potrzebujemy, pieniędzy i zawsze pieniędzy dla dworu, dla spraw w Polsce, dla króla, dla mnie, dla ciebie, nie licząc Sułkowskiego... Hennieke – pieniędzy!

Zaciął usta eks-lokaj.

– Piszczą, łajdaki – odezwał się – szlachta się zżyma, miasteczka burzą, odwołują się do przywilejów, do *immunitates*<sup>177</sup>, do uchwał.

<sup>176</sup> *Piano, piano, pianissimo!* (wł.) – cicho, cicho, najciszej!

<sup>177</sup> *Immunitas*, l. mn. *Immunitates* (łac.) – przywilej zwalniający od podatków lub innych powinności.

– Kto? – zapytał Brühl.

– Prawie wszyscy.

– Ale któż ich prowadzi? Któż najgłośniej gada?

– Jest ich dosyć.

– Trzech lub czterech... posłać szwajcarów, niech wezmą i do Pleissenburga... Tam rozum przychodzi: reszta będzie siedzieć cicho.

– Ale kogo wybrać? – spytał Hennicke.

– Zważyłbym o tobie, gdybyś tego nie rozumiał. Za wysoko nie sięgaj, żeby którego z sułkowszczyków nie zaczepić. Za nisko nie bierz. bo to się nie zdało na nic. Człowieka, co ma stosunki na dworze, nie ruszaj; ale pokażnych parę...

– A racja? – spytał eks-lokaj. Brühl się rozśmiał.

– Czy ja ci potrzebuję rację dyktować? Słowo głośno wyrzeczone, obraza majestatu; rozumiesz lub... głupis... Hennicke.

– Rozumiem – rzekł Hennicke i westchnął. Brühl się zaczął przechadzać żywo.

– Nie wiem, czy Globiga dziś zobaczę; trzeba, żebyś mu powiedział ode mnie, że moich rozkazów nie spełniają. Na ostatnim polowaniu o włos mały nie podano petycji królowi... Szlachcic się zaczął w krzaku. Na kilka godzin wprzód przed polowaniem, przejażdżką, wyjściem drogi powinny być oczyszczone, postawione warty: żywej duszy nie można się dać docisnąć... Kto wie, w jakim zamiarze...

– Ja, Ekscelencjo, wszystkiego sam dopilnować nie mogę... a Loss, a Stammer, a Globig, a inni, co robią?

– Hennicke powinien mieć rozum za wszystkich, jeśli za nich chce mieć łaski.

Znowu rozmowa w poufaty szept się zmieniła, ale ten trwał niedługo. Brühl ziewał znużony. Hennicke zrozumiał to i wysunął się. Przyniesiono czekoladę. Połknął ją z kilku biszkoptami prędko Brühl, wody się napił i dzwonił już na swojego mistrza garderoby.

W pokoju do ubierania było wszystko gotowym, tak że ranny strój niewiele czasu kosztował. *Porte-chaise* stała u ganku z hajdukami.

Była godzina dziewiąta prawie, gdy minister kazał się wieźć do mieszkania posła austriackiego, księcia Wacława Lichtensteina. Poselstwo naówczas zajmowało jeden z domów w Starym Rynku; podróż więc długą nie była. O tej godzinie zwykle Brühl bywał już u króla, tego ranku korzystał ze swobody, jaką mu dawał ślub wczorajszy, aby odwiedzić księcia Lichtensteina.

Gdy oznajmiono o Brühlu, księżę sam wyszedł naprzeciw niego do sali. Minister nie zapominał o tym, że dziś dla całego świata powinien mieć twarz najszcześliwszego w świecie człowieka. Chociaż nieco znużenie na niej widać było, promieniała doskonale przybraną radością i swobodą.

Księżę Lichtenstein, w całym znaczeniu wyrazu pan i dworak jednego z najstarszych w Europie domów panujących, miał fizjognomię do swej roli wybornie stworzoną. Słuszny, piękny, rysów szlachetnych, postawy pańskiej, grzeczny, miły. W oczach miał połyski rozumu i przebiegłości dyplomatycznej. Jakkolwiek Brühl niedawno małym był szlachetką, dziś pierwszy minister spokrewnionego z austriackim domem państwa, mąż hrabianki Kolowrath, stał prawie z Lichtensteinem na równi. Miał jednak takt nie okazywać tego po sobie i z grzecznością tylko, ale z uszanowaniem przywitał posła.

Wymieniwszy słów kilka, wyszli do gabinetu. Księżę podał mu krzesło i posadził go naprzeciw siebie.

– Wracam – rzekł – do wczoraj tak nieszczęśliwie przerwanej rozmowy. Mój drogi panie Henryku, zapewniam was, możecie się wszystkiego dobrego spodziewać od mojego dworu: tytułu, majątku, protekcji, opieki w każdym razie, ale musimy z sobą iść ręką w rękę... rozumiecie mnie?

Brühl podał rękę natychmiast.

– Musimy iść ręka w rękę – rzekł – tak jest; ale rąk naszych nikt nie powinien widzieć... najgłębsza tajemnica: inaczej wszystko to pryśnie jutro. Padnę ja, a ze mną ten, co wam jeden służy tu wiernie.

– Czyż wątpicie? – zapytał książę. – Moje słowo waży jak cesarskie...

– Pierwszego mi starczy – podchwycił Brühl.

– Jestże to prawdą, możeż to być, ażeby Sułkowski miał jakieś myśli i plany na przyszłość? – spytał książę.

– To nie ulega wątpliwości.

– Ale nic określonego.

– A! – zawołał Brühl. – Określonego tak dalece, iż wiem, że się tyczy zajęcia Czech... Plan jest osnuty nie w myśli, ale na papierze...

– Wyście go widzieli?!

Brühl się uśmiechnął tylko.

– Moglibyście go mieć? – dodał nagłaco książę Lichtenstein.

Uśmiech ministra stał się jeszcze wyrazistszym.

Książę pochylił się doń i pochwycił go za obiedwie ręce.

– Jeśli mi dacie ten plan na piśmie, jeśli mi go dacie...

Zawahał się nieco.

– To tak, jakbym głowę moją dał w ręce księciu – odparł cicho Brühl.

– Ale spodziewam się, że moglibyście i ją mi powierzyć – przerwał Lichtenstein.

– Bez wątpienia – mówił dalej minister – lecz gdy plan będzie w rękach waszych, naówczas nie ma innej alternatywy: jeden z nas paść musi. Wiecie, książę, jak król jest do niego przywiązany...

Lichtenstein porwał się z siedzenia.

– Ale my mamy królową, my mamy o. Guariniego, my mamy was i o. Voglera, i Faustynę! – zawołał szybko.

Brühl się uśmiechnął. – Sułkowski ma słabość i serce królewskie.

– Prawda, że ludzie słabi bywają uparci – odezwał się książę – lecz na słabych zawsze, powolnie i zręcznie działając, wpłynąć można. Nigdy nagle, bo ich słabość, którą czują sami, rodzi upór: należy ich tak brać, aby nie wiedzieli, że są wzięci, aby sądzili, że działają przez się sami. Od czegoż pocziwy o. Guarini!

– Sułkowski jest towarzyszem młodości króla, jest jego powiernikiem w tych sprawach, w których król nie zwierza się nikomu.

– Nie przeczę, że robota trudna; nie uznaję jej jednak niepodobną... – odparł Lichtenstein.

– Ale ten plan? Na Boga! Widzieliście go? Czytaliście go?!

Niecierpliwą tę natarczywość księcia powstrzymał Brühl zimną twarzą i postawą.

– Pozwolisz, książę, abyśmy mówili najprzód o warunkach.

– Z największą chęcią.

– Ubolewam nad tym, bo cenię Sułkowskiego z innych względów – mówił minister. – Jest przywiązany do króla, jest mu wierny; zdaje mu się, że Saksonią uczyni potężną – ale jeżeli wpływ jego się zwiększy, ambicja może na niebezpieczne poprowadzić drogi. Sułkowski świętej naszej królowej ocenić nie umie. Sułkowski nie dosyć szanuje duchowieństwo...

– A! Mój Brühlu kochany – przerwał Lichtenstein. – Ja go znam jak wy, a może lepiej, bo się przede mną nie maskuje, znam go, gdy był z królem w Wiedniu.

– Sułkowskiego obalić potrzeba – rzekł Brühl stanowczo. – Więcej nie żądam nic, ale tego dla dobra króla i państwa wymagać muszę. Naówczas ja się potrafię utrzymać sam, a we mnie mieć będziecie najwierniejszego sługę cesarskiego domu.

– Ale ten plan? Ten plan? – powtarzał Lichtenstein. – Daj mi go, na wszystko się zgadzam.

Brühl jakby od niechcenia rękę prawą założył za suknię, szukając bocznej kieszeni; na ten znak książę drgnął, przysunął się, ręce obie podniósł.



W białych palcach powoli Brühl podniósł do góry papier, trzymając go przed oczyma księcia.

W chwili gdy z ręki jego miał on się przenieść już do ambasadora, zapukano do drzwi; kamerdyner oznajmił:

– Hrabia Sułkowski!

W mgnieniu oka papler znikł w kieszeni, a Brühl, rozparty, zażywał tabakę z małej emaliowanej tabakiereczki, którą już dobył z kamizelki.

Sułkowski, stojąc w progu, mierzył oczyma Lichtensteina i Brühla. Z większą ciekawością niż na posła zwracał oczy na swego towarzysza, który się pochylił i z uśmiechem doń dłoń wyciągał.

– Otóż to ranny ptaszek! Od młodej żony nazajutrz po ślubie już biega po ambasadorach. Sądziłem – mówił Sułkowski – żeście jeszcze u nóg swej pani.

– Obowiązki przede wszystkim – odparł. – Powiedziano mi, że księżę wyjeżdża do Wiednia, nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie złożyć mojego uszanowania.

– Księżę wyjeżdża do Wiednia? – zapytał zdumiony Sułkowski, zabierając pierwsze miejsce na kanapie. – Nic o tym nie wiem.

Lichtenstein zdawał się nieco zakłopotany.

– Nie wiem jeszcze, może... może – wyjąknął po chwili. – Wczoraj coś podobnego powiedziałem na dworze i widzę, że Brühl, który wie wszystko, wie już i o tym dzisiaj.

Zaśmiał się, Sułkowski ramionami ruszył.

– Więc to niepewna jeszcze...

– Nie wiem, ale być może – rzucając znaczące wejrzenie na Brühla, rzekł Lichtenstein. – Czekam na pewne depesze. Jeśli je otrzymam, choć mi żal Drezno opuszczać, pojedę.

Rozmowa zwróciła się ku plotkom miejskim.

### III

Najpoufalsze stosunki łączyły jeszcze dwóch przeciwników, chociaż z obu stron rozpoczynała się walka dla oczu nie wtajemniczonych nie dostrzeżona. Tego samego poranku Sułkowski z Ludovicim, powiernikiem swym, mówił o zamążpójściu Kolowrathówniej.

Ludovici podejrzliwszym był daleko od swego naczelnika.

– Panie hrabio – rzekł mu – ożenienie to powinno nam dać do myślenia. Hrabia Brühl nie z jedną Kolowrathówną się ożenił, ale z dworem austriackim, z o. Guarinim, z wielką ochmistrzynią, a po trosze z królową. Brühl jest jak miód słodki, ale podstawił nogę Fleury'emu i Manteufflowi, wyrócił Wackerbartha i Hoyma; wpakował na Königstein Watedorfa i Hoyma się z jego łaski obwiesił. Ja Brühlowi nie wierzę.

Sułkowski śmiać się zaczął i ramionami ruszył.

– Mój Ludovici – rzekł z dumą – pamiętaj, kto oni byli, a kto ja? Mnie on razem z o. Guarinim i Austriakami nie obali... O. Guariniego i cały ten pułk jezuitów wypędzę. Królowej dam dwór inny. Księża ci mi już dokuczyli: nie lubię ich. Go się tyczy Watzdorfa i Hoyma, mylisz się; ja sam ich oddaliłem, ja, nie on.

– To jest on rękami Waszej Ekscelencji; *is fecit, cui prodest*<sup>178</sup>, jako adwokat pamiętam prawniczy ten aksjomat. Watzdorf mu pannę bałamucił.

– Już tylko ty w rzeczach dworskich nie ucz mnie rozumu – odezwał się Sułkowski. – Wiem ja, co czynię, a żaden z was nie wie, jak stoję mocno.

---

<sup>178</sup> *Is fecit, cui prodest* (łac.) – uczynił ten, komu to przynosi korzyść (Znana zasada rzymskich prawników).

– Ja o tym nie wątpię – rzekł sucho, kłaniając się, Ludovici. Krótka ta rozmowa utkwiła jednak w pamięci Sułkowskiego. Chociaż nawet przed najpoufalszym ze swych powierników, jakim był Ludovici, nie wydawał się z tą myślą, hrabia od dawna nie dowierzał Brühlowi. Nade wszystko znaczące wydawało mu się, iż na wzór jego nieustannie był przy Fryderyku Augustcie, towarzyszył mu wszędzie i godzinami odbywał milczącą służbę razem z trefniasiami i o. Guarinim. Król się do jego twarzy przyzwyczajał. Kilka już razy dawała mu się czuć niebytność dłuższa Brühla i zapytywał o niego. Z wolna nabierał doń nałogu.

Sułkowski nie mógł nawet przypuścić, ażeby to zagrażało mu miało, ale rywalów nie chciał, był zazdrosnym, pragnął być sam tylko w łaskach.

„Brühla oddalić należy – rzekł w duchu. – Znajdziemy pozór łatwo...” Króla należy przygotować.

Po obiedzie tegoż dnia, gdy król swoim zwyczajem wrócił do swych pokojów i natychmiast rozebrał się do koszuli, aby wdziać szlafrok, sięść w krzesło i fajkę zapalić, Sułkowski był już na zwykłym stanowisku.

Tym razem me sam. Do przedpokoju za nim wniesiono tajemniczą paczkę, którą odebrawszy od służącego, sam wniósł do królewskiego pokoju.

Król w czasie swej włoskiej podróży karmiony był widokiem arcydzieł malarstwa włoskiego. Pragnąc być podobnym do ojca i przejawsz jego zamiłowanie w muzyce i w myślistwie, w wystawności, w teatrze, w jarmarkach nawet lipskich, przejął też miłość obrazów i dzieł sztuki. Z wielką namiętnością, powiedzieć można, uganiał się za obrazami, lubował w nich i chciał z bogacić nimi już znaczny za Augusta II zawiązek galerii drezdeńskiej.

Chcąc się przypochlebić najjaśniejszemu panu, nie było lepszego sposobu, jak nastroczyć mu lub ofiarować piękne dzieło sztuki. Zimny zwykle i flegmatyczny August III na widok pięknego obrazu przeistaczał się, stawał innym człowiekiem, oczy mu się zapalały tak jak od śpiewu Faustyny... Myśl zdawała żywiej krążyć po głowie, usta nawet, zawsze tak oszczędne w słowa, zdobywały się na wykrzykniki i zdania.

W największym smutku godzina opery lub oznajmieme obrazu rozjaśniały lice króla. Sułkowski nie mniej od innych znał tę słabość swego pana.

August III dobywał właśnie pierwszego dymku z fajki, gdy Sułkowski ze szkatułką zjawił się na progu. Spojrzał nań, wyprostował się i nie mówiąc nic, rękę wyciągnął chciwie. Odgadł snadź, co zawierała paczka, którą jego ulubieniec sam się nie wahał mu przynosić.

Oczy pańskie zajaśniały... Nie lubiąc mówić, nie rzucił fajki, ręką tylko i ruchem całego ciała naglił Sułkowskiego o pokazanie.

– Najjaśniejszy Panie – odezwał się hrabia cicho – jest to arcydzieło sztuki, to pewna, ale... ale...

– Ale cóż? – bąknął król, trochę namarszczony.

– Ale – mówił minister – przedmiot jest trochę za mitologiczny i gdyby, uchowaj Boże, Jej Królewiczowska Mość nadeszła...

Król sposepniał i przestał nalegać, twarz stała się poważną, poruszył głową znacząco.

Sułkowski w kątku pokoju postawił pudełko: oko Augusta poszło za nim.

– A kto malował? – zapytał.

– Mistrz włoski – rzekł Sułkowski. – Jest to arcydzieło Tycjana<sup>179</sup>, choć drobnego rozmiaru, ale przedziwnego wykonania.

Usłyszawszy nazwisko, król się skłonił, jakby samego Vecellego witał, i szepnął:

– *Gran maestro! maestro!*<sup>180</sup>

Sułkowski, jakby już o obrazie nie było mowy, stanął i zaczął co innego. Król popatrzał nań, jakby nie roznmiał, słuchał, za-myślił się i sam do siebie rzekł:

<sup>179</sup> T y c j a n, *Tiziano Vecellio* (1477-1576) – czołowy malarz tzw. szkoły weneckiej.

<sup>180</sup> *Gran maestro* (wł.) – wielki mistrz.

– *Troppo mitologico!*<sup>181</sup> hm...

Po chwili, gdy minister mówił już o polowaniu, przerwał:

– Co przedstawia?

Hrabia ręką w powietrzu zamachnął.

– Bardzo nieprzyzwoitą scenę.

– A pfuj! schowaj go! Gdyby królowa nadeszła albo o. Guarmi... a pfuj!

Mimo to nie spuszczał król oka ze skrzyneczki.

– Najlepiej będzie, gdy ja to precz wyniosę – odezwał się Sułkowski, zabierając się do paczki. Nie śmiał król nic powiedzieć, ale się zmarszczył.

– Przecie co? Co reprezentuje...

– Marsa i Wenere w chwili, gdy ich *in flagranti*<sup>182</sup> Wulkan<sup>183</sup> siecią obrzuca.

Król oczy przymknął, ręką potrząsł.

– Pfuj! pfuj! – zawołał.

Sułkowski brał pod pachę obraz.

– No, widzieć dla malowania – odezwał się król – dla sztuki, grzech powszedni, to się wypowiadam o. Guarini... trzy *Pater*<sup>184</sup> i po wszystkim...

Rękę wyciągnął. Sułkowski, uśmiechając się nieco, otworzył skrzyneczkę, podniósł wieko, dobrał światło i zbliżył obrazek do kolan królewskich. Fajka wypadła patrzącemu z ręki.

Było to istotnie małe arcydzieło, wykończone jak miniatura, znany typ tej belli<sup>185</sup> Tycjana, która mu do jego Wenery i Danai<sup>186</sup> służyła; cudnego wdzięku niewiasta, ale w istocie w nader mitologicznej sytuacji.

Król chciwie patrzył, a znać było, że się ciekawości swej i uwielbienia wstydził; zarumienił się, niby odpychał od siebie obrazek, a jednak go nie puszczał. Powtarzał: *Un gran maestro!* – i łąkał razem. Oczy jego iskrzyły się. Może zapomniał, że go kto słucha, może nie zważał na Sułkowskiego i począł szeptać:

– Wenus bardzo piękna... kształty klasyczne! Co za wdzięk! Co za śliczna *tavola*<sup>187</sup>.

Nagle coś mu na myśl przyszło. Obejrzał się, odsunął obraz, splunął, przeżegnał się i surowo rzekł:

– Precz z nim! Precz z nim! Nie chcę gubić duszy... Co ty mi takie pokazujesz rzeczy...

– Ale malowanie, Najjaśniejszy Panie.

– Mistrz jest, ale precz z nim, precz z nim!

Sułkowski prędko zamknął skrzyneczkę i myślał ją wynieść, gdy król go za rękę wstrzymał.

– Czekaj, lepiej jest, aby się drudzy nie gorszyli; postaw ją tam w kącie; potem obaczymy... spalimy...

– Takie arcydzieło?

Król, zamyślony, umilkł i fajkę palił. Minister zsunął paczkę za kanapę i wrócił na swe miejsce. Pod wrażeniem obrazu ciągle, August mruczał:

– *Diavolo incarnato!*<sup>188</sup> – i ruszał ramionami. – Ale obrazek bardzo piękny... Gdyby nie było tam Marsa i gdyby Wenus mogła się przerobić na pokutującą Magdalenę, powiesiłbym ją w pokoju.

<sup>181</sup> *Troppo mitologico* (wł.) – zbyt mitologiczny.

<sup>182</sup> *In flagranti* (łac.) – na gorącym uczynku. Obraz Tycjana przedstawiał scenę miłosną Marsa i Wenery, znaną z *Odysei* Homera.

<sup>183</sup> W u l k a n - w mitologii rzymskiej bożek ognia i kowali, małżonek Wenery.

<sup>184</sup> *Pater* (łac.) – tu: modlitwa „Ojcze nasz”.

<sup>185</sup> *Bella* (wł.) – piękność.

<sup>186</sup> D a n a e - w mitologii rzymskiej oblubienica Zeusa.

<sup>187</sup> *Tavola* (wł.) – obraz.

<sup>188</sup> *Diavolo incarnato!* I(wł.) – diabeł wcielony!

– Najjaśniejszy Panie, w rzeczach sztuki nie ma nic nieprzyzwoitego: ceni się pędzel mistrza. Król milczał.

– I muszę się spowiadać o Guariniemu.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł, dosłyszawszy, Sułkowski. – Sam Padre z przyjemnością by popatrzał na to arcydzieło i wcale by o spowiedzi nie myślał.

– *Siete un birbante!* – mruknął król. – *Tace, basta!*<sup>189</sup>

Skończyła się tedy rozmowa o Wenerze Tycjana, a ze Brühla nie było, król kilka razy o niego się upomniął. Sułkowski westchnął. Oczy Augusta podniosły się nie niego.

– Brühl, jak widzę, z łaski Waszej Królewskiej Mości mnie ruguje – odezwał się hrabia. – Boli to mocno starego sługę wiernego. Przyznam się, że za toż samo już bym go mógł nie lubić.

Król odchrząknął znacząco.

– Nie przeczę, że pożyteczny człowiek, ale ma swe wady – mówił Sułkowski. – Obawiam się go. Miesza się do wszystkiego, zagarnia wszystko... pieniędzmi rzuca, zbytek lubi...

– O, o, o! – przebaknął król głową trzęsąc.

– Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

– Mój ojciec go ceniał – rzekł krótko August III. – To dosyć! Sułkowski zamilkł, ale smutnie; królowi się go żal zrobiło.

– Nie lękaj się, Sułkowski – rzekł. – Na was dwa miejsca dosyć, a tyś u mnie zawsze pierwszy.

Po tych wyrazach, które już stanowiły wysiłek ze strony milczącego zwykle Augusta, Sułkowski przyszedł do ręki pańskiej i z przejęciem ją ucałował. Król przycisnął go do piersi.

– Ty mój stary przyjaciel, ale Brühl mi potrzebny. Nie szło też Sułkowskiemu na ten raz o pozbycie się współzawodnika, chciał tylko zagać tę sprawę, obiecując sobie do niej powrócić i powoli działać na króla. Nie mógł się wprawdzie uskarżać na Brühla, ale widział z pewnym niepokojem, że się do niego August przywiązywał coraz więcej.

Król pykał już fajkę, siedząc wyprostowany, zamyślony, mrugając tylko brwiami i oczyma, jak miał zwyczaj, gdy czuł, że mu na „świecie wcale dobrze było; wtem puknięto skromnie. Oznaczało to jedną z osób uprzywilejowanych, które do pokoju pańskiego miały przystęp zawsze, bez oznajmienia, i nie mógł to być kto inny, chyba o. Guarini albo Brühl. Wszedł powoli Padre ze skromnym uśmiechem i złożonymi rękami. Król go skinieniem głowy przyjacielskim powitał, chrząknął i fajkę palił, okiem mrugając. Sułkowski stał trochę opodal milczący.

Oko jezuity, sznurkując<sup>190</sup> po pokoju, padło na skrzyneczkę za kanapą. Wstał Padre i jakby zdziwiony przytomnością tu sprzętu nie znanego sobie, wybrał się w podróż dla sprawdzenia, co by to było. Na widok tego pochodu, które go cel łatwo było odgadnąć, król mocno się zarumienił i z wymówką spojrzał na Sułkowskiego. Minster poskoczył, zabiegł księdzu drogę i szepnął mu coś na ucho, a August, wcześniej się uniewinniając, mruknął Guariniemu:

– Ja nie widziałem, nie chciałem na to patrzeć: mitologia.

– E! – śmiejąc się odparł ojciec. – Waszej Królewskiej Mości mitologia może być niebezpieczną, ale mnie staremu...

Sułkowski wstrzymywał, ojciec nalegał, król był mocno zawstydzony i zakłopotany, marszczył się na ministra. Guarini nie chciał ustąpić i powtarzał:

– A! Kiedy już tu jest, zobaczyć trzeba!

Położenie Sułkowskiego stawało się przykrym, gdyż obrazem tym niejako króla kompromitował, który chciał uchodzić w oczach ludzi za człowieka surowych obyczajów.

<sup>189</sup> *Siete un birbante! Tace, basta!* (wł.) – jesteś rozpustnikiem! Milcz, dosyć.

<sup>190</sup> S z n u r k o w a ć - szpiegować, węszyć.

– *Sentite!*<sup>191</sup> – zawołał Guarini do Sułkowskiego. – Jeśli mi nie pokażecie obrazu, mogę sądzić, żeście tu nie wiem jaką przynieśli szkaradę i że chcąc razem dwom bogom służyć: rządząc państwem i zajmując się sztuką, jedno z dwojga nieciekawie spełniacie, bo: *Chi due lepri caccia, una non piglia e l'altra lascia...* (kto na dwa zające poluje, jednego nie złapie, a drugiego wypuści).

Ostatnia przymówka ubodła Sułkowskiego i poszedł do skrzynki, a jezuita za nim. Król ku oknu głowę odwrócił. uchylono wieko. O. Guarini przysiadł na ziemi i uderzył w rękę.

– Arcydzielo! – zawołał. – *Meraviglia!*<sup>192</sup> Ale cóż mówicie, że obraz nie moralny. Owszem! Winowajców spotyka zasłużona kara, Wulkan ich łapie, a Wulkan tu *sensu paganorum*<sup>193</sup> wystawia sprawiedliwość bożą. Co się tyczy Wenery, biedaczka, trochę nieubrana, *ma...*<sup>194</sup>

Jezuita ręką machnął. Król nań spojrzał i roześmiał się uszczęśliwiony z tego wykładu, wołając na Sułkowskiego:

– Pokaż tu! Pokaż tu!

Minister niósł obraz znowu. Z widocznym zajęciem przypatrywał się król pięknej Wenerze, gdy co mogło najokropniejszego – się stać, czego najbardziej obawiali się wszyscy, to właśnie przyszło jak nieuchronna kara za niepotrzebną ciekawość.

Wszyscy nachyleni zachwycali się tą nieszczęsną Wenerą Tycjana, gdy drzwi otwarły się, jakby piorun uderzył, drzwi od pokojów królowej. Królowa Józefina jak widmo mściwe, ze swą dumną twarzą habsburską i niemiłymi rysy, ukazała się w progu.

W mgnieniu oka zapadło wieczko. O. Guarini cofnął się ku oknu, król wyprostowany patrzył w sufit, a Sułkowski z paczką swą uchodził, zręcznie ukryć się ją starając. Lecz przed oczyma podejrzliwej i zazdrosnej kobiety może ujść cokolwiek? Królowa Józefina jednym rzutem oka objęła wszystko, odgadła, zarumieniała się, brwi zmarszczyła i posunęła się żywo ku królowi, który powoli wstawał na jej przyjęcie.

– Mamy dziś operę – rzekł. – Faustyna śpiewa.

– Tak – odparła królowa, patrząc na Sułkowskiego – ale widzę, że tu mieliście inną zabawę, której bym i ja była ciekawa. Cóż to jest, z czym się hrabia tak starannie ukrywa?

Królowa Józefina sama zajmowała się malarstwem i lubiła dosyć sztukę, łatwo jej po formie paczki odgadnąć było, co zawierała. Król, znając jej surowość i nadzwyczajną skromność, dochodzącą do przesady, zmieszał się.

– Dosyć sobie ciekawe malowidełko – rzekł król. – Trochę swawolne, mitologiczne...

Józefina zarumieniona i gniewna spojrzała na Sułkowskiego.

– Ja też bardzo cenię sztukę – rzekła – ale nie tę, która służy najgminniejszym instynktom zwierzęcym człowieka; najpiękniejszy pędzel nie okupi niepocziwej myśli.

Miała królowa przeczucie, że jej nie wypadało nalegać na pokazanie obrazu, lecz wystawiła go sobie może gorszym, niż był, i Sułkowski łatwo odgadł, iż mu miała za złe karmienie króla podobnymi widokami. W istocie brzydkiej królowej zdawało się zawsze, iż ktoś jej męża odbierze, że go dworacy wciągną w podobne miłości jak ojca, a drogą do nich uważała następczanie Augustowi tego rodzaju widoków.

O. Guarini bardzo zręcznie rozmowę odwrócił, Sułkowskiego osłonił, króla uratował i zaczął mówić o kłótniach aktorów włoskich, które on zawsze godzić musiał, a te, dziś ledwie uśmierzone, jutro z nową gwałtownością się odradzały.

Królowa Józefina pozostała zamyśloną i posępną. Nie umiała ona uczuć swych taić i nie potrzebowała z nimi się ukrywać. Król wiedział, że w cztery oczy dostanie surową admonicję za dawanie zbyt wielu przywilejów i swobód Sułkowskiemu... westchnął tylko i wyglądał

<sup>191</sup> *Sentite!* (wł.) – słuchajcie!

<sup>192</sup> *Meraviglia* (wł.) – cudo! dziwo!

<sup>193</sup> *Sensu paganorum* (łac.) – w pojęciu pogan.

<sup>194</sup> *Ma* (wł.) – ale.

godziny opery, aby zapomnieć w muzycznym zachwycie o wszystkich troskach nieodłącznych od życia ludzkiego, nawet na takim tronie, na którym przez pół dnia można było fajkę palić w szlafroku, okiem mrugając i uśmiechając się fantazjom powolnie grającej imaginacji.

Sułkowski i o. Guarini wysunęli się zaraz, zostawiając małżeństwo sam na sam z sobą, co było najlepszym sposobem przywrócenia królowej dobrego humoru.

#### IV

Jedną z zabaw najulubieńszych i najkosztowniejszych dworu saskiego za panowania obu Augustów była opera i muzyka, nie ustępujące najlepszym ówczesnym w Europie, a z wielu względów przechodzące może najświetniejsze teatra i kapele.

Jeszcze za Augusta Mocnego dobór śpiewaków w operze był znakomity; nie utracił on wcale pod panowaniem syna, który się muzyką zachwycił. Słuchanie jej uwalniało go od mówienia, którego nie lubił, a dozwalało się pogrążyć w tych dumaniach, w których całe niemal spędził życie. Muzycy wokalni francuscy, to jest śpiewacy króla, na których czele stał kompozytor Louis André, składali kompanię z dwudziestu głosów; a wśród nich posilkowo występowali i Niemcy, jak tenor Götz, i Włosi. Annibali, alt, zajmował tu pierwsze miejsce. W orkiestrze nadwornej pod wodzą sławnego Hasse, męża z imienia Faustyny, było osób około pięćdziesięciu, dwóch kompozytorów (jeden Czech, Zelenka), koncertmistrz, solistów mnóstwo, a polska kapela oprócz tego stała osobno. Tą polską, czyli małą kammermuzyką, dowodził Schultze, a liczyła osób siedemnaście. Król bierał ją z sobą, gdy dłużej bawił w Warszawie. Na przemianę grywano opery i komedie francuskie, do których było jedenastu artystów i szesnaście kobiet, a dla urozmaicenia widowisk francuski balet, sześćdziesięciu Francuzów pod panem Favier. Ale któż to wyliczy?... Sumy ogromne szły na utrzymanie tych zabaw i ludzi do nich nieodbycie potrzebnych.

Gdy przedstawiać miano operę Hassego *Ezio*, do której Metastasio<sup>195</sup> pisał *libretto*, w tryumfalnym pochodzie Cezara, zwycięzcy nad barbarzyńcami, występowało na scenie sto koni, cały rzymski senat, rycerstwo, liktorowie, pretoriańskie gwardie, lekka i ciężka jazda, piechota, łupy od srebra i złota, ze skarbcu królewskiego pożyczone scenie. Zachwycali się widzowie, słupiała orkiestra i pamiętnym jest, że bijący w bęben z zachwyty wybił w nim tego wieczoru dziurę. Dwieście pięćdziesiąt osób było na scenie; operę oświecało osiem tysięcy świec woskowych, a maszynistę sprowadzono umyślnie z Paryża. Był nim Servandoni. Przedstawienie niektórych oper kosztowało po 100 000 talarów. Nadzwyczajny urok wywierała na Augusta III piękna jeszcze postać, a zachwycająca śpiewem Faustyna Bordoni. Powtarzano jedną operę po kilka miesięcy, a nigdy zadumany król nie znużył się tą jedną powracającą pieśnią, która go do marzeń tak rozkosznie kołysała.

Właśnie w tych czasach obok Faustyny, rządzącej samowładnie Włochami zakulisowymi, zjawiała się tak zwana „Faustyna druga”, Teresa Albuzzi Todeschi, nie młodsza od niej, piękniejsza może, również śmiała. Głos powszechny przyznawał protektorstwo nad nią szczególnie Brühlowi.

Miano tego dnia powtarzać nie wiem po który raz *Cleofidę*. Król już w swej łóżce siedział, teatr był pełen, godzina zwykła nadeszła... a zasłona się nie podnosiła.

Było w tym coś nadzwyczajnego. Lecz artyści włoscy, szczególnie *la diva* Faustyna, mieli swe przywileje; czekano cierpliwie...

---

<sup>195</sup> Piotr Bonaventura M e t a s t a s i o (1698-1782) – sławny poeta włoski, twórca wielu librett, czyli tekstów operowych, często o tematyce antycznej! (*Dydona*, *Semiramida*, *Aleksander*). Jako poeta nadworny uświetniał swymi wierszami uroczystości dworskie.

Tymczasem za kulisami wrzała burza. Faustyna nie chciała śpiewać obok Teresy... Teresa zaklinała się, że z tą niegodną Bordoni nie wyjdzie na scenę. Ciemnym było i tajemniczym dla wszystkich, o co im szło, co je tak podrażniło. Obie zapalczywie, zajadle, wściekle kłóciły się z sobą, ale nawet puściwszy wodze językom, nie wypowiadały właściwego powodu tego gwałtownego zajścia.

Pilaja, trzecia i nie tak wysoko patrząca śpiewaczka, stała z założonymi rękami, przysłuchując się potokowi najmniej dobranych i strojnych wyrazów ulicznych, i uśmiechała się jako widz na doskonałej komedii.

Zza kulisów dochodziły wykrzykniki niektóre do sali i Sułkowski, niespokojny, wysłał pazia na zwiady.

Paź wrócił, nie mogąc nic więcej donieść nad to, że Neptuna z trójzębem trzeba było, ażeby rozigrane uśmierzył fał. Szepnął Sułkowski królowi coś na ucho, posłano pazia po jedyne, co umiał zakłąć i ukoić, po o. Guariniego.

Tymczasem Faustyna i Teresa stały naprzeciw siebie jak do boju, obie ubrane jak na scenę, nie zważając, że gniew niszczył farby, którymi miały pomalowane twarze, i miał bogate szaty, w których występować musiały.

W oddaleniu Indianie i Grecy w strojach teatralnych, ale niektórzy z fajkami, spokojnie przyglądali się temu duetowi przekleństw i słuchali ich jak szumu kaskady.

Już by było może przyszło do pojedynku, gdyby jak *deus ex machina*<sup>196</sup> nie wpadł w swym surducie szaraczkowym o. Guarini. Na widok jego ucichły obie, jakby wspólnymi siły na tego nieproszonego pośrednika rzucić się miały. Padre spojrział na nie i odciągnął na bok najprzód królową Faustynę. Zdawał się ją spowiadać łagodnymi słowy.

Cisza oczekiwana nastąpiła po walce. Słysząc było orkiestrę, strojącą instrumenta. Bordoni wprost od tej spowiedzi poszła do zwierciadła, co było dobrym znakiem, a Guarini wziął Albuzzi na konfesaty<sup>197</sup> grożąc jej palcem na ogromnym swym nosie. Teresie zabierało się na łzy. Szeptano długo, Padre rozsunął ręce i zawołał:

– *Pace!*<sup>198</sup> Jeśli się uprzesz, Tereso miła, możesz *cader dalla, padella nella brage* (z pieca na łeb upaść). Dość tego! Niech kapela rozpoczyna uwerturę; król czeka.

W tej samej chwili zjawił się i Brühl za sceną. Spojrział na Faustynę najprzód, pozdrawiając ją, potem na Albuzzi, której dał znak potajemny, i wśród dźwięków muzyki wszyscy na swych miejscach stanęli.

O. Guarini skinął na ministra i wyszli z nim razem przez ciasne przesmyki, w których panowali maszyniści, władający piorunami, burzami, niebiosami, pogodą i bóstwy (spuszczanymi na ziemię na drutach), aż do pustego pokoiku za sceną, którego gotownia i porozrzucane resztki kobiecych strojów dawały odgadnąć garderobę jednej z tych pań, przed chwilą tak zajadłych, a teraz już rozpoczynających trele, pełne pogody i wesela.

Guarini i Brühl! obaj byli zmęczeni i milczący, siedli obok siebie, spoglądając wzajem na swe twarze. Jezuita się zaczynał uśmiechać.

Tu – rzekł – ani nas nikt nie podsłucha, ani podpatrzy. To schówka tej zmijki Albuzzi, jesteśmy w niej bezpieczni. Mówmy... uderzył go szeroką ręką po kolanie.

Brühl nachylił się do ucha ojcu.

– Plan jest w rękach Lichtensteina, jedźcie z nim do Wiednia.

– *Va bene*<sup>199</sup> – odparł Guarini. – Ja przysposobiłem królowę. Wiem z pewnością, iż Sułkowski grozi, że nas wszystkich ze dworu wypędzi, że króla oderwie od żony i da mu inną.

<sup>196</sup> *Deus ex machina* (łac.) – dosłownie: bóg z maszyny (teatralnej), który w końcowej części tragedii greckiej wyrokiem swym rozwiązywał zawikłania akcji. Stąd: niespodziewany lub nienaturalny wpływ osoby lub wypadku na bieg zdarzeń.

<sup>197</sup> *Konfesata* (z łac.) – spowiedź, wyznanie.

<sup>198</sup> *Pace* (wł.) – pokój.

Jezuita rozśmiał się i ruszył ramionami.

– O tym trochę za późno pomyślał!

Twarz Brühla przybrała wyraz posępny.

– Z nim, z tą pocziwą naturą naszego pana, trzeba wiedzieć, jak postępować – mówił Guarini. – Nie winien on, że po ojcu dostał w spuściznę jego namiętności i walczyć musi z nimi. Otóż to, co Pismo nazywa pokutą za ojców grzechy. Dając mu życie, Wielki August przełał w niego naturę swą niepohamowaną. Nie podola jej król pobożny, trzeba przynajmniej od grzechu odjąć zgorszenie, pokryć go tajemnicą, osłonić go, nie dopuścić podejrzenia nawet. Gdybyśmy od niego wymagali zupełnej wstrzeźliwości, mogłoby przyjść do wybuchu, który by nas wszystkich w gruzach pogrzebał. *Cosa fatto capo ha*. Co się stało, dobrze się stało... Sułkowski źle rachował i przerachował się nieborak: miejsce zajęte, sprawa skończona, a choć król go lubi, ale przed nim swej tajemnicy nie wyda. Jesteśmy panami sytuacji; a ja cieszę się, bo nie wątpię, że zbawiam duszę... Co tam w tym grzechu, biorę na siebie.

Poczęli szeptać cicho.

– Sułkowski – rzekł Brühl – nudzi się nieco, jest generałem z łaski Najjaśniejszego Pana, a w pokoju nie może się czynami rycerskimi wsławić. Wspomniał mi, że chętnie by uczynił wycieczkę wojskową nad Ren, do Węgier. Czyby król sam mu nie poddał tej myśli! Przez ten czas...

Guarmi mrugnął, że kończyć nie potrzeba, że rozumie wszystko, i głową potwierdził dobrą radę.

– Powiem królowi, że ten pooziwy Sułkowski powinien by po tak ciężkiej pracy mieć prawo wytchnąć nieco i zrobić się.

Włoch szparko mignął palcami jak kuglarz przed oczyma Brühla i wstał.

– Idź do króla – rzekł – poklaskuj Faustynie, abyś mu się podobał. – I cicho szepnął na ucho: – Nie wstrzymuj Sułkowskiego od zbliżenia się do króla, nie przeszkadzaj mu. Z pewnych znaków wnoszę, że ma myśl poddania Najjaśniejszemu Panu pewnych rad, których król nie przyjmie, które odepchnie ze zgrozą, a to się przyda, to się przyda...

Rozśmiał się o. Guarini, szybko głową poruszył, otworzył drzwi i wysunawszy się w ciemne labirynty zakulisowe, zniknął wśród nich jak człowiek, doskonale z miejscowością obeznany.

Daleko ostrożniej i trudniej było wydobyć się z tych ciemności na światło Brühlowi. Po chwili jednak znalazł się w łoży królewskiej.

Sala opery jaśniała światłami rześzystymi. Dwór również wspaniały jak za Augusta II przepełniał wszystkie miejsca. Świeżo przybyli z Polski senatorowie, w swych bogatych strojach, lamowanych pasach złocistych, ze spinkami z brylantów, guzami z rubinów, zajmowali pierwsze miejsca. Król na nich niekiedy z przyjaznym poglądał uśmiechem.

W rzędach kobiet widać było najświetniejsze gwiazdy dworu: strojną hrabinę Moszyńską, dumną panią Brühl, cichą Sułkowską, żony posłów, frejliny królowej i wszystko, co do dworu przystęp miało.

Król z nadzwyczajną bacznością zwracał się ku scenie, ilekroć na niej zjawiała się piękna Faustyna, a słuchając jej głosu w błogim upojeniu przymykał oczy, jakby śnił o aniołach. Niekiedy przyklaskiwał diwie<sup>200</sup>, a naówczas klaskali za nim wszyscy i panie wiewały chustkami.

Rzadko bardzo wzrok pański ze sceny zszedł na salę, a jeśli się oczy jego zabłąkały czasem na różnobarwne rzędy piękności, zdawały się przebiegać po nich z trwogą i powracały do Faustyny.

Uwielbienie dla niej tłumaczył głos, uniewinniała muzyka.

---

<sup>199</sup> *V a b e n e* (wł.) – idzie dobrze.

<sup>200</sup> *D i w a* (z wł.) – dosł.: boska, ubóstwiana, ulubiona aktorka lub śpiewaczka.



Prawie na przodzie naprzeciwko króla siedziała pani Brühlowa, ubrana wytwornie, podparta od niechcenia na brzeżku swej łoży i zadumana. Piękność jej wyzywająca, śmiała, imponująca wszystkich oczy ścigała ku sobie; jeden tylko król zdawał się jej nie widzieć albo nie chciał zobaczyć, wymijał ją, unikał i gdyby August III nie był tym dobrodusznym człowiekiem, prostoty pełnym, można by go było posądzić, iż się z czymś ukryć pragnął.

Tuż obok Brühlowej siedziała skromnie ubrana hr. Sułkowska, frejlina niegdyś królowej jako panna von Stein-Jettingen. Piękna jej twarz spokojna nie miała tego uroku drażniącego, jakim Brühlowa najobojętniejsze oczy wabiła ku sobie. Na parterze siedzący młody Tarło, starosta jasielski, i Działyński<sup>201</sup> poglądali po kobietach i ostatni szepnął w ucho sąsiadowi:

– Starosto, duszo moja, jesteśmy jak owi młodzieniaszkowie, wrzuceni w piec gorący<sup>202</sup>, nie wie człowiek, gdzie schować oczy. Spojrzę przed się: stoi ta Włoszka, gdyby marmurowy posąg na pół obnażony, a wywodzi trek, aż po duszy chodzą; odwróć się w prawo: siedzi jejmość strojna, której oczy jak dwie wędki zaprawne; odchylę się w lewo, patrz, starosto, co za cudo!

Spojrzał młody Tarło i oczy mu przylgnęły do tego zjawiska, który się po raz pierwszy ukazywało na dworze.

Około hrabiny Sułkowskiej i pod jej opieką, wprost naprzeciwko króla samego siedziało dziewczę młode. Nikt go tu nie znał na dworze. Z towarzystwa hrabinej, ze stroju jej i z twarzy można się było domyślać znacznego rodu i znakomitego pochodzenia.

Ówczesne piękności w ogóle więcej pełnością wdzięków i kształtów się odznaczały niż dzisiejsze. Drobne i wątłe dziewczątka mało się komu podobały. Owe słynne ulubienice Augusta II, wszystkie niemal doskonałe amazonki, lubiące łowy, strzelbę i konie, wyglądały jak leśne boginie, nie lękające się spotkać ze zwierzem i z człowiekiem. Nieznajoma dziewczica, siedząca przy hr. Sułkowskiej, była z rodzaju tych piękności bujno uposażonych i jak zdrowy, silny kwiat, wyrosły na krzepkiej łądździe. Biała, różowa, zbudowana jak Diana, czarnooka i czarnobrewa, patrzyła śmiało i dumnie. W tej odwadze dziewczęcia czuć jednak było raczej nieświadomą świata niewinność niż wyzywające go doświadczenie. Oczy jej z dziecinnym zachwytem i śmiałością spoglądały na wszystko, co ją otaczało.

Czarna suknia i koronki, ożywione tylko szkarłatnymi wstęgami i trochę złota, podnosiły jeszcze tę piękność zachwycającą, na którą ze wszech stron teatru zwracały się wejrzenia ciekawe, i jedni drugich zapytywali rozgorączkowani:

– Któż to taki?

Wzrok pani Brühlowej badał ciekawie także nieznaną sąsiadkę. Hrabina Moszyńska nie spuszczała z niej oka. Na zwiady polecała młodzież do służby hrabinej Sułkowskiej, ale z niej nic, nawet datkiem dobyć nie umiała, oprócz że to była krewna hrabinej, przybyła z Wiednia.

Gdy się to działo na sali, Sułkowski ujrawszy, iż Brühl ceremonialnie poszedł żonę powitać i że reszta służby nieco się oddaliła, schylił się do ucha króla.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł cicho – dzieła sztuki warte są uwielbienia, ale dzieła Stwórcy godzi się także uczcić wejrzeniem. Chociaż hrabianka Stein jest mojej żony daleką krewną, ośmielam się zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości na jej nadzwyczajną piękność. Żaden Tycjan ani Paul Veronese<sup>203</sup> nic podobnego nie stworzył.

<sup>201</sup> Adam Tarło (1713-1744) – ciekawa postać z czasów saskich; zginął w pojedynku z Kazimierzem Poniatowskim. Augustyn Działyński (1715-1571) – poseł na sejm pacyfikacyjny w r. 1735, późniejszy wojewoda kaliski.

<sup>202</sup> Młodzieniaszkowie wrzuceni w piec gorący - aluzja do znanej opowieści biblijnej o trzech młodzieńcach, których król babiloński chciał spalić żywcem za nieoddanie pokłonu złotemu bałwanowi.

<sup>203</sup> Paweł Caliare, zwany Veronese (1528-1588) – malarz włoski, twórca obrazu pt.: *Wesele w kanie*.

Słyszając te słowa, król zwrócił się jakby przestraszony do ministra, spojrzał nań z pewnym rodzajem wymówki i podziwienia i natychmiast zagłębił się znowu w kontemplacji wdzięków i uwielbieniu głosu Faustyny.

Sułkowski odstąpił. Znał tyle już pana swego, iż wiedział, że walczyć z sobą, odegra tu pewnie tę samą scenę, co z obrazem Tycjana i zakazaną Wenerą. Nie omyliła go rachuba. Król z nadzwyczajną ostrożnością i niby gdzie indziej idąc oczyma, powiódł nimi tak, iż trafiły na twarz pięknej panny Stein.

Jakby przerażone tym zjawiskiem, uciekły.

Po chwili głowa królewska, nie śmiejąc już zwrócić się w tamtą stronę, posłała oczy tylko. August III patrzył głową na scenę, ale źrenice spod powiek przymkniętych pochyliły się tam, gdzie ta nowa jaśniała gwiazda, i szybciej, niż poszły, wróciły.

W tym pochodzie musiały zaczepić o panią Brühl, która, zapewne jakimś przypadkiem, biały paluszek miała jakby z groźbą przytknięty do marmurowego noska.

Król w tymże momencie uderzył w dłonie śpiewaczce, jak gdyby jej tylko słuchał i na nią spoglądał, a za znakiem pańskim idąc, sala biła brawo. Kto by był bacznie śledził grę oczów, dostrzegłby, jak Faustyny brwi się marszczyły na króla, jak nań spozierała niecierpliwie Brühlowa, jak Moszyńska szpiegowała wejrzenia męża, ministra i uśmiechała się złośliwie. Krzyżowały się tam i inne w różnych kierunkach wzroki mniej wydatnych, skrytych po kątach osobistości nieznanach, którym odpowiadały błyski oczów przelotne z łóż pańskich.

Nareszcie ostatni chór brzmiał już potęgą wszystkich głosów i rozlewał się w powietrzu jak fala tęczowa... Wszyscy się poruszali; opera się kończyła. W łóżach podnosiły się panie i piękna Stein, bohaterka tego wieczoru, podniosła się, jakby chciała pokazać śliczną swą postać. Królewskie oko już się w tę stronę skierować nie śmiało.

Król znikł z ostatnimi dźwiękami muzyki.

– Człowiek po tym widowisku – zawołał Działyński do Tarły – prosto by powinien iść do konfesjonu! My, cośmy nie nawykli do tej rozpusty oczów i uszu, pijani wyjdziemy, a póki się wszystko ukołysze w głowie i piersi, a przyjdzie do należytego porządku, dobrze się człek namęczy. To, mospanie, wodzenie na pokuszenie i po wszystkim.

Tarło się roześmiał:

– Nie wiem, czy gdzie na świecie tyle pięknych kobiet razem zobaczyć można.

Działyński pochylił mu się do ucha.

– Syreny są, moja duszo, naprzeciw którym nie tylko uszy, ale i oczy by sobie pozalepiać trzeba i uciekać.

Dwór po widowisku i wieczerzy jak powszednich dni przed północą się rozchodził. Brühl wziawszy rozkazy króla, pojechał do domu; Sułkowski został. O. Guarini, choć często i wieczorem jeszcze przychodził króla zabawiać, tego dnia się nie pokazał.

Frosch i Storch już wieczorem spali po kątach. August III znowu się dostał do szlafroka i po wieczerzy u siebie fajkę palił, bo we wspólnych z królową apartamentach tytoniowi się znajdować nie było wolno. Wszyscy, co go palili, mieli dlań izby osobne; a kobiety, czując w nim nieprzyjaciela, cierpieć go naówczas nie mogły.

Król ze swym ulubieńcem znaleźli się więc sam na sam. Tego wieczora Sułkowski bardzo był ożywiony. August III – zamyślony mocniej niż kiedykolwiek.

– Najjaśniejszy Panie – odezwał się minister – nie wiem, czy raczyłeś zwrócić swe królewskie oko na Adelajdę Stein. Co to za piękność! Co to za wdzięk! Gdyby śp. pan nasz miłościwy, król August Mocny, żył jeszcze, pewien jestem, że nie spuściłby z niej wzroku.

Żywo odwrócił się król, popatrzał na Sułkowskiego i zamilkł, chociaż już był usta otworzył, chcąc coś powiedzieć.

Sułkowski się roześmiał, przyszedł do ręki pańskiej i pocałował ją.

– Jam stary sługa Waszej Królewskiej Mości – rzekł. – Wydziwić się nie mogę cnocie pańskiej. Królom się coś więcej przecie niż prostym śmiertelnikom należy, a Wasza

Królewska Mość żyjesz jak skromny szlachcic, nie śmiejąc podnieść na świat oczów. W czasie dzisiejszego teatru patrzałem, jak kobiety z uwielbieniem, ukradkowo spoglądały ku słońcu, a słońce na nie spojrzeć nie chciało. Adelajda Stein przyznała się przed żoną moją, że piękniejszego mężczyzny nad Waszą Królewską Mość nie widziała w życiu.

Umilkł. Król fajkę porcelanową odlewał i nie śmiał nań spojrzeć, udawał nawet, że kusiciela nie słucha.

– Faustyna śpiewała jak bogini! – rzekł, zwracając rozmowę na inny przedmiot.

– Ale Faustyna ze swym śpiewem i wdziękami tylko na scenie uchodzi. Ona, jeśli się nie mylę, ma lat trzydzieści kilka, a Włoszki prędko starzeją. Stein to prawdziwy anioł, ale Wasza Królewska Mość nie spozrzała na nią.

August zamiast odpowiedzi popatrzał na Sułkowskiego i ramionami ruszył.

– Niech mi wolno będzie szczerze wyrazić podziwienie moje: świętym być możesz Wasza Królewska Mość, ale szczęśliwym trudno. Mnie prawdziwie żal mojego króla i pana. Wszak to klasztor, nie dwór pański.

August III słuchał, poprawiając szlafrok na sobie, patrząc w sufit, to na podłogę, to spluwając po trosze.

– Wasza Królewska Mość pozwolisz, aby moja żona na dworze hrabiankę Stein przedstawiła – mówił nie ustraszony milczeniem minister.

– U królowej, u królowej – dorzucił August z pewną niecierpliwością.

– Jest to sierota, która postradała rodziców, rodziny prawie żadnej; nasza, to jest żony mojej, krewna bardzo daleka. Chcielibyśmy się zająć jej losem. Przy łaskawej protekcji Waszej Królewskiej Mości łatwo byśmy tu jej męża znaleźli na dworze, a widzę, że się jej tu wszystko wielce podobało, że rada by pozostać.

Przestał mówić, czekając słowa lub znaku. Milczenie w błąd go wprowadziło, sądził, iż oszczędzając niememu królowi słowa, powinien być może stać się wyraźniejszym jeszcze.

Zaczął tylko, przystąpiwszy bliżej, mówić ciszej trochę:

– Gdyby się Stein Waszej Królewskiej Mości podobać mogła, nikt w świecie by się nie domyślał stosunków żadnych. Przecież Wasza Królewska Mość tak zawsze pozostać nie będziesz mógł...

Spojrzał, mówiąc to, na króla, którego twarz pobladła, a oczy zapalały, ręce mu zaczęły drżeć. Sułkowski, przestraszony, umilkł nagle. August wstał z krzesła, rzucając oczyma dokoła, jak gdyby szukał ratunku.

– Sułkowski! – zawołał stłumionym głosem. – Ja, ja się na ciebie gniewać nie chcę... nie chcę, ale ty, ty się z a p o m i n a s z.

Wielkimi krokami, widocznie mocno wzruszony, król przeszedł się kilka razy po pokoju. Na twarz jego bladą zaczynał z wolna powracać rumieniec. Widocznie walczył z sobą, ażeby nie wybuchnąć gniewem; zaciął usta.

Nigdy jeszcze ulubieniec nie widział go tak wzburzonym ze swej przyczyny; uląkł się i kolano zginając, wyciągnął rękę po dłoń króla. Zawahał się August III. ale mu ją podał w końcu.

– Proszę cię, ani słowa: to skończone, zapomniane. Stein niech jedzie stąd, proszę.

To mówiąc, odwrócił się żywo.

– Jutro – odezwał się po krótkim milczeniu – do Hubertsburga wyprawić przodem psy i ludzi; nie polowałem dawno. Brühl i wy jedziecie ze mną... królowa naturalnie. Zawsze trzy dni chcę tam polować. Pierwszego dnia na jelenie, drugiego *par force*<sup>204</sup>, trzeciego na cietrzewie. Sułkowski się skłonił.

– Natychmiast wydaj rozkazy.

Niech wszystko będzie gotowym. Jedziemy rano.

---

<sup>204</sup> [Polowanie] *par force* (fr.), polowanie na lisy konno.

I skinieniem głowy pożegnawszy Sułkowskiego, który stał, nie mogąc przyjść do siebie, skierował się August III ku pokojom królowej. Niepokojny minister rzucił się jeszcze raz ku niemu w milczeniu, domagając się ręki królewskiej. August zdawał się już zapominać o tym, co zaszło, podał mu ją chętnie i uśmiechnął się tak obojętnie i dobrodusznie jak zawsze.

Nazajutrz i dni następnych polowano w Hubertsburgu i sąsiednich lasach. Król był w tak dobrym humorze jak zwykle, gdy łowy wypadły szczęśliwie. Brühl i Sułkowski mu towarzyszyli. Pierwszego wieczora królowa coś wspomniała, jakby słyszała od padre Guarini, który bardzo Sułkowskiego kochał, że hrabia wzdychał do wycieczki rycerskiej nad Ren albo do Węgier. Przypisywano to jego chęci wprawienia się w wojskowe rzemiosło, aby tym skuteczniej mógł służyć Saksonii. Król wysłuchał żony i głową potrząsnął.

– On i tak dowódcą jest wyborym, ja się bez niego obejść nie mogę.

Królowa Józefina nie nalegała. Trzeciego dnia z łowów powrócono do Dreżna i tegoż wieczora król urządzić kazał strzelani do celu w dziedzińcu, a bawił się nim do późna i był bardzo wesołym. Zwykli towarzysze musieli z nim razem próbować zręczności, a Brühl, choć strzelał wybornie, starał się pilnie, ażeby króla ilością trafnych strzałów nie przeszedł.

Ledwie dzień jeden spocząwszy, król wybrał się na nowe łowy do Klappendorf. Drugiego uganiał się za jeleniem pod Grossenheyn, trzeciego pod Stauchitz, a nocował w Moritzburgu.

Następnego rana wrócił do Dreżna, bo Faustyna śpiewać miała. W operze nie śmiał prawie podnieść oczu. Też same miejsca zajmowały panie dworu. August patrzył tylko na Faustynę. Dopiero później, gdy spostrzegł przy sobie generała Baudissina, zwracając się ku niemu, powiódł oczyma po łóżach

Hrabina Sułkowska siedziała w swojej sama, nikogo przy niej nie było. Król swobodniej jakoś odetchnął. Mruknął coś kilka razy do starego dworaka, który mu się kłaniał bardzo nisko, a gdy śpiew znowu się rozpoczął, biegnąc oczyma ku scenie, prześliznął się tylko ponad Brühlową, która siedziała zadumana, strojna, piękna, ale jakby jej świat cały był obojętny, spoglądała nań z jakąś niewysłowioną pogardą.

## V

Wkrótce potem, dnia 7 października, obchodzono urodziny królewskie w ulubionym zamku jego, Hubertsburgu. August III pilnował bardzo starych zwyczajów i dworskiej etykiety, do której nawyknięcie królowa też z sobą przywiozła. W Dreźnie zaś, cokolwiek za Augusta II zaprowadzonym było, zachowywało się jak najtroskliwiej. Cały dwór wystąpił przystrojony galowo. Z rana o godzinie ósmej czekał on w sali na przechodzącego króla, który o tej godzinie na mszę się udawał. Wszyscy wdziali na ten dzień cytrynowe mundury, ale że polowanie zaraz po śniadaniu nastąpić miało, byli w butach. Wprost ze mszy, korzystając z bardzo pięknego poranku, król, królowa i co żyło, a przypodobać się chciało, ciągnęło do tak zwanego Rubensteińskiego krzyża. Stąd rozpoczęto łowy i król z zapalem rzucił się za jeleniami, które już osaczone stały. Sułkowski, Brühl, stary generał Baudissin i wszyscy dworscy towarzyszyli panu, który był w jak najlepszym usposobieniu ducha. Z rana królowa Imć uczyniła mu miłą niespodziankę: był to jej własny portret przez nią malowany i ofiarowany na pamiątkę. Z uczuciem ucałowawszy rękę dostojnej artystki, August kazał szacowne malowidło zawiesić w swoim pokoju. Sułkowski sprowadził za pośrednictwem Giurtinianiego z Wenecji bardzo piękny obraz Palmy Starego<sup>205</sup>, który złożył u nóg królewskich; Brühl przyniósł mu piękny portret Rembrandta<sup>206</sup>, nabyty w Holandii. Obrazy wprawiały zawsze króla w najlepszy humor. Te, które mu się podobały, kazał naprzód stawiać

<sup>205</sup> Giacomo P a l m a, zwany Il Vecchio (Stary) – malarz wenecki (\*1480, † 1528).

<sup>206</sup> Hermensz van Rijn R e m b r a n d t (1606-1669), malarz holenderski.

w swoim pokoju, długo się w nie wpatrywał, nic nie mówiąc, i dopiero gdy się widzeniem ich nasycił, do nowej galerii przenosić je kazał.

Trzy jelenie wzięto dnia tego, co humor pański jeszcze lepszym uczyniło; nie mówił więcej, ale się uśmiechał, okiem mrugał, głowę podnosił do góry i całym obliczem zdradzał wewnętrzne zadowolenie. Sułkowskiemu szczególnie para znaczących uśmiechów się dostała, jakby dla zatarcia wrażeń po owym nieszczęśliwym jego zapomnieniu się.

Wcześniej bardzo szczęśliwe łowy się skończyły; poobijano rogi na pamiątkę zabitym rogaczom i zawieziono je w tryumfie do Hubertsburga, gdzie obiad już czekał. Przez cały czas polowania królowa była jak zwykle nieodstępną i choć na posępnej twarzy jej znać było zmęczenie, starała się uśmiechać i być grzeczną dla wszystkich. Sułkowski nawet, zbliżywszy się do niej, słów parę dobrych pozyskał.

Zaledwie obiad się skończył, konie i powozy stały już w gotowości do Drezna, gdzie na króla opera i trzy balety w międzyaktach oczekiwały, uśmiech Faustyny i kantata<sup>207</sup>, ułożona umyślnie przez Hassego na cześć pana. O piątej w teatrze, oświeconym z przepychem, przepełnionym dworem i ciekawymi w galowych ubiorach, podniosła się kurtyna i Faustyna, która się na ten dzień z nadzwyczajnym przybrała staraniem, wystąpiła z oczyma wlepionymi w lożę królewską.

Rozpromieniony siedział w niej nowy król w stanie ubłogosławienia, milczący, spokojny, szczęśliwy tym, że mu płynęło życie według programu, nie zamącone niczym jak w zegarku. Więcej nigdy od losu nie żądał nad to, ani sławy, ani zdobyczy, ani rozgłosu swych czynów, tylko tego spokoju, który by mu pozwalał zjeść spokojnie, śmiejąc się z Froscha i Storcha, wypalić fajkę, popatrzeć na piękne obrazy, posłuchać gwarzenia patra Guarini, nasycić się śpiewem Faustyny i pójść spać bez troski o jutro.

W międzyaktach przyciemnionych tego życia – co pokrywała tajemnica, tego oprócz zaufanych nikt w świecie nie powinien był się ani domyślać. Nikt lepiej nie znał króla i jego charakteru nad Sułkowskiego, został mu tylko zakryty ten tajemniczy zakątek jego, w którym się kryły nieubłagane namiętności, wstydząc świata i ludzi.

Jeden ojciec Guarini, powiernik pański, wiedział, co się tam działo, i on jeden mógł pomóc do zupełnego zawojowania króla, wskazując pewne środki i drogi. Za jego wskazówkami idąc, Brühl z pomocą ochmistrzyni i żony swej owdładnął tą twierdzą niezdobytą i był jej panem, nim się Sułkowski o jej posiadanie pokusił. Gdy krok ten nieszczęśliwy przedsięwziął, już było za późno. Miejsce zostało zajęte, nikt więcej przystępu doń mieć nie mógł, nawet najzaufańszy z przyjaciół. Brühl, który doskonale udawał, że nic nie wie i nic wiedzieć nie chce, który nigdy żadną aluzją się nie zdradził, na którego milczenie we własnym jego interesie rachować było można, stał więc mocniej jeszcze od Sułkowskiego, gdy ten, oślepiiony, nie dostrzegł nic i nie przypuszczał nawet, aby ktoś królowi nad niego mógł być potrzebniejszym.

Po owej próbie z panną Stein czuł się jeszcze bezpieczniejszym, uważając to za dowód, że króla nikt mu w ten sposób odebrać nie może, jeżeli on tego nie dokazał. W chwili właśnie, gdy się tak ubezpieczonym czuł i pewnym siebie, stał u brzegu przepaści niewidocznej. Faustyna wysilała się dnia tego, a fioritury<sup>208</sup> płynęły z jej piersi jak perły czystej wody. Król, wznosząc oczy ku niebu, z uśmiechem na ustach zachwycił się. Zdawał się nią tylko zajęty, na nią patrzył tylko, chociaż niekiedy baczne oko byłoby dostrzegło strzelającego ku Brühlowej wejrzenia.

Zachwycającą była dnia tego pani Brühlowa. Dziwili się wszyscy, jak mężowł i jej starczyć mogło na ten przepych niezmierny, który ją otaczał. Chciała snadź być najpiękniejszą Frania i włożyła białą, złotymi przetykaną deseniami suknię, w której wyglądała dziewiczo... Prześlicznie do wdzięcznej twarzy zastosowana fryzura, której długie

<sup>207</sup> K a n t a t a (wł.) – okolicznościowy utwór muzyczny na chór i orkiestrę.

<sup>208</sup> F i o r i t u r y (wł.) – ozdobniki w muzyce, pasaże.

loki spadały na gors śnieżny, brylantowe kolczyki w uszach, lśniące jak dwie gwiazdy, nad czołem strumień diamentów z wielką perłą, która się chwiała w pośrodku, brabanckie koronki, których matowa białosc wychodziła malowniczo na połyskującym stroju atlasie, na tle śnieżnym bukiet kwiatów, żywymi barwami młodości śmiejący się, czynił ją królową tego wieczoru.

Piękna była Moszyńska z surową swą twarzą, przypominającą Cosel, ale z Brühlową walczyć nie mogła. Wszystkich oczy zwracały się ku niej, ona nie patrzyła na nikogo. Wsparta na rękę, zwrócona była ku scenie, ale jej oczy, wlepione w jakiś kątek, stężały bezmyślnym wzrokiem.

Zazdroszczono Brühlowi – on się uśmiechał. Co się w jego sercu działo, któż zgadnie. Strojny, jak żona, na cześć króla przepysznie, wyglądający młodo, świeżo, miał raczej pozór roztargnionego próżniaka niż najpracowitszego z ministrów, na którego ramionach spoczywały państwa losy. Po pierwszym akcie wystąpił balet francuski, wiedziony przez p. Fayier, ze sławnym solistą Desnoyers, z paniami Rottier i Vauriayille, które w strojach idealnych wieśniaczek wyglądały jak boginie.

Wybór dworu, najdostojniejsi panowie, najpiękniejsze panie, po operze zaproszeni byli na uroczystą wieczerzę, naśladowaną z tych tradycyjalnych Augusta Mocnego, co się zwykle kończyły małą orgią w ciasnym kółku.

Olbrzymią zwana sala na zamku wcześniej już tysiącami świec była uiluminowaną; w pośrodku przepysznie zastawiono stół na osiemdziesiąt osób dla gości, a na podwyższeniu dla króla i królowej, która do swego stołu mało kogo nawet z posłów cudzoziemskich przypuszczała. Wedle etykiety dworu austriackiego tylko kardynałowie zapraszani doń bywali; uczyniono jednak wyjątek dla pierwszych ministrów. Wprost z opery wszyscy przeszli do sali. Rzadko można było widywać króla w tak słonecznym humorze. Królowa była jak zazwyczaj chmurną, niespokojną i smutną. Piękności, co ją otaczały, w których blasku gasł jej majestat, smuciły ją i drażniły, choć król najmniejszego nie dał powodu do zazdrości. Owszem, czułym był i nadskakującym, a na żadną z pań nie wejrzał nawet.

Ceremonialnie bardzo podawano wieczerzę, przynoszono uroczyście półmiski, a za każdym zdrowiem muzyka na galerii odzywała się trąbami i bębnami, dając znać światu, jaki toast wznoszono, a działa, na Krakowskim Przedmieściu stojące, biły salwy na cześć królewskiej pary.

Wszyscy w dobrych humorach po dziesiątej wstali od stołów; król z Sułkowskim i Brühlem cofnął się śpiesznym krokiem do swoich pokojów. Przechodząc obok rzędem stojących pań, August III miał głowę podniesioną, z pewną afektacją<sup>209</sup> patrzył przed siebie; jednak mijając Brühlową, która nań śmiało spoglądała, wymienił z nią nie dostrzeżone, błyskawiczne wejrzenie.

Sułkowski ani się go domyślał, ani zobaczył. Miał właśnie zamiar, korzystając z humoru pana, poufale z nim pomówić i życzył sobie odprawić Brühla, nie wiedział tylko, jak się miał wziąć do dzieła. August z równą czułością dnia tego patrzył na obu.

Już byli weszli do pokojów, gdzie szatny czekał z szlafrokiem, a kamerdynerowie natychmiast pomogli do zdjęcia stroju. Obaj ministrowie stali przed rozpromienionym panem, gdy wyczekawszy, aby się służba miała czas oddalić, Sułkowski szepnął coś cicho królowi, który się uśmiechnął nieznacznie i Brühla wskazał.

Skinienie to jego baczności nie uszło: zbliżył się.

Sułkowski żywo sypnął mu słowami do ucha. Widać było, jak one nie smakowały Brühlowi, który wzrok zwrócił na pana, zawahał się nieco, jakby mu żal było stanowisko opuścić, ale z uległością skłoniwszy się, natychmiast się oddalił.

Po odejściu jego, gdy drzwi się zamknęły, August III uśmiechnął się siadając, wskazał na nie i rzekł ze zwykłym swym lakonizmem:

<sup>209</sup> A f e k t a c j a (z fr.) – przesada, wymuszoność.

– Nie ma jak ty i Brühl.

Ostatnie nazwisko nie było może do smaku Sułkowskiemu, ale je przełknąć musiał.

Przed królem stały ofiarowane mu dnia tego obrazy, w które się z widoczną radością wpatrywał. Sułkowski śledził wzrok, rad był myśli odgadnąć.

– Brühl w istocie – rzekł po namyśle – jest z wielu względów nieoceniony. I mamy z nim dobrze; posłuszny, skromny, daje sobie wytłumaczyć, co potrzeba, nie sprzeciwia się nigdy, kieruję nim, jak chcę, jestem z niego kontent.

Król tylko głową pokiwał. Może mu się to trochę dziwnym zdało, że Sułkowski pozwalał sobie być zadowolonym z niego, ale nie okazał tego po sobie.

Minister chodził swobodnie po pokoju.

– Nie mam najmniejszego powodu – mówił dalej – w sprawach powierzonych mi z Brühlem się ścierać. Człowiek pojętny, zdolny, ma jednak wady...

Król bystro spojrzał. Sułkowski kończył niezmiessany:

– Niepomierne rozrzutny i żyje na zbyt wielką stopę... będzie n a s wiele kosztował.

To mówiąc, stanął hrabia przed królem, jakby czekał, co mu na to powie. Król głośno chrząknął, spojrzał w górę i milczał.

– Dobry człek, dobry człek – szepnął nareszcie, widząc, że hrabia na odpowiedź czeka. Resztę dopełnił milczący pan uderzeniem ręki po krzesła poręczy i zapatrzył się na obrazy.

– Gdyby pan mój miłościwy pozwolił mi wypowiedzieć całą myśl moją – ciągnął Sułkowski.

Głowę tylko potwierdził to August.

Minister stanął i pochylił się nieco.

– Nie teraz, bo nam Brühl jest potrzebny, ale później – dodał z cicha – należałoby go z podarkiem jakim usunąć. Rozrzutności się nie oduczysz, małymi urzędnikami obejdziemy się bez niego, oszczędzi się wiele, a nie da mu czasu nabrać ambicji. Choć ja się w sercu mojego miłościwego pana nie lękam współzawodników, ale na cóż go czynić nieszczęśliwym i wzbijać w pychę. W Czechach Kolowrathom cesarz by pewnie na prośbę króla nadał jakie dobra. Mogliby później tam spocząć sobie.

Patrzył Sułkowski, jakie to na królu uczyni wrażenie, ale zapatrzony był tak w obrazy, że zdawał się nie chcieć słuchać czy słyszeć planu tego.

Hrabia parę razy dorzucił: – Później, później! – a August, popatrzywszy nań, wstrzymał się od zaprzeczenia i potwierdzenia, zbył go milczeniem.

Po krótkiej chwili wstał król przypatrywać się obrazom, kazał sobie poświecić, zawrócił się po pokoju kilka razy, popatrzył w zwierciadło, pogłodził brodę i ziewnął. Był to znak, że chciał iść do łóżka, a dla Sułkowskiego odprawa. Nie dość zadowolony wieczorną audiencją, przystąpił do ucałowania ręki pańskiej i bardzo powoli się oddalił.

Gdy się to działo na zamku, Brühl, pod jakimś pozorem odesłany, odszedłszy z pokorą, kazał się nieść do domu. Godzina już dosyć była spóźniona. Dziwnym trafem złożyło się tak, że o kilka kroków przed jego *porte-chaise* dostrzegł ludzi niosących drugą podobną i poznał w niej lektykę żony. Zatrzymała się ona w sieni pałacu i państwo razem prawie wysiedli. Brühl, rzadko spotykający się z żoną, z wielką uprzejmością podał jej rękę. Zrazu zdziwiła się tym i niemal cofnąć chciała, ale po namyśle z szyderskim, tłumionym uśmiechem ostrożnie wzięła rękę męża i, nic nie mówiąc, z wolna z nim poszła na górę.

Brühl na schodach nie odezwał się wcale. Na górze w sali, chociaż pani zdawała się chcieć od jego towarzystwa uwolnić, nie puścił ręki i przeprowadził ją do jej pokojów. Znaleźli się znowu w tym gabinecie, w którym pierwszego wieczoru po ślubie tak ciekawą rozmowę rozpoczęli małżeńskie pożycie...

Od tej chwili spotykali się tylko albo na bardzo krótko, albo przy świadkach. Rankami matka bywała u córki, zabierała ją z sobą, a niekiedy pod różnymi pozorami nie dawała jej nawet powracać do domu. Brühl miał tylko obowiązek dogadzać wszystkim zachciankom

żony, co spełniał zawsze z jak największą uprzejmością; zresztą byli z sobą ni źle, ni dobrze, jak dwie osoby prawie obce, które się muszą ocierać o siebie, starać jak najmniej zawadzać sobie. Brühl był cierpliwy i grzeczny. Spotykał niekiedy ciekawe oko żony, wlepione w siebie, badające go i uciekające natychmiast, gdy je na tym badaniu pochwycił.

Frania wielce się przez ten czas zmieniła, nabrała śmiałości jeszcze większej i fantazji dziwnych, nauczyła się rozkazywać w domu i wymagać, aby w mgnieniu oka jej wola była spełnioną. Brühl widywał ją nienaturalnie wesołą, czasem szyderską nielitościwie, niekiedy zalotną z obcymi aż do rozbudzenia zazdrości nawet w mężu zrezygnowanym i obojętnym, jakiego on grał rolę. Frania stawała się piękniejsza co dzień. Jakkolwiek rozmiłowany w Moszyńskiej, chociaż mu przypisywano czułe stosunki z piękną Albuzzi, był młodym i nie mógł być obojętnym na te wdzięki, które się zdawały z niego i jego namiętnych wejrzeń uragać...

Gdy weszli do gabinetu, pani Brühlowa odebrała mu swą rękę i poszła do zwierciadła zrzucać przed nim rękawiczki i błyskotki. Wśród tego zajęcia, jakby się spodziewała, że mąż ją pożegna i odejdzie, odwróciła się zdziwiona ku stojącemu uporczywie między progiem a stolikiem.

Wzrok ten wyraźnie mówił: „Pan tu jeszcze?” Na twarzy Brühla błądził uśmieszek niezrozumiały, niby odpowiedź: „Tak, pani, czekam.”

– Czy mamy co z sobą do pomówienia? – zapytała obojętnie.

– Pani mi może pozwoli usiąść, spocząć i choćby na jej piękność popatrzeć z uwielbieniem.

Odwróciła się Frania i rozśmiała, ruszając białymi ramionami; ale natychmiast wróciła oczyma do zwierciadła, nie bez pewnego zalotnego ruchu, który nie uszedł oczu Brühla.

– Przyznasz pani, że moje położenie bardzo szczególne?

– Moje także, to prawda; lecz ani pan, ani ja dziwić się mu nie powinniśmy.

– Paniś mi uczyniła nadzieję, że kiedyś... możesz mieć choć fantazję dla męża.

– A! Może! Nie przypominam sobie – odpowiedziała obojętnie. – To pewna, że jej nie mam wcale. Jedź pan sobie na karty do Moszyńskiej lub na zabawę do Albuzzi, ale mnie daj pokój. Nudzisz mnie.

– Ja tylko proszę o chwilkę rozmowy.

– Mówmy, ale o czym innym.

– Więc może o królu? – rzekł Brühl.

– Nie wiem, czy mi wolno – śmiejąc się, odparła Frania.

– Między nami... przecież nie mamy sentymentów, mamy wspólne interesa.

– Dobrze pan mówisz, a więc...

– Jak król jest usposobiony dla Sułkowskiego? – zapytał Brühl.

Nastąpiło długie milczenie. Kto by był zstąpił do duszy tej kobiety, mógłby się przekonać, że ją pytanie ubodło. Widziała, jak mało znaczyła dla tego człowieka, a przez dziwny kaprys chciała go drażnić i pragnęła mu się podobać, aby mieć przyjemność obchodzenia się z nim srogo. Zapytanie obojętne uraziło ją, ale tego nie pokazała po sobie.

– A! – odezwała się nagle. – Chcesz pan, bym była szczerą? Sułkowski, wy, a nawet król nudzicie mnie okrutnie! Co mi tam do waszych ambicji i sporów? Ja chcę żyć! Król jest lalką bez życia.

– Na miłość Boga! – krzyknął Brühl, łamiąc rękę.

– Przecież nas nikt nie słucha – poczęła obojętnie Brühlowa. – Tą lalką kazaliście mi się bawić albo raczej daliście mnie jej na zabawę, ale nie możecie żądać, abym się w niej kochała! Waćpan wiesz najlepiej, co jest nasz król... Piękny, dobry, niezdolny do niczego męzczyzna: namiętny bez uczucia, przywiązany bez odwagi, pobożny i zabobonny, a lubieżny i rozkosznik, skryty, bojaźliwy, bezmyślny, nudny, śmiertelnie nudny.



– Pani! – zawołał Brühl. – Gdyby to nawet wszystko było prawdą, pani mówić, a mnie się słuchać nie godzi.

– Ziewajmyż – odparła kobieta i otworzyła szeroko usta, a potem padła na fotel, jakby osłabła, z głową zwieszoną na piersi, z rękami opuszczonymi bezwładnie; w tej postawie smętnej, kapryśnej była niezrównanie piękną. Brühl spojrział i westchnął.

– Pytałeś mnie o Sułkowskiego? – z wolna poczęła Frania. Minister ruchem głowy potwierdził.

– Któż odgadnie, co się w tej lalce dzieje? Czy tam jest serce? Czy tam może mieszkać miłość? Czy on kogo kocha, czy się może przywiązać? Do Sułkowskiego ma nałóg jak do trefnisiów nadwornych; więcej nie wiem.

– Ale my, jeśli mu panować mamy, pani i ja, ja przez panią – dodał Brühl – musimy go usunąć.

– Jak Watzdorfa do Königsteinu? – brwi marszcząc, podchwyciła Brühlowa.

Wspomnienie tego imienia jak kamień padło między nich; minister się zmieszał.

– Daję pani słowo honoru, że ja Watzdorfa nie posłał do Königsteinu, ale Sułkowski.

– Słowo honoru ministra? dyplomaty?

– Nie, uczciwego człowieka – podchwycił Brühl, rękę kładąc na piersi. – Przecież nie przez zazdrość się go stąd pozbyto... Ja do niej d o t a d prawa nie mam.

– Cóż to znaczy d o t a d? Czy pan spodziewasz się mieć to prawo?

– Tak mi się zdaje – grzecznie rzekł Brühl. – Nie dziś, to jutro, znudzona, któż wie? Raczysz pani spojrzeć na sługę swego.

– Zdaje mi się, że na to poczekasz pan długo – szepnęła kobieta.

– Będę cierpliwy – odezwał się Brühl.

– *Croyez-y et buvez de l'eau*<sup>210</sup> – szydersko dorzuciła kobieta. Brühl drgnął, ale natychmiast z zimną krwią począł:

– Pani powinnaś dopomóc do obalenia Sułkowskiego. Brühlowa spojrzała.

– Tak, matka mi mówiła toż samo. Każą mi się obawiać, aby panny Stein lub jakiej innej nie wprowadził. Ruszyła ramionami.

– Czyż mnie to obchodzi?

– Ale pani lubisz brylanty, stroje, przepych, życie? – zapytał Brühl.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Pani byś na wygnaniu i w ubóstwie żyć nie potrafiła. Wyrazy te zdawały się trafiać do jej przekonania.

– Bardzo dobrze – odezwała się. – Obalimy Sułkowskiego, będzie to zemsta za mojego Watzdorfa; będzie to rozrywka. Obalimy tego pyszałka.

Ziewnęła znowu.

– Więc skończone? – spytała. – Dobranoc? Brühl się zatrzymał.

– Właśnie o tym pomówić należy. Obalić go przecie nie można od razu, potrzeba ostrożności, trzeba...

Zbierał się długo zapewne wykladać teorię obalenia, gdy Frania wstała żywo z krzesła, jakby jej cierpliwości zabrakło.

– To wymaga instrukcji? Nieprawdaż? – poczęła śmiejąc się. – A na cóż ja jestem kobietą? Pan myślisz, że mnie uczyć potrzeba, jak być chytrą? Jak po kropelce saczyć truciznę? Jak podstępne szeptać słowa? Kiedy w ucho rzucić dwuznacznik, co zabija, podejrzenie, co podkopuje? A! Panie, jam się od dziecka wychowała we dworze, ja patrzyłam na was, na mistrzów; jam miała nauczycielkę w matce, jam z kolebki wyniosła umiejętność kłamstwa, wprawę w szalbierstwa, miłość fałszu!

I śmiać się zaczęła dziwnie. prawie rozpaczliwym głosem.

---

<sup>210</sup> *Croyez-y et buvez de l'eau* (fr.) – dosł.: wierz w to, i pij wodę; po polsku można by to wyrazić powiedzeniem: „Kto naiwny, niech wierzy”.

– Bądź pan spokojnym, potrafię obalić jego, a gdy zechcę i gdy mi się to podoba, was i...

Zamilkła nagle, chustkę przyłożyła do oczów i nie mówiąc słowa, krokiem poważnym, milcząca, weszła do sypialni. Drzwi zatrzasnęła za sobą, słysząc było klucz okręcający się w zamku. Brühl pozostał sam.

## VI

W małej uliczce pod murem starego miasta, która po wolnej pochyłości schodziła ku Elbie, stał domek w ogródku, wśród drzewek, otoczony murem, z zamczystą bramą. Poznać było po nim łatwo, że go niedawno wzniesiono starając się, by trochę wdzięczniej od innych kamienic wyglądał. Na ścianach poczepiał budowniczy girlandy kamiennych kwiatów, wkoło okien posplatał sznury, powyginał ozdoby tak, aby twardy piaskowiec wydawał się miękką masą, którą jeden podmuch fantazji zmusił ułożyć się w zalotne kształty jakieś niewidzianej architektury. Nigdzie linia prosta nie ostała się długo, kaprys rysownika kazał się jej zginać, opadać, zakreślać owale, zacierać kąty, a ze szpar patrzyły wszędzie to wytrysłe, niespodzianie liście, to wymarzone owoce, to gałęzie suche, zwijające się pośmiertnym uściskiem.

Na bramie stały dwa wazony, niby z Włoch kędyś skradzione i przyniesione, aby je przypominały. Z jednej strony domu wystawka, bluszczem opleciona, przypominała też włoskie pergole<sup>211</sup>. Przodem kamieniczka zwrócona była ku Elbie, jakby na miasto patrzeć nie chciała. Z dała przed nią świecił pałac Japoński. Posadzone drzewa, choć młode, rosły tu bujnie i już trochę cieniu rzucały, a dwie starsze lipy, pozostałe z dawnych czasów, z popróżniałymi pniami, szeroko rozstaczały gałęzie.

Nad znakiem u pierwszego piętra jednego wieczoru jesieni na balkonie kamiennym siedziała kobieta sama jedna. Istny to był obraz tęsknicy. Młoda, piękna, smutną była jak noc; czarne brwi ściągnięte, w ciemnych oczach świeciły łzy niewyронione, ręce oparła na kolanach obie, na białych dłoniach zwiesiła głowę przechyloną i patrzyła w dal zadumana.

Łatwo w niej Włoszkę poznać było, bo tak bujnie rosną tylko kobiety i kwiaty pod tamtym słońcem ożywczym; tak piękne kształty nadaje tylko natura wybranym dzieciom w atmosferze woniejącej kwiatem pomarańczowym i morskimi zapachy. Na różowych ustach wpółotwartych, spod których perłowe wyglądały ząbki, błąkała się piosenka. Myśl ją przerywała, głos ustawał i po chwili, jakby od niechcienia, cichy płynął z piersi, niby senny, stłumiony, i umierał milczeniem znowu, i rodził się westchnieniem.

Była sama z sobą, cała w sobie, skamieniała tęsknicą, zdrętwiała nudą, znękana życiem. Pieśń płynęła z nałogu, łzy płynęły z serca.

Ubrana jak w domu i do domu, mogła śnić o włoskiej ciepłej jesieni, tak dzień był gorący, a powietrze parne prawie. Toteż zaledwie osłonięta, dała białej sukni spadać z ramion, a czarnym włosom płynąć po ziemi i na nogach miała tylko pantofelki, a ręce do pól wychodziły jakby na okaz dla snycerza. Wieku trudno było odgadnąć, pierwsza młodość uciekała ledwie, a poczynaly się te lata, co tęsknią już za nią i pragną przyszłości, a lękają się jej razem. Oczy już płakać umiały, a usta śmiały się nieraz pocałunkom i nie zdawały się ich pragnąć. Myślą była gdzieś daleko, za morzami, za górami, ale nie tu nad smutną Elbą i pod niebem bladym Północy.

Niekiedy, jakby wewnętrzna jakaś fala nią poruszała, kołysała się tak siedząc i naówczas śpiewka głośniejsza dobywała się z jej piersi, łza spłynęła po twarzyczce, oko po niej czarniejszym i płomienistszym się zdawało.

---

<sup>211</sup> P e r g o l a (z wł.) – altana obrośnięta winem. N a d z n a k i e m - tu: nad godłem domu.

Na lewo w pomarańczowych blaskach zachodziło słońce, ku tej części nieba miała zwrócone oczy. Wtem zaszeleściło coś w ciasnej uliczce: słychać było jakby pośpieszne kroki. Odgłos ich uderzył ucho zamyślanej kobiety i obudził ją ze snu. Strwożyła się, stanęła, słuchała w milczeniu.

W bramę ktoś stuknął. Przerażona, otulając się suknią, chwytając włosy rozrzucone wbiegła do domu i znikła.

Drugie stuknięcie dało się słyszeć w bramie, w domku było cicho; ktoś uderzył raz trzeci i furtka się otworzyła. Mężczyzna stary, odarty, w bieliźnie tylko i narzuconym na ramiona aksamitnym przyodziewku zszarzałym, w czapce włóczkowej zblakłej na siwych, rozczochranych włosach, wyjrzał, rozglądając się ciekawie. Przed bramą stał płaszczykiem otulony młody mężczyzna pięknej twarzy, który nic patrząc i nie pytając, natychmiast wcisnął się do wnętrza. Stary, pomruczawszy, zamknął za nim i włókł się do domu.

Po włosku zapytał go, obracając się, przybyły, czy Teresa w domu, i odebrał obojętną odpowiedź potwierdzającą. Szybkimi krokami posunął się do domku, którego drzwi od ogrodu stały otworem. Sień na przestrzał była pusta, przez drugie drzwi widać było dwa laurowe drzewa w wazonach, kwiatem bujnym okryte. Na wschodkach wszędzie pusto było i cicho, a gdy przybyły gość drzwi usiłował otworzyć, oparły mu się. Pukaniem długim rozbudził wreszcie starą kobietę z siwym włosom na pół wypełzłym, nędznie ubraną, która popatrzywszy nań, ustąpiła mu. i wpuściła do środka. Pokoiki, przybrane wdzięcznie, mogły być wesołe, a smutne były jak pustka.

Mnóstwo w nich porzucanych rzeczy, ubiorów, nut w największym nieładzie błąkało się po sprzętach nowych, a już zniszczonych. Drzwi szklane na balkon stały otworem. Gość wszedł tu szukać kogoś i znalazł tylko nłski stołeczek, na którym Włoszka siedziała przed chwilą. Widok stąd tak był ładny, że się zatrzymał spojrzeć i zadumał trochę.

Wtem poza nim zaszeleściła suknia. Powolnym krokiem szła ta sama kobieta, którąśmy widzieli przed chwilą, ale w sukni ciemnej, szerokiej, którą na siebie narzuciła, i z włosami związanymi niedbale. Nóżki tylko pozostały bosc, a na twarzy ten sam wyraz znudzenia.

Gość odwrócił się witając. Odpowiedziała mu skinieniem głowy. Rozmowa toczyła się po włosku.

– Cóż ci to jest? – spytał przybyły.

– Jestem chora, no! Umieram z nudy i tęsknoty – odparła Włoszka zniechęconym głosem.

– Tu żyć nie można, nie, nie!

– Skądże te rozpaczce?

– Z powietrza! – zawołała, rzucając się na sofę.

Mężczyzna wziął krzesło i siadł przy niej blisko. Oparła się na ręce, na której białych, ale przybrukanych palcach widać było pełno pierścieni.

– Z powietrza! – powtórzyła. – Tu nie ma czym oddychać! Nie ma czym żyć; tu trzeba umierać!

– Cóż ci to?

– Pytacie? Widzicie.

– Więc znowu te tęsknoty wracają?

– Nigdy mnie nie opuszczały.

– Znowu zawiniła pewnie Faustyna – rzekł przybyły.

Był nim Brühl, jak się domyślić łatwo.

– Faustyna? – powtórzyła, rzucając nań okiem gniewnym. – U was jest jedna ona: na myśli, na języku, we wszystkim.

– A dlaczegoż nie starasz się zaćmić Faustyny, podobać Najjaśniejszemu Panu, zwyciężyć ją? Starsza...

– Stara jęcza jak świat! – przerwała żywo Teresa. – Obrzydła kuglarka! Ak z tym królem...

– Proszę z respektem o królu!

Teresa usta wykrzywiła.

– Więc nic nie powiem.

Posiedzieli trochę w milczeniu.

– Dam ci jedną dobrą radę – odezwał się Brühl. – Gdy śpiewasz, zwracaj się do króla, patrz na niego, uśmiechaj mu się, bądź zalotną. Gdy on ci pokłaśnie, będziesz królową.

– A tymczasem królową stara Faustyna. Król ma nałogi, fe, a nie ma oczów ni smaku. Śpiewa mu głosem ochrzypłym, włosów połowę ma siwych. Cóż z tego? Ona diwa, a my komparsy!

Z boleścią domówiła tych słów.

– Słuchaj, Tereso – rzekł Brühl. – Nie rozpaczaj, to się zmieni. Faustyna wróci do domu, ty zostaniesz.

– Wolałabym przeciwnie! – mruknęła Teresa i zamilkła nagle.

– Dziś nie ma czasu mówić o tym – odezwa? się Brühl. – Za chwilę, tylko co nie słysząc, ktoś zapuka do bramy. Niech go stary Beppo wpuści. Nie mogłem swobodnie, nie postrzeżony rozmówić się z padre Guarinim, przyjdzie tutaj. Daj mu co słodkiego, tylko nie ust twoich, które są najsłodsze, i zostaw nas samych.

Teresa słuchała obojętnie; potem, jakby zmuszona do posłuszeństwa, wstała z sofki i gnuśnie poszła ku drzwiom, wołając starą matkę, której kilka słów szepnęła. Brühl niecierpliwie przechadzał się po pokoju, patrząc w ziemię. Teresa zwróciła się, spojrzała nań i poszła znowu na swe miejsce.

Głuche uderzenie do furtki zaledwie usiadającą poruszyło. Wstała; gotując się na przyjęcie Guariniego, rozpatrując po izbie, którą sprzątać dopiero zaczęła.

Żwawy krok dał się słyszeć na wschodach, długa twarz jezuity, nos jego spuścisty i dobroduszny uśmiech dał się widzieć na progu.

Zobaczył krzątającą się Teresę.

– Porzuć! – zawołał. – Jam nie gość, ja u moich w domu. Beppo mnie w rękę pocałował, stara o mało nie uściśnęła, aż mi lżej, gdym ze współwyznawcami.

Teresa także pocałowała w rękę ojca, co mogła, zabrała i znikła.

Brühl szybko się zbliżył do Guariniego.

– A cóż? – zapytał. – Jedzie? Nie jedzie?

– Jedzie – rzekł, śmiejąc się, ojciec. – Król sam mu powiedział, że powinien się rozerwać po pracy. Rozumiesz mnie? – roześmiał się. – Nadzwyczaj zręcznie rzecz była osnuta. Nigdy bym się nie spodziewał, ażeby królowa tak potrafiła dysymulować. Z największym współczuciem dla niego namówiła króla, aby go sam do tego zachęcił. „Wiem, rzekła, że ci Sułkowskiego brak będzie, że zatęsknisz po nim... my ci go nie potrafimy zastąpić, ale on się zabija tą pracą. On stworzony na żołnierza, do życia czynnego... niech sobie spocznie, niech się przejedzie i powącha prochu: wróci odmłodzonem”. Król w rękę pocałował za to królowę i ucieszył się z jej współczucia dla przyjaciela... „Dziś jeszcze rozkażę Sułkowskiemu jechać i dam mu piękny wiatyk<sup>212</sup> na podróż.”

– Nie trzeba żałować na to pieniędzy; niech jedzie! Niech jedzie! – zawołał o. Guarini.

Brühl mu wtórował.

– Niech jedzie!

– Zabawi kilka miesięcy – mówił Padre – będziemy mieli dosyć czasu, aby przygotować odprawę. Król się odzwyczai od niego.

Brühlowi twarz się wyjaśniła.

– Przez ten czas ja wam nie potrzebuję mówić, co do czynienia macie – dodał Guarini. – Wy nie potrzebujecie działać przeciwko niemu osobiście, to by było szkodliwym. Zostawcie to królowej i mnie; Sułkowski dość swoją dumą narobił tu sobie nieprzyjaciół: jak skoro

---

<sup>212</sup> W i a t y k (z łac.) tu: podarunek na drogę.

ludzie postrzegą, że szczęście może się odwrócić od niego, pomogą p-am nie proszeni. Wam należy dotrwać wiernym przyjacielem do końca.

– Tak też myślałem – odezwał się Brühl. – Będę nawet czekał, aż mi o wyjeździe powiedzą, a może z lekka przeciw niemu protestował dowodząc, że mi się bez Sułkowskiego obejść będzie trudno.

– Doskonale! – zawołał Guarini. – *Al nemico il ponte d'oro fugge...*<sup>213</sup> Gdy król zażąda pieniędzy, sypcie.

– Choćby ostatnie – odezwał się Brühl i zatarł ręce, a potem, jakby sobie przypomniał obowiązek, księdzę uściskał i w rękę pocałował.

– *Lontano dagli occhi, lontano dal cuore*<sup>214</sup> – pomrukiwał Padre powoli. – Król się oduczy od niego, a wy go zastąpicie. Zaczęli chodzić po pokoju obaj. Padre jednak był zamyślony.

– Żonę zostawia, będzie mu donosiła – rzekł cicho.

– Koło niej trzeba mieć ludzi.

– Dosyć by było jednego – uśmiechnął się Guarini. – Ale tam to pono trudno... a i kandydata na tę funkcję znaleźć mi niełatwo.

Zaczęli coś szeptać po cichu.

– *A goccia á goccia si cava la pietra*<sup>215</sup> – dodał Padre.

Z drugiego pokoju wyszła w tej chwili powoli Teresa, trochę już przez poszanowanie dla duchownego przybrana, niosąc w ręku talerz owoców, który z uśmiechem na stoliku postawiła.

Ksiądz ją na sposób włoski po ramieniu poklepał, ona pocałowała go w rękę. Dobył zza sukni medale na sznurku, a było ich razem związanych kilka, i, wydzieliwszy jeden Teresie, dwa przyrzucił dla matki i starego Beppa, za co otrzymał jeszcze jeden ręki pocałunek.

Mówili potem z Brühlem długo, cicho a żywo; minister z pokorą przyjmował instrukcje, lecz z zamyślenia i roztargnienia jego wnosić było łatwo, że sam w tej chwili układał swe postępowanie. Zaczynało już dobrze zmierzchać, gdy o. Guarini się wyniósł po cichu. Teresa wbiegła, aby coś powiedzieć czy prosić o coś Brühla, ale i ten już spieszył, obiecując jej przyjść później.

Została więc znowu sama i siadła w pustej izdebce tak zadumana i smutna, jak wprzód. Stara matka z założonymi rękami, milcząca, przyszła naprzeciw niej przysiąc także; lecz tęsknica na nie obie jakaś powiała i przemówić nie miały o czym, wzdychały tylko.

Jeszcze nie myślano o zapaleniu lampki, aby przez otwarte drzwi do domu nie ściągnąć równie dokuczliwych znad Elby, jak włoskie komarów, gdy stukano znowu do bramy. Teresa się nie podniosła nawet z siedzenia, choć może ciekawą była, kto przyjdzie; któż jej tu mógł jaką przynieść pociechę?

Na wschodach słychać było głos i rozmowę włoską z Beppem. Po tym głosie poznała Albuzzi kobietę i machinalnie przyglądając włosy, zerwała się z siedzenia, a matka, widząc to, wstała także. W mroku zobaczyły na progu stojącą postać kobiety słusznego wzrostu, po pańsku ubraną i pańskieao oblicza.

Przybyła strojną była jak najwykwintniej w jedwabną suknię, fryzurę, koronki i obwieszona ulubionymi włoskimi błyskotkami.

Teresa z podziwieniem poznała w niej swoją nieprzyjaciółkę i współzawodniczkę, Bordoni-Hasse, słynną Faustynę.

Zakulisowa królowa rozpatrywała się w mieszkaniu swej rywalki i zdawała namyślać, co ma powiedzieć. Teresa stała milcząca naprzeciw niej.

<sup>213</sup> *Al nemico il ponte d'oro fugge* (wł.) – uciekającemu nieprzyjacielowi wystawić złoty most.

<sup>214</sup> *Lontano dagli occhi, lontano dal cuore* (wł.) – z dala od oczu, z dala od serca; co z oczu, to z serca.

<sup>215</sup> *A goccia á goccia si cava la pietra* (wł.) – kropla po kropli wydrąży skałę.

– Widzisz, przychodzę do ciebie: ja! – zawołała, śmiejąc się, Faustyna. – Czekałam próżno, ażebyś ty na zgodę przyszła do mnie; widzę, że ja muszę ci pierwsza podać rękę! E, Tereso moja! Myśmy przecie obie Włoszki, obie spod tego pięknego nieba, pod którym pomarańcze i cytryny kwitną, i zamiast sobie życie słodzić, my je sobie trujemy. Daj mi rękę, bądźmy siostrami.

Teresa zawahała się, na płacz się jej zebrało i wybuchnąwszy nim, rzuciła się na szyję Faustynie.

– Jam nigdy nie była nieprzyjaciółką tobie! – zawołała. – Jam ci nie odebrała kochanka, nie powiedziała złego słowa.

– A! Dosyć, dosyć! Niech przepadnie przeszłość! – odparła Faustyna. – Nie wspominajmy jej, weźmy się za ręce i idźmy zgodnie. Życie nasze i tak ciężkie a smutne, trują je drudzy; myśmy nie powinny.

Faustyna westchnęła.

– Przyszłam do ciebie, bo mi cię z duszy żal; ale cóż pomoże dobra rada i dobre słowo? Przyjdzie za późno, a co konieczne, tego żadna siła nie przemoże.

Zamilkła chwilę; matka Teresy wyszła powoli, ona sama na niskim stołeczku siadła u nóg Faustyny, podparła się na rękach jak wprzód i zadumała.

– Ludzie nam szczęścia zazdroszożą – mówiła Faustyna – a my łzy łykać musimy. To nie nasz świat... a na dworze ich jak na ich łodzi ostrożnie chodzić potrzeba, ażeby się nie pośliznąć i nie paść. Szczęściem ja mam króla, a ten mojemu głosowi będzie wierny. Dobrze stworzenie, które jak do żłobu idzie do swej łoży, a ja mu obrok zasypuję piosenką.

Rozśmiała się, pochyliła do Teresy i pocałowała ją w czoło.

– Ciebie mi żal, tyś wpadła w ręce. Albuzy... Zniżyły głos. Teresa obejrzała się bojaźliwie i szepnęła cicho i ostrożnie: – Ja się własnej matki boję!

– A ja nikogo – odparła Faustyna. – Ale znaszże ty tego przyszłego króla, który ci chustkę rzucił? – Wzdrygnęła się. – To straszny człowiek! Miły, słodki, dobry, ale mi jego śmiech syczy jak gadzina; on ma uśmiechy, ale serca nie ma. A taki pobożny, a taki pokorny...

I wstrząsała się Faustyna.

– Przyszłam doprawdy uznać się nad tobą, bo on wkrótce nam tu wszystkim panować będzie... a biada nam pod panowaniem jego, jeśli z nas która sprzeciwić mu się odważy: *Poverina!*<sup>216</sup>

Teresa zmilczała; Faustynie lice gorzało.

– Dla ciebie dobrym on może! Lecz gdybyś ty jak ja co dzień słyszała jęki i skargi na uciski i tłumione łzy ludzi, o, jakbyś go nienawidziła!

– Moja dobra Faustyno – odezwała się w końcu Teresa. – Trafiłaś na dzień taki, gdy mi to łzy jeszcze nie oschły od płaczu. O, myśmy tu bardzo biedne! Śpię i we śnie słyszę szum mojego Adriatyku, zdaje mi się, że tam znowu na progu domku wieczorem; *lucciole*<sup>217</sup> migają w powietrzu. Andrea brzdąka na gitarze... piosenka brzmi w powietrzu, wiatr przynosi zapach kwiatów i liści. Budzę się, słucham: szumi, ale wicher, szumi ze śniegiem i brzmi mowa nienawistna, i ludzie się śmieją, których szyderstwo rani, a miłość upokarza.

Zakryła twarz rękami Teresa.

– Droga moja – odezwała się Faustyna, całując ją – więc nie dogryzajmy sobie nawzajem, pomóżmy na cierniowej drodze.

I podała jej rękę, szepcząc w ucho:

– Strzeż się tego, który cię opanował: straszny jest! I niech cię Madonna ma w swej opiece!

Teresa wstała, odprowadzając ją do drzwi.

<sup>216</sup> *Poverina* (wł.) - biedaczka.

<sup>217</sup> *Lucciole* (wł.) - robaczek świętojański.

– *Addio!* – rzekła. – Niech ci Bóg płaci dobre serce; przyszedł w smutku... jaśniej mi teraz, gdy nas dwie razem, a nie przeciw sobie.

Tak się rozstały, a zamyślona Faustyna, której *porte-chaise* czekała u bramy, szepnęła ludziom, ażeby ją nieśli do domu.

Przez odsłonięte okna lektyki mogła widzieć wszystko, sama nie będąc widzianą. Z uliczki, przy której stał nowy domek Albuzzi, czekając, aż jej wspaniały protektor rotundę<sup>218</sup> wzniesie na Friedrichstacie, Faustyna prędko dostała się do bramy i miasta. Wąską uliczką musiała przejeżdżać na Zamkową. Z roztargnieniem spoglądała przed siebie. Mrok w mieście nie był jeszcze tak gęsty, jak w domach, twarze ludzi rozeznąć było łatwo. Z przeciwnej strony spostrzegła niesioną szybko od zamku lektykę; poznała, a raczej domyślała się w niej Sułkowskiego, którego biała twarz i czarny wąsik mignęła jej wśród cieni.

Szyby dwóch lektyk o mało się nie otarły o siebie, Faustyna, jakby nagle jakieś rozbudziło się w niej męstwo, w chwili gdy lektyka Sułkowskiego mijała ją, zadzwoniła w okno swojej i zawołała:

– *Fermate!*...<sup>219</sup>

Sułkowski, który był głęboko zanurzony na siedzeniu, wychylił głowę i spojrzał... Lektyki obie stanęły, ludzie niosący postawili je tak okno w okno, że siedzący w nich wygodnie z sobą rozmawiać mogli.

Spuściła okno Faustyna i wychyliła się wzruszona. Minister, ze swej strony zdziwiony trochę, zbliżył twarz ku oknu.

– Niech Wasza Ekscelencja trochę każe ludziom ustąpić albo pozwoli mi mówić po włosku; potrzebuję poufale, choćbym zginąć miała, mówić z wami.

Na te słowa hrabia drgnął i przechylił się ku niej.

– Piękna diwo! – zawołał. – Jeśli chodzi o jaki spór, na to jest padre Guarini; jeśli idzie o łaskę jaką, król, pan nasz, nigdy wam nic nie odmawia, a ja... ja czasu nie mam, piękna pani.

– Hrabio, tu nie idzie o mnie ani o łaski, bo tymi mnie obsypujecie, i ja od was nic nie żądam, nic... idzie o was i o króla – odezwała się śmiało Faustyna.

Sułkowski zdawał się nie rozumieć, jednakże kazał podnieść wieko, wydobył się z lektyki i podszedł ku śpiewaczce.

– Jestem na wasze usługi i słucham – rzekł z uśmiechem,

– A gdybyście też i wierzyć mi chcieli!... – westchnęła. Hrabia milczał, widać było zniecierpliwienie, które przemóc usiłował.

– Hrabio – mówiła żywo Faustyna – prawdaż to, że się oddalacie? że myślicie odjechać? że się usuwacie i zostawujecie plac wolny nieprzyjaciółom waszym?

Sułkowski począł się śmiać.

– Ja nie mam nieprzyjaciół – rzekł spokojnie – a gdybym był tak szczęśliwy i miał ich (bo za zaszczyt bym poczytał zarobić na nieprzyjaźń, służąc panu), wcale bym się ich nie lękał.

– Czy wy nie dowierzacie? – przerwała Faustyna. – I szczerem nie chcecie być z biedną śpiewaczką? Ale zza kulis wiele widać świata, ale za nimi lepiej się poznaje ludzi niż w salonach; ja wam, hrabio, dobrze życzę, bo wy kochacie króla i chcecie dobra dla tego kraju, który ja za drugą uważam ojczyznę. Wy jesteście czyści i pragniecie, aby pana kochano; drudzy myślą o sobie, a o kraj nie dbają wcale.

Namarszczył się Sułkowski.

– Ale któż! kto!

– Jak to, wyście tak ślepi! – zawołała, zapalając się, Faustyna. – Czy nie widzicie nic? Czyż ja wam to pierwsza odsłonić i pokazać muszę? Królowa pani nawet zazdrości wam łaski króla, macie nieprzyjaciela we wszechmogącym ojcu Guarinim, a współzawodnika w Brühl. Długo knuty spisek w cichości nareszcie doprowadzili do skutku; was wyprawiają stąd, aby

<sup>218</sup> R o t u n d a (z łac.) – okrągły budynek z kopułą.

<sup>219</sup> F e r m a t e! (wł.) – stójcie!

wasze posiąść miejsce, aby wam serce króla odebrać! I wy nie widzicie tego! Wy dobrowolnie zaprzędajecie swoją przyszłość! Ten człowiek pochwyci wszystko; dla was tutaj miejsca nie będzie.

Mówiąc to, załamała ręce. Sułkowski stał, słuchał, ale nie czyniło to na nim wrażenia, drgnął tylko i wnet rumieniec mu na twarz bładą wystąpił.

– Kochana pani – rzekł – to doprawdy sny są i przywidzenia. Ja wyjeżdżam, ale sam prosiłem o to; ja nie mam nieprzyjaciół, a mam serce króla, którego tak jestem pewny, że żadna moc w świecie odebrać mi go nie potrafi. Uspokójcie się, *signora*, to są czcze plotki, które około każdego dworu jak komary nad błotami latają. Wierzcie mi, ślepy nie byłem i nie jestem, i oszukać mnie niełatwo i pozbyć się mnie.

Począł się śmiać wesoło.

– A! *Signora* Faustina – rzekł – wierzcie mi, że wam wdzięczny jestem za tę troskliwość o mnie, za to dobre mniemanie. Wierzcie mi, że o tej naszej rozmowie nikomu w świecie nie wspomnę: zostanie ona między nami.

Chciał odstąpić, kłaniając się od lektyki, gdy załamawszy wyciągnięte ku niemu ręce, Faustyna zawołała:

– Hrabio. byćże to może, abyście wy do tego stopnia ślepymi byli?! Jestże to podobna?! Szlachetny wasz charakter nie przypuszcza zdrady, ale ona w oczy bije: wszyscy widzą to, czego wy widzieć nie chcecie.

– Ale bo to są przywidzenia, domysły, potwarze! Brühl winien mi wiele i aniby się mógł ważyć porwać na mnie, choćby miał tak oteźnych sprzymierzeńców jak Najjaśniejsza Pani i najczcigodsiejszy Padre...

Potrząsł głową.

Faustyna zamilkła i spuściła oczy.

– A więc co przeznaczone, to nieuniknione! *Chi alla corte é destinato, moure santo o disperato*<sup>220</sup> – szepnęła jakby sama do siebie. – *Addio, singnor conte*<sup>221</sup>, i niech Opatrzność nas prowadzi i przyprowadza... Nie bawcie długo... Kiedyś może przypomnicie przestrogę głupiej Faustyny, ale już będzie po czasie.

Skloniła głowę smutnie, hrabia ujął ją za rękę ze wzruszeniem.

– Śliczna i dobra Bordoni – rzekł – wierzcie mi, żem wam wdzięczny bardzo; zawsze to, coście uczynili, wielkiego serca dowodzi. Mało go jest między nami i cenić go umiem. Lecz nie jest tak źle jeszcze... a! Nie! Króla mogę nazwać przyjacielem, ufam mu i nie zawiodę się; bądźcie o mnie spokojni.

Faustyna, nic nie mówiąc już, rzuciła się w głąb *porte-chaise'y*, a hrabia, uśmiechnąwszy się jej i skłoniwszy głowę, siadł do swojej.

Lecz zmienił w tej chwili postanowienie i ludziom, co go nieśli, kazał iść do pałacu Brühla.

Godzina była, w której go mógł zastać jeszcze. Zamyślony, przebiegł niewielką przestrzeń, dzielącą od niego, w bardzo krótkim czasie. Nie potrzebował ani pytać, ani prosić o przyjęcie, byle minister był w domu, bo przed wszechmogącym Sułkowskim drzwi się naówczas wszędzie otwierały jak w zamku.

Brühl był u siebie.

Nie pytając więc, co robił, Sułkowski wbiegł na górę nie uważając, że go poprzedził paź, który drugimi drzwiami wpadł o nim oznajmić.

Brühl naradzał się z Hennickem, którego odprawił szybko, i nim Sułkowski, zmuszony przechodzić przez cały szereg sal i pokojów, doszedł do gabinetu, padł na kolana przed

<sup>220</sup> *Chi alla corte é destinato, moure santo o disperato* (wł.) – komu przeznaczono być dworakiem, umrze świętym albo z rozpacz.

<sup>221</sup> *Addio, singnor conte* (wł.) – do widzenia, panie hrabio.



krucyfiksem stojącym na rodzaju klęcznika, ręce złożył i zatopił się w ekstatycznej modlitwie.

Łatwość, z jaką mu przyszło przybrać tę postawę, dowodziła, że nie po raz pierwszy używał jej, gdy mu było potrzeba, ażeby go ktoś, niby niespodzianie, zastał pogrążonego w modlitwie. Ta postać strojnego dworaka, w aksamitnym fraku, przy szpadce i w peruce fryzowanej, na rozmowie z Panem Bogiem wydałaby się może śmieszną, gdyby kiedykolwiek modlitwa być nią mogła.

Bardzo często, jak świadczą współcześni, zastawano Brühla zatopionego w takich religijnych rozmyślaniach.

Sułkowski, nie pukając, otworzył drzwi i stanął w progu zdumiony; po raz pierwszy w życiu trafiło mu się pochwycić Brühla na modlitwie; oczom swoim nie wierząc prawie, stał nie ruszając się, a Brühl, jakby otwierających się drzwi nie usłyszał, klęczał ciągle plecami do nich odwrócony, z głową podniesioną, wydając głośnie westchnienia. Wreszcie prawą rękę podniósł i począł się bić w piersi, schylając głowę, z taką gorącością ducha, z takim zapalem, jak żebrak pod kościołem, gdy chce na jałmużnę zarobić.

Sułkowski nie ruszał się z miejsca, nie mógł przypuścić, aby to wszystko udaniem było i komedią, wszedł bowiem nie oznajmiony, dosyć szybko, a mrok wieczora lektyki jego w ulicy widzieć nie dozwalał.

Ta scena niema trwała długą chwilę. Brühl schylił się do ziemi, rozkrzyżował ręce, słychać było szmer modlitwy. Ilekroć prawa dłoń jego się podniosła, hrabia mógł na niej dostrzec przywiązany różaniec. Nareszcie z lekka odkaslnął.

Usłyszawszy głos, Brühl jakby przerażony porwał się, poskoczył, a ujrzawszy Sułkowskiego, zakrył sobie oczy.

– A! Hrabio kochany, przepraszam... wstydzę się... zastaliście mnie na uczynku! Czasem dusza potrzebuje zbliżyć się do Stwórcy swojego. Tyle czasu poświęcamy rozkoszom ziemskim, choć chwilę pragnę oddać Bogu i modlitwie.

– To ja was przepraszam – odparł, powoli wchodząc, Sułkowski – i buduję się istotnie pobożnością waszą. Przebaczcie mi, że przerwałem modlitwę.

– A! Ona się już skończyła! – zawołał Brühl i wskazał kanapę.

Świece dwie paliły się już na stole.

„Człowiek, który się tak modli – pomyślał w duchu Sułkowski – złym być i zepsutym nie może: to niepodobieństwo”.

Ciężar mu spadł z serca. Popatrzał na Brühla. Ten miał minę ledwie rozbudzonego po modlitwie, rozmarzonego nią jeszcze, nie ostygłego po ekstazie.

– No – rzekł Sułkowski powoli, rozpierając się wygodnie – wiecie, że jadę?

Spojrzał; Brühl nie okazał wzruszenia, smutną twarz przybrał.

– Czynicie, co się wam podobało – odparł powoli. – Ja ani pochwalałem tej podróży, anim wam jej radziłem. Szczerze powiedziawszy, byłem przeciwko niej i jestem. Najprzód, że przy królu nikt was nie zastąpi: to próżno. Z wami otwartym być mogę i muszę, powmienem. Z ciężkością mi to wymówić przychodzi: królowa jest panią świętą, pobożną, przywiązaną do króla, ale kobietą. Wpływ jej, który tylko wasz mógł przeważać, zwiększył się przez to, król popadnie w niewolę jej i ojca Guariniego. Znaleźliście mnie na modlitwie, widzicie, że pobożny, katolikiem zostałem i jestem nim szczerze; ale, ale nierad bym, aby księża zbyt wyłączny wpływ mieli na umysł króla. Nasz drogi pan i tak aż nadto im jest posłuszny, a zraża swych saskich poddanych.

Sułkowski słuchał z uwagą wielką.

– Mój Brühl – rzekł – masz najzupełniejszą słuszość w tym, co mówisz, ja całkowicie podzielam zdanie twoje. Wszystko to prawda. Lecz ty tu zostajesz w miejscu, a ja nie zabawię długo. Masz mi za złe, że jadę, ale ja żołnierzem jestem. Król mi dał dowództwo, wojny się spodziewam, przekonałem pana, że jest nieuchronną, że Saksonia korzystać musi z położenia

Austrii i upomnieć się o swe prawa. To powód, dla którego chcę wprawy rycerskiej nabyć, jadę więc, jak widzisz, nie dla fantazji.

– A wołałbym, żebyście nie jechali – dodał Brühl. – Mówicie, że ja zostaję, ale ja takiego wpływu na króla nie mam.

– Tymczasem wiesz, co ludzie roją i mówią? – zapytał Sułkowski.

Brühl, zdziwiony, podniósł głowę.

– To w istocie ciekawe – opowiadał Sułkowski powoli. – Przestrzegają mnie, abym się miał na baczności, że na mnie wy z ojcem Guarinim uknuliście spisek, że oddalacie mnie umyślnie, aby podkopać i obalić.

Brühl ręce załamał, zerwał się z krzeselka i wybuchnął gwałtownie:

– Dajcie mi tego potwarce! Na mnie, na mnie to śmieją mówić! Ha! Nie ma na świecie nic, czego by obluźać nie można. Na mnie!! Ja i ojciec Guarini! Ja, który go się lękam jak ognia, ja i królowa, która mnie nie cierpi. No, powiedzcież! Ja miałbym się porwać na was, mizerny robak przeciw człowiekowi, którego król przyjacielem nazywa. A! To by było okropne, gdyby nie było śmieszne, głupie, i podłe!!

– A! A! uspokójże się! – śmiejąc się, obojętnie zawołał Sułkowski. – Powtarzam ci to tylko, abym dowiódł, co ludzie marzą, o co posadzają. Przecież nie sądzicie, abym wam nie ufał i lękał się.

I po chwili dorzucił:

– Mógłby zapewne człowiek ambitny a małego rozumu porwać się na co podobnego; lecz srodze by tego musiał pożałować. Ja króla jestem pewnym, dla mnie on nie ma tajemnic.

Ruszył ramionami pogardliwie.

– Wszystko to prawda – rzekł poruszony Brühl – ale kiedy tak jest, tym mocniej bym obstawał przy tym, ażebyście się podróży wyrzekli.

– Przepraszam cię, to właśnie powód, dla którego ja jechać muszę, ażeby dowieść głupcom i przekonać ich, iż się nikogo nie lękam, że się z tego śmieję, że gardzę.

Ramionami rzucił i Brühl ręką machnął.

– A że to nie ma sensu! To gdzieś ulica wymyśliła albo z Berlina przyszło, gdzie się dla Saksonii plotki płodzą... to głupie!

– Mój Brühl, u mnie wszystko gotowe, jutro ruszam do Pragi – wtrącił, rozmowę umyślnie przerywając, Sułkowski. – Nie bez przyczyny obieram tę drogę. Muszę Pragę strategicznie obejrzeć, bo my ją brać i zająć natychmiast będziemy zniewoleni. Chcę się przekonać, jakich sił potrzebować możemy, jaką obrać drogę. Jutro rano się puszczam, proszę cię, pożegnałbym żonę waszą.

Brühl pochwycił za dzwonek.

Wszedł galonowany kamerdyner.

– Pani w domu?

– Tak jest.

– Sama?

– Tak sądzę, Ekscelencjo!

– Oznajm hrabiego Sułkowskiego z pożegnaniem i mnie.

Kamerdyner wyszedł żywo, w pokoju panowało milczenie.

Bardzo prędko otworzyły się drzwi.

– Pani prosi!

Sułkowski z ciężkością, jakby zmęczony, powstał z kanapki i poszedł ku salonowi, Brühl za nim.

Mimo wstrząśnięcia, jakiego doznał, nikt by go z jego twarzy nie wyczytał; gotowało mu się wewnątrz, ale się uśmiechał obojętnie.

W salonie zastali stojącą piękną panią Brühlową. Właśnie wracała z asambli<sup>222</sup> u królowej, które zwykle trwały od godziny czwartej do szóstej po obiedzie. Strojna była i jaśniejąca pięknnością, która więcej dziwiła, niż ujmowała. Coś dzikiego błyskało w jej oczach, coś okrutnego śmiało się czasem w ustach, jakiś niepokój ogarniał, patrząc na nią. Było to odbicie tego niepokoju, jaki w jej duszy panował.

Spojrzała na Sułkowskiego.

– Przychodzę się pamięci pani polecić – z pewną niedbałością pańską rzekł obojętnie, trochę głowę uchylając, Sułkowski. – Wiesz pani zapewne, że jadę. Smutno mi tak miły dwór opuszczać, ale są konieczności. Szczęście spodziewam się, że to nie potrwa długo.

– A! – odezwała się piękna Frania. – A! słyszałam właśnie u Najjaśniejszej Pani na *cercle*<sup>223</sup>, że hrabia nas osierocasza. Niezmiernie mnie to zdziwiło.

– Mąż pani o tym nie wspomniał? – spytał Sułkowski.

– Mąż! – minę strojąc dziwną, zawołała pani Brühlowa. – Mój pan mąż tak jest zajęty, że czasem po miesiącu się z nim nie widzimy, mieszkając w jednym domu. Jam zmuszona o nim się od obcych dowiadywać.

– Powinnaś go pani skarcić za to!

– A! Nie! – zaśmiała się szydersko Frania. – On swobodny, ja także; czy może być co miłszego w małżeństwie? Nie mamy czasu się sobą przesycić i dlatego bardzo jesteśmy szczęśliwi.

Spojrzała szydersko na męża; Brühl wesoło to brał i śmiał się, jak mógł najnaturalniej.

– A hrabina zostaje? – zapytała Brühlowa.

– Niestety, muszę ją porzucić! – odezwał się Sułkowski. – Choćbym najmocniej pragnął na koń ją wsadzić, aby przy mnie kampanię odbywała, niepodobieństwo.

– To pan myślisz wojować? – spytała Frania.

– Tak jest! Niechże mi pani życzy powodzenia, abym głowę Turka mógł jej przywieźć.

– Ja od tego uwalniam – odezwała się figlarnie. – Hrabio, przywieź nam tylko swoją całą, a będziemy mieli dosyć. Laurem okolona będzie się ładnie wydawać kiedyś na medalu.

Wspomnienie medalu, które jej na myśl przyprowadziło Watzdorfa, ogniem dzikim zapaliło żrenice.

– Życzę panu hrabiemu szczęścia! – odezwała się z ukłonem.

Oczy mówiły co innego.

Sułkowski się od niechcenia znowu skłonił. Brühlowa zwróciła się ku swoim pokojom. Gospodarz ujął go pod rękę i tak poufale szepcząc coś, powoli skierowali się z powrotem ku gabinetowi.

## VII

W kilka miesięcy po wyjeździe Sułkowskiego, szarym wieczorem zimowym, o. Guarini wszedł do królewskiego gabinetu. Była to godzina, o której zwykł był August III udawać się do królowej, na operę słuchać muzyki lub strzelać do celu.

Strzelanie do różnych stworzeń było mu ulubione, że niekiedy zdechłego konia rzucono pod murem, a gdy się błędne psy cisnęły do padła, Król jegomość z muru do nich palił. Że zaś psów by w końcu zabrakło, nie zabijano je na śmierć, kaleczono tylko, aby pozdrowiawszy, znowu się na podobny podwieczorek zbierać mogły.

Tego dnia jakoś i strzelania nie było, i opery nie zapowiedziano, i do królowej na muzykę August nie śpieszył. Dwa razy przychodzili szambelanowie: odprawił ich mruczając. Był to

<sup>222</sup> A s a m b l e (z fr.), towarzyskie zebranie wieczorne.

<sup>223</sup> C e r c l e (fr.) - przyjęcie, zebranie.

znak bardzo złego humoru. Dano natychmiast wiedzieć o tym ojcu Guariniemu, który do króla pośpieszył.

On jeden mógł z niego coś dobyć, innym się to nie udawało. Stary księżyna wszedł z tą swą spokojną miną, zawsze wesołą lub do uśmiechu skłoną.

Król nań chmurno popatrzył i głowę odwrócił.

Pomimo zimnego przyjęcia Padre usiadł na taborecie i podparłszy się na rękę odezwał:

– Czy wolno spytać Waszej Królewskiej Mości, co tak zasępiło jego czoło? Wierny sługa się tym martwi.

Odwrócił się August, pokiwał głową; coś niewyraźnego zamruczał i chwycił fajkę. Nastąpiło milczenie.

– Lżej by było Waszej Królewskiej Mości – rzekł Padre – gdybyś raczył mi się zwierzyć.

– Głupstwo! – rzekł król.

– Nie warto się gryźć – odparł ojciec.

– Głupstwo! – powtórzył raz jeszcze.

To powiedziawszy, król wstał; począł się przechadzać wzdychając i jak miał zwyczaj, kiedy go co niecierpliwiło, nogą podrzucał, co na drodze znalazł lub co mu się zdawało leżeć na drodze.

Guarini wpatrywał się w niego jak w tęczę.

– To bo niedobrze jest – rzekł – że Wasza Królewska Mość przy takiej pracy nie szukasz sobie rozrywki. Rozrywka jest człowiekowi koniecznie potrzebna, św. Jan na Patmos<sup>224</sup> miał hodowaną kuropatwę.

– Kuropatwę! – powtórzył król zamyślony. – Ja wolę polować na cietrzewie; kuropatwa mała zwierzyna.

I chodził znowu powzdychiwając.

– Trzeba by albo muzyki, albo opery, albo obrazów, albo polowania.

August ręką machnął.

– Gdzież Brühl? – spytał ojciec.

– A! Brühl! jeden Brühl. ale on zajęty, zajęty niebożatko, niech odpocznie sobie. Brühl dobry człowiek.

– Wyśmienity! – potwierdził Guarini. – Do niego Wasza Królewska Mość żalu nie masz?

– Ale co znowu!! Brühl... złoty Brühl – rzekł król, ale głowę zwiesił.

Trudno się było dowiedzieć.

– Jużciż Wasza K-rólewska Mość nie tęsknisz tak za Sułkowskim.

Drgnął król i stanął nagle. Guarini poznał, że do rany rękę przyłożył.

– Otoż to Sułkowski, widzisz, ojczu – bąknął król. – Józefina go nie lubi. Jak można Sułkowskiego me lubić?... he? Powiedz ty?

Guarini zamilkł. Pytanie było wymierzone wprost jak strzał do piersi, jednak nie odpowiadał na nie. Król, nie lubiący mówić, powtórzył ciszej:

– Ojczu, jak można Sułkowskiego nie lubić?

Jezuita namyślał się bardzo długo. Chwila była stanowcza: należało przypuścić atak umiętnie; rozważał właśnie, jak ma to uczynić. Spodziewał go się od dawna, przyszła godzina walna, trzeba tedy było począć.

– Najjaśniejszy Panie – odezwał się – ja przeciwko Sułkowskiemu osobiście nie mam nic. Jako katolik chłodny jest i obojętny, to prawda... Zdawało mi się też zawsze, że naszą świętą królową panią nie dosyć czci i szanuje.

– O! o! o! – przerwał król – o! o!

– Przynajmniej ludzie tak i inni sądzili – mówił niezmieszany Guarini. – Płochy jest, to pewna, w pychę niepomiarłą wzbila go łaska pańska...

Zamilkł król posępnie, słuchając.

---

<sup>224</sup> P a t m o s - wyspa na Morzu Egejskim, na którą wygnał cesarz rzymski Domicjan św. Jana Ewangelistę.

– Najjaśniejszy Panie! – żywo zawołał, zbliżając się, Guarini. – Jesteśmy sami, nikt nas oprócz Boga nie słyszy. Proszę mi z ręką na sumieniu odpowiedzieć jak na spowiedzi, czy nigdy Sułkowski nie wodził króla a pana swego na pokuszenie?

Na te słowa August oczy otworzył wielkie, zarumienił się i nagle plecami odwróciwszy, nic nie odpowiadając, chodząc zaczął.

Milczenie było dostateczną odpowiedzią.

Guarini począł śmiać się cicho.

– A nie jestże to zuchwalstwo? he? Pojmuję nawet, że sługa i przyjaciel może chcieć czasem i na sumienie coś dla miłości pana wziąć, ale juściiby też mógł poczekać, aż mu z góry skiną.

Spuściwszy głowę, król chodził.

– Królowa ma przecucie – mówił Padre. – Co to się dziwić! Ale o tym *satis*<sup>225</sup>. Alboż to nie wiadomo szeroko, że on żywi myśli zdobywcze względem Austrii, względem domu, któremu zawdzięczamy królowę Ichmość, i przeciwko najświętszym przyrzeczeniom naszym...

August siadł w krzesło jakby znużony i patrzył na mówiącego.

– A najgorsza ze wszystkich ta ambicja i ta ufność, że mu to wolno, co zechce, i że z królem a panem swym uczyni, co mu się podoba. Są ludzie, co to od niego słyszeli. Trochę pokory czy upokorzenia by mu nie zawadziło. Alboż to dobrze, by ludzie mówili, że on w Saksonii panuje, a nie król nasz miłościwy.

– E! e! e! – rzekł król. – Kto mówi? kto? To go powiesić!

– Tacy mówią, co słyszą, jak się Sułkowski chwala...

– Chwala? To źle! – odparł król. – Uszy mu natrę.

Guarini uznał, że doza lekarstwa zaadministrowana była na jeden raz dostateczną, i zamilkł. Dopiero po chwili pochylił się do ręki króla.

– Najjaśniejszy Panie, przebaczenie, darujcie, zapomnijcie. Duchownym jestem, suknia na mnie wkłada obowiązek mówienia prawdy. Ludzie światowi cofnąć się mogą przed nią, ksiądz musi rzec, co ma w duszy. A komuż szczerzej jak temu, co ludom panuje i co rzadko prawdę usłyszeć może?

– *E vero*<sup>226</sup> – szepnął król.

Ale z miny i głosu wyczytał ksiądz, że rozmowy tej królowi było już nadto, że jej miał do przesyty, Szukał już, czym by go zabawił, pewien, że rzucone złarno wnijdzie później sobie.

Nie wiadomo, czyby się udało Guariniemu wynaleźć przedmiot rozweselający, lecz wtem właśnie wszedł szambelan oznajmiając, że na pokojach królowej czeka najjaśniejszego pana muzyka.

– Chodźmy! – odezwał się, wzdychając, August.

Guarini się uklonił, poszli.

Służba ze światłem poprzedzała króla.

Pokoje królowej wcale różnie wyglądały teraz, gdy je Józefina zajmowała. Nie było tu przepychu, skromność i powaga wielka, ale majestat cesarskiego domu w niej znać było.

Obrazy, przyozdabiające ściany, wszystkie niemal religijnej były treści. Oprócz tego godła pobożne, krzyże i relikwiarze po gabinetach stały zamiast zwykłych świecideł.

Cały dwór, trzymany w etykiecie surowej przez w. ochmistrzynię i marszałka dworu, składał się z kobiet podżytych i dobranych tak, aby ich piękność nie uczyniła królowi roztargnienia.

Tego dnia w wielkiej sali koncertowej koncertmistrz Jan Jerzy Pisendel, naj słynniejszy skrzypek swojego czasu, miał się popisywać wraz z kilku najprzedniejszymi solistami.

---

<sup>225</sup> *S a t i s* (łac.) – dosyć.

<sup>226</sup> *E v e r o* (wł.) – to prawda.

Oprócz niego na nowo przez siebie wynalezionym instrumencie, w rodzaju *clavicembalo*<sup>227</sup>, miał się produkować sam wynalazca jego, Pantaleon Heberstreit, który z Pisendelem o lepszą grywał na skrzypcach.

Na flecie mieli grać dwaj mistrze; Buffardia, niezrównany wirtuoz, i rywal jego, Quanz, oba doskonali w swej sztuce. Było więc czego posłuchać.

Królowa, trochę już kwaśna, przechadzała się, oczekując na męża, gdy wszedł nareszcie. Zbliżyła się żywo ku niemu, usiłując wyczytać coś z twarzy; zrozumiała tylko, iż był niezadowolony. Ale na to radziła skutecznie muzyka.

Gdy król siadł wygodnie, oczy przymrużył, a Buffardia mu zaśpiewał na flecie, mgły przechodziły i czoło się wypogadzało. Król wśród stojącego dworu do swojego krzesła śpieszył, gdy Józefina, nieco przyzostawszy za nim, skinęła na ojca Guariniego.

Nie miała jednak czasu dłużej z rum się rozmówić. Włoch szepnął jej tylko na ucho:

– *Poca roba*<sup>228</sup>, Sułkowski.

Królowa przyspieszyła kroku i znalazła się prawie równocześnie z mężem u stojącego obok krzesła. Znać tylko na przybycie najjasniejszego pana czekano, bo też kapela się ozwała z uwerturą świetną i huczną, której król zaczął słuchać z uwagą wielką.

Na twarzy Józefiny w czasie muzyki więcej znać było zajęcie mężem i sprawami jakimiś ważniejszymi niż koncertem. P. Pisendel na próżno się popisывał swym smyczkiem. Królowa zdawała się go nie słyszeć. Oprócz innych osób dworu pani Brühlowa także siedziała obok matki, a tuż za krzesłem pana stał wyprostowany Brühl, niewinny baranek, ze spuszczonej oczyma, skromny, jakby nie był pierwszym i jedynym ministrem.

Padre Guarini, przesuwając się około niego, szepnął mu nieznaczenie:

– Wojna się rozpoczęła, nieprzyjacieli się broni, wszystkie siły skupić należy; zatem baczność!...

Brühl stał, jakby nie słyszał, delektując się muzyką. Grano już duet, w którym Buffardia z Quanzem szli na wypródki. Król zupełnie zamknięte miał oczy, używał muzyki, nie doznając dystrykcji żadnej. Kto by był zobaczył z boku skierowane nań szyderskie wejrzenie Brühlowej, przeląkłby się być pogardą, z jaką nań patrzeć śmiała.

Tuż za jej krzesłem stał dwór ministra, dopuszczony na koncert, a wśród niego odznaczał się piękny, młody mężczyzna, tak dziwnie do Watzdorfa podobny, iż się go jak widma przełęknąć było można. Wzrok Brühlowej czasem powłóczyło, z wolna szedł ku niemu, zatrzymywał się na pięknej jego twarzy, szukał oczów; wejrzenia się żeniły i rumieniec występował na lice młodego chłopaka. Brühl, który w tamtą stronę nie patrzył, ilekroć on się czerwienił, bladł powoli; zdawało się, że mu czegoś znużone drgają oczy i poruszają się usta: musiał to być skutek muzyki.

Trwał ten koncert dosyć długo, potem podano wieczerzę: na osobnym stole dla królestwa obojga, przy marszałkowskim dla dworu. Król jadł tak i pił, iż zdawało się, że o wszystkim zapomniał; jednakże po wieczyrze natychmiast zażądał z Brühlem odejścia do swych pokojów.

Większa część dworu rozpierzchnęła się; kobiety pozostały na wieczorne pacierze. Był bowiem zwyczaj w niektóre dni tygodnia odmawiania modlitw i litanii pod przewodnictwem o. Guariniego, przy których bliższe osoby królowej panie zawsze bywały przytomne.

I tego dnia *exerciti*<sup>229</sup> duchowne odbyły się w małej, domowej kaplicy królowej i dopiero po nich reszta dworu uwolnioną została.

Miał i o. Guarini odchodzić, gdy królowa nań skinęła. W. ochmistrzyni usunęła się zaraz i stanęła w przyzwyczajonym oddaleniu.

– Cóż było, mój ojczy? Król...

<sup>227</sup> *Clavicembalo* (wł.) – klawicymbał, dawny instrument muzyczny, podobny do fortepianu.

<sup>228</sup> *Poca roba* (wł.) – mała sprawa.

<sup>229</sup> *Exercitia* (łac.) – ćwiczenia.

– Sam zagaił o Sułkowskim. Wielce go boli, że niektóre osoby są mu przeciwne. Zagadnięty, nie mogłem zamilczeć, trzeba było wojnę rozpocząć.

– I cóż? i co? – spytała ciekawie królowa.

– Mówilem dosyć długo: tyle, ile można, aby króla nie znużyć – kończył Guarini. – Powiedziałem wszystko, com miał na sercu.

– A król?

– Milczący słuchał.

– Jakże się wam zdaje? Zrobi to wrażenie na nim?

– Nieochybnie, ale teraz powtarzać potrzeba ataki. Sułkowski wraca, rzecz nie cierpi zwłoki; powinien zastać już króla nawróconym: inaczej przemówi nałóg, odezwie się przyjaźń dawna, zajmie swe miejsce i nic go już z niego wyrugować nie potrafi. Najjaśniejsza Pani – dodał Guarini – nie wymagajmy za wiele: nie można żądać, aby go spotkał los Hoyma. Winy nie są tak wielkie, dowieść mu ich niepodobna. Byleby się oddalił, na tym dosyć.

– Dosyć? – spytała Józefina. – Lecz znacie słabość króla dla niego? Nie odezwie się ona później, nie skorzysta on z niej? Nie znajdzie dróg? Człowiek bezbożny, bo takim jest, to pewna, wszystkiego chwycić się może. Widzieliście go kiedy z dobrej woli w kościele? Wiecie, że nigdy nie zachowuje postów.

Wzdrygnęła się królowa i na chwilę zamilkła.

– Ja nie ustąpię – dodała. – Wy także powinniście działać. Brühl nie może.

– Chyba w ostatniej chwili – szepnął o. Guarini – i to ostrożnie. Do dobrego dzieła wszelkich sprężyn użyć należy. Bóg pomoże. Kiedy powraca?

– Żona się go spodziewa co dnia: pisał do króla, że będzie w tym tygodniu. Spieszyć należy – dodała królowa.

Guarini skłonił się nisko i wyszedł.

Nazajutrz rano wedle obyczaju Brühl był w pokoju króla, jak tylko wstał z łóżka. Nie była nużącą ta służba, ale nudną. Zwykle August milczał; trzeba było, stojąc, patrzeć nań i na uśmiech lub chrząknięcie odpowiadać ukłonem.

Daleko więcej zachodu miał Brühl, rozciągając pilną straż około osoby jego królewskiej mości. Dla spokoju jego potrzeba było zapobiec, ażeby nikt niespodziany nie miał doń przystępu; przy wszystkich audiencjach bez wyjątku Brühl musiał być przytomnym. Jeśli król szedł na mszę, oczyszczano wprzód drogę najstaranniej z obcych osób, nie należących do dworu. Nikt się do niego zbliżyć nie mógł bez pozwolenia ministra w jego nieobecności. Zdaje się, że król August, który spokój lubił nade wszystko i niespodzianek się lękał, rad był z tego, nigdy bowiem spod kurateli nie próbował się wyzwolić i swoim stróżom okazywał wielką wdzięczność.

Po mszy i po niezbędnych posłuchaniach, na które niewiele grzecznych słów wyszafował roztargniony pan, Brühl został z nim sam na sam.

Mógł się domyślać, że o czymś rnowa będzie, bo król chodził niespokojny, stawał często naprzeciw niego, mrugał, uśmiechał się smutnie, odchodził, wracał znowu i stawał uporczywie, nie mogąc się jakoś zdobyć na rozpoczęcie rozmowy. W ostatku zatrzymał się, położył rękę na ramieniu ministra i spytał:

– Brühl, co ty mówisz o Sułkowskim?

Jakkolwiek przygotowany, Brühl się zaciął i oczy spuścił.

– Najjaśniejszy Panie – odparł zręcznie bardzo – ja pewno nie inaczej o nim trzymam, jak Wasza Królewska Mość.

– A wiesz ty, co ja o nim myślę?

– Nie wiem, ale jestem wiernym sługą Pana mego i mam za przyjaciół tych, których on widzi dobrze, za wrogów tych, co mu są niemili. Wasza Królewska Mość byłeś łaskaw umieścić przy swej osobie dwóch moich braci. Otóż gdyby jeden z nich miał nieszczęście zasłużyć na gniew króla, wyparłbym się brata.

Królowi się twarz wypogodziła.

– Brühl, ja ciebie kocham! – zawołał. Minister schylił się do ręki pana.

– Brühl, ja ciebie bardzo kocham – dodał August – i dlatego chcę się ciebie poradzić. Sluchaj, mnie nim straszą...

Spojrzał w oczy Brühlowi z natężeniem.

– Mów śmiało, mów...

– Ja osobiście nie mam nic przeciwko Sułkowskiemu, ale że łaska pańska, która mnie pokorniejszym czyni, jego w pychę wzbija, to pewna, że może się czasem chwalił, że on robi, co chce, nie tylko w sprawach państwa, ale nawet z Najjaśniejszym Panem: to być może.

– Hm, to być może, powiadasz! To być może, a tak! To być bardzo może – rzekł król. – Prawdę powiedziawszy, na muzyce mizernie się zna, a na obrazach też niewiele; jemu aby gołe, aby gołe! Ale tst! – dodał król – żeby Guarini nie słyszał, jaką on tu Wenus przyniósł raz! Com ja biedy miał z królową. Spalić ją kazała. A była bardzo piękna. No i to prawda, że pozwalał sobie czasem...

Nie dokończywszy, August zapatrzył się w okno, zamyślił i ziewnął.

– Jak ty myślisz – zapytał – czy to prawdziwy Ribera<sup>230</sup> ten, co go wczoraj przysłali z Wenecji?

Brühl ramionami ruszył.

– Ja, Najjaśniejszy Panie, jestem w tym zdania Waszej Królewskiej Mości.

– To może być Ribera – mruknął król cicho.

– Tak, to mógłby być Ribera – powtórzył Brühl.

– Ale mógłby być il Frate...<sup>231</sup>

– O, niezawodnie, że podobny bardzo do Frate.

– Ty się znasz, Brühl.

– Uczę się przy Waszej Królewskiej Mości. Począł się przechadzać August, bardzo zadowolony zbliżył się do ucha Brühlowi i rzekł:

– Królowa chce, abym go odpędził, bo jej ktoś szepnął, że mi doradzał bałamuctwa...

– Ale o to Waszej Królewskiej Mości nikt w świecie nie może posądzić! – krzyknął Brühl.

– Nikt! Wszyscy wiedzą o jego życiu przykładnym...

– Ja nigdy nie dopuszczę, żeby mnie posądzano – szepnął król. – Nigdy, nigdy! Wolę... wolę...

Nie mógł dokończyć. Brühl się doń zbliżył i szepnął:

– Żywa dusza, nikt nie może posądzać Waszej Królewskiej Mości!

I rękę położył na piersi.

– Tak być powinno – szepnął August i, zniżywszy głos jeszcze, cichuteńko do ucha mu rzekł: – Myślisz, że on co wie? Posądza? He? he?

– Z pewnością nie wie nic i wiedzieć nie może, ale ciągle będąc tu, nieustannie szpiegując, mógłby... któż to przewidzieć potrafi. Król zatrwożony wyprostował się.

– Kiedy tak, to go trzeba oddalić. Tak, tak lepiej będzie! Ty mi go zastąpisz.

Brühl znowu do ręki pańskiej pośpieszył. Na czole Augusta widać jednak było troskę, wzdychał ciężko, kosztowało go rozstanie z przyjacielem młodości: łzę miał w oku.

– Brühl, to postanowione, tak królowa chce. Guarini radzi, ty nie masz nic przeciw. Ale jak? jak? jak? mów... ale mów...

Minister spuścił oczy w dół, palec położył na ustach, przybrał postawę zadumanego i zafrasowanego. Król śledził każdy ruch jego i minę, czekał, aż zawyrokuje.

Nagle podniósł głowę.

<sup>230</sup> Giuseppe Ribera (1588-1652) – malarz hiszpański.

<sup>231</sup> Il Frate (wł.: braciszek) - malarz włoski Baccio della Porta (1472-1517), który wstąpiwszy do zakonu, przybrał imię Fra Bartolomeo.



– Najjaśniejszy Panie – odezwał się cicho – powodów do niełaski starczy: dosyć przypomnieć mu, że sobie mógł pozwolić względem króla a pana zbytnej poufaleści. Nigdy nie będę Waszej Królewskiej Mości radził sm-owości zbytcej, dosyć go oddalić od Jego oblicza, aby był najsrożej ukaranym. Wygnanie od dworu będzie dlań najcięższym wyrokiem.

– Tak jest – przebaknął król – nawet mu małą pensję zostawię.

Spojrzał na Brühla, ten potwierdził, co król mówił, i kłaniał się. – Więc wygnanie – dodał August – a jak to zrobić, zostawiam tobie. Ułóżcie, żebym ja nie miał z nim przykrości, żadnego gadania długiego; nic, nic! Niech sobie jedzie...

Mówili jeszcze, gdy August, już rozpromieniony tym, że zbył się kłopotu i zrzucił go na cudze ramiona, ruszył się żywo.

– Brühl – rzekł – oznajmić królowej, że mam z nią do pomówienia. Królowa, jeżeli się nie modli, to maluje; jeśli maluje, ja tam mogę przyjść.

Brühl się wymknął natychmiast; w pięć minut potem król w towarzystwie szambelana pośpiesznie dążył do pokojów żony. W istocie zastał ją przy pastelu. Młody artysta, z założonymi rękami i kredą w rękę, stał w postawie pełnej uszanowania za królową, która siedziała u trójnoga przed naciągniętym papierem. Na nim rozpoczęta była głowa Chrystusa, około której pracowała najjaśniejsza artystka, niekiedy zwracając się ku swojemu pomocnikowi. Niewiele tam w istocie było pracy najjaśniejszej pani, bo pomocnik przysiadł się w jej niebytności, przerabiając fałszywe tony i prostując zatarte rysy; ale nazajutrz królowej Józefinie zdawało się, że ona to malowała sama, i z roboty swej była wielce zadowolniona. Tym sposobem postępował dalej obrazek i w końcu zwał się dziełem rąk pańskich, a dwór cały uwielbiał talent córki Cezarów.

Gdy król wszedł, nie wstała nawet Józefina, wskazując mu tylko na robotę rozpoczętą. August stanął za nią i długo z przyjemnością wpatrywał się w rysunek, który, od wczoraj mało co popsuty, jeszcze wcale dobrze wyglądał. W końcu król powiedział komplement, a z boku spojrzawszy na artystę, dał mu znak, aby się do przyległej salki oddalił, co biedny malarz spełnił, kłaniając się aż do ziemi, z nadzwyczajnym pośpiechem.

Obejrzał się August i schylił do ucha Józefiny.

– Więc – rzekł cicho – stanie się, jak każesz, oddalimy Sułkowskiego: tom przyszedł powiedzieć.

Królowa odwróciła się szybko, uśmiechając do męża.

– Ale tst, ani słowa – dodał August – maluj! Brühl to ułoży, ja nie chcę się tym gryźć.

– Nie potrzebujesz – rzekła Józefina – wezwij ojca Guarini... Brühla, oni to dopełnią.

Nie chciał już o tym dłużej mówić August i natychmiast zwrócił rozmowę na obraz.

– Kolorytu mogę powinszować – rzekł – *trés fin*<sup>232</sup> i bardzo świeży. Liotard<sup>233</sup> nie zrobiłby lepiej, słowo daję; malujesz ślicznie... nie daj tylko temu artyście psuć sobie i nie słuchaj żadnej rady.

– On mi tylko kredę temperuje – rzekła królowa.

– Głowa piękna! Powieszę ją u siebie, gdy mi ją zechcesz darować. – I uśmiechnął się z galanterią.

Ponieważ godzina obiadu jeszcze nie wybiła, król skłonił się, pocałował w rękę Józefinę i odszedł, po drodze wskazując artyście wygnanemu do sali, aby królowej w pomoc pośpieszył. Na twarzy pańskiej malowało się teraz zadowolenie ze zbytego ciężaru i wyswobodzenie od troski. Do wczorajszego całkiem był niepodobny: czoło miał wypogodzone, uśmiech na ustach, oddychał swobodniej i myśleć mógł o czym innym. Nie szło mu tyle o Sułkowskiego, co o zamęcie drogiego spokoju, o kilka dni życia struty i zepsute. Gotów był człowieka poświęcić, ale rad się był zbyć sprawy jak najrychlej i nic już o tym nie wiedzieć. Na wieczór zadysponowano strzelanie do tarczy przy pochodniach. Gdy po nim powrócił do

<sup>232</sup> *Trés fin* (fr.) – bardzo delikatny, wykwinny.

<sup>233</sup> Liotard - zob. przyp. 150 t. I.

swych pokojów, poznać go nie było można. Brühl z powodu tak wyjątkowych wypadków był na zawołanie, nie oddalał się wcale. Spojrzawszy nań, król rozśmiał się i rzekł:

– Rzec skończona: po obiedzie strzelanie, wieczór muzyka, jutro opera.

Pośpiesznie się zbliżył do oczekującego.

– Niech nikt o nim nie wspomina: rzecz skończona; ani nazwiska, ani nazwiska, proszę... Podumał chwilę.

– Użyjcie, kogo zechcecie, kładę to na was... byłem już o niczym nie wiedział.

Zamyślił się i nagle zakończył:

– Słuchaj, Brühl, to Ribera...

– Tak jest, Najjaśniejszy Panie! – potwierdził minister.

## VIII

Karnawał w tym roku obiecywał się świetnym. W Saksonii wszystko szło jak najpomyślniej, szlachtę, która skowyczeć śmiała, wysyłano na rekolekcje do Pleissenburga; w Polsce zapewniały spokój sejm pacyfikacyjny i śmierć ostatniego z Sobieskich. Faustyna śpiewała zawsze cudnie, a na grubym zwierzu w lasach hurbertsburskich nie zbywało. Ostatni jarmark lipski, na którym się król bawił, przedziwnie obfitował w konie i psy myśliwskie. Dzień po dniu w cudownie najprzód obmyślanym szły porządku.

W tak błogim to spokoju zwiastowany powrót Sułkowskiego napełnił trwogą, przyspieszył szturm królowej i wywołał wyrok na niego. Spodziewano się, że ulubieniec pański nawet do osoby króla przypuszczonym już nie zostanie.

Hennicke i jego pomocnicy pilnować kazali po wszystkich drogach i gościńcach; straż stały w bramach, poprzebierani ludzie z dala otaczali pałacyk Sułkowskich, aby jak tylko przybędzie, środki stanowcze przedsięwzięte zostały.

Ekwipaże generała-ministra i wielkiego ochmistrza dworu już były nadeszły wcześniej. Żona miała ku Fradze wyjeżdżać przeciwko niemu, Tego właśnie się lękano i bardzo zręcznie pani Kolowrathowa oznajmiła jej o woli królowej, ażeby w gotowości była przybyć do zamku, gdy jej znać dadzą i raczyła się nie oddalać z Drezna. Hrabina, rada nierada, posłuszną być musiała.

Nad wieczór 1 lutego (1738) hrabia Sułkowski znajdował się już w Pirna<sup>234</sup>, gdzie komo tylko chciał dać wytchnąć, aby przed nocą do Drezna pośpieszyć. W gospodzie kurier, jadący przodem, wszystko przygotował na przyjęcie ministra. Nikt w świecie jeszcze nie spodziewał się, nie podejrzewał, nie domyślał tak nieprawdopodobnego upadku. Wszystko, co żyło w miasteczku, urzędnicy, burmistrz, rada w paradnych strojach czekali na mrozie przed gospodą na przybycie tego, którego za wszechwładnego uważano, przed którym drżało wszystko.

Kurier zapowiedział przybycie to jego ekscelencji na godzinę czwartą; lecz że w wigilię dnia tego śniegi zawiwały drogi i kopno było<sup>235</sup> na górzystych gościńcach, przyjazd się opóźnił.

Właśnie wszystkich oczy skierowane były w stronę Pragi, gdy od Drezna jeździec, płaszczem obwinięty, na koniu zgrzanym nadbiegł i zsiadł przed gospodą. Była to najlepsza ze wszystkich, „Pod Koroną”, a właściciel jej, Jonasz Hender, człek bardzo śmiały i rezolutny, zobaczywszy podróżnego, któremu by innym razem był rad bardzo, teraz poskoczył przeciwko niemu, aby go uprzedzić, że tu dlań miejsca nie było.

<sup>234</sup> P i r n a - miasteczko w Saksonii w pobliżu Drezna.

<sup>235</sup> K o p n o b y ł o - drogi zasypane były wysoko śniegiem, przez który trzeba się było przekopywać.

W klasycznym stroju dawnych gospodarzy, z fartuchem na piersiach białym jak śnieg, w futrzanej czapeczce na głowie, Jonasz ze swą rumianą i wesołą fizjognomią, stworzoną na uśmiechanie się do ludzi, przystąpił grzecznie ku nieznanemu.

– Przepraszam was... spodziewamy się jego ekscelencji hrabiego Sułkowskiego; kąta nie mam w domu ani dla konia, ni dla was; ale pod „Palmową Gałęzią”, choć zapewne nie to, co u mnie, znajdziecie popas wcale dobry i człowieka miłego: to mój szwagier.

Przybyły zaledwie zdawał się chcieć słuchać Jonasza. Cugle koniowi rzucił na szyję, sam patrzył ku gospodarzowi roztargniony. Był to człowiek średnich lat, ale o wieku tylko z oczu i zmarszczek koło nich sądzić było można, gdyż zapewne dla zimna brodę i usta miał zawiązane chustką, a czapkę na czoło głęboko nasuniętą.

– Właśnie – bąknął stłumionym głosem spod chustki nie podnosząc jej – dlatego, że tu stanie jego ekscelencja, i ja zajechać muszę: ja do niego jestem posłany.

Sklonił się oberżysta i własnoręcznie konia pochwycił.

– A, to co innego – zawołał – to co innego; proszę do mnie, niech się pan ogrzeje. Wino ciepłe z korzeniami gotowe, a nie ma na chłód jak *Glühwein*<sup>236</sup>, to doświadczone. Konia wezmą do stajni.

Parobek na skinienie poskoczył i chwycił zmęczonego siwka. Gospodarz, w nadziei może, iż się coś dowie, prowadził idącego do izby. Wpatrywał się weń, aby odgadnąć, kto to mógł być taki, a ze stroju ani z miny odgadnąć tego nie umiał. Ubiór był pospolity, mowa czysta i nie saska, obojętnie się bardzo poufałe znamionowało dworaka; lecz nie znowu tak bardzo znakomitego na koniu, bez sługi by nie przybyło w takim niepozornym płaszczu i butach.

Jonasz zwykł był, bystrym okiem rozpoznając znaczenie ludzi, trafiać zawsze w ton właściwy i obchodzić się z nimi, jak komu przystało. Tym razem nie wiedział, z jakiego ma zagrać tonu, ale spodziewał się po odsłonięciu oblicza odgadnąć, czy miał z masztalerzem<sup>237</sup> do czynienia, czy z urzędnikiem. Zdumiało go to, że wchodząc do domu, podróżny wcale najwyższym urzędnikom miasta, stojącym na mrozie, nie oddał czołobitności. Mógł z tego wnosić, że się od nich sądził wyższym, lecz dworscy i wszyscy, co się ocierają o panów, tak bywają zarozumiali.

Ponieważ dla tak wielkiego jak Sułkowski pana nie jednej izby potrzeba było, bo jechał dworno i musiało mu być przestronno, została więc tylko izba samego gospodarza, do której Hender zaprosił nieznanego.

Można tu było spocząć bardzo przyjemnie, bo na kominie palił się ogień wesoły, rumiana gospoia coś przy nim warzyła; dwoje dziewczątek zwijało się pomagając jej, a izba była przystrojona wcale pięknie i w sprzęt czysty zamożna. Hender pomógł nieznanemu rozwinać się z, ogromnego płaszcza i chusty, spod której wyszła chuda, koścista, dziwna a niemiła postać, z twarzą kancelaryjną, wcale nieprzyjemną. Oczy jej patrzyły jak dwoma świdrami w człowieka, a usta krzywiły się dziwnie i fałdowały.

Spojrzawszy nań, Jonasz, który był niepospolitym ludzi znawcą, zaraz sobie rzekł w duchu: „To jakiś niebezpieczny człek.”

Lecz tym gościnniejszym wypadało być dla tak strasznie wyglądającego posła ze stolicy. Choć mieszkańcy Pirny w Saksonii za reatczyków<sup>238</sup> uchodzą, a Hender był rodem z tego miasta, nie brakowało mu roztropności. Starł fartuchem krzesło, przybliżył je do ognia i zaprosił siedzieć przybyłego, który bardzo obojętnie wszystkie świadczone sobie grzeczności przyjmował. Był jakby przybity i pogrążony w smutnych myślach jakichś.

Kilka razy gospodarz się coś odezwał, ale nie odebrał odpowiedzi. Przyniósł szklaneczkę grzanego wina na miseczce i podał ją z uśmiechem: podróżny ją przyjął, lecz ani mu głową nie kiwnął.

<sup>236</sup> *Glühwein* (niem.) – wino grzane z dodatkiem korzeni.

<sup>237</sup> *Masztalerz* (z niem.) – nadzorca stajenny.

<sup>238</sup> *Reatczyk* – mieszkaniec miasta włoskiego Rieti; być może, że chodzi tu o reatczyka – Szwajcara.

„To musi być ważna figura! – rzekł w duchu Jonasz. – Nie inaczej.”

Podwoił więc grzeczności i dzieciom się kazał trzymać z daleka, gdy wtem dała się słyszeć trąbka, klaskanie z batów, szmer w ganku. Sułkowski nadjeżdżał. Gospodarz jak oparzony wyleciał na spotkanie.

Nieznajomy gość pozostał meruchomy, zamyślony, ze szklaneczką wina w ręku. I to miało swe znaczenie. Właśnie w tryumfie wprowadzano ministra do przeznaczonych dlań pokojów: gwar był wielki, bo znużony pan, dziękując, wszystkich do domów odprawiał. Służba zносиła skrzynki z wiktuałami.

Hender, którego też we własnym domu wyproszono za drzwi, wszedł dosyć kwaśny do swojego mieszkania i niepomału się zdziwił, zobaczywszy nieznajomego, który pił wino zamyślony i w ogień patrząc, miny do niego robił nieprzyjemne. Zdawał się nic nie słyszeć i nie widzieć, nawet gospodarza.

Ten stanął i czuł się w obowiązku głośno oznajmić:

– Jego Ekscelencja przybyć raczył!

Kiwnął głową dziwny gość i skrzywił się; namyślał się widocznie. Wina dopiwszy, na pectoralik<sup>239</sup> dobyty popatrzył, zrobił minę do niego niedobłą, potrząsł znowu głową, za czapkę wziął i wyszedł...

Gdyby pan Jonasz Hender bywał w Dreźnie, a miał sprawy w wyższych urzędach, poznałby był radcę Ludovici w tym gościu.

Z wolna i jakby ze wstrętem radca przyłożył rękę do klamki i nie pytając o pozwolenie, wsunął się do izby gościnnej.

Stół był w niej nakryty, służba się krzątała, młody adiutant generała stał w oknie, Sułkowski z wyciągniętymi nogami leżał na kanapie.

Zobaczywszy we drzwiach znaną twarz Ludovicio, porwał się rozpromieniony.

– To wy! – zawołał – a to przedziwnie! Mielicie tę pocziwą myśl wyjechania naprzeciw mnie: cudownie! Niezmiernie wam wdzięczny jestem, przecież się coś dowiem o stolicy; ostatnie listy próżne były i cześć. Jak się masz, Ludovici, jak się masz?

Twarc radcy, który się kłaniał jakoś smutnie, nic dobrego nie wyrażała. Przywitanie było milczące.

Ludovici z ukosa spojrział na adiutanta. Sułkowski poszedł do drugiego pokoiku, w którym ogień palił się też na kominie. Zdziwiła go tajemnicza jakaś, przeciągnięta twarz Ludovicio.

Hrabia był w humorze jak najlepszym. Nad Renem i w Węgrzech, polecony wszędzie listami, imieniem swym i stanowiskiem, jakie zajmował, jak najlepiej był przyjęty. Wracał szczęśliwy z wycieczki, dumniejszy niż kiedy, pewniejszy siebie niż dawniej.

Zaledwie weszli do drugiej izby, począł zasypywać pytaniami pana radcę. Odpowiedzi płynęły skąpo, Ludovici jakby nie miał odwagi ust otworzyć; przypatrywał się ze smutkiem tej radości, którą miał jednym słowem zniszczyć i może w rozpacz zamienić.

Dał się zrazu wygadać Sułkowskiemu, który śmiejąc się, swe powodzenia, honory, jakie mu oddawano, i doświadczenie, jakie zdobył, opisywał szeroko. Zdawało się, że w przyszłości obiecywał sobie głowę Maurycego Saskiego<sup>240</sup>.

Ludovici patrzył i głową potrząsał tylko.

– Cóż ci to, radco, przemarzł czy strząślesz się? Co ci jest? Usta ci się otworzyć nie chcą. Ludovici się dokoła obejrzał.

– Nie mam się czego śpieszyć – rzekł ponuro – bom z niczym dobrym nie przybył.

– Żona zdrowa?

– Chwała Bogu!

– Król zdrów?

– Tak, tak, zdrów, ale...

<sup>239</sup> P e k t o r a l i k (z łac.) – mały zegarek noszony na piersiach.

<sup>240</sup> M a u r y c y S a s k i (1521-1583), elektor saski, znany ze swych przebiegłych czynów politycznych.

Radca spojrzał na hrabiego i rzekł smutno:

– Z tym przybyłem, nie znajdziesz go Wasza Ekscelencja, jakimś go odjechał. Zmieniło się wiele rzeczy: ja tej podróży zawsze byłem przeciwny, jam ją odradzał.

– Ale cóż się tak złego stało?! – zawołał lekceważąco Sułkowski.

– To, co najgorszego stać się mogło – odezwał się Ludovici. – Nieprzyjacielem pańscy oskarżyli go, królowa na czele, Guarini, hrabia chytry Brühl... nie mam co goryczy saczyć po kropelce: jesteśmy zgubieni...

Sułkowski, który nań patrzył jak na człowieka, co by zmysły postradał, prawil od rzeczy, ruszył ramionami i rozśmiał się.

– Co ci się śni? Co ci się śni?

– Dałbym wiele, ażeby to snem być mogło – mówił dalej radca tonem ponurym. – Nie czas się łudzić, należy się ratować, jeżeli ratunek jeszcze możliwy. Przybyłem, wykradłem się wając życie, aby was ostrzec. W bramach straż, w domu szpiegi... Jeżeli przyjdziecie do Dreżna tak, że was w bramie poznają, nie dopuszczą was do króla nawet. Takie są rozkazy!

– Ale to nie może być! – gwałtownie wybuchnął hrabia. – To głupia mistyfikacja; ktoś ci napłócił nedorzecznosci, a tyś dobroduszenie mu uwierzył. Nie ma na świecie człowieka, co by mi mógł serce króla odebrać. To proste niepodobieństwo, bo bałamuctwo, to nikczemne kłamstwo! Ja się z tego śmieję! Mnie, mnie do króla nie dopuścić?! Ludwici, tyś zmysły postradał...

Radca, ręce złożony, stał patrząc na ministra z pewnym rodzajem politowania.

Sułkowski poczał się przechadzać po pokoju żywo, śmiejąc się niekiedy sam do siebie.

– Skądże ty te głupie plotki pobralesz? – zapytał.

– Ale z najlepszego w świecie źródła – rzekł powolnie grobowym głosem Ludovici. – Dałem słowo, że nie odkryję tego czy tej, co mnie przestrzegła i jechać kazała. To, co mówię, jest najświętszą prawdą.

– Na Boga, ale jakże się to stać mogło?! – zawołał Sułkowski nieco strwożony. – Mów!

– Król jest słaby – poczał Ludovici – królowa jest kobietą i upartą, o. Guarini jest najprzebieglejszym z ludzi, a Brühl umie doskonale nas cudzymi zagrzebywać rękami. Otóż cała tajemnica. Nie taileś Wasza Ekscelencja swej niechęci dla mnichów, masz ich pracy owoce. Wszystko ułożone. Spiskowi wymogli na królu oddalenie wasze, choć się opierał długo. Pójdziecie na honorowe wygnanie z maleńką pensyjką, abyście Brühlowi nie przeszkadzali robić milionów. Lękają się wpływu waszego, słabości serca króla, więc was do niego nie dopuszczą.

Sułkowski się zmarszczył.

– Jesteś tego pewnym? – rzekł krótko.

– Najpewniejszym: w bramach rozkaz mają straż, w zamku pilnują także. Dostaniecie odprawę, jak skoro ukażecie się w mieście.

– I król widzieć mnie nawet nie zechce?! – wybuchnął Sułkowski.

– Król jest niewolnikiem – rzekł Ludovici.

Przez chwilę zdawał się namyślać Sułkowski.

– Jeżeli myślicie z całym dworem ruszyć do miasta – odezwał się Ludovici – rzecz skończona; wpadniecie w ich ręce. Może jest jakiś środek dostać się mimo nich do króla: użycie go. Macie wpływ, próbujcie działać; ale to walka o śmierć i życie z królową, ze spowiednikiem i z Brühlem.

Z namarszczoną brwią chodził Sułkowski długo, zbliżył się potem do radcy i poklepał go po ramieniu.

– Jesteś pewny tego?

– Jak że żyję.

– No, to milcz... ja się ich wszystkich nie boję: mnie tak zgnieść jak Hoyma i innych nie można. Jam twardy... Zobaczmy... Najmniejszego nie dawaj znaku po sobie; chodźmy jeść.

Siadam z tobą na konia. Dwór zostanie tu, za kilka godzin będziemy nie poznani w Dreźnie. Ciekawym, kto mi się odważy jutro drzwi królewskich zabronić! Zobaczymy... Wszak do miasta się dostaniemy nie poznani?

– Musimy – odparł krótko Ludovici.

– Trzeba jeść, aby ludzie się z głodu czego nie domyślali. Chodź!

To mówiąc, wprowadził radcę do pierwszej izby, gdzie stół był już zastawiony. W milczeniu lub rozmawiając o rzeczach obojętnych, zaczęli się posilać, ale Sułkowski mało się czego dotknął. Piwo wino i łamał chleb, którym stół przed sobą zarzucał. Radca zmęczony jadł za wszystkich.

Sułkowski się odezwał do młodego adiutanta:

– Hrabio Alfonsie, i wy, i konie pomęczone: nocujcie w Pirnie. Ja chcę żonie uczynić niespodziankę, siadam na konia i razem z radcą przetrzęsę się trochę do Drezna.

Adiutant zdał się niezmiernie zdziwiony. Sułkowski zwyczajnie podróżował wygodnie i z pewną okazałością; takie *incognito*, w brzydką porę, po drogach śniegami zawianych, pod wieczór, wydało mu się dziwnym. Z wejrzenia jego wyczytawszy zdumienie, Sułkowski dodał z przymuszonym uśmiechem:

– Nie ma w tym nic tak nadzwyczajnego, czasem i fantazji młodzieńczej w starym wieku trzeba dogodzić.

To mówiąc, wziął na stronę owego hrabiego Alfonsa i cicho dał mu polecenie.

Adiutant wyszedł natychmiast.

Sułkowski stał milczący i zamyślony.

Wkrótce dwa świeże konie osiodlane stały u wrót gospody; radzono ministrowi, aby choć sługę lub masztalerza wziął z sobą, lecz stanowczo odmówił. Podróż ta dla adwokata, który już drogę z Drezna do Pirny raz przebył, nie bardzo będąc do konia nawykły, przykrzejszą była jeszcze niż dla pana; lecz nie chciał Sułkowskiego odstąpić.

Szczęściem dla obu niebo się wyjaśniło, śnieg przestał prószyć i mrozek tylko ostry wziął na noc. Konie były nawykłe do drogi, którą często przebywały, dosyć więc było puścić im cugle, aby się trzymały bitego gościńca. Słońce się miało ku zachodowi, puścili się kłusem wyciągniętym, hrabia przodem, adwokat za nim, nie mówiąc słowa do siebie.

Wkrótce mrok padać zaczął, lecz śnieg nieco przyświecał i konie szły instynktem. Pomijali szybko rozrzucone nad drogą osady, domki i gospody.

Już było ciemno i noc nadchodziła, i światła gęste zwiastowały Drezno. Gościniec też zaczynał być więcej ożywionym; lekkie sanie, jezdni, piesi i ciężkie wozy wymijały się nawołując. Na wypogodzonym niebie czarne wieże kościołów widać było z dala.

Sułkowski zwolnił kroku i musiał zaczekać trochę, nim go Ludovici napędził.

– Jeżeli w bramach pilnują – odezwał się – trzeba pewnych ostrożności przy wjeździe.

– Wasza Ekscelencja zawiniesz się płaszczem i będziesz musiał na ten raz jechać za mną jako mój towarzysz. W bramach pilnują wprawdzie, ale patrz na ekwipaże i dwór, z którym się spodziewają pana.

– Mówiłeś, że i około domu mojego pilnują także?

– Z pewnością – odparł Ludovici.

– Więc albo do domu nie pojadę i ukryję się u was, lub muszę pieszo tam wniknąć nie postrzeżony.

– I tego bym nie życzył – przerwał radca – w teraźniejszych czasach za sługi ręczyć niepodobna; ktokolwiek zobaczy i doniesie.

Sułkowski się zamyślił i rozśmiał gorzko.

– To zabawne! – zawołał. – Któż by mi dziś rano był powiedział, że nie będę gdzie miał bezpiecznie przenocować w Dreźnie!

Ruszył ramionami.

– Jeżeli tak jest w istocie ze mną źle – bąknął po chwili z wyrazem dumy – nie chcę narażać nikogo. Mój Ludovici, podejmij się tylko konia odesłać na pocztę, ja pójdę pieszo i miejsce sobie wynajdę, a co mam czynić, będę wiedział.

To powiedziawszy, zawrócił konia Sułkowski, okrył twarz. Ludovicio go puścił przodem, przygarbił się na siodle i z miną pachołka, który się wlecze za swoim panem, pojechał w trop za radcą.

Zbliżyli się do bramy. W istocie jak zwykle stały w niej straże, lecz radca dał im jakieś zmyślane nazwisko na pastwę, nie bardzo się nawet dwu konnym przypatrywano i bez przeszkody wjechali do miasta.

Już byli o kroków kilkanaście od wrót, gdy żołnierz, przypadł do Ludovicio.

– Skąd pan? Z Pirny może?

– Z Pirny, tak jest – rzekł radca.

– Nie słyszałeś pan o Jego Ekscelencji hrabi Sułkowskim, który dziś miał przybyć właśnie?

– Owszem – zawołał dobrodusznie Ludovici, zwracając się na siodle ku pytającemu – gospoda „Pod Koroną” zamówiona dla Jego Ekscelencji, ale nadbiegł kurier z oznajmieniem, że dopiero za parę dni z Pragi wyruszy.

Żołnierz odbiegł rad, że to ich od pilnej straży nocnej uwalniało, radca i hrabia ruszyli dalej.

W mieście ruch jeszcze był dosyć wielki, jak zwykle czasu karnawału. Około starej poczty Sułkowski zsiadł, oddał konia Ludoviciemu, kilka słów mu szepnąwszy, i zadumany udał się pieszo ku domowi.

Nie wątpił już teraz po zapytaniu u wrót, że to, o czym mu doniósł radca, prawdą było; musiał więc z pewnymi ostrożnościami dostać się do domu. Zawahał się nawet, czyby mu raczej gdzie indziej nocować nie wypadało, ale duma nie dopuszczała kryć się jak winowajcy. Szło mu tylko o to, ażeby mógł wniknąć przez służbę, której nie dowierzał, nie postrzeżony. Odwykły dawno od podobnych tajemnych wycieczek i szukania środków skrytych, Sułkowski zrazu nie bardzo umiał sobie poradzić.

Dziwnym uczuciem przejmował go widok ulic, ludzi, których poznawał, powozów przesuwających się, całego tego wesołego ruchu karnawału. Mijali go mniejsi urzędnicy i słudzy różnych dworów, których on widywał, a którzy się w osłoniętym, pieszo idącym człowieku nie domyślali wcale tego, przed którym niedawno mało na kolana nie padali. Położenie własne wydawało się Sułkowskiemu bajecznym niemal, cała przygoda marzeniem, niebezpieczeństwo urojeniem jakimś. Gniewał się niemal, że temu mógł uwierzyć. Mierzył stanowisko, jakie zajmował, z groźbą upadku i nie pojmował, ażeby coś podobnego ziszczyć się mogło.

Śmielej jakoś pod panowaniem tych myśli zmierzał ku swemu pałacykowi. Na staję już od niego będąc, dostrzegł ludzi kilku przechadzających się dokoła i niby oczekujących na kogoś. Postacie te, kryjące się po kątach, potwierdziły, iż straże koło wrót nań czatowały. Za każdym zbliżającym się powozem ludzie ci wyskakiwali zza węglów i kryjówek i kołując biegle przejeżdżającym się przypatrywać. Sułkowski wsunął się w boczną uliczkę; niepewnym był, co pocznie. W tej chwili na myśl mu przyszedł człowiek jeden, któremu zdawało się, że mógł zaufać. Był nim ojciec Vogler, jezuita, dawny spowiednik króla, człowiek stary, który się na pozór dobrowolnie oddalił od dworu, ustępując ojcu Guariniemu.

Żył on prywatnie, dō niczego się nie miesząc, rzadko pokazując na dworze, teraz zatopiony w książkach. Niegdyś ulubieniec króla, wyszedł z łask jego, nie umiając go zabawiać, nie starając się podobać, podkopywany powoli. Był to człowiek milczący, surowy, pracowity; zresztą tajemniczy i ukrywający się z sobą. Sułkowski miał go za kapelana i spowiednika w swym domu i zyskał sobie jego życzliwość. Chociaż Vogler na pozór żył z dala od wszystkich intryg dworskich, sam nawet o Guarini zdawał się go lękać i okazywał

mu wielkie uszanowanie. Vogler nie krył się ze swym wstrętem dla Brühla, a choć mówił mało, znać było, iż cały ten dwór i wszystko, co się tam działo, w smak mu nie szło.

Przypomniawszy sobie teraz Sułkowski, iż przed wyjazdem Vogler go przestrzegał, ażeby na długo się nie oddalał, zbytecznie łaskom nie ufał i tym, co przyjaźń dlań odgrywają, nie wierzył.

Jeżeli kto, to Vogler musiał być najlepiej o wszystkim uwiadomiony. Hrabia, zmuszony przekradać się przez stary rynek i ludną ulicę zamkową, przy której mieszkał jezuita, zasłonił się płaszczem jak najstaranniej i szedł w cieniu pod kamienicami, aby nie mógł być poznanym. Powozy i lektyki dążyły ku zamkowi; poznał *porte-chaise* Brühla, którą jego hajducy kłusem nieśli do zamku; minął ją, uśmiechając się sam do siebie z goryczą, którą pierwszy raz poznał w życiu. Na myśl mu teraz nie wiedzieć dlaczego przyszła ta scena uliczna z Erellem prowadzonym na ośle i zdawało mu się, że go spotkał los nieszczęśliwego dziennikarza.

Dom, w którym mieszkał Vogler, należał do zamku, a wnijsie doń było w małej uliczce bocznej, na której teraz ciemność panowała. Drzwi główne stały jeszcze otworem, ale na wschody musiał się drapać omackiem. Wiedział, że Vogler zajmował mieszkanie na drugim piętrze. Zadzwoił więc do drzwi, które z trudnością mógł wynaleźć w ciemnościach.

Zakrywszy twarz, czekał długo, aby mu otworzono. Mały chłopaczek z ogarkiem w ręku drzwi uchylił.

– Pater Vogler?

Chłopak wpatrywał się bojaźliwie w nieznajomego przychodnia i wahał co ma odpowiedzieć.

– Pater Vogler? – powtarzał hrabia głośniejszym głosem. – Interes pilny, bardzo pilny! Czy sam jest?

Chłopak nie umiał sobie poradzić, drzwi zostawił otwarte, a sam ze świecą umknął. Dopiero po chwili powrócił, ręką pokazując nieznajomemu, aby wszedł. Sułkowski, nie zrzucając z siebie płaszcza, wbiegł do mieszkania.

Była to cela uczonego. W pośrodku stół foliantami<sup>241</sup> zarzucony, przy ścianach proste półki, na których stały i leżały w nieładzie wielkie stosy książek i papierów. Na stole paliła się lampka z umbrellką. Przed nią stało wysiedziane krzesło, skórą obite, z którego tylko co powstał człowiek chudy, wysokiego wzrostu, przygarbiony, łysy, z oczyma przymrużonymi. Zdawał się odwiedzinami nocnymi niezmiernie zdziwiony i oczy osłabione pilno zwrócił na wchodzącego, który jeszcze był osłonięty cały. Dopiero gdy chłopak drzwi zamknął, Sułkowski zrzucił nakrycie głowy, odkrył twarz i zbliżył się do o. Voglera, który pochwyciwszy go za rękę, krzyknął z podziwienia.

– Tst! – zawołał Sułkowski.

Vogler go uściskał milczący i posadził, ale najprzód wyszedł do przedpokoju, aby dać rozkazy stosowne chłopcu.

Hrabia, sparty na stoliku, milczał a myślał.

– Widzę – rzekł drżącym głosem, wracając, jezuita – że musisz wiedzieć o wszystkim, choć tu u nas nikt nie wie nic jeszcze. Nikt nie widział was?

Wprost tu przybywam z podróży – rzekł hrabia. – W Pirnie dowiedziałem się o tym spisku, którego potwierdzenie z ust waszych słyszę, domyślam się. Więc to prawda? Więc śmiano?...

Vogler poruszył ramionami.

– Tak jest, czekają na was z tą niespodzianką dobrzy przyjaciele – rzekł z wolna. – Do króla was nie dopuszczają.

– Właśnie na tym mi zależy, abym ja im niespodziankę uczynił i do króla wszedł mimo ich wszystkich! – zawołał Sułkowski. – Mylą się ci panowie; król na niewidziane może podpisać wyrok, ale jeśli ja go zobaczę, jeśli ja z nim godzinę pomówię tylko, odzyskam dawną

---

<sup>241</sup> F o l i a n t (z łac.) – gruba księga formatu złożonego we dwoje arkusza.



władzę, a naówczas... Naówczas – zawołał Sułkowski, wstając i podnosząc pięść ściśnięta do góry – nie ja pójdę precz, ale ci, co się na mnie targnąć śmieli!

Zamilkł.

Vogler załamane ręce podniósł do góry.

– Idzie o to, ażebym miał gdzie przenocować i przeczekać do jutra, aby o przybyciu moim nie wiedział nikt. Na dworze nikomu z pewnością nie wydano rozkazów, żeby mnie nie dopuszczono, z prawa i z urzędu mam o każdej godzinie przystęp do Najjaśniejszego Pana: nikt mi go wzbronić nie może. O godzinie jedenastej król sam, Brühl nie ma.

Jezuita słuchał z uwagą, nie okazując, jak sądził o planie hrabiego.

– Nie macie nic do stracenia, próbować należy; potrzeba, musicie.

– Odważycie się mi dać nocleg u siebie? – zapytał Sułkowski z uśmiechem zwątpienia.

Nie namyślając się, o. Vogler odpowiedział:

– Proszę. Nie będzie wam wygodnie, ale moje mieszkanie na usługi wasze. Jesteście tu bezpieczni, bo do mnie albo nikt, lub rzadko kto przychodzi. Rozgoście się, panie hrabio, i niech Bóg pomoże dobrej sprawie.

Sułkowskiemu oczy błysły.

– Jeśli do króla dostapię, jestem pewny, wygrałem sprawę...

– Daj Boże! – szepnął Vogler.

Nazajutrz rano Brühl przez Hennickego wiedział, iż Sułkowski za parę dni dopiero ma przybyć. Posłano ajenta tajnego do Pragi, ażeby tam i w powrocie czuwał nad nim. Na dworze cały spisek ten największą był tajemnicą, hrabina Sułkowska, którą królowa uprzejmie przyjmowała na zamku, nie miała najmniejszego przeczucia. Król odzyskał był humor wyborczy, a karnawał obyczajem dawnym obiecywał się świetnie.

O rannej godzinie minister stawiał się po rozkazy, odebrał je i, zostawiwszy o. Guariniego na zwiadach przy królu, sam do pałacu odjechał. Tu przywdziawszy ubranie nowe, gdyż kilka razy na dzień etykieta zmieniać je zmuszała, kazał się nieść w lektyce do hrabiny Moszyńskiej. Był u niej teraz jak w domu. Hrabia, mąż jej, przed kilką miesiącami życia dokonał, została wdową i Brühl był pewnym równie jej serca, jak tego, że ręki nie odda nikomu. Stosunki jego czulej przyjaźni z piękną panią nie były tajne. Codziennie z nią odbywały się narady, co wieczora pani Moszyńska, jeśli Brühl przyjmował u siebie, przyjeżdżała do niego. Wiedzano, że nim rządziła. Często bardzo Hennicke, gdy pilno wypadło mu o czymś donieść, bo radzić się nie potrzebował, szukał ministra u hrabinej.

I tego dnia Brühl wszedł tu, jak do domu, dla wytchnienia. Moszyńska odpoczywała z książką w ręku, w żałobie jeszcze po mężu, piękna w tym stroju i majestatycznie poważna.

Zobaczywszy w progu wchodzącego, z dala zawołała doń hrabina:

– Sułkowski? Cóż Sułkowski? Jest? Przybył?

– Nie ma go! Z Pimy dali wiedzieć, że dopiero za dwa dni przybędzie.

Fryderyka głową poruszyła z nieukontentowaniem widocznym.

– To nienaturalne – odezwała się – to podejrzané. Żona mi mówiła, że najpóźniej miał być wczoraj. Ktoś mu mógł dać znać.

– Niepodobieństwo! Nikt nie wie! Hrabina się rozśmiała.

– Liczmy osoby przypuszczone do tajemnicy – rzekła, wydobywając piękną rękę białą i na paluszkach zaczynając rachować – królowa, Kolowrathowa, król, Guarini, wy, Henryku, ja i zapewne żona wasza. Ta, gdyby jej nie powiedziano, odgadłaby; dodajmy Hennickiego... Słyszeliście kiedy, żeby tajemnica ośmiu osobom powierzona utrzymać się mogła?

Brühl głową potrząsł, lekceważąc to sobie.

– Choćby się dowiedział, to go nie uratuje. Królowi żona tak dogryzła Sułkowskiemu, że dla najdroższego mu pokoju wyrzec się go musi.

Tak rozpoczęta rozmowa przeszła wkrótce na inne przedmioty. Brühl wszakże pomimo pozornego spokoju trochę był zamyślony i ponury. Około południa brał za kapelusz i miał

zatrzymując go hrabinę pożegnać, gdy zapukano do drzwi i jak widmo blady, nie czekając pozwolenia, wpadł Hennicke.

Zmieniona jego twarz i samo wnijsie szturmem do salonu zwiastowało już jakąś katastrofę. Hrabina się porwała z siedzenia.

Brühl pobiegł ku niemu.

Hennicke mówić nie mógł, oczy mu latały obłąkane na wszystkie strony.

– Co ci jest? Hennicke, opamiętaj się! – krzyknął Brühl.

– Co mi jest! Sułkowski potajemnie od wczoraj był w mieście, o godzinie jedenastej zjawił się na zamku, nikogo nie pytając, wszedł do króla. O. Guarini, który przy nim był, powiada, że król zbladł jak marmur. Hrabia, jak gdyby o niczym nie wleździł i nie domyślał się niczego, w najczulszych wyrazach pozdrowił króla, przyklęknawszy, i oświadczył, że pierwszym jego krokiem było i pragnieniem upaść do nóg pana. Król się rozczulił i uściśnął go. Zaczął opowiadać wesoło o podróży, o przygodach, króla rozśmieszył... i wszedł wprost w dawne swe obowiązki, nikogo nie pytając. W chwili gdy to mówię, Sułkowski jest u Najjaśniejszego Pana. Na zamku popłoch: królowa płacze, o. Guarini blady chodzi... wszystko stracone.

Brühl i Moszyńska spojrzeli na siebie.

Brühl nie zdawał się przełkniętym, ale podrażnianym mocno. Zaciśnął usta.

– Słuchaj, Hennicke, Sułkowski tam przecież pozostać przez cały dzień nie może; spotkać się z nim nie mam ochoty; dać mi znać, gdy do domu odejdzie. Doskonale pilnowano po bramach i wybornie spełniono moje rozkazy – dodał minister sucho.

Podszedł do hrabiny, pocałował ją w rękę, szepcząc słów kilka i skinawszy na Hennickiego, oddalił się z nim razem.

W krótkich słowach opisana przez radcę scena w istocie była ciekawą. Na zamku upiór żaden nie byłby uczynił większego wrażenia nad niespodzianie zjawionego Sułkowskiego, który nie pytając o pozwolenie, wszedł do króla. August osłupiał na chwilę, bo nic w świecie przykrzejszym dlań być nie mogło nad wymówki i spory; o. Guarini mimo mocy nad sobą nie mógł ukryć pomieszania. Sułkowski z pozorną wesołością przywitał pana na klęczkach, potem począł opowiadać o sobie, radować się, że miał szczęście oblicze króla oglądać. To uspokoiło nieco Augusta. Uważał tylko ojciec Guarini, że słowa prawie się nie odezwał, mruczał i uśmiechał się.

Zrazu Padre chciał pozostać do końca rozmowy i nie zejść ze stanowiska; później przyszło mu na myśl, że był obowiązany donieść o wypadku królowej, aby natychmiast środki właściwe przedsięwziąć. I choć król niespokojnie się oglądał, Guarini po godzinie prawie przysłuchiwania się wyjść musiał. Sułkowski mówił wesoło i żywo, ale jakby gorączkowo. Chociaż najmniejszym słowem nie tknął położenia swojego, nie dał poznać, że wie, co go czeka, domyślać się było można z rozdrażnienia, ze śmiałości, z jaką występował, że waży ostatnią stawkę na kartę. Król oglądał się jakby przestraszony i przybierał postawę coraz surowszą; chwilami się dawał rozchmurzyć i wnet wracał do sztywności jakiejś zimnej.

Dopóki ojciec Guarini znajdował się w pokoju, hrabia mówił tylko o swej podróży i wyprawach; gdy za nim drzwi się zamknęły, zmienił nieco ton i przedmiot.

– Najjaśniejszy Panie – mówił – z niewypowiedzianą tęsknotą śpieszyłem tutaj; miałem jakieś przeczucia przykre, choć te się, dzięki Bogu, nie sprawdziły i serce Waszej Królewskiej Mości ręczy mi za to, że się ziścić nigdy nie mogą. Służę panu mojemu od dzieciństwa, poświęciłem mu życie, gotówem oddać jego resztę; potrafiłem pozyskać łaskę i zaufanie, w sumieniu moim czuję się czystym; nie obawiam się spisków nieprzyjaciół, choćbym ich miał, a nie sądzę, ażebym mógł ich mieć, bo nikomu nic złego nie uczyniłem...

Król słuchał z tą powagą przymuszoną ciągle, która nic dobrego nie zwiastowała.

Sułkowski odezwał się jeszcze raz o ucałowanie ręki. Dał mu ją król zmieszany mruczając, przestępując z nogi na nogę, ale nie odzywając się żadnym zrozumiałym słowem. Hrabia zapalał się coraz mocniej i mówił ze zwiększającą się, rosnącą coraz gorączką.

– Królu mój, panie mój, w twe serce ja wierzę jak w Boga! Bogdajby tylko intryganci przewrotnymi jakimi i chytrymi podszeptami mi go nie odebrali.

– O! o! – przerwał August. – Tu intrygantów nie ma.

– A na jakież dwór się oni nie wcisną? Jakiejże oni sukienki nie wdzieją? – zaśmiał się Sułkowski. – Najjaśniejszy Panie, jam żołnierz i ramię po rycersku; w bawełnę nic obwijać nie umiem. Są źli ludzie, a ci, co najśłodszy, najpokorniejszy, najusłużniejszy, ci właśnie najniebezpieczniejszy. Panie i królu mój! Nie chcę innych wymieniania, ale Brühl... Brühla się pozbyć potrzeba lub ośwładnie wszystkim i odbierze Waszej Królewskiej Mości prawdziwych przyjaciół, aby sam tu władał i rozporządzał.

Mówiąc to, patrzył na twarz królewską, która się okryła purpurą, a w chwili jednej bladła i stała się białą a siną. Oczy Augusta nabrały dzikiego wyrazu, jaki nadaje gniew wstrzymywany w sobie. Sułkowski znając go, wiedział, że trzeba było wybuch taki raz zwyciężyć, aby miłującego pokój pana opanować; nie trwało to nigdy długo. Król miał popęd gwałtowny czasami do rozerwania więzów, ale spróbował ledwie swej siły, cofał się przed tym, co go użycie jej kosztować miało. Hrabia widział go nieraz w położeniu podobnym i zamiast się ustraszyć, stał się śmielszym jeszcze.

– Najjaśniejszy Panie – zawołał, doganiając króla, który z wolna wstawszy, ku oknu się cofał. – Wasza Królewska Mość czcisz słusznie w pamięci wielkiego rodzica swojego, niech on wam za wzór służy. Ten nad sobą nikomu panować nie dawał: ani królowej, ani faworytom, ani ministrom, ani mnichom. On panował wszystkim. Wasza Królewska Mość możesz skinać tylko, chcieć, rozkazać, a zamilknie, co szemrze, poleci precz, co cięży i więzi... Trzeba mieć odwagę życia i panowania, trzeba użyć żywota i władzy, którą Pan Bóg dał: trzeba te więzy potargać.

Król słuchał, ale, coraz bardziej przerażony, oburącz zatknął sobie uszy i zamiast dać jakąkolwiek odpowiedź, jeszcze się dalej usunął ku oknu.

Sułkowski, który już zaszedł tak daleko, że cofnąć się było niepodobieństwem, bił, jak mu się zdawało, żelazo, póki było gorące.

– Czuję tu – rzekł – że się targam na wielkie rzeczy, ale czynię to przez miłość dla mojego pana, którego chcę widzieć tak wielkim, jak był rodzic jego, tak szczęśliwym jak on. Co warto to życie klasztorne! Pragniesz Wasza Królewska Mość spokoju, ale go będziesz miał przy sławie i dobrej myśli, jak skoro skinać zechcesz i energicznie objawić swą wolę. Tych opiekunów nieproszonych, jak pater Guarini i pan Brühl, trzeba odprawić. Królowa, święta pani, cnót wielkich, niech się za nas modli, niech buduje swym przykładem, a my, Najjaśniejszy Panie, pojedziemy lada dzień Węgry zdobywać, bo Jego Cesarska Mość Karol VI niedługo pociągnie. W obozie dopiero odetchniesz, Najjaśniejszy Panie!

Roześmiał się Sułkowski.

Król patrzył w okno ponuro: żaden ruch i słowo nie zdradziło myśli jego.

Widocznie znużony był.

Szczęściem w tej chwili ruch na korytarzach zwiastował godzinę obiadową; August ruszył się z miejsca, jakby nie czekając dworu, chciał iść. Sułkowski podszedł do ręki, wziął ją prawie siłą, zaczął całować gorąco. Rumieniec na twarz króla wystąpił. Wszedł właśnie wielki marszałek dworu i zastał hrabiego żegnającego się z najjaśniejszym panem w tak czuły sposób, iż najmiej nie powątpiewał o łasce, w jakiej faworyt zostawał.

Część tej rozmowy, niestety, królowa sama zza drzwi wraz z o. Guarinim wysłuchiwała, ręce łamiąc.

Sułkowski wyszedł oślepiiony, pewien siebie, ufając w to, że potrafi przerobić wszystko i że nic mu nie grozi więcej. Z dawniejszą swą butą i zarozumiałością przywitał dworzan i

urzędników, których na zamku spotkał, i po krótkiej rozmowie z nimi, kazawszy sobie podać lektykę dworską, do domu nieść się polecił.

W jego przekonaniu wszystko było jak najszcześliwiej skończone i zwyciężone. Wierzył w serce króla, widział walkę, jaką stoczył z sobą, lecz pewien był, że zwyciężył. W domu przywitał żonę pogodną twarzą, rozkazał zwołać Ludoviciemu urzędników, przynieść papiery po południu i złożyć sobie raporta z czynności.

Ludovici nadbiegł pośpiesznie i został odprawiony z tym, ażeby do dnia następnego były wygotowane punkta jak najmocniej mogące Brühla potępić, wykazujące nadużycia, fałszywe rachunki, zaległości itp.

Cała część dnia i noc następna miały być poświęcone zgromadzeniu dowodów jak najbardziej obarczających.

Radca, odebrawszy te rozkazy, ruszył natychmiast dopilnować ich spełnienia.

Gdy się to działo u Sułkowskich, król przy obiedzie z początku do ust nic wziąć nie chciał. Znano go zbyt dobrze, ażeby nie użyto najskuteczniejszego środka. Frosch i Storch znaleźli się naprzeciw stołu, wyprostowani oba, mierząc się oczyma, zwiastującymi wkrótce mającą wybuchnąć walkę. Frosch, rozkraczony, z rękami w kieszeniach, ani chciał spojrzeć na Storch, raz nań czy dwa wzgardliwym rzuciwszy okiem; Storch przekrzywiwszy usta, zmrużywszy powieki pokazywał nań palcem i, stojąc wyprostowany, nieznacznie, z wolna sunął się ku niemu. Dla niepoznaki nogi jego skleione nie poruszały się, ale całym ciałem przyparty do ściany, dźwigał się cicho ku współzawodnikowi, zdającemu się nań nie zwracać uwagi.

Gdy się znalazł tak blisko Froscha, iż między niego a ścianę mógł się wcisnąć, podniósł nagle kolano i na nim podrzucił go w górę. Frosch, uderzony, krzyknął, król spojrzał i twarz mu się rozmarszczyła.

Zwykle owe trefne żarty rozpoczynały się z mimiką wyrazistą, ale w milczeniu. Okrzyk Froscha był znakiem rozpoczęcia wojny na języki. Oba ci bohaterowie słynęli z rodzaju dowcipu, który starczył na dnie powszednie królowi.

– Zdrajco! – zawołał Frosch, stojąc naprzeciw Storch. – Nie masz odwagi mnie, bohatera, zaczepić i wyzwąć do walki, bo wiesz, że startłbym cię na pył, na proch i jednym dmuchnięciem nieczyste szczątki puścił na cztery wiatry! Zachodzisz mnie podstępem, nikczemnie, podle, więc kara cię należna nie ominie.

Storch, udając skruszonego i przestraszonego, przy czym oczy mu się wywracały tak, że w nich tylko białka widać było, nagle padł na koiana, złożył ręce i zdawał się błagać miłosierdzia. Nie poruszony tym Frosch rzucił się na schylonego i złożyło się tak, że przez głowę mu się przewaliwszy, nogami zawisł na ramionach; Storch wstał, chwyciwszy go za pięty, i zaczął z nim biegać po pokoju, ale go tymczasem obu rękami Frosch bił w plecy, a w końcu za uszy pochwycił i oba się potoczyli na ziemię.

Król, o wszystkim zapomniawszy, począł się śmiać i aż się wychylił, aby przyjemnego tego widowiska nie stracić; przywróciło mu to nawet apetyt i zaraz jeść łapczywie począł.

Królowa choć ją to wcale nie bawiło, a na sercu miała troskę wielką, udawała, że się śmieje.

Wkrótce potem przy niskim stoliczku Frosch i Storch grali w warcaby, najpocieszniej w świecie zrywając sobie peruki i biegając za sobą po kątach.

Wszystko to wraz z kilkoma szklankami dobrego wina poprawiło znacznie humor królowi, tak że Józefina nie wątpiła, iż po obiedzie do pilnego dzieła przystąpić będzie można, które nie cierpiało zwłoki.

Brühl z ojcem Guarinim oczekiwali w królewskich pokojach. Minister nie wahał się w zamku na własną już odpowiedzialność wydać rozkazy, aby w razie zjawienia się Sułkowskiego powiedziano mu, iż najjaśniejszy pałi przyjąć go nie może. Szambelanowie mieli polecenie złożyć się, czym chcieli, a na żaden sposób hrabiego nie dopuścić.

Była to walna bitwa, która nie wiadomo czyim skończyłaby się zwycięstwem, bo mowa Sułkowskiego pewnie na królu uczyniła wrażenie, gdyby nie to, że królowa Józefina słyszała część znaczną śmiałych wykrzykników hrabiego i poduszczeń do odzyskania niepodległości.

Jak zwykle, August po obiedzie aż do opery lub muzyki śpieszył przywdziać szlafrok i zamknąć drzwi swe natrętom i już żegnał Józefinę, nic o Sułkowskim nie wspomniawszy, gdy ona go sama zatrzymała w gabinecie.

– Auguście – zawołała – słyszałam, co ci mówił i do czego cię nakłaniał Sułkowski.

– Gdzie? Jak?

– Byłam u drzwi – przerwała Józefina – i dobrze się stało, że tam znalazła przypadkiem. Ty jesteś aniołem dobroci, ale król takim być nie powinien. Ten zuchwalec obraził majestat królewski, mnie, ciebie; śmiał się zapomnieć do tego stopnia, aby ci radzić życie bezbożne. Auguście, jeżeli noga tego człowieka postanie na dworze, pioruny i kara boska ścigać nas będą. Tyś to ścierpiał...

– A, a cóż? a jakże? – zapytał August. – To mnie męczy. Ja potrzebuję spoczynku. Wypędzić go... no... wypędzić.

– Daj natychmiast rozkazy.

August posłusznie głową skłonił. Nie dowierzająca mu jednak królowa posłała natychmiast po Guariniego i szepnęła mu, aby działał niezwłocznie.

Brühl, posepny i zmieszany, czekał na pana. Zobaczywszy go, nie powiedział nic August, tylko z wymówką pokiwał głową, pogroził i rzucił się na krzesło.

Prawie w tejże chwili -wchodził, śmiejąc się, o. Guarini.

– A! a! Zguba się nam znalazła! Najjaśniejszy Panie, Sułkowski powrócił, znać pomiarkował, że niepotrzebnie szukać chciał szczęścia po świecie. *Chi sta bene, non si muove*<sup>242</sup>. Żle mu tu znać było, jednak wrócił, bo gdzie indziej jeszcze gorzej!

August fajkę palić zaczynał i wskazał nią na Brühla.

– Ten winien! ha? Po co wpuścili! Królowa słuchała, głupstwa gadał... Pfuj!

– Nie jam winien, ale nas ktoś zdradził Najjaśniejszy Panie! – zawołał Brühl.

– Rób, co chcesz! – rzekł król żywo. – Nie chcę widzieć. Napisać rozkaz, do podpisu dać, posłać...

– Ale nie ma się czym trapić! Nie ma sobie czym psuć humoru i zdrowia. Najjaśniejszy Panie – dodał Guarini – Faustyna dziś śpiewa razem z Albuzzi, są w najczulszej zgodzie, kochają się jak dwie gołąbki.

Obejrzał się August i zamruczał:

– *Amor, quel che piace!*<sup>243</sup>

Był to początek śpiewu, którego o mało nie zanucił, lecz zaraz się zajął fajką.

O. Guarini, dbały o to, ażeby smutne przerwać myśli, nastroił tak rzeczy, iż natychmiast wniesiono przysłany z Wenecji przepyszny portret Giorgiona<sup>244</sup>. Ujrzawszy go, król porwał się w uniesieniu:

– A, *che bello!*<sup>245</sup>

Zapomniał o wszystkim.

—Co to za miękkość! jaka słodycz... co za koloryt, jakie życie! - wołał, lubując się arcydziełem, i oczy mu się uśmiechały.

W pół godziny potem w jakimś niezmiernie ważnym teatralnym interesie prosiła o posłuchanie Faustyna i otrzymała je.

Cofnęli się wszyscy. Nadzwyczaj ożywioną rozmową bawiła króla dobre pół godziny, a gdy wyszła, August ją wzrokiem. przeprowadzał tak rozpromienionym, jak gdyby ani

<sup>242</sup> *Chi sta bene, non si muove* (wł.) – komu się dobrze wiedzie, ten się nie rusza.

<sup>243</sup> *Amor, quel che piace* (wł.) – miłość, która się podoba.

<sup>244</sup> Giorgione de Castelfranco (Giorgio Barbacelli) – malarz wenecki (1478-1510).

<sup>245</sup> *A, che bello!* (wł.) – a, jaki piękny!

ministrów, ani interesów, ani żadnego utrapienia na świecie nie było. Chmury zostały rozproszone do jednej.

Nie tak było łatwo niepokój królowej i innych osób, należących do spisku, rozpędzić. Znano śmiałość Sułkowskiego, przywiązanie króla do niego, środki, jakich mógł użyć, ażeby się docisnąć, wiedząc obyczaj Augusta i mając na dworze przyjaciół i protegowanych wielu. Straże więc tego dnia rozstawiono wszędzie: około pałacu hrabiego, który się ruszać nie myślał, około opery, na zamku, u drzwi bocznych, u wnijsia na wschody wiodące do apartamentów królewskich...

O. Guarini nie odchodził na chwilę, królowa czuwała. Brühl naradzał się, biegał, hrabina Moszyńska jeździła, Hennicke ze wszystkimi podwładnymi, Globig, Loss, Stammer, cała czereda sekretarzy i służby Brühla rozsypali się po mieście, zajmując przeznaczone im stanowiska.

Ruch ten wszystek wcale nie obchodził Sułkowskiego, pewnego swojego zwycięstwa i wygotowującego notaty, którymi miał położyć przeciwnika. Hrabia, swym rannym wystąpieniem dumny, przekonany był, iż nim wrażenie na królu uczynił, które wszelkie inne przeważy.

Żona, mniej dowierzająca, pojechała wieczorem do królowej. Nie przyjęto jej zrazu. Zaniepokojona tym, domagała się usilnie chwilowego posłuchania i wreszcie je otrzymała. Józefina przyjęła ją bardzo zimno, lecz z porady o. Guariniego odegrać miała rolę całkiem nieświadomej spraw dwom i nie mieszącej się do niczego.

Hrabina Sułkowska, panną będąc, była frejliną królowej, miała jej łaskę i niczym na zmianę uczuć nie zasłużyła. Weszła do pokoju, w którym Józefina nad książką pobożną siedziała, nie wiedząc sama, jak ma rozpocząć rozmowę. Z przybranym uśmiechem oznajmiła najjaśniejszej pani, że przysłała się szczęściem swym z nią podzielić z powrotu męża. Z tego zrzecznie przeszła do pogłosek, jakoby nieprzyjaciele jego szkodzić mu usiłowali.

– Moja hrabino – przerwała królowa – mówmy o czym innym, proszę cię; ja zajęta jestem moimi dziećmi, modlitwą, sztuką, ale do żadnych spraw i intryg dworskich się nie mieszam i wcale o nich wiedzieć nie chcę.

Jeszcze raz usiłowała uzalić się hrabina, królowa powtórzyła zimno:

– O niczym nie wiem. Król się mnie wcale nie radzi, ja się do jego spraw nie wtrącam...

Po krótkiej rozmowie, zwróconej zaraz przez królowę na świeżo nawróconego i ochrzczonego Izraelitę, którego hrabina była kumą, potem na nabożeństwo postne, jakie się od Popielca zaczynać miało, pani Sułkowska wstała i ze smutkiem pożegnała królowę. Czy uwierzyła w tę całkowitą nieświadomość Wszystkiego, w to usunięcie się zupełne od dworskich intryg, odgadnąć trudno. Dostyć spokojna, bo nawykła wierzyć w męża, odjechała do domu.

Późno w noc nadszedł Ludovici, ale w humorze nie zwiastującym nic dobrego. Przychodził z oznajmieniem, że w poszukiwaniu aktów znajdował nieprzełamane przeszkody, że urzędnicy nie byli na swych miejscach po biurach, że wszystko się dnia tego rozprzegło, że go zbywano rozmaitymi nieprawdopodobnymi i śmiesznymi pretekstami i że na jutro w żaden sposób gotowy z papierami być nie może.

## IX

Są charaktery podobne Sułkowskiemu, które niebezpieczeństwa do ostatniej chwili widzieć i uwierzyć w nie nie chcą. Ani to, co mu od królowej przyniosła żona, nie kryjąc, iż była zbyt zimno i obojętnie przyjęta, ani to, co mu oznajmił Ludovici, nie odjęło zaufania w siebie i wiary w przyszłość. Zdawało mu się, że król doń był nadto nawykłym, aby się bez

niego mógł obejść. Pewien był, że na nim silnie uczynił wrażenie ostatnią rozmową, jeżeli się to w ten sposób nazwać mogło; nie wiedział zresztą może sam, na co rachował, lecz był zupełnie spokojnym.

Żona, kobieta skromna, bojaźliwa, znająca dwór i dwory, i to, co się zwykło zwać łaską pańską, choć nie okazywała tego po sobie, w śmiertelnej była trwodze. Wiedziała dobrze, iż niełaska w Saksonii, zwłaszcza gdy się zajmowali przygotowaniem jej nieprzyjaciele, nie kończyła się na prostym usunięciu i wygnaniu. Szła za nimi pod jakimkolwiek pozorem konfiskata dóbr, a często i wiekuiste więzienie bez sądu i bez wymiaru... trwające życie całe. Sułkowski, popadłszy w niełaskę, zawsze mógł być strasznym swym nieprzyjaciółom przez stosunki na dworach: francuskim, austriackim i pruskim; cóż więc naturalniejszego było nad obawę, aby go nie zamknięto dla własnego bezpieczeństwa?

W śmiertelnej trwodze spędziła noc pani Sułkowska, kryjąc łzy swe, którymi mężowi męstwa odejmować nie chciała.

Hrabia, przeciwnie, był w wybornym humorze, zwierając się żonie, co mówił królowi i jakie na nim uczynił wrażenie. Pochlebiał sobie, że sieci zastawione przez nieprzyjaciół potargał, że wszystko powróci do dawnego stanu i że on teraz obali tę klikę nieprzyjazną, a królowę usunie tak i otoczy, aby niebezpieczną być przestała. Nazajutrz rano, dnia 5 lutego, hrabia po męczącej podróży nie zasnął długo, obudził się o zwyczajnej godzinie, ubrał i wedle dawnego obyczaju pojechał do króla na zamek.

Gdyby był cokolwiek więcej miał przebiegłości, a mniej zaufania w siebie, dostrzegłby był z łatwością, że zobaczywszy go, wszystek dwór spoważniał; że niektórzy się nieznacznie z drogi usuwali, a ci, co nie mogli uniknąć z nim spotkania, nadzwyczaj byli małomówni i chłodni. Sułkowski miał dawniej swobodę wchodzenia do króla, kiedy mu się podobało i gdziekolwiek się znajdował.

Dążył więc prosto do pokojów króla, wiedząc, gdzie go szukać o tej godzinie, gdy Löwendahl zaszedł mu drogę grzecznie bardzo i oznajmił, że król w swoim gabinecie pilnymi sprawami jest zajęty i bez wyjątku żadnego nikogo a nikogo wpuszczać nie kazał.

– Ale to się do mnie stosować nie może! – zawołał Sułkowski uśmiechając się.

– Nie wiem – odparł Löwendahl – może się to później wyjaśni, lecz darujesz mi hrabia, że ja ściśle się muszę pilnować rozkazów i nie śmiem ich tłumaczyć.

Nie chcąc się poniżyć do sporu, Sułkowski, pewien, iż się później pomścić potrafi tego niewłaściwego znalezienia się, uklonił z dała, zawrócił i odszedł. Postanowił przyjechać powtórnie o godzinie jedenastej, gdy król wszystkich zwykł był przyjmować. Schodząc ze wschodów, z dała zobaczył *porte-chaise* Brühla i to go mocno ubodło.

„Ale cierpliwości – rzekł w duchu – cierpliwości! Są to ostatnie wysiłki tych ichmościów, przecież nie będą śmieli drzwi mi zamknąć przed nosem. Zobaczymy...”

Pojechał do kancelarii Ludoviciego i znalazł go bladym i pomieszanym.

– Papiery? Macie papiery? – zapytał.

– Dotąd ich nie mam, zbieram to, co wprzód było przygotowane; jest coś w obejściu się ze mną urzędników tajemniczego, nic dobrego i nic nam nie zwiastującego pomyślnego: chodzą, a raczej uciekają jak poparzeni.

– Ja to rozumiem bardzo dobrze – zaśmiał się Sułkowski. – Jakże chcesz, aby kto widząc swój upadek, nie stracił głowy. Ja się jeszcze do Najjaśniejszego Pana docisnąć nie mogłem, powiedziano mi, że zajęty w gabinecie. Musi być walna narada, co tu zrobić z Sułkowskim, który wszystkim szyki pomieszał.

Zaczął się śmiać, a Ludovici westchnął, ale z błędu wyprowadzać nie myślał.

Ważył się przez chwilę, czyby nie jechać do Brühla. Właściwie on powinien był już być u Sułkowskiego; usunięcie się także było rodzajem wypowiedzenia wojny.

„Nieczyste ma sumienie – rzekł w duchu – nie śmie mi się na oczy pokazać, a może węzełki zwija, czując odprawę. To pewna, że nie dam mu tu popasać długo.”

Ludovici nie był tego dnia do rozmowy, milczał, zamyślał się, stawał nie słysząc, co doń mówiono, przechadzał się, stękał. Sułkowskiego to prawie śmieszyło.

Nie mając co począć z sobą, dla żartu postanowił odwiedzić hrabinę Moszyńską, aby zobaczyć, jak go też przyjmie i czy bardzo się przestraszy. Ruszył więc do hrabiny, ale tu przeproszono go, że godzina była ranna, a hrabina nie ubrana. Wrócił do domu, gdzie żona go u progu spotkała niespokojna.

Sułkowski, żartując z jej przestachu, powiedział, że natychmiast jedzie na powrót do króla. Zamilkła na to. Było trzy kwadranse na jedenastą, gdy Sułkowski na zamek udał się znowu. W przedpokojach osób znalazł bardzo mało. Frosch i Storch, którzy tylko przy królu byli tak pocieszni, siedzieli z minami powszednimi ludzi znudzonych i nie mających najmniejszej ochoty do błaznowania. Storch miał od padania na ziemię bóle w kolanch, a Frosch, posepny, wyglądał jak noc i nie widać było w nim najmniejszego do wesołości usposobienia. Siedział z obowiązku, oczyma i sercem będąc za oknem, gdzieś w domu.

Gdy Sułkowski do drzwi apartamentu się zbliżał, paź króla przybiegł i oznajmił mu, że najjaśniejszy pan był u najjaśniejszej pani. Do królowej iść nie chciał, ani mógł Sułkowski; tam potrzeba się było anonsować i mógł być nie przyjętym. Przeszedł się kilka razy po przedpokoju i nie wiedząc, co z sobą począć, udał się na powrót do lektyki. Chciał się kazać nieść do domu, ale wiedział, że widok tak wcześniej powracającego zaniepokoi żonę, wołał więc przebyć tę chwilę gdzie indziej.

Ta powtórna niebytność króla mogła mu dać do myślenia: w istocie dorozumiewał się intrygi, lecz w skutek jej nie wierzył. Postanowił stałością i cierpliwością przemóc te przeszkody, wytrwać na stanowisku, nie okazywać zniecierpliwienia i był zawsze jeszcze pewien, że zwycięży.

Po drodze był dom Faustyny. Postanowił wstąpić do niej. Znał on admirację króla dla śpiewaczki i jej usposobienia, miał nadzieję, jeśli się nie dowiedzie czego od niej, to przynajmniej wyrozumieć. Już w przedpokoju dochodziła go taka wrzawa włoska, że niemal chciał się cofnąć, aby nie wpaść w niewłaściwe towarzystwo. Wtem drzwi się otworzyły i Amorevoli, Monticelli, Albuzzi, Puttini, Pilaja, kilku Francuzów, krzycząc i kłócąc się jeszcze, poczęło się wysypywać z pokoju. Zobaczywszy Sułkowskiego, wszyscy natychmiast umilkli, rozstępując się i kłaniając mu nisko.

Faustyna, która ich wypędziła, właśnie stała na progu: zdziwiła się na widok hrabiego i zmieszana nieco, z uśmiechem wymuszonym, zaprosiła go, aby wszedł.

– Kiedyż Wasza Ekscelencja wróciliście?! – zawołała. – My nic nie wiemy o jego powrocie.

– A, bo ja dotąd na pół jestem *incognito* – rozśmiał się hrabia. – Proszę sobie wystawić, piękna pani, że od wczoraj nie mogłem dostąpić szczęścia oglądania pana mego. Trzy razy byłem w zamku, a dwa nie zostałem przyjęty. Ja!! – dodał Sułkowski, wskazując palcem na siebie. – Zaczynam sądzić, że kilkomiesięczne oddalenie uczyniło mi dwór i jego obyczaje niezrozumiałymi, i przychodzę do was prosić o tłumaczenie.

– Hrabia sobie przyjemne żarty ze mnie stroisz – odparła Włoszka, spoglądając nań z pewnym politowaniem i uwagą. – Ja znam tylko dwór ze sceny. Na scenie królową jestem lub boginią, a zszedłszy z desek, zupełnie nieświadomą istotą tego, co się w świecie dzieje.

– Jednakże – ciszej począł Sułkowski – powiedzcie mi, słyszeliście co? Czy się tu jaka burza na mnie zebrała, staraniem waszego przyjaciela Guariniego naprowadzona...

– Nic a nic nie wiem – trzęsąc głową, ozwała się Faustyna – mnie moje kłopoty teatralne starczą. Być bardzo może, że na was, panie hrabio, spiskują, ale wy przecież obawiać się tego nie potrzebujecie.

– Ani się też lękam, lecz chciałbym *tirer au clair*<sup>246</sup>, co to jest.

---

<sup>246</sup> *Tirer au clair* (fr.) – wydobyć na światło.



– To jest zazdrość i współzawodnictwo – odezwała się Bordoni. – My w teatrach doskonale to znamy: rzecz niezmiernie powszednia.

– A lekarstwo na to?

Faustyna ruszyła ramionami.

– Kto może się usunąć, uciec, a kto ma ochotę walczyć, musi się bić i trwać w boju, bo spokojności nie znajdzie nigdzie i nigdy.

Sułkowski nie śmiał jej przypomnieć przestroąg, jakie mu dawała przed kilku miesiącami, teraz mowa jej i usposobienie były całkiem zmienione: Faustyna lękała się. Widząc, że się niewiele dowie, hrabia spytał o nową operę, o muzykę, o Hassego; przeszedł się po saloniku kilka razy i pożegnał Faustynę.

Postanowił wprost jechać do domu. Pomimo wiary, która go dotąd nie opuszczała, chmurne miał czoło i musiał się powstrzymywać, aby nie okazać niecierpliwości, jakiej doznawał.

Przed pałacem znalazł ekwipaż dworski. Baronówna Löwendahl, córka w. ochmistrza dworu, była u jego żony. Sułkowski poszedł do salonu. Na kanapie siedziały dwie panie zajęte żywą i niespokojną rozmową. Widząc go wchodzącego, panna Löwendahlówna, żywa osóbką, niezbyt już młodziuchna, która zawsze o wszystkim bywała najlepiej uwiadomioną, porwała się z kanapki i podbiegła ku niemu. Na twarzy jej widać było pomieszenie i rozdrażnienie niezwykle.

– Hrabia mi to najlepiej wyjaśnisz – zawołała witając się. – Na dworze zaszły czy gotują się jakieś zmiany. Nie możemy odgadnąć, co to być może.

– Ale skądże panie to wnoszą? – zapytał, witając się, gospodarz.

– Wiem doskonale – poczęła żywo Löwendahlówna. – Przed godziną król posłał po starego generała Baudissina, który leży na podagrę chory, i kazał mu do siebie przyjechać. Generał, który ledwie o kiju się może po pokoju przechadzać, kazał przeprosić króla, tłumacząc się chorobą; mimo to posłano po niego raz drugi i widziałam na moje oczy sama, że musiał jechać i pojechał na zamek.

– Nie wiem, co to może być – odpowiedział spokojnie Sułkowski. – Byłem na zamku dwa razy, ale oba razy najśmieszniej w świecie trafiłem tak, że króla widzieć nie mogłem.

Zaczął się śmiać, panna Löwendahlówna ciągnęła dalej, szczebiocząc żywo:

– Od kilku dni już głoszą, że Baudissin, który kilka razy na próżno o dymisję prosił, dostanie ją nareszcie. Nic mu tak złego nie będzie, bo dawno odpocząć potrzebuje. Gorzej daleko, bo drudzy mówią, że mój ojciec może także być odprawionym.

– Nie sądzę – rzekł Sułkowski – ale żem od kilku miesięcy nie był w Dreźnie, nie rozumiem tego wszystkiego, nie jestem *au courant*<sup>247</sup>.

Panna Löwendahl spojrzała nań.

– Domyślić się łatwo. Miejsca są potrzebne dla nowych kreatur.

– Cicho, cicho! – przerwała hrabina. – Doprawdy ja się lękam już i słowa...

Hrabia ramionami ruszał.

– Popłoch próżny – rzekł. – Zmieni się to wszystko wprędce.

Na te słowa wszedł kamerdyner.

– Jego Ekscelencja wielki ochmistrz, baron Löwendahl i Jego Ekscelencja generał Baudissin.

Wszyscy po sobie spojrzeli, marszałkówna pobladła i cofnęła się ku kanapie.

– Prosić – zawołał, idąc ku drzwiom, Sułkowski.

W tejże chwili wchodzili już oznajmieni goście, a Löwendahl, zobaczywszy córkę, zdziwiony nieco na nią popatrzał, jakby wymawiał, że ją tu znajduje.

---

<sup>247</sup> *A u c o u r a n t* (fr.) – poinformowany, obznajomiony z położeniem.

Przywitanie było zimne, Sułkowski sztywnie i chłodno przyjmował gości, nie umiając sobie wytłumaczyć ich odwiedzin. Wskazywał im siedzenia, gdy Baudissin zbliżył się do niego i rzekł:

– Hrabia pozwolisz, ażebyśmy mogli mówić bez świadków; przychodzimy z polecenia króla.

Twarz Sułkowskiego nie zmieniła się wcale, wskazał natychmiast drzwi przyległego gabinetu.

Kobiety, które cichej rozmowy posłyszeć nie mogły, siedziały przestraszone i zaciekawione. Sułkowska, blada, drżała czując, że to nie zwiastowało nic dobrego.

Panna Löwendahl chciała odjechać i nie miała siły, hrabina zatrzymywała ją gwałtownie.

Gdy się we trzech w gabinecie znaleźli, Baudissin, stare, posłuszne żołnierzysko, z widoczną przykrością dobył z kieszeni fraka papier... rozkaz z królewskiej kancelarii przysłany i przez króla własnoręcznie podpisany.

W milczeniu podał go Sułkowskiemu, który w przejściu z salonu do gabinetu, jak gdyby próg innego świata przestąpił, stał blady i widocznie rażony jak piorunem. Drżącymi rękami ujął ten papier, oczy nań zwrócił, czytał, a nie rozumiał: stał jak obłąkany.

Löwendahl, któremu i żal się go zrobiło, i szło o to, aby oo prędzej się stąd wydobyć, widząc, że hrabia stoi, milczy i nie zdaje się rozumieć, o co idzie, stanął za nim i głośno czytać zaczął powoli. Pismo było w niewielu wyrazach krótko zredegowane:

„Jego Królewska Mość, zauważywszy, że hrabia Sułkowski po kilkakroć i ostatni raz przy widzeniu się z nim zapomniał się a uchybił Jego Królewskiej Mości, uznał właściwym urzędy, jakie przy Jego Królewskiej Mości sprawiał, odjąć i od obowiązków wszystkich przy sobie uwolnić. Jednakże ze względu na długoletnią służbę jego raczył mu pensję jako generałowi pozostawić”.

Coś gorszego może spodziewał się zapewne Sułkowski, wnosząc z tego, co innych spotykało, rozpatrzywszy się więc w piśmie, przyszedł wkrótce do siebie i odzyskał przytomność.

– Wola Najjaśniejszego pana – rzekł – jest dla mnie świętą. Jakkolwiek czuję się niesprawiedliwie dotkniętym skutkiem zapewne poduszczeń nieprzyjaciół moich, zniosę, co mi przeznaczono. Jeżelim się nawet zapomniał wobec Jego Królewskiej Mości, pewnie to raczej było skutkiem mojej miłości dla Najjaśniejszego Pana niż braku poszanowania.

Baudissin i Löwendahl nie odpowiedzieli nic. Sułkowski, przed którym niedawno jeszcze niemal na twarz padali, ujrzał na nich pierwszych skutek niełaski.

Dawna grzeczność zapomniana została: Baudissin obchodził się z nim jak z równym, a Löwendahl jak z podwładnym. W twarzach było widać zakłopotanie i chęć jak najrychlejszego uwolnienia się.

Oba skłonili się z dala, obłudnie, Sułkowski oddał im ukłon i wyprowadził do sali. Tu z daleka tylko pożegnawszy siedzące panie, wyszli co najrychlej. Hrabia, niewiele już po sobie okazując wrażenia, przeprowadził ich grzecznie do sieni i powrócił spokojny niemal tak, że żona domyślić się z twarzy nie mogła, co się stało. Potajemna ta narada nie była daremną.

Panna Löwendahl dosiadywała, chcąc się o czymś dowiedzieć.

Nie śmiano go pytać.

Z zimną krwią Sułkowski przystąpił do stołu i spojrzał na żonę, której twarz wyrażała niespokojną ciekawość.

– Winszuję pani – rzekł głosem, w którym lekkie przebijało się drżenie – jesteśmy wolni. Najjaśniejszemu Panu podobało się ze swej służby mnie odprawić. Nie boli mnie to nic, a nic, chociaż dobrego i kochanego pana żałuję. Na dworze tym jednak w takim składzie okoliczności, jaki jest dzisiaj, wytrwać uczciwemu człowiekowi było trudno.

Żona rzuciła się na kanapę, zasłaniając oczy.

– Moja droga – rzekł hrabia – uspokój się, proszę. Przyczyną odprawy ma być to, że się wobec Króla Jego Mości zapomniał, co znaczy, że mówił niemiłą i nieproszoną prawdę; król mi zostawił raczył pensję generalską, a dał mi nieoszacowaną swobodę – dodał, rękę wyciągając ku żonie. – Pojedziemy do Wiednia.

Panna Löwendahl patrzyła na hrabiego z podziwieniem. Nie mogła pojąć tej spokojności, z jaką przyjął nagły swój upadek ze szczytu. W istocie duma Sułkowskiego nie dozwalała mu ani mocno uczuć wrażenia, ani go okazać. W prędkim czasie po pierwszym osłupieniu przyszedł do siebie i po pańsku przyjął, co los mu wydzielił. Być bardzo może, iż spodziewał się jeszcze zmiany...

Hrabina płakała.

Uczuła panna Löwendahl, że była tu zbyt cenną, bo pocieszyć nie mogła, a przytomnością swą nie dała się im wynurzyć przed sobą; ścisnęła więc w milczeniu rękę przyjaciółki i wysłiznęła się z pokoju.

Sułkowska padła twarzą na kanapę.

– Droga moja – zawołał hrabia – zaklinam cię na wszystko, bądź mężną! Nie przystoi nam dać poznać, żeśmy dotknięci. Zawdzięczamy sercu króla, że ja nie jadę jeszcze do Königsteinu na miejsce Hoyma i że zamiast mi odebrać majątek, zostawia mi pensję. Wygnanie w Uebigau, na które jestem skazany, nie ma w sobie nic strasznego i nie wyłącza nadziei... obalenia tego całego rusztowania, które zręczna ręka pocziwego, słodkiego, wiernego mojego przyjaciela Brühla zbudowała... uspokój się, proszę cię.

Ale nielato łyżę ukoić było.

Sułkowski, nic nie mówiąc, spojrzał na zegarek, podał rękę żonie i szepcząc po cichu, przeprowadził ją do jej pokojów.

## X

Jeżeli co może w człowieku. obudzić najwyższą wzdargę dla plemienia ludzkiego, to widok zmiany naglej, jaką wywołuje ruina i upadek przed chwilą jeszcze bałwochwalczo czczonego ulubieńca losu. Jest w tym coś tak nikczemnego, tak upadającego, iż serce wzdyga się na to; ale w takich tylko razach człowiek poznaje świat i wypróbowuje swych współbraci. Kto nie przeszedł przez podobne przesilenie sam, nie odczuł tego, co ono budzi w sercu, nie pojmie, jaką goryczą zapływa.

Sułkowski, który od dzieciństwa był przy królewiczu i nawykł uważać się za przyjaciela, który nie przypuszczał nawet, ażeby coś podobnego jemu się trafić miało, znosił swą dolę z dumą chłodną, lecz nie mógł się powstrzymać od najwyższej pogardy, jaką w mm już obejście się dwóch królewskich posłów wzbudziło.

Wysłał natychmiast po Ludoviciego. Radca był mu winien wszystko, był mu do ostatniej chwili wiernym; lecz... obawa o los, o miejsce, o stanowisko sprawiły, że teraz już na zawołanie nie przybył, wymawiając się zajęciem urzędowym.

– Wypadnie więc – rzekł zimno hrabia – ażebym ja poszedł do niego z wizytą, choćby dla odebrania papierów, jeśli te nie są już w ręku Brühla i jeśli nimi nie okupił przebaczenia.

Wybrawszy popołudniową godzinę, hrabia tegoż dnia udał się na zamek. Pochód ten był prawdziwą drogą krzyżową.

W mieście już od dwóch godzin wiedzano o upadku Sułkowskiego; chociaż jedną chyba dumą tylko mógł zawinić względem podwładnych i nikomu nic złego nie uczynił, a dla wielu był aż nadto dobrym, wszyscy się czuli w obowiązku okazywać mu, jak się radowali niepomiarownie z jego upadku.

Przechodził około kancelarii Brühla; zobaczyli go pisarczykowie przez okno: cała zgraja ich z piórami za uchem, z rękami w kieszeniach, ze śmiechem na ustach wybiegła na ganek, w ulicę, żeby się wczorajszemu władcy, a dziś skazanemu winowajcy przypatrzeć. Sułkowski słyszał i widział, co się wkoło działo, ale miał tyle mocy nad sobą, że się ani obejrzał, ani dał poznać, iż coś widzi i czuje. Przeszedł wolnym krokiem i pominął ich, choć długo szyderstwa i wykrzyki dochodziły jego uszów.

Po drodze co krok spotykał kogoś z tych, co wczoraj mu się najuniżeniej kłaniali, a dziś udawali, że go nie widzą, lub wpatrywali się natrętnie, nie zdejmując kapelusza, ażeby okazać, iż sobie drwią z niego. Mijały go powozy, z których ciekawe wychylały się głowy i ściagały go oczyma. Na zamku wniśćcie nieboszczyka nie uczyniłoby było pewnie większego wrażenia: szepty, cofania się, śmiechy lub usuwanie się z drogi witały go wszędzie.

Nie śmiano mu drzwi zamknąć, ale służba nawet nie ustępowała idącemu. Przy tych usposobieniach trudno się było do kogo odezwać, nie było kogo zapytać.

Sułkowski cofnąłby się był może i nie powstał tu więcej, ale chciał i postanowił raz jeszcze króla zobaczyć.

Wiedząc godziny, łatwo mu było obrachować, iż król, nawykły do bardzo regularnego życia, przechodzić będzie przez garderobę, idąc do królowej. Tu szczęściem nie było nikogo. Wprawdzie służba mogła oznajmić najjaśniejszemu panu i przestrzec o nim, lecz ważył się już na wszystko.

Przez kilkanaście minut ów mocarz, co niedawno trząśł całym dworem i królem, pozostał sam w kątku, rozmyślając nad tym, jakie los mu zgotował koleje. Zadumał się tak, gdy drzwi się otworzyły; król nie patrząc i nie widząc go, wszedł z szambelanem, a gdy Sułkowski, nagle przypadłszy, do nóg mu się rzucił, chciał przerażony cofnąć się nazad.

Hrabia za nogi go pochwycił.

– Najjaśniejszy Panie – zawołał – nie godzi się, abyś sługę twego, nie wysłuchawszy, odpędzał! Od dzieciństwa miałem szczęście wiernie sprawować me obowiązki przy osobie Waszej Królewskiej Mości.

Na twarzy króla zbladłego odmalowało się jak największe pomieszenie i trwoga. Głosem przerywanym zawołał:

– Sułkowski... ja nie mogę... idź... ja nie chcę słyszeć nic...

– Na Boga Waszą Królewską Mość zaklinam – podchwycił hrabia – nie domagam się nic oprócz tego, abym czysty odszedł, bo się nim czuję i jestem w sumieniu. Racz Wasza Królewska Mość przypomnieć lata, które przebyłem u jego boku, czym kiedy zawinił, czym się przeniawierzył, czym się zapomniał i przekroczył przeciw winnemu poszanowaniu... Są ludzie, którzy mnie chcą usunąć, aby oko pilne, strzegące ich czynności, czuwać nie mogło; chcą mnie oddalić dlatego, że wierny. Królu...

Podniósł oczy, August swoje drżącymi rękami zasłaniał i mecierpliwie nogami tupał powtarzając:

– Nie chcę nic słyszeć...

– Ja się chcę tylko usprawiedliwić.

– Dość! – zawołał król. – Mam najmocniejsze postanowienie rozstać się z wami: to się już zmienić nie może. Ani wam, ani rodzinie waszej, ani nikomu nic się złego nie stanie... bądź spokojny, ale idź. idź, idź!!

Król mówił to tak gwałtownie i z takim przestachem, jakby się obawiał, aby kto nie nadszedł na tę scenę lub żeby łzy go nie zmiękczyły.

– Najjaśniejszy Panie! – krzyknął w rozpacz hrabia, porywając się z ziemi – nie chcę nic, ale niechże mi choć wolno będzie za doświadczone od Waszej Królewskiej Mości łaski i dobrodziejstwa złożyć ostatni raz dzięki; o ostatnią łaskę proszę: niech królewską rękę, której winienem tyle, ucałuję.

Królowi także na łzy się prawie zbierało, ale miał za sobą szambelana, świadka i szpiega zarazem; wyciągnął więc rękę drżącą, którą hrabia pochwycił, okrywając pocałunkami.

– Królu mój! – zawołał – i taż to ręka mnie dziś odpycha niewinnego! Niewinnego, powtarzam, bom chyba zbytciem. nulości dla Waszej Królewskiej Mości mógł zgrzeszyć.

Niepokój i trwoga w królu rosły widocznie.

– Dosyć! – krzyknął. – Ja was słuchać nie mogę, nie chcę i rozkazuję odejść.

Sułkowski zmilczał już, skłonił się i odstąpił. August pominął go i rzucił się co żywiej do drzwi, ku pokojom królowej wiodącym, które się zaraz za nim zamknęły.

Hrabia potrzebował chwili, aby zebrać myśli i siły, sparł się o mur, ręką ścisnął czoło, pozostał tak jakiś czas i miał już odejść, gdy nadchodzący szambelan w sposób najnieprzyzwoitszy oznajmił mu, ażeby dłużej tu nie bawił.

– Najjaśniejszy Pan rozkazuje panu przeze mnie natychmiast zamek opuścić i nie pokazywać się więcej na dworze. Wolą jest Najjaśniejszego Pana, abyś pan zamieszkał w Uebigau.

Sułkowski spojrzał dumnie, nic nie odpowiedział i wyszedł. Wrzało w nim wszystko, umiał się jednak pohamować; ostatni wysiłek nadaremny był zrobiony: nie pozostawało nic nad wypicie tego kielicha bez wzdrygnięcia. Chęć jakiejś pomsty odzywała się w sercu, ale ją umiał przytłumić: wiedział, że ona by raczej nieprzyjaciółom posłużyła niż jemu. Powrócił do domu, aby rozchorowaną żonę uspokoić i zapewnić, że się niczego lękać nie mają.

Wygnanie do Uebigau pod samym Dreznem dozwalało się spodziewać i spotkania z królem, i może wytłumaczenia. Chciał więc w pierwszej chwili Sułkowski zająć pałacyk mu przeznaczony, ale żona słyszeć i mówić o tym nie dozwoliła.

– Brühl się tym nie ograniczy, będziemy w jego rękach! Znajdzie powód do nowego prześladowania, jedźmy natychmiast, uciekajmy z przeklętej Saksonii. Do Polski, do Wiednia, gdzie chcesz, byle nie tu!!

Przez cały ten wieczór około domu Sułkowskich widać było krążących ludzi, kupki stojące ciekawych, przypatrujące się oknom, śledzące życie, pragnące widzieć i nasycić się drganiem ofiary. Sułkowski chwilami, zza firanek niewidzialny, stawał i nawzajem wpatrywał się w tę tłuszcę nikczemną ze wzgardą i oburzeniem. W ciągu wieczora nie ukazał się nikt, nie przyszedł, nie odezwał. Na dole tylko kamerdynerowi oddano urzędowy papier, którym Jego Królewska Mość uwalniał hrabiego Sułkowskiego od sprawowania obowiązków ministra spraw zewnętrznych, wielkiego podkomorzego dworu i wielkiego koniuszego.

Papier ten rzucił hrabia na stół, nie mówiąc słowa.

Tegoż wieczora, po powrocie z zamku, było przyjęcie u Brühla. Nim się goście zjechali, minister wyszedł do sali, aby być gotowym na ich przyjęcie. Twarz jego zdradzała poruszenie wielkie i niepokój, znużony był po ciężkiej walce. Rzucił się właśnie na fotel, gdy z przeciwnej strony weszła pani Brühlowa.

Nim ją zobaczył, zatopiony będąc w myślach, miała mu się czas przypatrzeć. Z szyderskim nieco wyrazem poglądała na niego.

Postrzegł ją nareszcie i wstał.

– Powinnam powinszować panu – odezwała się – jesteś jedynym panem sytuacji, królem Saksonii i Polski, Hennicke namiestnikiem, Loss, Stammer i Globig wicekrólami! Nieprawdaż?

– A pani królową – rzekł, uśmiechając się, Brühl – *à double titre*!<sup>248</sup>

– Tak jest – rozśmiała się Brühlowa – i zaczynam się oswajać z mym stanem, znajdując, że jest wcale znośnym.

Ruszyła ramionami.

– Byle to dłużej trwać mogło niz, królestwo Sułkowskiego. Zapomniałam – śmiejąc się szepnęła – że waćpan rozumnie bardzo oparłeś swój tron na ramionach kobiet. Królowa, ja,

<sup>248</sup> *A double titre* (fr.) – z podwójnego tytułu (jako żona Brühla i kochanka Augusta III).

która jestem drugą, Moszyńska i pani Sternberg to coś znaczy, nie licząc Albuzzi, bo ta jest nadliczbowa.

– Pani sama jesteś temu winna, iż muszę obcej pomocy szukać i serc poza domem.

– A! serc! serc! – przerwała Brühlowa. – Ani pan, ani ja o sercach mówić nie mamy prawa. Mamy fantazje, nie serca, mamy zmysły, nie uczucia, ale... tak lepiej.

Odwróciła się od niego.

– Jedno słowo – odezwał się Brühl, podchodząc za nią – jedno ciche słowo; później przyjdą goście i nie będę miał szczęścia rozmówić się z panią.

– To słowo?

Brühl się prawie do ucha przybliżył:

– Pani się kompromitujesz!

– Na przykład?

– Ta młodzież z mojej kancelarii...

Brühlowa zarumieniła się, minę nastroiła dumną i gniewną.

– Mam moje fantazje! – rzekła. – A nikt mi ich zabronić nie może. Proszę się do nich nie mieszać, jak ja się nie wdaję w to, oo pan minister robi. Bardzo proszę!

– Pani!

Na te słowa, które zdawały się małą małżeńską sprzeczkę rozpoczynać, weszła hrabina Moszyńska, ożywiona, promieniejąca. Zbliżyła się do Brühlowej, podając jej rękę, i zawołała głośno:

– A zatem zwycięstwo *sur toute la ligne*<sup>249</sup>. W mieście całym mówią tylko o tym: dziwią się, drżą...

– Cieszą – dodał Brühl.

– No, nie wiein doprawdy – przerwała Moszyńska – ale nam na tym dosyć, że my się cieszymy z upadku tego prokonsula<sup>250</sup>. Jesteśmy przecież raz *en famille*<sup>251</sup> i nie potrzebujemy się kłaniać pysznemu panu.

– Co słyhać? Co myśli? – spytał minister.

– Jeżeli go znasz, – zawołała Moszyńska – powinienes się domyślić. Pojedzie naturalnie do Uebigau, będzie siedział, potrząsając głową po dawnemu, i starać się nie omieszką zabiegać drogę królowi, intrygować, aby do łaski powrócić.

Brühl rozśmiał się.

– Tak, to bardzo do prawdy podobne; ale, droga pani... od Uebigau niedaleko do Drezna, ale też blisko i do Königsteinu... Wątpię... wątpię...

Nadchodząca hrabina Stemberg, żona nowego posła austriackiego, piękna, czarnooka wiedeńska, pańskiego oblicza, arystokratycznej postawy, uchodząca także za egerię Brühla, wtrąciła, prawie nie witając się:

– Trzymam zakład, że pojedą do Wiednia.

Brühl się skrzywił.

Dwie panie rozpoczęły z sobą rozmowę po cichu, a Moszyńska wzięła Brühla na stronę.

– Popelniliście błąd – rzekła – nigdy się nie powinno rzeczy robić przez połowę; będzie się mścił: należało go zamknąć...

– Król by na to nie zezwolił w pierwszej chwili – odezwał się Brühl. – Zanadto żądając, mogliśmy go doprowadzić do otwartego buntu, a naówczas Sułkowski by nam poucinał głowy. To jedno; po wtóre, znam hrabiego i dlatego się go nie boję: głowa słaba, spisku uknuć nie potrafi. Nim wyjedzie z Uebigau, ja znajdę dowody na przywłaszczone dwa miliony talarów, a naówczas Königstein będzie usprawiedliwiony.

<sup>249</sup> *Sur toute la ligne* (fr.) - na całej linii.

<sup>250</sup> *Prokonsul* (z łac.) – w starożytnym Rzymie wielkorządca prowincji, często sprawujący swą władzę w sposób okrutny i zachłanny.

<sup>251</sup> *En famille* (fr.) - w rodzinie.

– Brühl! – rozśmiała się Moszyńska. – Dwa miliony talarów... a ty...  
– Ja nie mam grosza! – zawołał minister. – Ja się rujnuję na występy, aby panu mojemu honor uczynić: jam w długach...

Zbliżył się do ucha hrabinej.

– Nie sądz pani, ażebym był tak ograniczony, bym nieprzyjaciela wypuścił z rąk, nie dobiwszy, ale musiałem to rozłożyć na dwa tempa. Z Uebłgau, w którym żyć musi i skąd nie tak rychło mi ucieknie, dostanę go, gdy zechcę. Tymczasem zbieram dowody nadużyć. Król za kilka tygodni zgodzi się na wszystko.

Rozśmiał się dziwnie, gdy wtem nadchodzący wielki ochmistrz Löwendahl zmusił go opuścić hrabinę, która wolnym krokiem do kobiet przeszła.

Z Löwendahlem poszli znowu na ustronie.

– Jakże on to przyjął?! – zawołał Brühl.

– Zrazu osłupieniem, ale po chwili bardzo mężnym sercem i wielką dumą.

– A jednak – syknął Brühl – mówił mi szambelan Friesen, że zaskoczywszy króla w garderobie, pełzał u nóg jego.

– To być może – rzekł Löwendahl – ale...

Nie miał czasu dokończyć, kamerdyner ode drzwi dawał mu znaki, musiał więc przeprosiwszy, odbiec gościa i pójść dowiedzieć się, dla czego pilnego tak go odwoływano. Nie bez niepokoju przechodził salon, bo choć króla strzeżono pilnie, lękał się jeszcze, aby dawny ulubieniec pisma jakiego nie podrzucił lub sam mimo zakazu nie przekradł się do zamku. Wiedziano o stosunkach jego z o. Voglerem, a choć jezuita rzadko bywał dopuszczany do króla, jako duchowny miewał wszelkiego czasu posłuchanie.

W gabinecie czekał Hennicke, dosyć poufale rozparłszy się na krześle. Wprawdzie ruszył się na widok ministra, ale znać było, że go sobie lekceważył i że potrzebniejszym był on Brühlowi niż Brühl jemu.

– Cóż tak pilnego? – z wyrzutem począł minister. – Ludzie mogą sądzić, że się coś stało!

– A, niech tam sobie sądzą! – niecierpliwie odrzucił Hennicke. – Wasza Ekscelecja bawisz się, a ja pracuję; ja nie mogę dogadzać fantazjom jego.

– Coś ty oszalał?!

– Ja? – zapytał spokojnie Hennicke.

– Zapommasz się! – zawołał Brühl.

Hennicke rozśmiał się.

No, no, dajmy temu spokój, Ekscelecjo, dla wszystkich możesz być wielkim człowiekiem, ale dla mnie...

Machnął ręką.

– Co byś Wasza Ekscelecja znaczył bez Hennickego?

– A ty beze mnie? – zawołał trochę gniewnie Brühl.

– Ale ja jestem widelec, którym każdy minister musi jeść: to co innego. Brühl złagodniał.

– No, cóż tam? Co? Mów?

– Co byś mi miał Wasza Ekscelecja dziękować, to burczysz. Hennicke był lokajem, to prawda, ale właśnie dlatego, że nim był, nie lubi przypomnień dawnych.

To mówiąc, rozwijał papiery.

– Ot, co przynoszę: Ludoviciego upoiłem, zapewniłem, że go zrobimy radcą tajnym w departamencie, i ręczę, że takim tajnym będzie, iż nikt w świecie o tym się nie dowie! Cha! cha! Mam już wskazówki. Są sumy pobrane z akcyzy, są kwity, są zaległości wojskowe. Ho, ho, znajdzie się tego dużo! A z czegoż by dobra kupował! Przecież po królu Leszczyńskim je nabył.

– Trzeba, żeby dowody były – rzekł Brühl.

– Czarno na białym – mówił Hennicke.

– Na kiedy gotowym być może?

– Za kilka dni.  
– Zbytecznie śpieszyć się nie mamy potrzeby – mówił Brühl. – Król musi pierwszy swój krok wielki wydychać. Faustyna zaśpiewa, o. Guarini zagada, prochu trochę wystrzelamy. Scena w korytarzu się zapomni, dopiero można będzie do drugiego aktu przystąpić. Główną jest rzeczą, aby nikt tajemnicy nie wydał, aby się tego nie domyślano, aby podejrzenia nie miał i nie drapnął nam...

Hennicke, który się wpatrywał bacznie w swego pryncypała, dodał:

– Trzeba mu niewidzialną wartość postawić i tu, i w Uebigau. Wypadnie, aby się kilku lokajów odprawiło; niewielu on ich tam ma, a natomiast mu się nastreczy sług z naszej ręki, którzy czuwać będą i donosić.

– Bardzo dobrze – rzekł Brühl.

– Spodziewam się, że dobrze, bo ja nigdy źle nic nie obmyślam – dodał Hennicke.

– Gdyby się nam wymknął do Wiednia, do Prus, choćby do Polski – rzekł zadumany Brühl – byłaby rzecz niewygodna i niesmaczna.

– Ba, i niebezpieczna – począł Hennicke, poprawiając perukę. – Choć to głowa nie tęga, ale żadnym nieprzyjacielem gardzić się nie godzi.

– Zatem rzecz postanowiona – szepnął Brühl. – Waćpan zbierasz dowody winy. Mnie, który po nim biorę spadek, nie wypada przeciwko koledze i współzawodnikowi działać otwarcie. Ja go ciągle przed królem bronię i za nim proszę. Papiery te, niby przypadkowo podchwycane, zanieś hrabia Wackerbarth-Salmour, to rzecz ułożona.

Chciał już odchodzić.

– Słuchaj, Hennicke – rzekł cicho – ty się oddalać nie możesz, ale Globiga do tego użyć najlepiej. Jużciż takiego gościa jak Sułkowski w łada komórce osadzić niepodobna, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa wypadnie mu tam dłużej zamieszkać. Rozumiesz! Globig niech pojedzie spacerem, sanna bardzo dobra, zapusty, ot tak... w odwiedzinach do komendanta i niech sobie opatrzy jakich czystych kilka pokojów dla hrabiego, żeby znów niezbyt mu było źle. Jest tam teraz próżnych dosyć. Nie mówiąc dla kogo i co, niech oczyszczą, ale tak, żeby się tam nie domyślano. Hennicke rozśmiał się.

– Wasza Ekscelencja nie zapomnisz o mnie, że za takiego grubego zwierza coś mi się gościńca należy.

– Gdy go zamkniemy do klatki – rzekł Brühl. – Ale, mój Hennicke, powiadasz, bym ja o tobie nie zapomniał, a mnie się zdaje, że ty najlepiej sam o sobie pamiętasz.

– Jak Wasza Ekscelencja! – wyrwał się Hennicke, który papiery składał. – Obaśmy z jednego materiału, nie mamy się co okłamywać. Znamy się dobrze.

Brühl, choć go eks-lokaj tak brutalnie traktował, nie śmiał nic odpowiedzieć, owszem, łagodził go. Był mu potrzebnym.

Z wypogodzoną twarzą powrócił minister na pokoje, gdzie już stoliki do gry były gotowe. Pani Moszyńska, bijąc paluszkami o stół, oczekiwała na niego.

– Siadajże – odezwała się – już o tej godzinie interesa wszystkie spać iść powinny!

## XI

Zapusty w tyna roku były weselsze niż w przeszłych latach. Wszyscy starali się rozweselić króla, na którego czole często widać było jakoby obłok smutku i tęsknoty. W godzinach poobiednich ziewał czasami, a żarty o. Guariniego chybiały i nie słuchane rozpraszały się w powietrzu. Uproszono Faustynę, aby śpiewając, podchodziła bliżej łoża królewskiej i dobierała najulubieńszych arii. Frosch i Storch mieli przyobiecane osobne wynagrodzenie za podwójną dozę żartów; strzelano co dzień do tarczy, soliści popisywali się świetnie, zabawy



na zamku jaśniały przepychem strojów i bogactwem wymysłów. Brühl nie wychodził prawie z zamku, a ile razy król pozostał sam, stawał u drzwi, czekając na rozkazy i zgadując myśli. August też bywał niekiedy w wesołym humorze i chrząkał, a śmiał się ochoczo; ale czasem wśród uśmiechu napływała chmura, oblicze się nią zaciągało nagle: król odwracał się do okna i zdawał się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Zaraz nazajutrz posłano Sułkowskiemu rozkaz niezwłocznego udania się do pałacyku wcale nie przygotowanego na przyjęcie go zimą, do Uebigau. Musiał opuścić Drezno. Czatowali nań ludzie, żeby przeprowadzić go śmiechem i szyderstwami, i oznakami lekceważenia.

Przy powozie hrabiego biegł jego piesek ulubiony, Fido. Zasadził się nań strzelec około mostu i pod karetą Sułkowskich z pistoletu go ubił. Działo się to w biały dzień, wśród miasta, a nikt nie rzekł słowa. Zuchwalec tryumfował, patrzący się śmieli, pies biedny padł ofiarą. Pani Sułkowska rozplakała się w powozie, hrabia ani wyjrzał, ani rzekł słowa, zniósł to ze stoicką rezygnacją, udając, że o niczym nie wie.

Nikczemna tłuszcza przeprowadzała jadącego za most, biegnąc za powozem z krzykami. Woźnice popędzali konie, hrabia patrzył w dal chłodnymi oczami i ani drgnął nawet: nadto czuł się wyższym nad to, aby cierpieć.

Hennicke i kancelaria Brühla wiedziała o tym dobrze (jeśli do tego nie wpływała), doniesiono Brühlowi: uśmiechnął się tylko...

W mieście kazały najosobliwsze powieści. Bądź co bądź, nowy minister, który w kilka dni potem wziął na siebie znacznie większą część dostojeństw, od których dawnego faworyta uwolniono, dowiedział się też przez swoich szpiegów, że upadek Sułkowskiego raczej żal obudza niż radość, raczej przestrasza niż nadzieję polepszenia. Szemrano wszędzie.

Brühl na to miał jeden ratunek: odosobnienie króla takie, aby słowo nieupoważnione do uszów jego nie doszło. Zaraz następujących dni rozpoczęło się obsadzenie wszystkich miejsc, których urzędnicy mieli przystęp do króla. Brat Brühla wszedł w obowiązki wielkiego marszałka dworu, pozmieniano nawet paziów i lokajów podejrzanych o sprzyjanie i stosunki z Sułkowskim.

Karmiono Augusta wszystkim, co tylko mu smakować mogło, ale go wzięto w opiekę najściślejszą. Było mu z tym zupełnie dobrze, bo oprócz dogodzenia nałogom swym nie potrzebował nic.

W pierwszej chwili o usunięciu i oddzieleniu królowej dla zapobieżenia wpływowi jej mowy być nie mogło; lecz w planie Brühla stało już pozbycie się Józefiny jako najbliższa konieczność. W największej tajemnicy mógł to przygotować z pomocą żony; o. Guarini byłby się może na tak radykalny środek nie zgodził. Brühl czuł się wszechmogącym, a jego podwładni, wice króliki, jak ich nazywano, podnosili głowy do góry.

Obawa Sułkowskiego trwała jednak zawsze, sprawa z nim rozpoczęta była, ale nie dokonana. Hennicke zbierał dowody nadużyć i rozproszonych pieniędzy. Szło o odebranie mu Fürstembergowskiego pałacu, który od króla dawniej otrzymał w podarunku, o odjęcie mu pałacu w Uebigau i o zamknięcie rywala na klucz w Königsteinie, czego tyle było przykładów dawniejszych za panowania Augusta Mocnego, iż Brühl, na nich się opierając, spodziewał się tego dokonać łatwo. Sułkowski na swobodzie był wiekuistym niebezpieczeństwem. Sułkowski w Wiedniu z żoną był wrogiem na przyszłość strasznym.

Przyczyniło się i to do zwiększenia obawy Brühla, iż odepchnięty hrabia nie okazywał się wcale przybitym. Przewożono sprzęty nie dostające do Uebigau, a piękne położenie pałacu z widokiem na całą nadelbiańską okolicę czyniło go wcale znośnym pobytem. Z okien swych mógł Sułkowski co dzień oglądać wieżę tego zamku, w którym niedawno panował. Karnawał miał się ku końcowi, hrabia nie ruszał się z przeznaczonego mu miejsca pobytu.

Śledzono z ciekawością jego kroki, nie można się było dowiedzieć nic. Z miasta nie jeździł tam nikt, samotność była straszną. W Briesnitz zasadzone szpiegi na próżno wypatrywali

gości. Ludzie z pałacu jeździli co dzień po żywność do Drezna, ale oprócz przekupek na rynku nie widywali nikogo, Nie dawał się pochwycić na niczym winowajca. Co się działo w pałacu? Nie wiedział nikt. Hrabia czytywał po całych dniach i rozmawiał z żoną, pisał listy, ale jaką drogą one i dokąd szły, tego dośledzić nie było podobna.

Pewnego poranku Brühl wszedł z papierami do króla. Nic przykrzejszego królowi być nie mogło nad widok papierów i perspektywa rozmawiania o intrygach. Najmniejsze słowo sprowadzało chmury i ziewanie.

Brühl skracał też przykrą pracę, dając gotowe rzeczy do podpisu. Zasiadał August do stolika i nie rzuciwszy nawet okiem na akta, kładł na nich jakby odbity z pomocą jakiej maszyny podpis, zawsze jednakowy, czysty, wyraźny, majestatyczny i spokojny.

Tego dnia spostrzegłszy stos papieru, król zaczął się już gotować do pańszczyzny podpisywania, ale Brühl stał nieruchomie, nie rozkładając tego, co trzymał w ręku. Kilka wejrzeń pytających skłoniło go wreszcie do mówienia, z którym się ociągać zdawał.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł – dziś przybyłem w takiej przykrej sprawie, że rad bym jej i dla siebie, i dla pana mojego najmiłościwszego uniknąć.

Król usta wykrzywił i poprawił perukę.

– Wolałbym, żeby się tego podjął kto inny, ale nikt mnie wyręczyć nie chciał – westchnął Brühl. – Muszę więc sam to przedstawić Najjaśniejszemu Panu.

– Hm? – odezwał się August.

– Wasza Królewska Mość przyzna mi – mówił dalej minister – że do sprawy Sułkowskiego wcale się nie mieszałem.

– Skończone! Dosyć! Skończone! – przerwał niecierpliwie trochę król.

– Niezupełnie – kończył Brühl – i to właśnie jest nieszczęście. Objąłem po nim sprawy; jestem człowiek sumienny, musiałem wejść we wszystko.

Oczy króla otwarte szeroko patrzyły na mówiącego. Było w nich niemal coś groźnego.

– Znalazły się w papierach rzeczy, korespondencje, ogromnie obwiniające niewdzięcznego sługę Waszej Królewskiej Mości; nadużycia, deficyt w kasie.

Król chrząknął mocno.

– Ale ja mam pieniądze jeszcze, Brühl? – zapytał żywo.

– Są, przecież nie tyle, ile by ich być powinno—zniżając głos, mówił minister. – Gorsza daleko, iż listy, stosunki, komunikacje z dworami kompromitują Sułkowskiego i wskazują go jako wielce niebezpiecznego człowieka. W Polsce, jeśli się tam uda, będzie, zasłonięty prawami Rzeczypospolitej, wicherzyć; jeśli pojedzie do Wiednia, tam też naogół będzie niebezpiecznym. Słowem, gdziekolwiek się udał...

Mówiąc to, Brühl powoli patrzył na króla jak w tęczę, zdawał się rachować z wrażeniem i do niego zastosowywać słowa. Znał on dobrze twarz i humor pański, a mimo to nie umiał sobie dobrze teraz wytłumaczyć, co ona oznajmowała. August patrzył i słuchał zdumiony, oczyma biegał po pokoju, wracał na Brühla, czerwieniał, bladł, był zmieszany, żaden wyraz z ust mu się nie dobył.

Na chwilę przestał mówić minister, czekał. August chrząknął mocno. kaszlnął i wlepił oczy wyzywające w niego.

Kończył więc, nie mogąc inaczej:

– Wasza Królewska Mość zna mnie i wie, że jestem przeciwnym wszelkim gwałtownym środkom. Ja też kochałem tego człowieka, byłem jego przyjacielem, mogę powiedzieć, dopóki się panu mojemu nie przemieształ. Dziś, jako minister, jako sługa wierny, gwałt sercu zadać muszę.

Rozpoczęcie sprawy zapewne było z o. Guarinim obrachowane w ten sposób, iż Padre miał nadejść wśród rozmowy, i w istocie zjawił się w tym miejscu. Król chciał zużytkować inaczej przybycie Guariniego i przywitawszy go, zapytał o Faustynę.

– Zdrowiuteńka! – zaśmiał się ojciec. – *Chi ha la sanità, é ricco e se n'ol sa.*<sup>252</sup>  
 Ale Brühl stał z tymi nieszczęsnymi papierami.  
 – Wasza Królewska Mość pozwolisz, bym tę niemiłą sprawę zakończył – rzekł, wtrącając się żywo. – O. Guarini wie o wszystkim.  
 – A wie! To dobrze! – I zwrócił się król do ojca: – A co mówi?  
 Padre ramionami ruszył.  
 – Co pan mówi miłościwy! – odrzucił śmiejąc się. – A ja! Jam kapłan, ksiądz, mnie się nie godzi.  
 Nastąpiło milczenie. August czy spuścił w ziemię; Brühl się uląkł -nieco: szło wszystko w odwłokę.  
 – Za życia Najjaśniejszego rodzica, Augusta Mocnego – podchwycił – Sułkowski byłby już na Königsteinie.  
 – Nie, nie – rzekł August, ale usta mu się ścisnęły i zbladł, popatrzał na Brühla, wstał, przechadzać się zaczął.  
 Guarini z rękami złożonymi stał, wydając westchnienia głębokie.  
 – Nigdy nie nastawałem na obchodzenie się surowe z nikim – rzekł Brühl. – Byłem i jestem za przebaczeniem, ale tu są ślady takiej niewdzięczności. takiego zdradziectwa... Jezuita oczy w niebo podniósł i westchnął raz jeszcze.  
 Oba oni z Brühlem śledzili najmniejszy ruch króla i nie wiedzieli, co sądzić. Nigdy może nie był tak zagadkowym. Znając go, byli pewni, iż przemóc i zwyciężyć potrafią, ale szło o to, aby nie nużyć Augusta, bo, zmęczony, miał zawsze długo żał do tych, co go nudzili. Brühl spojrzał na Guariniego, oczyma nagląc, aby dobijał poczętego targu. Padre odstrzelił podobnym wejrzeniem, zdając to na ministra. August na podłodze nogą miał rozesłany kobierzec i prostował, o czym innym myśląc.  
 – Co Wasza Królewska Mość rozkaże? – spytał natarczywie Brühl.  
 – Gdzie? jak? co? – mruknął król.  
 – Z Sułkowskim...  
 – A, z tym, tak... tak... – I znowu kobierzec król miał nogą, patrząc na ziemię.  
 Na ostatek, jakby z wielkim wysiłkiem, odwrócił głowę do Brühla i wskazał ręką na stół:  
 – Papiery te do jutra.  
 Minister się zmieszał, na żaden sposób nie chciał i nie mógł zostawić papierów. Chociaż pewnym był, że ich król czytać nie będzie, obawiał się czegoś niespodziewanego, był nadto ostrożnym, rachował, że się to da za jednym zamachem dokonać. On i Guarini nieznacznie spojrzeli na siebie.  
 – Najjaśniejszy Panie – odezwał się Włoch cicho – to taka gorzka potrawa, że jej na dwa dania nie warto rozkładać. *Alcun pensier no paga mai debito*<sup>253</sup>, co tu myśleć?  
 Król nic nie odpowiedział, po chwili odwrócił się do Brühla:  
 – Strzelanie do tarczy po południu na zamku.  
 Wtrącenie tego rozkazu było znaczące, Brühl stał zmieszany.  
 – Ostatni jelen długo nas męczył – dodał – ale rogacz był też wart pracy.  
 Milczał trochę.  
 – A żubr ostatni zdechł – dodał i westchnął.  
 Zegar wskazywał godzinę, w której król zwykł był iść do królowej, kazał zawołać szambelana.  
 Brühl czuł się odprawiony z niczym, a cały zachód był stracony. Nie wiedział, czemu ten opór przypisać; Guarini i on spoglądali na siebie. Król śpieszył z wyjściem. Musieli natychmiast za nim wyjść także z pokojów i Brühl wciągnął spowiednika do gabinetu przyległego.

<sup>252</sup> *Chi ha la sanità, é ricco e se n'ol sa* (wł.) – kto jest zdrow, jest bogaty, a nie wie o tym.

<sup>253</sup> *Alcun pensier no paga mai debito* (wł.) – żadna myśl nie spłaca nigdy długu.

Papiery rzucił na stół zniechęcony.

– Nie rozumiem – rzekł.

– *Pazienza! Col tempo e colla paglia maturano le nespole!*<sup>254</sup> – odparł Guarini. – Do jutra, to nie mogło się stać tak prędko. Król nie mówił nic, oswoi się z tą myślą, a że nic mu tak nie ciąży jak ponawiane szturmy, postawicie na swoim.

Zamyślił się minister.

– Zawsze to źle! – rzekł. – W sercu coś dla Sułkowskiego zostało.

Poczęli szeptać i naradzać się z Guarinim. Jezuita natychmiast udał się do królowej, Brühl z papierami do domu.

Najregularniejszy w życiu swym król, jak mówiliśmy już, w popołudniowych godzinach, które szlafrokowymi nazywano, przy fajce, przypuszczał do siebie tylko tych, co go mogli zabawić. Brühl, jeśli się tam zjawił o tym czasie, musiał także zapomnieć o obowiązkach ministra, a wziąć na siebie trefnisia. Lecz że o tych godzinach nie groziło żadne niebezpieczeństwo, bo nikogo na zamek oprócz domowych nie wpuszczano, bardzo rzadko zjawiał się minister. Król bawił się z trefniami swymi lub wedle fantazji, nie wolno mu tylko było wezwać nikogo takiego, który by do dworu nie należał, a Brühlowsy zausznicy, gdyby nawet rozkaz odebrali, znaleźliby sposób niespełnienia go, aż zasięgnąwszy rady ministra.

Z czasów Augusta Mocnego pozostał jak inni przywiązany do dworu, sławny ów Hanswurst<sup>255</sup> najjaśniejszego pana, Józef Fröhlich<sup>256</sup>, który się nosił z kluczem srebrnym, szambelańskim na grzbiecie, biorącym w siebie kwartę wina. Lecz dawniej ulubiony panu, teraz był tylko po nim pamiątką. Brühl, który mu nie dowierzał, starał się go usuwać równie jak barona Schmiedel<sup>257</sup>. Całkiem jednak dawnych sług ojca nie dopuściłby był August odpędzić. Fröhlich miał swój dom za mostem (Narrenhaus)<sup>258</sup>, miał się już dobrze i nieczęsto się pokazywał u dworu; ale ilekroć się pokazał, dosyć było Augustowi twarz jego puciołowatą i śmiejącą się zobaczyć, aby się już śmiać na kredyt, nim jeszcze wyrzekł słowo.

Dnia tego po obiedzie nie było Brühla. Frosch dostał fluksji od policzka, który mu Storch wymierzył niby żartem, za co został ukarany aresztem przy kuchni. Nie bardzo się więc zdziwiono, gdy król pazia wysłał, aby mu Fröhlicha sprowadził. Ponieważ figle Fröhlicha najwyrazistszymi się stawały i działały najmocniej, gdy naprzeciw wesołej twarzy starego trefnisia stanął kammerkurier baron Schmiedel z melancholicznym swoim obliczem, paż zapytał, czy i Schmiedel miał być wezwany.

Król potrząsł głową i powtórzył mu:

– Fröhlich sam.

Wielkie było zdziwienie starego Hanswursta, gdy mu na zamek iść kazano. Wdziął, jak mógł najżywiej, jedną ze trzechset sukni pstrych, które mu sprawił August Mocny; klucz swój przyczepił i puścił się mimo wichru przez most pieszo, myśląc tylko, czym najjaśniejszego pana zabawić potrafi.

Trefnisie też mają chwile, w których się im śmiać i śmieszyć nie chce. Jedną z takich właśnie przebywał ów *Fröhlich semper, nunquam traurig*<sup>259</sup> na medalu, ale w naturze często jak ocet kwaśny. Nie wydawał się on z tym, że mu terażniejsze panowanie wcale w smak nie

<sup>254</sup> *Pazienza! Col tempo e colla paglia maturano le nespole* (wł.) – cierpliwości! Z czasem i na słomie niespliki (rodzaj owoc) dojrzewają.

<sup>255</sup> *Hanswurts* (niem.) – komiczna figura w ludowych farsach niemieckich; błazen, trefniś.

<sup>256</sup> Fröhlicha wymienia też Kraszewski w *Hrabinie Cosel*.

<sup>257</sup> *Baron Schmiedel* – kamerjunker na dworze Augusta III.

<sup>258</sup> *Narrenhaus* (niem.) – dom błazna.

<sup>259</sup> *Fröhlich semper, nunquam traurig* – wesoły zawsze, nigdy smutny. Gra słów niemieckich i łacińskich polega na podwójnym znaczeniu niemieckiego wyrazu *Fröhlich* i *fröhlich*, który oznacza jednocześnie nazwisko nadwornego błazna króla Augusta III i odpowiada naszemu słowu: wesoły.

szło, stare czasy wydawały mu się nieskończenie lepszymi, choć w istocie wcale nie były dobre.

Nałóg tylko i długie nawyknięcie do wydobywania z siebie wesołości na rozkazy zdołały z Fröhlicha i tym razem wykrzesać isierkę, z którą w oczach i minie stawił się przed królem.

Oprócz dowcipu swego miał dla zabawy Fröhlich wielką zręczność w kuglarskich sztukach i tym razem łatwiej mu było począć od figla niż od konceptu.

Uklękawszy przed królem i złożywszy czołobitność, Fröhlich oświadczył, iż tak biegł na rozkaz najjaśniejszego pana, że mu w gardle zupełnie zaschło. Odczepił swój klucz szambelański i ośmielił się prosić, czyby najjaśniejszy pan, uwzględniając wiek jego i stargane siły, nie dozwolił mu dla wzmocnienia napić się wina. Król klasnął w ręce i kazał paziowi przynieść butelkę.

Fröhlich tymczasem oczyszczał nieco zaśniedziały klucz, z którego miał pić, i opowiadał, jak ten dar wysoko cenił, a jak go teraz mało używał. Paż stał z butelką, gotów nalewać, gdy Fröhlich, zajrzawszy na dno, z przerażeniem ujrzał w nim coś siedzącego głęboko.

– Któż by się był spodziewał! – zawołał. – Ptacy sobie w nim gniazdo usłały... – W istocie z klucza wyleciał kanarek. Król rozśmiał się, ale na tym nie było końca. W kluczu coś było jeszcze, Fröhlich z wielkimi krygi począł wydobywać wstążki. Różnobarwnego tego towaru wyciągnął ogromną kupę: sześć chustek od nosa, stoczek, garść orzechów. Jak się to wszystko tam mieścić mogło, było tajemnicą Fröhlicha.

Oświadczył potem, że nie będąc pewien, czy w tym zaczarowanym kluczu jeszcze się co nie mieści, bodaj księżniczka zaklęta, woli dla bezpieczeństwa za zdrowie pana napić się z prostego kieliszka. Po odbytej ceremonii paż odszedł do przedpokoju, a Fröhlich zaczął króla śmieszyć, przedrzeżniając aktorów na scenie.

Trwało to wszystko z pół godziny. Król się śmiał, bo musiał, ale tylko oko Fröhlicha postrzegło, że był niespokojny, poruszony i roztargniony.

Nie wiedział, czemu to miał przypisać, gdy z nadzwyczajnym zdumieniem ujrzał króla idącego ku najdalszemu od wszystkich drzwi oknu i dającego mu rękami znaki, aby się zbliżył.

Było w tym coś tak tajemniczego i niezwykłego, że Fröhlich prawie się przeląkł. Na palcach jednak pośpieszył i znalazł się u okna, przy którym król stał, jakby przestraszony i niepewny, oglądając się niespokojnie dokoła.

Rozwiązania tej zagadki zdumiony trefniś na próżno szukał w głowie.

– Słuchaj, Fröhlich – rzekł król zaledwie dosłyszalnym głosem. – Hm! Śmiej się głośno, głośno! Ale słuchaj, co powiem, rozumiesz...

Trefniś nie rozumiał jeszcze nic, ale głową skinął i śmiać się zaczął tak, że śmiechem mógł najhuczniejszą zagłuszyć rozmowę.

Król wziął go ręką za ucho i przyciągnął je prawie do ust.

– Fröhlich wierny, pocziwy, nie zdradzi – rzekł. – Dziś tajemnie do Uebigau, rozumiesz! Powiedzieć mu, rozumiesz, niech zaraz ucieka do Polski.

Fröhlich zrazu szmer tylko i wyrazy słyszał, nie mógł pojąć, ażeby król go za tajemnego posła chciał użyć. Na myśl mu jeszcze nie przygzedł Sułkowski. Rękami i miną zrobił znak zapytania.

Król pochylił się mu do samego ucha i rzucił w nie jedno słowo:

– Sułkowski!

Powiedziawszy je, jakby się sam zląkł tego zakazanego na dworze nazwiska, odskoczył na kilka kroków. Fröhlichowi śmiech zamarł na ustach. Bał się, że może niedobrze zrozumiał. Twarz jego wyrażała znać tę niepewność, bo król nakazawszy mu znowu śmiać się, powtórzył dobitnie rozkaz.

Wyrazy z ust jego dobywały się urywane: pośpiesznie, krótko, bez związku; trefniś jednak w końcu wiedział, iż król kazał mu oznajmić o niebezpieczeństwie i ostrzec hrabiego, aby do

Polski uciekał. Dla niepoznaki słuchał jeszcze chwilę August konceptów, potem dobył z kieszeni garść dukatów i wsypał je Fröhlichowi do kamizeli.

– Idź! – rzekł.

Fröhlich, przypuszczony do ucałowania ręki, natychmiast się wyniósł. W przedpokoju pochwaliwszy się dukatami, nie dał się pażom powstrzymać i co prędzej pobiegł do domu. Nie mieściło mu się w głowie to, co się z nim stało. Potrzebował zebrać myśli, opamiętać się, naradzić z sobą, jak miał spełnić dziwny rozkaz króla, który bał się własnego otoczenia i trefnisia za powiernika użyć musiał. Zamyślił się, westchnął.

Zadanie było trudne. Mniej nawet oswojony z życiem dworu i losem faworytów, mógł się domyślić łatwo, iż koło Uebigau pełno szpiegów być musiało, a w samym pałacu nawet nie zbywało na nich. Fröhlich był znaną wszystkim figurą. Szczęściem częste za Augustów maskarady nauczyły się przebierać i do niepoznania twarz i postawę przeinaczać. Fröhlich zamknął się w swojej izdebce i nie tracąc czasu przystąpił do wyboru peruki i sukni.

Były to pierwsze dni lutego. Elba stała w pędzie, od Czech poczawszy, a lód był jak mur. Zdało się więc Fröhlichowi, że przystęp do pałacu od strony rzeki mógł jeszcze być najbezpieczniejszym i najmniej strzeżonym. Zbyt było późno i nie bardzo bezpiecznie iść pieszo za miasto, ale saneczek do Briesnitz łatwo mógł dostać. Przyrzekłszy dobrą zapłatę, puścił się w drogę. Gospoda wiejska pełna była gwaru zapustnego, bo tu ze stolicy najgorsze, ale najweselsze gromadziło się towarzystwo. Woźnicy kazawszy czekać, stary drugimi drzwiami wyszedł i pieszo puścił się ku Elbie.

Czuł, że chyba szczęśliwy traf jaki może mu niebezpieczne poselstwo ułatwić; zresztą myśl ta, że go król posłał, dodawała odwagi. Wahał się długo, w końcu do otwartej furtki wbiegłszy, na podwórze pałacu, wprost się puścił do sieni. Tu znalazł pustki i ciemność. Sułkowski za najświetniejszych swoich czasów nigdy dworu nie trzymał wielkiego, teraz go jeszcze zmniejszył. Wschody stały ciemne. Dopiero wdrapawszy się na nie, usłyszał głosy ludzkie. W przedpokoju służba klóciła się, grając w karty.

Na widok dziwnie ubranego człowieka, zjawiającego się o tej godzinie, skoczyli wszyscy przestraszeni, zadając pytania. Fröhlich oznajmił im, że ma dwa słowa do powiedzenia hrabiemu, i to jak najspieszniej. Kamerdyner najprzód go obrewidował i przetrząsnął kieszenie, bojąc się, czy nie miał broni i nie zamierzał jakiej napaści, a dopiero potem pobiegł do hrabiego.

W pałacu zrobił się rozruch: peruka i ubranie, chusta, którą miał przewiazaną brodę, nie dały poznać Fröhlicha. Wprowadzono go do sali, do której dopiero teraz światło wniesiono. Sułkowski był nie ubrany, blady, ale spokojny i tak dumny, jak gdyby ministrem być nie przestał. Gość zażądał oddalenia służącego. Wszystko to obudzało podejrzenia jakieś i obawy, lecz hrabia nie okazał trwogi. Gdy pozostali sam na sam, Fröhlich odsłonił twarz.

– Przed dwoma godzinami – rzekł – byłem zawołany do króla. Powtórzę wam jego własne wyrazy:

„Dziś, tajemnie, do Uebigau... powiedziec mu: niech zaraz ucieka do Polski”.

Sułkowski słuchał z niedowierzaniem.

– Król ci to mówił?

– Król, i z taką obawą, aby kto nie podsłuchiwał, jak gdyby był nie królem, ale niewolnikiem.

– Jest nim i na wieki zostanie – westchnął Sułkowski. Zamyślił się hrabia.

– Bóg zapłać – odparł po przestanku krótkim. – Zażyłeś biedy dla mnie, a raczej dla króla. Czym ci mogę odwdziżyć?

– Tym jednym, abyś hrabio spełnił wolę króla jeszcze dzisiejszej nocy.

Sklonił się. Hrabia stał zamyślony, jak przykuty do miejsca. Za Fröhlichem zamykały się drzwi i stary bił się już po śniegu do swoich sanek, a Sułkowski stał oparty o stół, niedobrze wiedząc, co ma począć. Znał już dosyć Brühla, ażeby wiedzieć, że z rady należało korzystać.

Nazajutrz król powracał ze mszy rannej, gdy mu o. Guarini zaszedł drogę, dopytując o zdrowie. Na to zwykle najjaśniejszy pan odpowiadał czymś takim, co pośredniczyło między chrząknięciem, uśmiechem a czkawką. Twarz zresztą dostojnego pana najlepsze dawała świadectwo, iż chorym być nie mógł. Odziedziczył w części siłę i zdrowie po ojcu, a że ich mniej nadużywał, służyły mu wybornie.

O. Guarini razem z innymi prowadził najjaśniejszego pana na pokoje. Król kilka razy spojrzał nań badawczo, jakby chciał się czegoś dowiedzieć z twarzy, wreszcie rzekł lakonicznie:

– Mróz...

– Ja to najlepiej czuję, bom Włoch – rzekł Guarini – ale choć tak zimno, Najjaśniejszy Panie – szepnął cicho – są ludzie, co się nie lękają podróży. Pewien hrabia, którego imienia nie chcę wymówić, bo miał nieszczęście popaść w niełaskę... wybrał się, słyszę, nocą, nie wiadomo dokąd...

Król jakby nie słyszał, iiie odpowiedział nic. Na pokojach oczekiwał Brühl z papierami, ale zmieszany i kwaśny. August zbliżył się do niego szybko.

– Brühl, te papiery, co wczoraj, skończyć trzeba!

– Już wszystko skończone – odparł minister z westchnieniem.

– Hm! co? – spytał August, udając zdziwionego.

– Winowajcy już nie ma, Najjaśniejszy Panie. Musiał się czuć do grzechu: nocą uciekł do Polski.

Król ręką w stół uderzył i okazał twarz zdumioną bardzo.

– Jestem pewny zdrady – dodał minister, niespokojnie się kręcąc. – Znać, że na dworze ma jeszcze zwolenników i przyjaciół; lecz prędzej, później wszystko się odkryje.

Zamiast odpowiedzi August stojącą, ogromną tabakierę porcelanową otworzył i podsunął ją ministrowi, nic nie mówiąc.

Brühl z ukłonem dotknął końcami palców tabaki. – Polować się będzie koło Taubenheim – odezwał się król. Niech zaraz ekwipaże przysposabiają.

I poszedł do okna.

## XII

Brühl zwyciężył, nie miał jednak tej pociechy, ażeby nieprzyjaciela się pozbył na zawsze; musiał przez długie lata lękać się zawsze odwetu, o który wszakże Sułkowski się nie pokusił. Objąwszy dobra po królu Leszczyńskim w Polsce, mając znaczne majątności, dorobiwszy się u dworu wiedeńskiego tytułu księcia, bawił najwięcej w Wiedniu i nie próbował przypominać się Augustowi, nad którym Brühl od tej chwili rozciągnął jak najtroskliwszą opiekę.

Opowiadanie nasze jest wstępem do życia Brühla, który aż do śmierci Augusta III władał Saksonią i Polską, potrafił się przerobić na polskiego szlachcica i odegrał, wedle słów własnych, jedną z najciekawszych ról ulubieńca, któremu szczęście służyło do zgonu. Szkoda by było ten ciekawy dramat psuć opowiadaniem jego treści. Brühl jest postacią historyczną, zarazem i typem swej epoki nadzwyczaj wybitnym: w Brühlu maluje się cały August III jak w zwierciadle.

Moglibyśmy zakończyć ten epizod, nie dodając doń nic więcej, gdyby nam tradycja nie pozostawiła jednej ciekawej sceny, która do naszego opowiadania jako epilog należy.

W r. 1756, w czasie wojny z Prusami, gdy Brühl na szczycie swej potęgi – zostawując w szponach zwycięzcy całe mienie, pałace, galerię, bibliotekę, zbiory – uchodzić musiał do Polski wraz z Augustem późną już jesienią, dworskie ekwipaże z powodu złej drogi na Śląsku

i niedostatku koni na kilka taborów rozbite zostały. Król znajdował się w najpierwszym z nich, minister jego wypadkiem znalazł się w ostatnim. Obawę miał wielką, aby się nie dostał w ręce króla pruskiego, który go nienawidził. Pragnął więc koniecznie doścignąć króla i przy nim bezpieczniejszym się czując, dalszą podróż odbywać.

Wszystko się jednak jak najnieszczęśliwiej skadało: padały konie, łamały się koła i pośpiech stawał się niemożliwym. Jesienne deszcze popsuły drogi tak, że dwa razy większa nad zwykłą ilość koni nie starczyła do powozów. Minister, rad nierad, musiał ścierpieć, co mu było przeznaczonym, i ulec losowi swemu. Jechał pod wrażeniem wypadków, o jakich już był uwiadomiony, milionowe i niczym nie nagrodzoności poniosłszy straty, jako wygnaniec wraz z królem chroniąc się do Polski, w której absolutne rozporządzanie się nie było możliwym jak w Saksonii. Zręczność Brühla i tu na wiele niedogodności umiała znaleźć lekarstwo, lecz szło trudniej i mozolnie. Nie dziw też, iż dawny losu ulubieniec chmurny był, przelekany niemal i zniecierpliwiony. W krótkim przeciągu czasu piękna twarz jego nad miarę postarzała. Miał chwile roztargnienia, w których niedobrze rozumiał, co doń mówiono.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie wlokły, gdy jedno z małych śląskich miasteczek pokazało się zza szarej opony dżdżystej, z wieżyczką kościoła i oświeconymi domami. Brühl spodziewał się tu znaleźć króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile dalej nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwej słoty na nocleg w mieście pozostać. Chciał Brühl ślać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próżnym: do rana koni dostać nikt się za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospody w miasteczku, które tylko jedną miało. Dostępną liczną służbą, towarzyszącą już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi, rozbiegła się szukać stosownego mieszkania. W gospodzie „Pod Koniem” zajęte było wszystko. Podróżny dwór polskiego pana rozpościerał się w niej szeroko.

Ministrowi zdawało się, że dostępną będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni poza izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkim i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekscelencji pobiegł pod „Koniam”, gdzie znalazł dostępną szumny dwór i dostępną pańską wyglądającego kogoś, tytułowanego księżciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczej, ustąpienia części gospody dla jego ekscelencji.

Usłyszawszy nazwisko, książę ów dziwnie się skrzywił, zamyślił i odparł Niemcowi bardzo dobrą niemieczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętej nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Deszcz z wichrem bił tymczasem w okna karety tak skutecznie, iż we wnętrzu jej mokro było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl, nie zastanawiając się dłużej nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajeżdżać pod „Koniam”.

Spodziewał się, że tu ktoś wyjdzie przeciwko niemu, ale się omylił: nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był w razie, gdy go lekceważono, podwajać grzeczności, uprzejmości i nadszkalowania; wysiadł więc z mocnym postanowieniem zawstydzania swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi. Minister wbiegł do obszernej izby, w której ogień się palił na kominie i dwie świece na stole, i szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale nie zmieszanego tym niespodziewanym spotkaniem, nieco tylko postarzałego, ale dumniejszego jeszcze, niż kiedykolwiek był – Sułkowskiego.

Książę stał milczący, z góry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem: obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl po pierwszym rzucie oka zbłądł przerażony i chciał się cofnąć nazad: zdawało mu się, że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru twarz się tak dziwnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sułkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.



Przyszedł mu znać na myśl i pater Guarini, i jego włoskie przysłowia, i język tak na dworze używany, bo począł od włoskiego:

– *Si riscontrano gli uomini, e non le montagne*.<sup>260</sup>

Brühl stał osłupiały: widocznym było, że nie chce i nie może pozostać.

– Musiałeś pan słyszeć bajkę – rzekł Sułkowski – o burzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... coś podobnego jest z nami. Przecież w taką słotę i pluchę nawet nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się na pół ku drzwiom.

Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nadużywać nie będę, by się znęcać nad nim – dodał Sułkowski. – Prawdziwie zabawna rzecz takie spotkanie dla mnie, i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu<sup>261</sup> losu ręka mnie pomściła.

– Mości książę! – przerwał Brühl jak. najłagodniej.

– Mości hrabio – odparł Sułkowski – gdyby to od waćpana było zależało, zamiast księstwa miałbym dziś wygodną kwatere w Königsteinie.

– Mości książę – wtrącił Brühl – przypisujesz mi większą władzę, niż miałem. Upadek swój winieneś położyć najprzód na karb własnej nieopatrności, potem słusznego czy nie gniewu królowej jejmości, na ostatek woli Najjaśniejszego Pana, której ja byłem tylko wykonawcą.

– Mości hrabio – rzekł Sułkowski – należy wcale odwrotnie powiedzieć, tak jak historia kiedyś zapisze, że Najjaśniejszy Pan był i jest wykonawcą jego fantazji...

– Książę się mylisz...

– Hrabia nie możesz mnie przecie sądzić tak ograniczonym – dokończył Sułkowski – abym znając lepiej od innych charakter i położenie, dał sobie wmówić niewinność pańską!

– Boga biorę na świadka! – zawołał, składając ręce, Brühl.

– To najwygodniej – odparł Sułkowski – bo świadek ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, aby dla nich zstępował na ziemię. Najlepszym świadectwem bożym jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszej polityki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zzymnął.

– To nie koniec, to początek! – rzekł. – Zobaczymy, jak na tym wyjdą najeźdźnicy, a jak my.

– Tak. król i pan na Ocieszynie<sup>262</sup> jedziecie drugie uszczęśliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu, co Saksonię! – rozśmiał się Sułkowski.

– W rządzie Saksonii – kłaniając się rzekł Brühl – nie potrzebowałem żadnych innowacji, dosyć mi było wstępować w ślady mojego znakomitego poprzednika.

Sułkowskiemu oczy błysnęły.

– Poprzednik pański inaczej układał przyszłość Saksonii – rzekł Sułkowski dumnie. – Dowodem ten plan, który podchwyciwszy mu, wydałeś pan dworowi austriackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zzymnął się.

– Ja? Ja o tym nie wiem nic – przebaknął ponuro, zmieszany. – Jeśli kto się tego dopuścił...

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł z dala po pokoju, unikając zbliżenia do Brühla.

– Słuchaj, Brühlu, mówię po staremu i bez tytułu – rzekł zwracając się – nie graj komedii przynajmniej ze mną: to się na nic nie zdało. Tak samo jak ze mną, nie odegrasz jej w obliczu historii, której okłamać niepodobna. Zamkniesz usta Erelom i Justim, zakażesz pisać, mówić,

<sup>260</sup> *Si riscontrano gli uomini, e non le montagne* - tak spotykają się ludzie, a nie góry; odpowiednik polskiego przysłowia: „Góra z górą się nie spotka, ale człowiek z człowiekiem”.

<sup>261</sup> Po latach czternastu, a raczej po osiemnastu, gdyż ostatni raz widział Sułkowski Brühla w r. 1738.

<sup>262</sup> P a n n a O c i e s z y n i e - Brühl przy poparciu Czartoryskich uzyskał szlachectwo polskie, przedstawiając fałszywy dokument, jakoby pochodził z Bryłów-Ocieskich na Ocieszynie.

myśleć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą. Możesz sobie kupić bezkarną teraźniejszość, ale nie jest w mczyjej mocy uczynić cię czystym przed historią. Staniesz przed nią jak na sąd boży nagim, odartym z maski, różu i bielidła, a uniknąwszy pręgierza za życia, nie ujdiesz go po śmierci.

– Moje życie całe jest jawnym! – zawołał Brühl unosząc się. – Tajemnic nie mam: pragnę tego sądu, mości książę.

– A gdybyś go nie chciał czy chciał, mości hrabio, nie unikniesz; to darmo... będzie nieubłagany i okrutny.

– Poddaję się mu – przerwał Brühl – nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś, mości książę, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie udało się to samo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce wcisnęło.

– Jak się to szczęście nazywa? – śmiejąc się zawołał Sułkowski. – Padre Guarini czy...

Brühl się zarumienił, książę ramionami ruszył.

– Na honor, hrabio, ja z dala admiruję was... Nie mówcie mi, że ja bym to samo, co wy, na waszym miejscu mógł uczynić! Ja, wyznaję w pokorze, nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakieście dokonali, przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonii, znałem Augusta III, pana naszego, szlachetną, ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energią jej dopomagać. To, co mam, winienem wspaniałomyślności pana mego, a nie przewrotnym rachunkom.

– Mości książę – przerwał Brühl – tego już nadto.

Sułkowski się zwrócił ku niemu, ruszając ramionami.

– Przecież my oba jak augurowie<sup>263</sup> rzymscy możemy się z tej komedii za kulisami śmiać, nie kryjąc przed sobą! Możecie być dla drugich niewinnym Efraimem...<sup>264</sup> Ale dla mnie będziecie starym, dobrze znanym Brühlem, którego widział w paziowskim mundurze, kłamającego się lokajom...

Ministra twarz bladła i czerwieniała na przemiany, niecierpliwość go porywała, widać było, że chwilami chciał wyjść, to znowu, jakby nie rozpaczając jeszcze o tym, że się potrafi zbliżyć i wytłumaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w towarzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszonosć, sofizmat zawsze gotowy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego ociążałość, sądził, iż go pokona w końcu. Tu jednak rachuba chybiła, Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Na próżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl w końcu odezwał się, cedząc po cichu wyrazy:

– Wasza Książęca Mość winien byś choć dlatego być nieco względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce, gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

– Tak, ale w Polsce, panie Brühlu, są pewne prawa, które więcej znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczej się Brühl mnie niż ja jego obawiać może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja też niedawno ze szlacheica urósł na austriackiego księcia.

– Zaszczyt szlachectwa polskiego i ja z Waszą Książęcą Mością mam wspólny – przerwał Brühl.

– A! Przedziwna farsa! – rozśmiał się Sułkowski. – Jestże w kraju całym jeden człowiek, co by nie wiedział, jakieście z turyńskiego do polskiego szlachectwa przyszli? To wasze szlachectwo jest jak wszystkie wasze czyny okłamanie prawdy.

---

<sup>263</sup> A u g u r o w i e - kapłani w starożytnym Rzymie, którzy z lotu ptaków i różnych zjawisk natury tłumaczyli wolę bogów i wróżyli przyszłość. Jednak w czasach znakomitego pisarza i mówcy rzymskiego Cyserona, którego złośliwą uwagę o upadku religii w tym okresie powtarza Kraszewski, augurowie drwili między sobą z tych, którzy wierzyli ich bezpodstawnym wróżbom.

<sup>264</sup> E f r a i m - młodszy syn patriarchy Józefa, wzór sprawiedliwości. Jest to nawiązanie do ulotnego pisma, jakie wydano w obronie Brühla, gdzie zestawiono tego ministra z biblijnym Efraimem.

– Mości książę, jeśli życzysz sobie, bym opuścił izbę – rzekł Brühl, zabierając się do wyjścia.

– Wcale nie, bo mnie ta scena bawi – odparł książę – ale powtarzam panu, my z sobą komedii grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący, wpośród ciszy słysząc tylko było deezcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą przykuwającą go do tej jedynej wolnej izby, którą z nieprzyjacielem dzielić musiał. Minister namyślać się zdawał.

– Mości książę – odezwał się – mówmy jak starzy towarzysze... – Fatalne przypomnienie! – mruknął Sułkowski.

– Na dowód, że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przejednać. Brzemie tych urzędów, które dźwigam, w istocie dla mnie za ciężkie.

– A tak – przerwał Sułkowski – mógłbyś się z nimi podzielić. Liczymy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższej izby podatkowej, akcyzy generalnej, fundacji naumburskiej i merseburskiej dyrektor, generalny komisarz portów Morza Bałtyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, pułkownik szwoleżerów i regimentu pieszego, fundacji meisseńskiej kapitułarz, proboszcz budziszyński, kawaler polskiego Orderu Orła Białego i rosyjskiego św. Andrzeja, a nawet pruskiego Orła Czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! – śmiał się Sułkowski.

– Bez żartu – przerwał Brühl – jestem znużony, nie jestem zazdrosny! Jedź, książę, do Warszawy, ja go z królem przejednam.

– Tak, aby nazajutrz potem bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednej z fortec saskich – przerwał Sułkowski. – Nie, dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i stamtąd genialne wasze podziwiać czyny!!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owej sławnej książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym, a w innych świętoszkiem czyniła<sup>\*265</sup>, i chętnie odgrywał rolę niewinnej ofiary.

– A! – zawołał. – Nie ma pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nade mnie przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to, co mogłem kiedy dobrego uczynić, przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nade mną; ci, którym życzę dobrze, ścigają mnie.

– A! Kochany hrabio – śmiał się Sułkowski – rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nie przystała wam. Gracie ją źle... Bracia Morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie jak ja wyśmieją. Dajcie temu pokój; ogrzyjcie się przy kominie i nie mówmy więcej.

To mówiąc, książę usunął się prawie pod samo okno, znalazłszy fotel w kątku, siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce z dala, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpocznieniem. W dziwnym tym położeniu, spoglądając niekiedy na siebie, przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyjaciela i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc, został już zbity z tropu i nie mógł nowej wynaleźć ścieżki, która by go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny, a na podwórzu wzrastał się wichur i niepogoda. W kominie świszczął i wyl jesienny wiatr najdzikszymi głosami, czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

---

\* „Die wahre und gründliche Gottseligkeit aller Christen ingemein, nebst einer Abhandlung vom Gebet 1740”. Drugie wydanie z r. 1773. (Przyp. Autora).

<sup>265</sup> W przekładzie polskim tytuł brzmi: *Prawdziwa i dokładna pobożność wszystkich chrześcijan w ogóle z rozprawą o modlitwie*.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jej tonem zgadzało. Niekiedy drzwi otwarte w gospodzie zatrząskiwaly się same gwałtownie, tak że ściany domu drgały. Resztki ognia, jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły w nią kłęby dymu, to znowu, wzmagając się, wracały do komina. Najweselej usposobiony umysł musiałby być ulec wrażeniu tej nocy i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał. Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drzemać obojętny.

– Pozwól mi, książę, słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

– Co za delikatne i drażliwe sumienie! – szepnął Sułkowski.

– Król nasz dziś urazy zapomniał, przebłagać by go było łatwo – dodał. – Ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u Waszej Księżęcej Mości, ale ks. biskup krakowski lub...

– Czy hrabia chciałbyś mi wmówić – odezwał się zagadnięty – że król kiedykolwiek zażalony był na mnie? Nie łudź się pan tym, byłem i jestem świadomym wszystkiego, co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody, iż królowi narzuciliście gwałtem moją niełaskę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

– Ja? ja? Przeczę temu i protestuję! – zawołał Brühl.

– Brühl! – krzyknął Sułkowski. – Za kogo mnie masz, bym ci przypisywał robotę własnoręczną tam, gdzie mogłeś ją cudzyini wykonać rękami? Nadto jesteś doskonałym artystą, abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać.

Brühl ruszył ramionami.

– Nic łatwiejszego nad potwarz! – rzekł z westchnieniem.

– A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę – dodał Sułkowski. – Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie, przekonałbyś się, że znam moją sprawę do gruntu.

– Tak – przerwał żywo Brühl – lecz jeśli w istocie znasz do gruntu sprawę, toś książę i to wiedzieć powinien... Tu się zaciął nieco.

– Ze ja także jestem w rękach ludzi, sił, nazwij to, jak chcesz, których narzędziem być muszę.

– Powiedz, hrabio, że chcesz być ich narzędziem – rzekł Sułkowski – i wtaśnie, żem ja nie mógł i nie chciał być niczym, zostałem strącony. Do tej roli jam stworzony nie był, a waćpan odegrywasz ją jak prawdziwy wirtuoz<sup>266</sup>.

I począł się śmiać cicho.

– Ale książę kochałeś króla – rzekł minister, rzucając się w inną stronę – nie miłóż by było zbliżyć się do niego?

– O, pewnie, gdybyście, przez lat czternaście pracując nad tą łagodną i flegmatyczną naturą, nie uczynili z niej lalki wam posłusznej, nałogowo do spokoju nawykłej i nie umiejącej kochać nikogo, a bawiacej się wszystkim – westchnął Sułkowski. – Patrzeć dziś na tę ruinę człowieka nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszej.

Zamilkli znowu – Brühl dodał jeszcze:

– Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się, że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zbliżnić do reszty ranę i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z mej strony wszystko, co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi bożemu.

– Bóg i Brühl, jak to brzmi! – rozsmiał się Sułkowski. – Naprawdę pozazdrościłeś sławy Zinzendorfowi. W dziwnym usposobieniu spotkałem Waszą Ekszelencją między

---

<sup>266</sup> W i r t u o z - mistrz jakiejś sztuki.

luteranizmem saskim a katolicyzmem polskim. Widać, że te dwa wyznania zeszyły się na granicy i zdublowały, a stąd taka pobożność.

– Jestem katolikiem – odezwał się Brühl.

– Wiem, w Polsce – odparł Sułkowski – *ratio status*<sup>267</sup>.

Brühl zamilkł.

– A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was pocziwy Guarini tak proteguje.

Mówiąc, splunął Sułkowski, pochylił się i przyległ niemal do szyby ciemnej, chcąc wyjrzeć na podwórze.

Potem słowa nie mówiąc, wziął futrzaną czapkę i zostawiając Brühla samego, wyszedł z izby do sieni. Wiatr wył ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to nie wchodząc już do izby, książę kazał kamerdynerowi zaprzęgać. Służący chciał protestować.

– Do pierwszej lepszej wsi, gospody, chaty, byle stąd precz! – zawołał. – A prędko!

I nie wszedł już do gościnnej, w której Brühla pozostawił; wolał się zimną, a gdy nareszcie po dość długim oczekiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliwie i pytającemu słudze odparł:

– Dokąd chcesz. Wszystko jedno.

Przez oświecone z wnętrza okno gospody widać było cień czyjś, jakby usiłujący dojrzeć w ciemności, co się przed domem działo. Powóz Sułkowskiego ruszył i głowa w oknie znikła.

KONIEC

---

<sup>267</sup> *Ratio status* (łac.) – racja stanu.

## POSŁOWIE

Henryk Brühl (1700—1763) był pierwszym ministrem króla Augusta III i rządził zarówno Polską, jak Saksonią.

Nie był on ani Sasem, ani Polakiem. Pochodził z Turynгии, księstwa niemieckiego położonego w sąsiedztwie Saksonii. Ponieważ jego rodzinny, niebogaty dom szlachecki nie dawał szans na poprawę bytu rodziny, trzynastoletni Henryk został paziem u księżnej Weissenfels, potem krótko studiował literaturę i muzykę w Lipsku; kiedy miał dziewiętnaście lat, został przyjęty w poczet srebrnych paziów na dworze królewskim księcia elektora saskiego Augusta II w Dreźnie, gdzie szybko zdobywał coraz to nowe tytuły i stanowiska. Mając trzydzieści jeden lat, był już kierownikiem finansów i kierownikiem polityki zagranicznej Saksonii, później objął również ministerstwo spraw wewnętrznych i zarząd górnictwa, uzyskał kilka tytułów wojskowych, wreszcie w roku 1746 otrzymał nieznany dotąd w Saksonii tytuł „premier-ministra”.

W Polsce, gdzie magnaci stali na straży swojskie pojętych swobód szlacheckich, dygnitarские stanowiska i tytuły były trudniej dostępne dla obcego przybysza. Tu Brühl zadowolili się generalstwem artylerii koronnej i kilku starostwami, do których musiał utorować sobie drogę fałszywymi dokumentami, mającymi stwierdzić jego polsko-szlacheckie pochodzenie z Ocieszyny.

Zresztą, cóż mogły znaczyć tytuły nawet najwyższe dla człowieka sprawującego władzę królewską! A Brühlowi chodziło nie tyle o tytuły, co o pieniądze. Ten niebogaty szlachcic z Turynгии na służbie u obcego monarchy potrafił nie tylko powiększyć majątek rodowy, ale kupować sobie dobra w Saksonii i w Polsce, budować pałace (w tym sławny w swoim czasie pałac brühlowski w Warszawie przy placu Saskim), gromadzić zbiory sztuki i bibliotekę (70 000 tomów!) i ponad wszystko prowadzić wystawny tryb życia. Oczywiście, zdobyte stanowiska i majątek uzupełnił tytułem hrabiowskim.

Nie można powiedzieć, że Brühl dorobił się majątku, bo nie pracą go zdobył. Po jego śmierci w Saksonii próbowano ściągnąć z jego sześciomilionowego spadku cztery i pół miliona talarów sprzeniewierzonych z kas skarbowych. W Polsce posądzano go o fałszowanie monety. Pospolitym źródłem dochodów było dla niego sprzedawanie wolnych urzędów senatorskich, biskupstw i orderów. Tak na przykład za urząd wojewody wileńskiego książe Karol Radziwiłł „Panie Kochanku” zapłacił mu dwa miliony talarów. Podobnie zapłacił mu Teodor Wessel za urząd podskarbiego koronnego (stanowiący ministerstwo finansów).

A troska o rządzony kraj? Tej Brühl nie miał, jak nie miał jej jego król, jak nie miało jej wielu innych monarchów w Europie XVIII wieku. Dawno już minęły te czasy, kiedy to król francuski Henryk IV (1553—1610) chciał tak rządzić, ażeby w jego kraju każdy chłop miał w niedzielę kurę w garnku. W wieku XVIII ideałem i wzorem panujących był inny król Francji, Ludwik XIV (1638—1715), monarcha najbardziej absolutny, utożsamiający państwo ze swoją osobą i otaczający się na swym dworze tak wspaniałym przepychem, że go nazywano „królem Słońce”. Gorliwym naśladowcą Ludwika XIV był August II. Przemocą został królem Polski, ażeby podnieść świetność swego dworu i swej rodziny. Będąc absolutnym władcą Saksonii, od początku swych rządów w Polsce zabiegał o to, ażeby Rzeczpospolitą szlachecką

przekształcić w dziedziczną monarchię swej dynastii, nawet kosztem części ziem Polski, które obiecywał monarchom ościennym za poparcie.

Za panowania Augusta II Polska nie tylko przestała być potężnym kiedyś mocarstwem, ale w ogóle przestała być państwem biorącym czynny udział w polityce europejskiej. Stała się krajem, w którym gospodarowali monarchowie sąsiedni: Karol XII szwedzki, Piotr I rosyjski, później Fryderyk II pruski – dyktując uchwały sejmowe i osadzając swych kandydatów na tronie elekcyjnym. Upadek polityczny Polski osiągnął dno za panowania Augusta III, właśnie dzięki rządowi Brühla. Wtedy to powstało i utrwaliło się przekonanie, że „Polska nierządem stoi”.

W ciągu pierwszych dwudziestu trzech lat panowania Augusta III był w Polsce łącznie zaledwie około dwóch lat. Kiedy musiał podpisywać uniwersały lub wziąć udział w naradzie senatu, przyjeżdżał na kilka dni do pogranicznej Wschowy i szybko wracał do Drezna. Przyjechał do Warszawy na kilka lat, kiedy na początku wojny siedmioletniej w roku 1756 król pruski Fryderyk II zajął całą Saksonię. Wyjechał z Warszawy natychmiast po zawarciu pokoju w roku 1763, śpiesząc do zbyt licznych oper i polowań, Jego dworowi towarzyszył, oczywiście, Brühl.

## II

Chociaż w dziejach Polski panowanie obu Sasów stanowiło okres ponury zarówno pod względem politycznym, jak obyczajowym, w świadomości Polaków w ciągu owych sześćdziesięciu kilku lat wytworzyło się przekonanie, że stałe więzy łączą oba kraje. Kiedy w niespełna trzydzieści lat po śmierci Augusta III Sejm Czteroletni, usiłując ratować kraj przed katastrofą, uchwalał konstytucję trzeciego maja, właśnie wnukowi Augusta III przyznawał tron dziedziczny Polski. Uchodząc z kraju przed konfederacją targowicką, politycy stronnictwa patriotycznego szukali schronienia w Dreźnie i tam przygotowywali powstanie kościuszkowskie. W odbudowanym przez Napoleona Księstwie Warszawskim księciem panującym został wnuk Augusta III, wówczas już z łaski cesarza Francuzów król saski. Przez Drezno prowadził szlak polskich emigrantów po klęsce powstania listopadowego (tam Adam Mickiewicz napisał *Dziadów część III*), przez Drezno również szli rozbitkowie powstania styczniowego. Do Drezna bezpośrednio skierował się Józef Ignacy Kraszewski zmuszony do opuszczenia kraju w roku 1863 i chociaż przez kilka lat w różnych wędrówkach szukał, gdzie by się osiedlić bliżej Polski, w tym mieście zamieszkał na stałe, aż go stamtąd po dwudziestu latach wyrok sądu niemieckiego zabrał do twierdzy w Magdeburgu.

Pisarz o zamiłowaniach historycznych nie mógł pozostać obojętny wobec napotykanego co krok pamiątek świadczących o dawnych więzach polsko-saskich. Zagłębił się w studiowaniu bogatych archiwów, bibliotek i zbiorów sztuki. Szybko znalazło to odbicie w jego twórczości literackiej. Dawniej zainteresowania historyczne Kraszewskiego skupiały się na początkach dziejów Litwy i zatrzymywały się na XVI i XII wieku dziejów Polski. Kilka razy temat jego powieści był zaczerpnięty z końca panowania Stanisława Augusta, co mogło być nawiązaniem do żywej jeszcze tradycji ostatnich lat Rzeczypospolitej. Teraz w roku 1867 pojawia się komedia pt. *Za króla Sasa*, a w parę lat później zaczynają się ukazywać powieści saskie, których liczba zbliżyła się do dwudziestu i wśród których na czoło wysuwa się stanowiący trylogię ciąg trzech powieści; *Hrabina Cosel*, *Brühl* i *Z siedmioletniej wojny*.

### III

W powieściach historycznych Kraszewski zazwyczaj snuł akcję dokoła osób, często fikcyjnych bohaterów, nie wpływających bezpośrednio na tok wielkich wydarzeń, i poprzez ich dzieje czy przeżycia ukazywał postaci naczelne. W wymienionych powieściach saskich, szczególnie w *Brühlu* pisarz przyjął metodę wręcz przeciwną: wprowadza przede wszystkim naczelne postaci historyczne, ale unika opisywania ważniejszych wydarzeń. W powieści nie to jest ważne, że umarł August II, że August III w jakiś tam sposób daleko w Polsce został wybrany na króla, że Saksonia została zajęta przez obce wojska. Wiadomości te każdy może bez trudu znaleźć w podręczniku historii. Kraszewskiego interesują inne fakty. Był on pisarzem historycznym, ale jeszcze więcej pisarzem społecznym i obyczajowym. W przeszłości widział nie tyle poszczególne wydarzenia dokonane przez pojedyncze osoby, co raczej grupy społeczne o pewnej kulturze, tworzące pewne formy życia obyczajowego. Dla tego rodzaju zainteresowań ozasy saskie w dziejach Polski stanowiły obraz ponury i przygnębiający, ale ciekawy. Jak to się stało, że w czasach, zdawałoby się, tak spokojnych doszło do strasznego upadku politycznego, obyczajowego i moralnego? Kraszewski znajduje na to odpowiedź w obrazie życia dworu królewskiego oraz w charakterze króla i osób, które go otaczały.

Król obojętny na wszystko, co się jego osoby nie tyczy, i dogadzający sobie, chociażby reszta świata miała runąć; minister wszechmocny, chciwy i podstępny, dążący wyłącznie do opanowania władzy i zrobienia majątku; cały dwór opanowany żądzą świetnych zabaw i używania życia bez kępowania się jakimikolwiek względami moralnymi; zupełny brak troski o kraj i niższe warstwy społeczne, a przy tym mniej lub bardziej świadome uleganie poleceniom lub intrygom obcych mocarstw (w powieści są one reprezentowane przez jezuitów i agentów dworu cesarskiego w Wiedniu) – oto obraz rządów Saksonii w pierwszej połowie XVIII wieku. A ponieważ przebywający stale w Dreźnie książę elektor saski był równocześnie królem Polski, w Polsce było jeszcze gorzej. Tam coraz szerszy krąg możnych panów przejmował tryb życia dworu królewskiego i szerzył w kraju demoralizację. W *Brühlu* na jednym z przedstawień operowych około roku 1736 przygodny gość z Polski mówi do przyjaciela:

„Człowiek po tym widowisku prosto by powinien iść do konfesjonału... My, cośmy nie nawykli do tej rozpusty oczów i uszu, pijani wyjdziemy”. Stopniowo Polacy nawykali; w kilkadziesiąt lat później Warszawa była już ośrodkiem zepsucia obyczajów w Polsce. Opisał to Kraszewski nie tylko w wielu powieściach z lat stanisławowskich, ale i w trytomowym dziele pt. *Polska w czasie trzech rozbiorów*.

W pierwszym rozdziale *Brühla* autor zwraca uwagę na to, jak to po świetnie udanym polowaniu rozmaicie byli traktowani jego uczestnicy. Dla panów piekły się jelenie i warzyły korzenne polewki, dla psów gotowano w kotle strawę, o chłopów spędzonych dla obławy nikt się nie kłopotał. posilali się oni dobytym z toreb chlebem i solą. W dalszym ciągu powieści Kraszewski wielokrotnie zwraca uwagę na pogłębiającą się przepaść pomiędzy dworem a ludem, głównie na skutek ściągania nadmiernych podatków, a najmocniej określił ją słowami muzyka Hassa o Augustcie II:

W loży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał, cały brylantami okryty; ale kraj łzami te diamenty opłacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreźnie, a jęki po Saksonii i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Trafiały się głosy w obronie uciśnionego i wyzyskiwanego ludu, ale skutek ich był wręcz przeciwny. Ludowi nic one nie pomogły, a obrońcy byli karani więzieniem lub piętnowani. Watzdorf i Erell są tego konkretnymi przykładami.



Skądinąd wiemy, że podobnie było wówczas w całej Europie. W każdym kraju monarchowie rządzili coraz surowiej, uciskując i wyzyskując lud, który doprowadzany do rozpaczyny tu i ówdzie chwycił za broń. Niepowodzeniem kończyły się pojedyncze buntyn chłopskie, aż wreszcie w końcu wieku Wielka Rewolucja Francuska obaliła egoistyczny absolutyzm panujących, niewiele widzący poza swym dworskim horyzontem.

W *Brühlu* do rewolucji jest jeszcze daleko. Ufni w grozę dożywotniego więzienia w Königsteinie, król i cały jego dwór żyją wspaniałymi polowaniami, hucznymi zabawami, operami i maskaradami oraz intrygami, które są głównym środkiem utrzymania się w kręgu otoczenia królewskiego i wpływania na najbardziej doniosłe decyzje. One to służą za tło i narzędzie działań politycznych, one też są terenem działania Brühla, dążącego uporczywie i wytrwale do obalenia ulubieńca królewskiego, ministra Sułkowskiego. Zabiegi Brühla stanowią główną akcję powieści, a ponieważ działał on w różnych kręgach środowiska dworskiego, pozwalają one czytelnikowi poznać całe życie dworskie, tak bardzo charakterystyczne dla wieku XVIII. W tej powieści możemy Kraszewskiemu wierzyć bardziej niż w innych jego utworach, jest ona bowiem oparta wiernie na wiarygodnych źródłach i dokumentach. Prawdziwe w powieści są zarówno świetne opisy scen zbiorowych, np. maskarady czy opery, jak i charakterystyki postaci.

W sposobie przedstawiania bohaterów w *Brühlu* Kraszewski okazał się wielkim mistrzem. Nie opisuje ich, lecz ukazuje w działaniu, w którym się zaznaczają poszczególne rysy charakteru. Dzięki temu postaci są pełne życia i wyraziście zarysowują się w wyobraźni czytelnika. Niektóre z zastosowanych przez autora środków charakterystyki są wprost niezrównane. Do nich należy przede wszystkim zachowanie się Augusta III, kiedy na propozycję uwięzienia Sułkowskiego ratuje przyjaciela przy pomocy starego trefnisia. Podobnie świetnie charakteryzują uczestników scena kuszenia Augusta III obrazem o treści mitologicznej i udana modlitwa Brühla, kiedy go niespodzianie wieczorem odwiedził Sułkowski. Bogatą charakterystykę ojca Guariniego poznajemy wyłącznie z jego bardzo różnorodnego zachowania się w wielu niespodziewanych sytuacjach. A ile dyskretnego światła na charaktery wielu osób zainteresowanych i na cały system intryg dworskich rzuca decyzja Brühlowej: „Obalimy Sułkowskiego, będzie to zemsta za mojego Watzdorfa; będzie to rozrywka!” Decyzja ta powzięta na prośbę Brühla okazała się ważniejsza od wszelkich zabiegów samej królowej.

Jeśli chodzi o wartość literacką powieści, krytycy literaccy i historycy literatury zgodnie twierdzą, że Brühl jest jedną z najlepszych powieści Kraszewskiego. Oto słowa jednego z nich sprzed lat trzydziestu paru:

Pod względem artystycznym należy *Brühl* do najdojrzałych, najstaranniej opracowanych utworów w dorobku powieściopisarskim Kraszewskiego. Kompozycja zwarta, nie przeładowana luźnymi epizodami ani nużącymi opisami, doskonale uwypukla zasadnicze motywy powieści. Akcja ujmuje prostotą i naturalnością. W technice uwidacznia się jeszcze pewna dążność do stwarzania sytuacji intrygujących; zwyczajem, niemal manierą Kraszewskiego jest wprowadzanie postaci tajemniczych, mających pobudzić ciekawość czytelnika, które dopiero w toku wypadków odsłaniają swą osobowość lub do końca pozostają pod maską. Poza tą jedną, czysto zewnętrzną pozostałością, ani śladu silenia się na skomplikowane przygody i niezwykle sytuacje. Trudno o większą prostotę, wręcz prymitywność fabuły, aniżeli mamy w *Brühlu*, a jednakowoż śledzi się bieg wypadków z niesłabnącym zainteresowaniem. Zasługa to kunsztu pisarskiego autora, który sensacyjność treści potrafił zastąpić artyzmem przedstawienia. Co przede wszystkim uderza, to bogactwo i różnorodność motywów. Z całą swobodą ogarnia Kraszewski rozległą skalę tonów i stwarza krańcowo odmienne nastroje, a w każdą scenę potrafi wlać pełnię życia i wydobyć z niej *masimum* skoncentrowanego wyrazu<sup>268</sup>.

<sup>268</sup> Józef Feldman: Wstęp w wydaniu *Brühla* w „Bibliotece Narodowej” Seria I nr 114; cyt. wg wyd. 2, Wrocław 1951, str. XXII-XXIII.

## IV

Obok wierności historycznej i zalet artystycznych w powieści historycznej należy również zwrócić uwagę na powiązania ze współczesnością autora; z jakiegokolwiek bowiem epoki przeszłości pisarz bierze temat, zawsze wypowiada swoje poglądy i zwraca się do czytelników sobie współczesnych, licząc również na czytelników w pokoleniach następnych. Kraszewski może bardziej niż inni pisarze miał świadomość zwracania się do rzesz czytelników, bo był nie tylko powieściopisarzem, ale i publicystą. Od zarania swojej twórczości literackiej w pierwszych latach po powstaniu listopadowym pisywał artykuły do prasy, przez szereg lat wydawał własne pisma, mianowicie dwumiesięcznik „Athenaeum” w Wilnie w latach 1841—1851, miesięcznik „Przegląd Europejski” w Warszawie w roku 1862 i tygodnik „Tydzień” w Dreźnie w latach 1870—1871. przez kilka lat był nawet dziennikarzem jako redaktor „Gazety Codziennej” i „Gazety Polskiej” w Warszawie w latach 1859—1862.

Jako publicysta Kraszewski zabierał głos niemal we wszystkich aktualnych sprawach, łącznie z zagadnieniami politycznymi. A czasy to były ciekawe i niespokojne. W Polsce najpierw Wielopolski próbował zreformować ustrój wewnętrzny, potem było powstanie styczniowe, po którym nastąpiło despotyczne gnębienie polskość przez carat. W Galicji nastały czasy autonomii, istniały przy tym próby nowej konspiracji mającej na celu odbudowę całej Polski. W Niemczech na nowy stopień potęgi wprowadzał Prusy kanclerz Bismarck, bijąc kolejno Danię, Austrię i Francję i kończąc swe dzieło utworzeniem w roku 1871 Cesarstwa Niemieckiego z królem pruskim jako cesarzem na czele. We Włoszech król Wiktor Emmanuel II wytrwale dążył do zjednoczenia wszystkich księstw w jedno Królestwo Włoskie, aż w roku 1871 dokończył dzieła włączając do swego państwa Rzym, który od wieków był stolicą Państwa Kościelnego. Ponadto cały świat był zajęty odbywającym się w Rzymie w latach 1869—1870 soborem watykańskim, na którym dyskutowano, jako najbardziej sporne, zagadnienia nieomylności papieża i jego władzy świeckiej.

Wszystkie te sprawy żywo obchodziły Kraszewskiego. Wypowiadał się we wszystkich zagadnieniach, a niekiedy próbował pouczać osobistości stojące na czele; tym właśnie naraził się Wielopolskiemu. Utrzymywał kontakty z ministrami włoskimi i próbował pośredniczyć w zaciągnięciu pożyczki przez króla włoskiego u warszawskiego bankiera L. Kronenberga. Popierał piórem akcję zjednoczenia Włoch i sprzeciwiał się utrzymaniu władzy świeckiej papieża, atakując przy tym nieustannie najbardziej skrajne reakcyjne w Kościele katolickim grupy ultramontanów i kierujących nimi jezuitów. W okresie soboru przesłał nawet papieżowi Piusowi IX jakiś memoriał. W roku 1872 próbował od publicystyki przejść do bezpośredniej działalności politycznej i kandydował na posła do parlamentu Rzeszy Niemieckiej, ale w Poznańskim jezuita i ultramontanowie rozpetali przeciwko niemu taką akcję, że wycofał swoją kandydaturę, ażeby nie rozbijać głosów Polaków. Zniechęcony niepowodzeniami postanowił zrezygnować z publicystyki i ograniczyć się do oddziaływania na społeczeństwo tylko poprzez utwory literackie. Wkrótce potem pisał trylogię saską, w tym *Brühla*, ogłoszonego drukiem w roku 1874.

Nietrudno w *Brühlu* wskazać pewne analogie pomiędzy przedstawianymi w powieści wydarzeniami a faktami współczesnymi Kraszewskiemu. Niektóre z nich są jednostkowe, jak na przykład i tu, i tam zajęcie Saksonii przez wojska pruskie lub ukaranie dziennikarza Erella, przypominające ukaranie grzywną Kraszewskiego za wykroczenie przeciw saskiemu prawu prasowemu. Ważniejsze są analogie w poruszanych zagadnieniach zasadniczych. jak sprawowanie władzy a dobro społeczeństwa, samodzielność polityki a intrygi obcych dworów, wtrącanie się duchowieństwa, a w szczególności jezuitów, do spraw państwowych i to w sposób pełen tajemniczości, udział kobiet w intrygach dworskich i politycznych, różne

drogi dążenia ludzi ambitnych do władzy, wreszcie charaktery ludzi – zarówno tych, którzy władzę sprawują, jak i tych, którzy ją wspomagają lub jej ulegają.

Kraszewski politykiem nie był i nie stać go było na ogarnięcie umysłem całości zagadnień państwowych. Głos w tych sprawach zabierał zwykle bez powodzenia. W *Brühlu* szczęśliwie ustrzegł się powtarzania starych błędów i tu jego głos nie dotyczy rozwiązywania zagadnień politycznych, nie udziela żadnych pouczeń, ogranicza się do podkreślenia, że dobro kraju musi być celem postępowania ludzi stojących u władzy. Zamiast pouczeń pisarz podaje przestrozę:

...nie graj komedii przynajmniej ze mną; to się na nic nie zdało. Tak samo, jak ze mną, nie odegrasz jej w obliczu historii, której okłamać niepodobna. Zamkniesz usta Erellom i Justim, zakazesz pisać, mówić, myśleć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą. Możesz sobie kupić bezkarną teraźniejszość, ale nie jest w niczyjej mocy uczynić się czystym przed historią. Staniesz przed nią jak na sąd Boży nagim, odartym z maski, różu i bielidła, a uniknąwszy przegierza za życia, nie ujdiesz go po śmierci... [sąd] będzie nieubłagany i okrutny.

Dla dzisiejszego czytelnika są to tylko słowa Sułkowskiego skierowane do Brühla w rozmowie kończącej powieść; pod piórem Kraszewskiego słowa te musiały tętnić pełną siłą groźby skierowanej do wszystkich mężów stanu.

Aktualizacja *Brühla* to nie tylko wprowadzenie do powieści -niektórych faktów historycznych przypominających wydarzenia współczesne i poruszanie zagadnień aktualnych w obu epokach, to również przepojenie powieści pasją, z jaką autor poruszał wobec czytelników te same zagadnienia w pismach publicystycznych, wołając pełnym głosem o lepszy świat. Gorące serce Kraszewskiego nie pozwoliło mu zachować postawy badacza naukowego wobec wiadomości starannie i gruntownie zbieranych z dokumentów, przedstawiających życie królewskiego dworu Augustów w Dreźnie sprzed stu pięćdziesięciu lat. Wydobyte z dokumentów postacie, nie tracąc nic ze swej wierności historycznej, zostały obdarzone nowym, pełnym życiem. Zaludniły one drezdeński dwór i wyraziście utrwaliły obraz czasów saskich.

Minęło wiele dziesiątków lat, a *Brühl* jest wciąż powieścią pasjonującą. Zawdzięcza swe powodzenie temu, że w sposób wysoce artystyczny łączy wspaniałe odtworzony obraz dawnej epoki z zawsze żywymi zainteresowaniami coraz to nowych pokoleń czytelników.

Stanisław Stupkiewicz